

II TOM Z SERII: INSPEKTOR GAMACHE

LOUISE PENNY

ZABÓJCZY MRÓZ

II TOM Z SERII: INSPEKTOR GAMACHE

LOUISE PENNY

ZABÓJCZY MRÓZ

Przełożyła Kamila Sławinski

 Poradnia K

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Podziękowania

Przypisy

Tytuł oryginału: A FATAL GRACE

Przełożyła: KAMILA SLAWINSKI

Projekt okładki: KONRAD NOWICKI

Zdjęcie na okładce: invisiblepower / Shutterstock.com

Projekt typograficzny serii: MARZENNA DOBROWOLSKA

Opracowanie typograficzne i skład: JOANNA RENIGER

Redaktor prowadzący: PAULINA POTRYKUS-WOŹNIAK

Redakcja: JOANNA MORAWSKA

Korekta: MAGDALENA GERAGA

Copyright © 2006 Louise Penny

All rights reserved.

Copyright © for the Polish translation by Kamila Slawinski

Copyright © for the Polish edition by Poradnia K, 2018

Wydanie I

ISBN 978-83-66005-12-9

Poradnia K sp. z o.o.

ul. Wilcza 25 lok. 6, 00-544 Warszawa

e-mail: poradniak@poradniak.pl

www: www.poradniak.pl

Zapraszamy do naszej księgarni internetowej: sklep.poradniak.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

*Dla mojego brata Douga i jego rodziny,
Mary, Briana, Roslyn i Charlesa,
którzy pokazali mi, czym naprawdę jest odwaga. Namaste.*

1

Jeśli CC de Poitiers wiedziałyby, że zostanie zamordowana, pewnie kupiłaby prezent gwiazdkowy dla swojego męża, Richarda. Może nawet poszłaby na przedstawienie z okazji zakończenia semestru z udziałem córki w Szkole Żeńskiej panny Edwards.

Jeśli CC de Poitiers wiedziałyby, że jej koniec jest bliski, być może byłaby w pracy, a nie w najtańszym pokoju, jaki miał do zaoferowania hotel Ritz w Montrealu. Ale jedyny zbliżający się koniec, którego była świadoma, dotyczył mężczyzny o imieniu Saul.

– No i co myślisz? Podoba ci się? – Książka, którą napisała, kołysała się na jej bladym brzuchu.

Saul popatrzył na nią, nie po raz pierwszy zresztą. Przez ostatnich parę dni co kilka minut wyciągała ją z olbrzymiej torby. Na spotkaniach biznesowych, przy kolacji, w taksówkach mknących przez zaśnieżone ulice Montrealu – CC nagle pochylała się, sięgając do niej i prostowała się, dzierżąc triumfalnie swe dzieło, jakby było ono wynikiem kolejnego niepokalanego poczęcia.

– Podoba mi się zdjęcie. – Wiedział, że będzie tym dotknięta. To on je zrobił. Domyślił się, o co pytała, i czuł, że CC domaga się więcej, niż chciał jej teraz dać. Zastanawiał się, ile czasu jeszcze upłynie, zanim się w nią zamieni. Nie fizycznie, rzecz jasna. Miała czterdzieści osiem lat. Była trochę młodsza od niego, smukła, żylasta i jędrna, z nieprawdopodobnie białymi zębami i niezwykle jasnymi blond włosami. Gdy jej dotykał, przywodziła mu na myśl lodową taflę. Było w tym coś pięknego, pewna kruchość, która go pociągała, ale i niebezpieczeństwo. Jeśliby kiedyś pękła, jeśliby się rozsypała, poszatkowałaby go na kawałki.

Jednak nie z tym miał problem. Patrząc, jak CC pieści książkę z większą czułością, niż kiedykolwiek mu okazała, Saul zastanawiał się, czy ten jej lód przeniknął już do niego, może podczas seksu, i czy nie zamrazała go powoli.

Nie czuł już własnego wnętrza.

W pięćdziesiątym drugim roku życia Saul Petrov dostrzegł, że jego znajomi nie byli już tak błyskotliwi, już nie tak mądrzy i nie tak szczupli jak kiedyś. Tak się składało, że większość z nich zaczynała go nudzić. Zauważył także wymowne ziewnięcia, jakimi go niekiedy obdarzali. Tyli, łysieli i zamieniali się w nudziarzy – podejrzewał, że on sam także. To, że kobiety rzadko teraz na niego spoglądały, nie było takie złe, podobnie jak to, że zaczął się zastanawiać, czy nie zamienić nart zjazdowych na biegówki, ani to, że lekarz wysłał go na pierwsze badanie prostaty. To wszystko mógł zaakceptować. Coś jednak budziło Saula Petrova o drugiej nad ranem i szeptało do niego tym samym głosem, który w dzieciństwie ostrzegał przed potworami czającymi się pod łóżkiem – pewność, że zdaniem innych jest nudny. Głębokimi haustami wdychał nocne powietrze, starając się pocieszyć sam siebie, że ukradkowe ziewnięcia jego towarzysza przy kolacji były skutkiem wina, *magret de canard* albo ciepła panującego w montrealskiej restauracji, w której siedzieli, odziani w ciepłe swetry.

Nocny głos wciąż jednak warczał i ostrzegał przed nadchodzącym niebezpieczeństwem. Przed nieuniknioną katastrofą. Przed opowiadaniem przydługich historii, przed ludzką cierpliwością, której stale ubywało, przed szybkimi, dyskretnymi spojrzeniami na zegarki, przed rozglądaniem się po pomieszczeniu w desperackim poszukiwaniu bardziej stymulującego towarzystwa. Kiedy będą się mogli od niego uwolnić?

Tak więc pozwolił, by CC go uwiodła. Uwiodła i pożarła, aż potwór pod łóżkiem zamienił się w potwora w łóżku. Saul podejrzewał, że ta kompletnie zaabsorbowana sobą kobieta w końcu pochłonęła też siebie, męża i katastrofalnie nieudaną córkę, a teraz zajęła się pochłanianiem kochanka.

Zaczął być okrutny w jej towarzystwie. Z trudem wytrzymywał sam ze sobą, jednak jej już nie znośił.

– To fantastyczna książka – powiedziała, ignorując go. – Naprawdę. Kto nie chciałby jej mieć? Ludzie się na to rzucają. Tyle jest na świecie osób z problemami. – Odwróciła się i spojrzała z okna ich hotelowego pokoju na przeciwległy budynek, jakby wyglądając tych „problemowych” ludzi. – To dla nich ją napisałam. – Znów zwróciła się ku niemu, a z jej szeroko otwartych oczu wyzierało głębokie przekonanie o słuszności własnych ocen.

Czy ona naprawdę w to wierzy? – zastanawiał się Saul.

Przeczytał jej książkę, rzecz jasna. Zatytułowała ją *Be Calm – Tylko spokojnie* – od nazwy firmy, którą założyła kilka lat temu – co zakrawało na ironię, zważywszy na to, że była istnym kłębkim nerwów. Jej ręce nieustannie się poruszały, coś wygładzając albo prostując. Ciągłe zniecierpliwiona, na pytania odpowiadała z irytacją, która przeradzała się w złość.

Spokój nie był słowem, którego by się używało w odniesieniu do CC de Poitiers pomimo jej chłodnej, mroźnej aparycji.

Proponowała książkę różnym wydawcom, zaczynając od pierwszoligowych domów wydawniczych w Nowym Jorku, a kończąc na Publications Réjean et Maison des Cartes w Saint-Policarpe, zabitej dechami miejscinie między Montrealem a Toronto.

Wszyscy ją odrzucili, natychmiast rozpoznając, że rękopis był pozbawionym ikry, żalonym miszmaszem filozofii samopomocowych, opakowanych w niedowarzone nauki buddyjskie i hinduistyczne, spłodzonych przez kobietę, która na zdjęciu wyglądała tak, jakby pożerała własne młode.

– Co za nieoświeceni ludzie – powiedziała CC do Saula w swoim montrealskim biurze tego dnia, gdy nadeszła sarta odmownych odpowiedzi, po czym podała listy na kawałeczki i rozrzuciła po podłodze, żeby wynajęte sprzątaczkę posprzątały. – Ten świat jest popieprzony, mówię ci. Ludzie są okrutni i bez wrażliwości, czekają tylko, żeby się nawzajem powykańczać. Za grosz miłości, za grosz współczucia. To – machnęła książką w jego stronę – nauczy ludzi, jak odnaleźć szczęście!

Jej głos był niski, słowa nabrzmiałe jadem. Zdecydowała się opublikować *Be Calm* własnym sumptem, upewniając się, że ukaże się tuż przed Gwiazdką. Chociaż w tekście bez przerwy była mowa o światłości, Saulowi wydało się to symptomatyczne i pełne ironii, że publikacja zbiegła się w czasie z przesileniem zimowym – najciemniejszym dniem w roku.

– Przypomnij mi, kto to wydał? – Nie mógł się powstrzymać. CC milczała. – Och, już pamiętam – powiedział. – Nikt tego nie chciał. To musiało być okropne. – Przerwał na chwilę, zastanawiając się, jak przekreślić nóż, który właśnie w nią wbił. A niech tam. Czemu nie? – Jak się z tym czułaś? – Czy się skrzywiła, czy tylko mu się wydawało?

Ale ona nadal wymownie milczała, a jej twarz ani drgnęła. Cokolwiek nie podobało się CC, nie istniało. Dotyczyło to także męża i córki. Jak również wszelkich nieprzyjemności, krytyki, ostrych słów, które nie pochodziły od niej, jakichkolwiek uczuć. Saul wiedział, że CC żyła we własnym świecie, w którym była idealna, gdzie mogła ukryć zarówno własne uczucia, jak i niedociągnięcia.

Zastanawiał się, jak długo potrwa, zanim ten jej świat eksploduje. Miał nadzieję, że będzie przy tym, kiedy to nastąpi. Byle nie za blisko.

Powiedziała, że ludzie są okrutni i pozbawieni wrażliwości. To nie było tak dawno temu – zaledwie zanim zakontraktował się jako dochodzący fotograf i kochanek CC – gdy uważał, że świat jest cudownym miejscem. Budził się wtedy wcześniej i wchodził w kolejny dzień, w którym świat był jak nowy i wszystko wydawało się możliwe. Przyglądał się prześlicznemu Montrealowi. Zauważał, że ludzie uśmiechali się do siebie, kupując cappuccino w kafejkach, świeże kwiaty albo bagietki. Widział, jak dzieci jesienią zbierały kasztany i grały nimi w kulki. Jak starsze panie spacerowały ramię w ramię po bulwarze Saint Laurent. Nie był głupi ani ślepy, dostrzegał bezdomnych albo posiniaczone, obrzmiałe twarze, opowiadające historie o długich, pustych nocach i długich, pustych dniach.

Jednak w głębi duszy wierzył, że świat jest cudowny. Jego fotografie odzwierciedlały tę wiarę, uchwytywały światło, lśnienie, nadzieję oraz cienie, które w naturalny sposób były wyzwaniem dla światła.

Co za ironia, że to właśnie ta cecha jego prac przyciągnęła uwagę CC i sprawiła, że zaoferowała mu kontrakt. W artykule w jednym z montrealskich żurnali opisywano go jako „topowego” fotografa, a CC chciała mieć wszystko, co najlepsze. Z tego powodu zawsze wynajmowali pokój w Ritzu. Zagracony, okropny pokój bez widoku ani czaru, ale za to w Ritzu. CC kolekcjonowała hotelowe szampony i papeterię, by udowodnić własną wartość – tak samo, jak dodała do swej kolekcji Saula. Posługiwała się tymi przedmiotami, by zakomunikować coś nieistotnego ludziom, których nic to nie obchodziło – podobnie jak posługiwała się nim. Potem zaś wszystko wyrzucała. Tak postępowała też z ludźmi: odrzuciła męża, a córkę ignorowała i ośmieszała.

Świat był okrutnym i obojętnym miejscem. Teraz Saul w to wierzył.

Nienawidził CC de Poitiers.

Wstał z łóżka, zostawiając tam CC wgapioną w książkę – jej prawdziwego kochanka. Spojrzał na nią: obraz wydawał się na przemian ostry i zamglony.

Przechylił głowę i zastanawiał się, czy aby znowu za dużo nie wypił. Ale i tak CC ciągle rozpływała się jak we mgle, a potem znów nabierała ostrości, jak gdyby spoglądał przez pryzmat na dwie różne kobiety – jedną piękną, wspaniałą, pełną życia; drugą żalowaną, żylastą, tlenioną blondynę, zamotaną, zasuplaną, zamkniętą i surową. Oraz niebezpieczną.

– Co to? – Sięgnął do kosza na śmieci i wyciągnął teczkę. Natychmiast rozpoznał w niej portfolio. Było pięknie, starannie opracowane i wydrukowane na dobrym papierze. Zaczął je przeglądać i aż go zatkało.

Seria prac, świetlistych i jasnych, które niemal promieniowały z delikatnych kartek. Poczuł, jak serce w nim drgnęło. Te zdjęcia pokazywały świat zarazem piękny, jak i zraniony. Przede wszystkim jednak ciągle istniały w nim nadzieja i ukojenie. Nie ulegało wątpliwości, że artysta oglądał go codziennie, że w nim mieszkał. Tak jak kiedyś Saul – w świetle światła i możliwości.

Prace wydawały się proste, ale w rzeczywistości były ogromnie złożone. Obrazy i kolory nakładały się na siebie. Ktoś musiał spędzić całe godziny i dni na pracy, by osiągnąć pożądany efekt.

Przyglądał się teraz majestatycznemu drzewu, które wystrzeliwało w niebo, jakby wołając o słońce. Artysta sfotografował je, w jakiś sposób chwytając wrażenie ruchu, ale unikając dezorientacji. Obraz był pełen wdzięku, kojący, a nade wszystko emanował siłą. Czubki gałęzi lekko się rozmazywały, jak gdyby w całej tej tęsknocie i pewności kryła się też odrobina zwątpienia. Genialne.

Wszystkie myśli o CC poszły w niepamięć. Wspiął się na drzewo, niemal czując chropowatość jego surowej kory, jak wtedy, gdy siadywał na kolanach dziadka i przytulał się do jego nieogolonej twarzy. W jaki sposób artysta zdołał tego dokonać?

Nie mógł odcyfrować podpisu. Przerzucił pozostałe kartki i powoli poczuł, jak na jego zamarzniętej twarzy pojawia się uśmiech, niosąc ciepło ku stwardniałemu sercu.

Być może pewnego dnia, jeśli zdoła się uwolnić od CC, będzie mógł wrócić do pracy i stworzyć coś podobnego.

Wydech uwolnił go od całego nagromadzonego w nim mroku.

– No więc jak, podoba ci się? – CC podniosła książkę i zamachała nią.

2

Crie ostrożnie zakładała kostium, starając się nie rozerwać białego szyfonu. Przedstawienie gwiazdkowe już się rozpoczęło. Słyszała, jak młodsze klasy śpiewają „Cicha noc”, co brzmiało jak „Ciężki kloc”. Zastanawiała się przez moment, czy aby to nie był komentarz na jej temat. Czy naśmiewali się z niej? Przełknęła tę myśl i ubierała się dalej, podśpiewując przy tym trochę.

– Kto to? – Głos madame Latour, nauczycielki muzyki, dał się słyszeć w zatłoczonym pokoju. – Kto tu śpiewa?

Madame o ptasiej twarzy zajrzała do kąta, gdzie Crie schowała się, by się przebrać w odosobnieniu. Dziewczynka instynktownie złapała kostium i próbowała okryć swoje niemal nagie czternastoletnie ciało. Było to jednak niemożliwe, rzecz jasna. Za dużo ciała i za mało szyfonu.

– Czy to ty?

Crie gapiała się na nią, zbyt przestraszona, by się odezwać. Matka ostrzegła ją przed tym. Uprzedzała, żeby nigdy nie śpiewała publicznie.

Teraz jednak, w ferworze przygotowań, pozwoliła, by wypsnęło się jej kilka taktów.

Madame Latour wpatrywała się w wielką dziewczynkę. Poczowała, jak resztki lunchu podchodzą jej do gardła. Te wałeczki tłuszczu, te okropne dołki, bielizna znikająca pod ciałem. Nauczyciel chemii i biologii, monsieur Drapeau, wspomniał, że na jego zajęciach Crie była najlepsza w klasie; inny nauczyciel skomentował, że w tym semestrze tematem były witaminy i minerały, a Crie prawdopodobnie zjadła podręcznik.

Ale teraz Crie brała udział w szkolnym przedstawieniu, więc może wychodziła na prostą, chociaż to będzie powolny proces.

– Lepiej się pospiesz, zaraz twoja kolej. – Madame Latour wyszła, nie czekając na odpowiedź.

To było pierwsze przedstawienie gwiazdkowe od pięciu lat, w którym Crie

brała udział, odkąd chodziła do Szkoły Żeńskiej panny Edward. Co roku, gdy inne uczennice przygotowywały kostiumy, Crie mamrotała coś na usprawiedliwienie. Nikt nigdy nie próbował jej namówić, by wystąpiła. Zlecano jej obsługę świateł w przedstawieniu, bo, jak to ujęła madame Latour, miała smykałkę do techniki. W myśli uściślała: do rzeczy martwych. Co roku więc Crie samotnie oglądała przedstawienie gwiazdkowe z tyłu sali, przyglądając się, jak piękne, promienne, utalentowane dziewczynki tańczyły i śpiewały o gwiazdkowym cudzie, skąpane w świetle, którego dostarczała Crie.

Ale nie w tym roku.

Crie wbiła się w kostium i spojrzała na swoje odbicie. Z lustra patrzyła na nią olbrzymia, szyfonowa śnieżynka. Musiała przyznać, że tak naprawdę wyglądała bardziej jak zaspą niż jak płatek śniegu, ale mimo wszystko miała kostium – i był wspaniały. Innym dziewczynkom pomagały matki, ale Crie przygotowała swój sama.

– Żeby zrobić mamusi niespodziankę – powiedziała do siebie, starając się zniżyć głos do szeptu.

Jeśli przyjrzałaby się dokładniej, zauważyłaby maleńkie kropelki krwi tam, gdzie jej grube, niezgrabne palce poślizgnęły się na igle i pokaleczyły. Jednak nie poddała się, szyła, aż kostium był gotowy. A wtedy w jej głowie załęgła się najbardziej genialna myśl, na jaką wpadła przez całe czternastoletnie życie.

Wiedziała, że jej matka wysoko ceni światło. Ciągle powtarzała, że światło to szczyt jej aspiracji. To dlatego mówi się o oświeceniu, a inteligentnych ludzi opisuje się jako błyskotliwych. To dlatego szczupli ludzie odnoszą sukcesy: bo są lżejsi od innych^[1].

To wszystko było takie oczywiste.

A teraz Crie miała zagrać śnieżynkę, śnieg. Najbielszy, najlżejszy, najbardziej świetlisty z żywiołów. Postanowiła dodać sobie więcej blasku. Poszła do groszowego sklepiku i za kieszonkowe kupiła buteleczkę brokatu. Udało jej się nawet zignorować czekoladowe batoniki, które spoglądały na nią z półki obok. Crie już od miesiąca była na diecie i spodziewała się, że niebawem matka to dostrzeże.

Nałożyła klej i brokat, a teraz przyglądała się rezultatom. Po raz pierwszy w życiu Crie uznała, że jest piękna. Wiedziała, że matka też będzie tak uważać

– choćby przez kilka krótkich minut.

Clara Morrow wyglądała zza pokrytych kwiatami mrozu okien swojego salonu w maleńkim miasteczku Three Pines. Pochyliła się i starła trochę szronu z szyby.

Teraz, gdy mamy pieniądze, powinniśmy wymienić okna – pomyślała.

Wiedziała, że to rozsądny pomysł, jednak większość jej decyzji tak naprawdę nie wynikała z rozsądku, za to pozostawała w zgodzie z jej stylem życia. Teraz, kiedy obserwowała Three Pines, przypominające śnieżny glob, stwierdziła, że lubi spoglądać na tę scenerię przez piękne wzory, jakie mróz wymalował na szkle.

Sącząc gorącą czekoladę, przypatrywała się, jak kolorowo odziani mieszkańcy miasteczka spacerowali pod miękko padającym śniegiem, w geście pozdrowienia machając rękami skrytymi w rękawiczkach, a czasem zatrzymując się, by pogwarzyć ze sobą. Słowa wydobywały się z ust w obłokach pary; wyglądali jak postacie z komiksu. Niektórzy podążali do bistro Olivera na *café au lait*, inni potrzebowali świeżego pieczywa albo *pâtisserie* z piekarni Sarah. Księgarnia Myrny „Książki Nowe i Używane” była dzisiaj zamknięta. Monsieur Béliveau odśnieżał wejście do sklepu wielobranżowego i machał do Gabriego, który biegł przez skwer z pensjonatu na rogu. Nieznajomemu mieszkańcy mogli wydawać się anonimowi, nawet pozbawieni płci. W zimie w Quebecu wszyscy wyglądali tak samo. Wielka, drepcząca, pokryta niezliczonymi warstwami ubrań, bezdźwięczna ludzka masa, opatulona w kaczy puch i polar tak dokładnie, że nawet szczupli wyglądali na puszystych, a puszyści – na mastodontalnych. Wszystko identyczne, z wyjątkiem czapek na głowach. Clara widziała jasnozielony pompon Ruth, skłaniający się w stronę wielobarwnej czapki Wayne’a, którą Pat dziergała dla niego podczas długich jesiennych wieczorów. Dzieciaki Lévesque’ów, wszystkie ubrane w odcienie błękitu, pomykały na łyżwach, ścigając hokejowy krążek po zamrożonym stawie; mała Rose, stojąc w bramce, trzęsła się tak bardzo, że Clara widziała, jak drży jej turkusowa czapeczka. Bracia dziewczynki za każdym razem, gdy mknęli w stronę bramki, udawali, że się potknęli i zamiast posłać zabójczy strzał, wszyscy razem wpadali z krążkiem w siatkę, tworząc kłębowisko ciał.

W oczach Clary wyglądało to jak jedna z ilustracji spółki Currier & Ives, na które gapiała się godzinami jako dziecko i marzyła, żeby do nich wskoczyć.

Three Pines było opatulone bielą. W ostatnich kilku tygodniach spadło trzydzieści centymetrów śniegu; każdy ze starych domów w miasteczku miał własną czapę w najbielszym odcieniu bieli. Dym snuł się z kominów niczym oddech domów, a drzwi i bramy udekorowane były świątecznymi wiankami. Nocą ciche miasteczko w Kantonach Wschodnich błyszczało od lampek świątecznych dekoracji. Dorośli i dzieci przygotowywali się na wielki dzień.

– Może jej samochód nie chciał ruszyć.

Mąż Clary, Peter, wszedł do pokoju. Był wysoki i szczupły, wyglądał jak właściciel firmy z listy pięciuset najbogatszych Amerykanów – jak jego ojciec. Peter spędzał jednak większość czasu pochylony nad sztalugą; powoli tworzył niezmiernie szczegółowe, abstrakcyjne obrazy, brudząc przy tym farbą kręcone włosy. Jego prace sprzedawały się za tysiące dolarów, kupowali je kolekcjonerzy z całego świata. Obrazy Clary, przedstawiające wojownicze macice i roztapiające się drzewa, ciągle czekały na nabywców. Ponieważ Peter pracował powoli, produkując jedno, góra dwa płótna rocznie, Morrowowie żyli w nieustającej nędzy. To znaczy: do niedawna tak było.

– Przyjedzie – powiedziała Clara. Peter popatrzył na żonę, na pełne ciepła, błękitne oczy, na włosy, niegdyś ciemne, a teraz naznaczone siwizną – mimo że dopiero dobiegała pięćdziesiątki. Jej figura zaczynała się zaokrąglać na brzuchu i udach; niedawno zaczęła mówić o powrocie na zajęcia gimnastyczne prowadzone przez Madeleine. Peter wiedział, że najlepiej nie odpowiadać, gdy zapytała go, czy myśli, że to dobry pomysł.

– Jesteś pewna, że nie mogę pójść z wami? – zapytał z grzeczności, bo tak naprawdę nie miał ochoty pakować się do samochodu Myrny, ciasnego jak śmiertelna pułapka, i tłuc się nim aż do miasta.

– Oczywiście, że nie. Jadę kupić prezent gwiazdkowy dla ciebie. Poza tym w aucie nie będzie dość miejsca, by zmieścić ciebie, mnie, Myrnę i prezenty. Musiałybyśmy zostawić cię w Montrealu.

Przez otwartą bramę wjechał mały samochód i wysiadła z niego olbrzymia czarnoskóra kobieta. Clara uwielbiała przyglądać się, jak Myrna wydostaje się z maciupkiego auta, była niemal pewna, że właścicielka księgarni jest większa niż jej samochód. W lecie miała ubaw po pachy, patrząc, jak przyjaciółka się

wierci, a sukienka podjeżdża jej do talii. Myrna nie przejmowała się tym. W zimie było jeszcze więcej zabawy, ponieważ nosiła obszerną różową parkę, która powiększała jej gabaryty niemal dwukrotnie.

– Ja jestem z wysp, skarbie. Czuję to zimno – tłumaczyła Myrna.

– Jesteś z wyspy Montreal – sprecyzowała Clara.

– To prawda – przyznała Myrna ze śmiechem. – Ale z południowego końca. Uwielbiam zimę. To jedyna pora roku, gdy skóra robi mi się różowa. Jak myślisz, uszłabym?

– Za kogo?

– Za białą.

– A chciałabyś?

Myrna zwróciła nagle poważne spojrzenie na swoją najlepszą przyjaciółkę i uśmiechnęła się.

– Nie. Nie, już nie. Hmmm.

Clarę zadowoliła ta odpowiedź, a równocześnie trochę zaskoczyła. Teraz zaróżowiona Myrna, owinięta w warstwy szalików w żywych kolorach i w różowej czapie zwieńczonej pomarańczowym pomponem, przytupywała na świeżo odśnieżonej ścieżce przed domem Morrowów.

Wkrótce miały być w Montrealu. Podróż nie była długa: mniej niż półtorej godziny jazdy, nawet przez śnieg. Clara nie mogła się już doczekać popołudnia wypełnionego świątecznymi zakupami. Jednak najważniejszy punkt każdego wyjazdu do Montrealu w czasie świąt pozostawał jej tajemnicą. Słodkim sekretem.

Clara Morrow nie mogła się doczekać, żeby zobaczyć świąteczne wystawy w La Maison Ogilvy.

Elegancki dom towarowy w centrum Montrealu miał najbardziej magiczne świąteczne wystawy na świecie. W połowie listopada olbrzymie okna zasłaniano czarnym papierem. Od tego momentu podniecenie rosło. Kiedy odsłonią świąteczną cudowność? Jako dziecko Clara uważała, że to ciekawsze niż parada Świętego Mikołaja. Kiedy roznosiła się wieść, że w Ogilvy wreszcie zdjęto papier z okien, Clara gnała do centrum, prosto pod magiczną witrynę.

Clara zawsze biegła w stronę wystawy, ale zatrzymywała się za daleko, by

móc ją zobaczyć. Zamykała oczy, zbierała się w sobie, postępowwała kilka kroków naprzód i otwierała oczy. I widziała ją. Wioskę Clary. Miejsce, w które uciekała, gdy rozczarowania i okrucieństwo świata dookoła stawały się zbyt intensywne dla wrażliwej dziewczynki. Uciekała tam i w lecie, i w zimie; wszystko, co musiała zrobić, by się tam znaleźć, to zamknąć oczy. Nocą, gdy krwiożerczy demon pod podłogą jej sypialni sapał i prychał, zaciskała błękitne oczka i siłą woli przenosiła się do magicznej wioski, do której demon nigdy nie miał dostępu; wejścia do niej strzegło dobro.

W późniejszym życiu przydarzyło jej się coś zupełnie niezwykłego. Zakochała się w Peterze Morrow i postanowiła odłożyć na później planowany podbój Nowego Jorku. Zgodziła się przeprowadzić do maleńkiego miasteczka na południe od Montrealu, które on uwielbiał. Dla Clary, dziewczyny z miasta, ten rejon był kompletnie obcy, ale kochała Petera tak bardzo, że nawet się nie zawahała.

I tak, dwadzieścia sześć lat temu, błyskotliwa i cyniczna absolwentka akademii sztuk pięknych wysiadła z rozklekotanego volkswagena i rozplakała się z radości.

Peter przywiózł ją do zaczarowanego miejsca jej dzieciństwa. Do wioski, o której w zalewie dorosłych spraw zapomniała. Okazało się, że miasteczko z wystawy świątecznej w Ogilvy istnieje naprawdę i nazywa się Three Pines. Kupili mały domek na skraju miejskiego skweru i osiedli, by wieść życie bardziej magiczne, niż Clara kiedykolwiek ośmieliła się sobie wymarzyć.

Kilka minut później Clara rozpięła kurtkę w ciepłym samochodzie i przyglądała się, jak za oknem przepływa zaśnieżony krajobraz. Z wielu powodów – dobrych i złych – to były szczególne święta Bożego Narodzenia. Niewiele ponad rok wcześniej ich sąsiadka i przyjaciółka, Jane Neal, została zamordowana i w testamencie zostawiła cały majątek Clarze. W poprzednie święta Clara miała zbyt wielkie poczucie winy, by wydawać te pieniądze. Czowała, że byłoby to czerpanie materialnych korzyści ze śmierci Jane.

Myrna spojrzała przelotnie na przyjaciółkę; jej myśli biegły w tym samym kierunku. Wspominała Jane Neal i to, co poradziła Clarze po tym, jak Jane została zamordowana. Myrna przywykła do udzielania rad. W Montrealu była psychologiem, aż do czasu, gdy uświadomiła sobie, że większość jej klientów

wcale nie chce, żeby im się polepszyło. Pragnęli dostać pigułki i zapewnienie, że jeśli cokolwiek szło nie tak, nie było ich winą. Myrna cisnęła więc to wszystko w diabły. Zapakowała małe czerwone autko po dach książkami i pojechała – przez most, poza Montreal – na południe, ku granicy ze Stanami. Zamierzała posiedzieć na ławce na Florydzie i zastanowić się, co robić dalej.

Jednak los i napad głodu weszły jej w paradę. Myrna była w trasie od może godziny, niespiesznie podróżując malowniczymi szlakami, gdy nagle poczuła, że ma ochotę coś zjeść. Wjeżdżając wyboistą drogą na szczyt wzgórza, ku swemu zaskoczeniu natrafiła na miasteczko, skryte wśród lasów i pagórków. Tak urzekł ją ten widok, że zatrzymała się i wysiadła. Była późna wiosna, słońce dopiero nabierało mocy. Od starego kamiennego młyna spływał strumień, wijący się po jednej stronie miasteczka aż do białej, drewnianej kaplicy. Miejscowość zbudowano na planie koła, z bitymi drogami rozbiegającymi się promieniście na cztery strony świata. Pośrodku znajdował się skwer, otoczony starymi domami – niektóre miały strome metalowe dachy i wąskie lukarny, w stylu typowym dla Quebecu, inne były drewniane, z szerokimi, otwartymi werandami. Przynajmniej jeden domek wzniesiono z polnego kamienia, z głazów ręcznie wyrwanych z ziemi przez pionierów, uciekających co sił przed nadciągającą morderczą zimą.

Na skwerze dostrzegła staw i trzy majestatyczne sosny po drugiej stronie.

Myrna kupiła mapę Quebecu. Po kilku minutach złożyła ją starannie i wychyliła się z samochodu w zachwycie. Miasteczka nie było na mapie. Zaznaczono na niej miejscowości, które nie istniały od dziesięcioleci, maciupkie rybackie wioski oraz osadę złożoną z dwóch domów i kościółka. Ale tego miasteczka nie.

Myrna przyglądała się mieszkańcom, uprawiającym ogrody i spacerującym z psami, wysiadującym z książkami na ławce przy stawie. Może to miasteczko było jak Brigadoon^[2]. Może ukazywało się raz na parę lat tylko tym ludziom, którzy pragnęli je zobaczyć. A mimo to Myrna się wahała. Na pewno nie było tu rzeczy, jakie sprawiały jej przyjemność. Mało brakowało, by zawróciła do Williamsburga, który widniał na mapie, w końcu jednak zdecydowała się zaryzykować.

Okazało się, że Three Pines miało dokładnie to, czego sobie życzyła: croissanty i *café au lait*, befsztyk z frytkami i „New York Timesa”, piekarnię,

bistro, pensjonat, sklep wielobranżowy. Umiało zaakceptować radość i wielki smutek. Oferowało towarzystwo, serdeczność i poczucie spełnienia.

Miało też pusty sklep, a nad nim mieszkalny loft. Czekał na nią. Myrna nigdy nie wyjechała.

Przejście ze świata pełnego rozczarowań do świata satysfakcji i radości zajęło jej mniej niż tydzień. To było sześć lat temu. Teraz rozdawała nowe i używane książki oraz wyświechtane rady swoim przyjaciółom.

– Na rany Chrystusa, już rób, co masz zrobić, albo przestań gadać – powiedziała teraz Clarze. – Od śmierci Jane minęło wiele miesięcy. Pomogłaś rozwiązać zagadkę jej morderstwa. Jane byłaby wkurzona, gdyby wiedziała, że nie robisz żadnego użytku z pieniędzy, które ci podarowała. Powinna była zostawić je mnie. – Myrna potrząsnęła głową w udawanym oburzeniu. – Ja miałabym wiele pomysłów na to, co z nimi zrobić. Bum, na Jamajkę, poderwać fajnego rastamana, kupić dobrą książkę...

– Zaraz, moment. Jak masz rastamana, to czytasz książkę?

– O, tak. Każda z tych rzeczy ma inne właściwości i zastosowanie. Rastaman, na przykład, jest lepszy twardy, a książka niekoniecznie.

Clara się roześmiała. Obie nie lubiły książek w twardej oprawie. Choć nie przeszkadzała im „twarda” zawartość. Książki w twardej oprawie były po prostu zbyt sztywne, by je trzymać w ręku, szczególnie w łóżku.

– W przeciwieństwie do rastamana – powiedziała Myrna.

Myrna przekonała przyjaciółkę, by pogodziła się ze śmiercią Jane i wydawała odziedziczone pieniądze. Clara zamierzała się tym dzisiaj zająć. Tylne siedzenie samochodu miało się wreszcie zapełnić papierowymi torbami w żywych kolorach, ze sznurkowymi uchwytyami i wytłaczanymi nazwami sklepów, jak Holt Renfrew albo Ogilvy. Żadnych tanich, plastikowych reklamówek z groszowego sklepiku. Mimo że Clara w głębi ducha uwielbiała groszowe sklepiki.

Tymczasem w domu Peter wyglądał przez okno i starał się przekonać sam siebie, by wstać i zrobić coś konstruktywnego. Iść do pracowni, posiedzieć nad obrazem. Nagle zauważył, że z jednej z szyb zdrapano szron. W kształt serduszka. Uśmiechnął się i przyłożył oko do otworu, przyglądając się, jak

Three Pines żyje swoim spokojnym życiem. Potem popatrzył w górę, w stronę wielkiego starego domu na wzgórzu. Dawnego domu Hadleyów. W miarę jak mu się przyglądał, mróz się wzmagał, wypełniając jego serce lodem.

3

– Czyje to? – zapytał CC Saul, unosząc portfolio.

– Co?

– To tutaj. – Stał nago w hotelowym pokoju. – Znalazłem to w śmietniku.
Czyje to?

– Moje.

– To twoje prace? – spytał zszokowany. Przez sekundę zastanawiał się, czy aby źle ją ocenił. Te rzeczy bez wątpienia były dziełem utalentowanego artysty.

– Och, oczywiście, że nie. Jakaś żalosna osóbką z miasteczka dała mi to, żebym pokazała moim przyjaciołom w galeriach. Próbowwała mi się podlizać, to było najśmieszniejsze. „Och proszę, CC, wiem, jakie masz znakomite koneksje”. „Och, CC, czy miałabyś coś przeciwko, żeby pokazać moje prace znajomym właścicielom galerii?” Bardzo irytujące. Wyobrażasz sobie, poprosiła mnie o przysługę! Była na tyle bezczelna, że poprosiła, żebym pokazała je szczególnie Denisowi Fortinowi!

– I co odpowiedziałaś? – Saul posmutniał. Oczywiście znał odpowiedź.

– Powiedziałam, że z przyjemnością. Odłóż to tam, gdzie znalazłeś.

Saul zawahał się, zamknął teczkę i z powrotem umieścił ją w śmietniku, nienawidząc siebie za to, że pomaga zniszczyć to świetliste portfolio, i za to, że chciał, aby zostało zniszczone.

– Czy nie masz czasem planów na popołudnie? – zapytał.

CC poprawiła szklanekę i lampę na stoliczku przy łóżku, przesuując je o parę milimetrów, by znalazły się dokładnie tam, gdzie powinny.

– Nic ważnego – odpowiedziała, ścierając ze stolika wielki kłęb kurzu. Doprawdy, takie rzeczy w Ritzu? Musi porozmawiać z kierownikiem. Popatrzyła na Saula, stojącego przy oknie. – Boże, ależ się zapuściłeś z figurą.

Jasne, kiedyś musiał mieć piękne ciało – pomyślała. Ale teraz było całkiem

sflaczała. CC sypiała z tłustymi mężczyznami. I z atletycznymi mężczyznami. Nie miała problemu z ekstremami w tej kwestii. Ale stan pośredni budził jej obrzydzenie.

Czuła do Saula wstręt; nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego kiedyś uważała, że ten romans to dobry pomysł. Popatrzyła na białą, połyskliwą okładkę swojej książki i wtedy sobie przypomniała.

Fotografia. Saul był wspaniałym fotografem. Tu oto, powyżej tytułu *Be Calm*, widniała jej twarz. Jej włosy tak blond, że niemal białe, usta pełne i czerwone, oczy w odcieniu intensywnego błękitu. I cera tak biała, że niemal roztopiała się w tle, co stwarzało wrażenie, jak gdyby usta i oczy unosiły się w przestrzeni białej okładki.

CC była zachwycona tym zdjęciem.

Tuż po świętach pozbędzie się Saula. Jak tylko skończy z ostatnim zleceniem. Zauważyła, że musiał potknąć się o krzesło przy biurku, gdy przyglądał się portfolio. Krzesło stało teraz krzywo. Czuła, jak w piersi narasta napięcie. Niech go diabli za to, że tak celowo ją zirytował, i do diabła z tym portfolio. Wyskoczyła z łóżka i poprawiła krzesło, przy okazji przesuwając też telefon, by stał równoległe do krawędzi biurka.

Po czym wskoczyła z powrotem do łóżka, wyglądając pościel na podołku. Może weźmie taksówkę z powrotem do biura. Ale przypomniała sobie, że najpierw zamierzała iść gdzieś jeszcze. I że to było ważne.

W Ogilvy była wyprzedaż, a poza tym chciała kupić buty w sklepie z eskimoskim rękodziełem przy ulicy de la Montagne.

Niedługo będzie miała własną linię odzieży i mebli, dostępną w sklepach w całym Quebecu. Już wkrótce ci aroganccy, pretensjonalni designerzy, którzy teraz się z niej naśmiewają, pożałują tego. Wszyscy się dowiedzą o li bien, jej własnej filozofii życia i designu. Feng shui jest passé. Ludzie domagają się zmiany, a ona jej dostarczy. Li bien będzie na ustach wszystkich, w każdym domu.

– Wynająłeś już domek na święta? – zapytała.

– Nie, jadę tam jutro. Dlaczego w ogóle kupiłeś dom na takim zadupiu?

– Miałam swoje powody. – Poczuła narastający gniew, że Saul kwestionuje jej wybory.

Czekała pięć lat, żeby kupić dom w Three Pines. CC de Poitiers umiała być cierpliwa, jeśli chciała – i jeśli jej na czymś zależało.

Wiele razy odwiedzała to żalosne miasteczko, nawiązując kontakty z lokalnymi agentami nieruchomości, a nawet rozmawiając ze sprzedawcami w sklepach w pobliskim Saint-Rémy i Williamsburgu. Trwało to lata. Jak się okazało, w Three Pines rzadko trafiały się domy na sprzedaż.

Wreszcie, niewiele ponad rok temu, zadzwoniła do niej agentka, Yolande Fontaine. Był dom. Wspaniały, wiktoriański kolos na wzgórzu, z widokiem na miasteczko. Dom właścicieli młyna. Dom ważnych osób.

– Ile? – zapytała CC, wiedząc, że niemal z pewnością cena będzie wyższa, niż mogła sobie pozwolić. Będzie musiała wziąć kredyt pod zastaw firmy, zaciągnąć hipotekę na wszystko, co posiadała, i nakłonić męża, żeby wycofał pieniądze ze swej polisy ubezpieczeniowej i funduszu emerytalnego.

Ale odpowiedź agentki nieruchomości ją zaskoczyła. Cena była dobrze poniżej rynkowej wartości domu.

– Jest tylko jedna sprawa – tłumaczyła Yolande bezbarwnym głosem.

– Słucham?

– Usiłowano popełnić tam morderstwo.

– I to wszystko?

– Cóż, w grę wchodziło też porwanie. Tak czy inaczej, to dlatego dom jest taki tani. Mimo wszystko to znakomity zakup. Świetne rury, w większości miedziane. Dach ma tylko dwadzieścia lat. No i...

– Biorę.

– Nie chce go pani obejrzeć? – Ledwo Yolande zadała to pytanie, miała ochotę sama się kopnąć. Jeśli ta kretynka chciała kupić dawny dom Hadleyów, w ciemno, bez inspekcji i bez egzorcyzmów, należy jej na to pozwolić.

– Proszę przygotować papiery. Dziś po południu przyjadę z czekiem.

I przyjechała. Mężowi powiedziała jakiś tydzień później, gdy potrzebowała jego podpisu, żeby wypłacić gotówkę z funduszu emerytalnego. Protestował, ale tak niemrawo, że przypadkowy obserwator nie zakwalifikowałby tego jako sprzeciw.

Dawny dom Hadleyów, potwór na wzgórzu, należał teraz do niej. Poczowała się

jak w niebie. Był idealny. Three Pines było idealne. A przynajmniej będzie, kiedy już z nim skończy.

Saul prychnął i odwrócił się od niej. Zrozumiał, co się święci. CC rzuci go, gdy tylko on skończy następne zlecenie, fotografując ją w tej okropnej, zabitej dechami dziurze. Zdjęcia do jej pierwszego katalogu miały przedstawiać rozbawioną CC w otoczeniu tubylców w porze świąt. Jeśliby się udało, zamierzał uchwycić mieszkańców patrzących na CC z zachwytem i uczuciem. Potrzebował gotówki, żeby tego dokonać.

Wszystko, co robiła CC, miało jakiś wymierny efekt. Jak zauważył Saul, ten efekt był zwykle dwojakiej natury: albo karmił jej ego, albo nabijał kabzę.

Dlaczego więc kupiła dom w miejscowości, o której nikt nigdy nie słyszał? To nie był prestiżowy adres. Więc musiało chodzić o to drugie.

O pieniądze.

CC wiedziała o tym miasteczku coś, czego nie wiedział nikt inny, a za tym szły pieniądze.

Zainteresowanie Saula Three Pines wzrosło.

– Crie! Rusz się, na miłość boską!

Dosłownie o to chodziło. Drobnokości, odziane w tiule córki funduszy powierniczych i laureatki konkursów piękności nie mogły się przepchnąć przed publikę z powodu śnieżnej zasy pod postacią Crie. Udało jej się wyjść na scenę, wirowała i tańczyła z resztą anielskich śnieżynek, a potem nagle zamarła. To, że śnieg w Jerozolimie był bez sensu, nie miało znaczenia. Nauczycielka uznała, i nie bez kozery, że jeśli ktoś wierzy w niepokalane poczęcie, uwierzy też, że w ową cudowną noc padał śnieg. Jednak miało znaczenie to, że jedna ze śnieżynek, najwyraźniej stwarzająca własny mikroklimat, utknęła na środku sceny. Tuż przed dzieciątkiem Jezus.

– Rusz się, tłusta dupo!

Obrażliwe słowa spłynęły po Crie jak po kacze; zawsze tak było. Dla niej stanowiły tylko szum. W zasadzie prawie ich już nie słyszała. Stała teraz na scenie, gapiąc się wprost na publiczność jak zaczarowana.

– Brie ma tremę – powiedziała scenicznym szeptem nauczycielka teatru, madame Bruneau, do nauczycielki muzyki, madame Latour, w nadziei, że tamta

coś z tym zrobi. Za jej plecami nawet nauczyciele nazywali Crie „Brie”. A przynajmniej myśleli, że robią to za jej plecami. Dawno już przestali się przejmować, czy dziwaczna i cicha dziewczynka w ogóle coś słyszy.

– Widzę – warknęła madame Latour. Wreszcie dopadł ją niezmierny stres, jaki wiązał się z produkcją dorocznego przedstawienia gwiazdkowego w szkole panny Edwards.

To jednak nie sceneria wprawiła Crie w stupor. Publiczność także nie. Stała jak wryta, ponieważ zorientowała się, że czegoś brakuje.

Crie od dawna wiedziała, że to, czego nie widać, zawsze jest najstraszniejsze. A to, czego nie widziała, złamało jej serce.

CC spacerowała teraz po hotelowym pokoju w białym szlafroku, zbierając papeterię i mydełka i wspominając swoją ulubioną historię.

– Pamiętam, jak mój pierwszy guru, Ramen Das, nazwał mnie „CC Das”. Sam Ramen Das tak do mnie powiedział – opowiadała kawałkowi papeterii. – Było to niezwykle rzadkim zaszczytem dla kobiety, szczególnie w Indiach w tamtych czasach.

Saul pomyślał, że Ramen Das nie był świadom, że CC jest kobietą.

– To było dwadzieścia lat temu. Byłam zaledwie niewinnym dzieciakiem, ale już wtedy poszukiwałam prawdy. Natrafiłam na Ramena Dasa w górach i poczuliśmy ze sobą łączność duchową.

Złożyła ręce razem i Saul miał nadzieję, że jednak nie powie...

– *Namaste* – powiedziała CC, skłaniając głowę. – To on mnie tego nauczył. Bardzo uduchowione.

Używała słów „uduchowiony” i „duchowy” tak często, że dla Saula stały się one kompletnie wyzute ze znaczenia.

– Rzekł do mnie: „CC Das, masz wielki duchowy dar. Musisz opuścić to miejsce i podzielić się swym darem z resztą świata. Musisz ich nauczyć, jak zachować spokój”.

Gdy mówiła, Saul składał bezgłośnie usta w jakże znajome wyrazy.

– Powiedział też: „CC Das, ze wszystkich ludzi ty szczególnie wiesz, że gdy czakry są w harmonii, wszystko jest białe. A gdy wszystko jest białe, wszystko jest dobrze”.

Saul zastanawiał się, czy CC aby nie wzięła członka Ku Klux Klanu za indyjskiego mistyka. Jeśli tak było w istocie – cóż za ironia.

– Na koniec rzekł: „Musisz powrócić do świata. Niedobrze byłoby cię tu dłużej trzymać. Musisz założyć firmę i nazwać ją *Be Calm*”. Więc tak zrobiłam. I to dlatego napisałam książkę. Żeby głosić duchową ewangelię. Ludzie muszą się dowiedzieć. Przez różne niegodne zaufania sekty, które próbują ich wykorzystywać, wszystko robią źle. Muszę im powiedzieć o li bien.

– Czekał, coś mi się nie zgadza – powiedział Saul, z zadowoleniem obserwując rumieniec gniewu, który zawsze prowokowały takie uwagi. CC była ekstremalnie przewidywalna. Nienawidziła, gdy ktokolwiek sugerował, że jej idee są w jakiś sposób niejasne. – Czy to Ramen Das powiedział ci o li bien?

– Nie, idioto. Ramen Das był w Indiach. Li bien to starożytna orientalna filozofia, przekazywana z pokolenia na pokolenie w mojej rodzinie.

– Pochodzisz z rodziny starożytnych chińskich filozofów?

Jeśli dni tego związku były policzone, równie dobrze mógł sobie trochę poużywać. Poza tym wyjdzie z tego śmieszna historia, którą potem będzie mógł opowiadać. Co pozwoli uratować się przed bezbarwną nudą prowadzonych przez niego konwersacji. Zrobi z CC pośmiewisko.

– Wiesz, że moja rodzina jest z Francji. Mamy długą i szlachetną tradycję kolonializmu na Wschodzie – wyjaśniła zirytowana.

– Och, tak. Wietnam.

– Właśnie. Jako że moja rodzina to byli dyplomaci, przywieźli ze sobą pewne starożytne nauki duchowe, w tym li bien. Mówiłam ci to wszystko. Nie słuchałeś? Zresztą to jest w książce. Nie czytałeś?

Rzuciła w niego książkę; uchylił się, ale nie zdołał uniknąć uderzenia w ramię.

– Oczywiście, że czytałem twoją pierdoloną książkę. Czytałem, czytałem.

Cały jego wysiłek woli skupił się na tym, by nie nazwać jej pisaniny stekiem bzdur, mimo że tak było.

– Znam twoją historię. Twoja matka pomalowała kulę li bien. To jedyna pamiątka, która po niej pozostała.

– Nie tylko po niej, dupku. Po całej mojej rodzinie.

Teraz już syczała. Chciał ją zirytować, ale nie wyobrażał sobie nawet, jaki żywioł rozpętał. Nagle poczuł się, jakby miał mniej niż metr wzrostu, jak niemowlak – ona wstała i zasłoniła mu całe światło. Saul skurczył się, uwiądnął i skulił. Wewnątrz. Na zewnątrz dorosły mężczyzna stał sztywno, jakby kij połknął, i gapił się na nią. Zastanawiał się, skąd się wziął ten potwór.

CC chciała mu pourywać ręce. Wyłupić te wytrzeszczone oczy, zrywać kawały mięsa z kości. Wezbrała w niej siła, niemal bolesna, promieniująca na zewnątrz jak słońce zamienione w supernową. Chciała go dusić, aż poczuje puls w żyłach na szyi. I mogła to zrobić. Mimo że był większy i cięższy, mogła to zrobić. Gdy czuła się tak jak teraz, wiedziała, że nic jej nie powstrzyma.

Po lunchu złożonym z łososia na parze i *gigot d'agneau* Clara i Myrna rozdzieliły się, żeby zrobić świąteczne zakupy. Ale Clara najpierw musiała znaleźć Siegfrieda Sasoona^[3].

– Idziesz do księgarni? – zapytała Myrna.

– Oczywiście, że nie. Idę do fryzjera.

Doprawdy, ta Myrna zrobiła się taka nie na czasie.

– Do samego Siegfrieda Sasoona?

– Nie do niego osobiście, ale do kogoś z jego salonu.

– Albo z jego oddziału. Rozumiem, że to piekło, do którego odchodzą młodość i śmiech.

Clara widziała zdjęcia z salonów Sasoona i pomyślała, że jakkolwiek opis Myrny był nieco dramatyczny – sądząc po nadętych, niezadowolonych kobietach z tych fotografii, nie odbiegał aż tak bardzo od rzeczywistości.

Kilka godzin później Clara, wykończona, ale zadowolona, brnęła ulicą Saint Catherine, ściskając sznurkowe rączki toreb aż pękających od prezentów. Jej szaleństwo zakupowe poszło znakomicie. Kupiła idealny prezent dla Petera i masę drobiazgów dla przyjaciół i rodziny. Myrna miała rację. Jane byłaby szczęśliwa, widząc, jak wydaje pieniądze. Myrna miała też rację, jakkolwiek w nieco pokrętny sposób, w sprawie Sasoona.

– Pończochy? Batoniki czekoladowe? – Rozległ się za nią ciepły, melodyjny głos.

– Właśnie o tobie myślałam, zdrajczynie. Wysłałaś mnie w dżungłę

montrealskich ulic, żebym wypytywała obcych, gdzie znaleźć Siegfrieda Sasooną.

Myrna oparła się o ścianę starego budynku bankowego, trzęsąc się ze śmiechu.

– Nie wiem, czy powinnam się wściekać, czy czuć ulgę, że nikt się nie domyślił, że chcę, żeby włosy mi obciął martwy poeta z czasów pierwszej wojny. Dlaczego mi nie powiedziałaś, że to Vidal, a nie Siegfried? – Teraz Clara też się śmiała, upuszczając torby na zaśnieżony chodnik.

– Wyglądasz świetnie – powiedziała Myrna, gdy w końcu przestała się śmiać, odstępując krok do tyłu, by przyjrzeć się przyjaciółce.

– Mam czapkę, ciemnoto. – Obie kobiety znowu się roześmiały, a Clara naciągnęła czapkę z pomponem głębiej na uszy.

Trudno było nie czuć się beztrosko w tej atmosferze. Była prawie czwarta po południu dwudziestego drugiego grudnia, słońce już zaszło. Ulice Montrealu, zawsze pełne czaru, rozświetlały teraz bożonarodzeniowe lampki. Z obu stron Saint Catherine błyszcząły świąteczne dekoracje, a ich światła odbijały się od śniegowych zasp. Samochody toczyły się wolno w korkach godziny szczytu, a przechodnie spieszyli przez zaśnieżone chodniki, od czasu do czasu zatrzymując się, by popatrzeć na jasną sklepową witrynę.

Cel ich wędrówki był tuż przed nimi. Ogilvy. I wystawa. Clara widziała jej blask już od połowy przecznicy – a także magię odbitą na twarzach dzieci, które jej się przyglądały. Ziąb przestał dawać się we znaki, rozpychające się łokciami tłumy zniknęły. Nawet Myrna odpłynęła w dal, gdy Clara podeszła do okna. Oto on. Leśny Młyn.

– Do zobaczenia w środku – szepnęła Myrna, ale jej przyjaciółka już odeszła. Clara podeszła pod samo okno. Stała przed zachwyconymi dziećmi, ponad kupą szmat na zaśnieżonym chodniku, na wprost idyllicznej świątecznej sceny. Teraz szła drewnianą kładką na drugą stronę, ku mamie niedźwiedzicy w drewnianym leśnym młynie.

– Co łaska? *L'argent, s'il vous plaît?* – Do świata Clary wdarły się nieoczekiwane dźwięki.

– A fuj! Mamo! – zapłakało jakieś dziecko.

Clara odlepiła wzrok od wystawy i spojrzała w dół. Kupa szmat

zwymiotowała; wymiociny powoli spływały po poplamionym kocu, którym była okryta. Albo: okryty. Clara nie wiedziała, czy to on, czy ona, i nie dbała o to. Była zirytowana, że czekała cały rok, cały tydzień, cały dzień na tę chwilę, a teraz jakiś uliczny tramp narzygał na to wszystko. Wszystkie dzieci się rozplakały, magia się rozproszyła.

Clara wycofała się i rozejrzała za Myrną. Musiała wejść do środka – uświadomiła sobie; pewnie już była na wielkim wydarzeniu. To nie tylko z powodu wystawy przyszły dziś do Ogilvy. Ich sąsiadka z Three Pines i bliska przyjaciółka, Ruth Zardo, świętowała w mieszczącej się w podziemiu księgarni premierę swojej najnowszej książki.

Zwykle cienkie tomiki Ruth trafiały do rąk nieświadomej publiczności po premierze w bistro w Three Pines. Ale wydarzyło się coś zdumiewającego. Ta stara, mądra, zgorzkniała poetka z Three Pines została uhonorowana Nagrodą Gubernatora. To była dla wszystkich olbrzymia niespodzianka. Nie dlatego, że Ruth na nią nie zasługiwała. Clara wiedziała, że jej wiersze są niesamowite.

*Któż cię tak zranił niegdyś, szkód narobił nie do naprawienia,
że każdy przyjazny gest witasz obnażaniem zębów?
Nie zawsze tak bywało.*

Ruth Zardo zasłużyła na nagrodę. Szokujące było jedynie to, że ktoś dopiero teraz się o tym dowiedział.

Co się stanie z moją sztuką? Czy ktoś mnie odkryje, wyciągnie z lamusa? – zastanawiała się Clara, przemykając z szumem przez obrotowe drzwi do wyciszonego, perfumowanego wnętrza Ogilvy.

Wreszcie zebrała się na odwagę, by dać swoje prace nowej sąsiadce, CC de Poitiers; usłyszała ją przypadkiem w bistro, opowiadającą o swoim starym, serdecznym przyjacielu Denisie Fortinie.

Dla artysty wystawa w galerii Denisa Fortina w montrealskiej dzielnicy Outremont oznaczała sukces. Fortin wybierał jedynie najlepszych, najbardziej prowokujących, odważnych, przejmujących twórców. Miał też międzynarodowe koneksje. Może nawet... Czy ośmieliłaby się o tym pomyśleć? W Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Nowym Jorku. W MoMA.

Clara wyobraziła sobie siebie na wernisażu w Galerie Fortin. Byłaby taka promienna i dowcipna, w centrum uwagi; pomniejsi artyści i co bardziej znaczący krytycy chwytaliby w lot każde jej słowo. Peter stałby nieco poza kręgiem adoratorów, obserwując ją z nieznacznym uśmiechem. Byłby z niej dumny i postrzegałby ją jako koleżankę po fachu.

Crie siedziała na pokrytych śniegiem schodach szkoły. Było ciemno. Wewnątrz i na zewnątrz. Gapiła się przed siebie niewidzącym wzrokiem, śnieg zbierał się na czapce i ramionach. Przy boku miała torbę z kostiumem śnieżynki. Wepchnęła do niej świadectwo. Same szóstki.

Jej nauczyciele cmokali i kiwali z dezaprobatą głowami, że taki umysł trafił się komuś tak sponiewieranemu.

– Gruba przesada – skomentował ktoś z nich, a cała reszta zaśmiała się z takiego bystrego żarciku. Wszyscy, z wyjątkiem Crie, która, jak się zdarzyło, przechodziła obok.

Nauczyciele zgodnie postanowili udzielić surowej reprimendy tej bliżej niezidentyfikowanej osobie, która zraniła dziewczynkę tak bardzo, że ledwie mogła mówić czy spojrzeć innym w oczy.

Crie podniosła się w końcu i powoli ruszyła w kierunku śródmieścia Montrealu, z trudem utrzymując równowagę na śliskich, stromych chodnikach i pod nieznośnym ciężarem szyfonowej śnieżynki.

4

Idąc przez Ogilvy, Clara nie była pewna, co jest gorsze: smród nieszczęsnego trampa czy mdły zapach perfumerii w domu towarowym. Po tym, jak chyba piąty raz jakieś wiotkie stworzenie popsikało Clare wodą toaletową, znała odpowiedź. Nawet jej samej przeszkadzał teraz jej zapach.

– W samą, kurwa, porę. – Ruth Zardo pokuśtykała w stronę Clary. – Wyglądasz jak żebraczka. – Ucałowała ją w oba policzki, a Clara odwzajemniła się tym samym. – I cuchniesz.

– To nie ja, to Myrna – wyszeptała Clara i skinęła w stronę stojącej nieopodal przyjaciółki, machając dłonią pod nosem. To przyjęcie było miłsze niż typowe, jakim zwykle witała ją poetka.

– Proszę, kup to. – Ruth wręczyła jej egzemplarz swojej nowej książki, *Jestem SUPER*. – Nawet ci ją podpiszę, ale najpierw musisz kupić.

Wspierając się na lasce, Ruth Zardo, wysoka i pełna godności, pokuśtykała z powrotem do biurka w kącie olbrzymiego sklepu, by tam poczekać, aż ktoś poprosi ją o autograf.

Clara poszła zapłacić za książkę, po czym wróciła po podpis autorki. Rozpoznawała wszystkich obecnych. Przyszli Gabri Dubeau i jego partner Olivier Brulé. Gabri zrobił się masywny i miękki; przybierał na wadze, ale wcale mu to nie przeszkadzało. Przekroczył trzydziestkę i zdecydował, że ma dość bycia młodym, zadbanym gejem. No, może nie miał dość bycia gejem. Obok niego stał Olivier, przystojny, smukły i elegancki blondyn w jedwabnym golfie. Gabri był brunetem. Olivier co chwila odgarniał zabłąkany kosmyk włosów, życząc sobie, żeby został na właściwym miejscu.

Ruth nie musiała sobie zadawać trudu przyjeżdżania na premierę aż do Montrealu. Jedyni goście, którzy się zjawili, byli z Three Pines.

– To strata czasu – podsumowała, pochylając krótko ostrzyżoną głowę nad książką Clary. – Nikt z Montrealu nie przyszedł, ani jedna osoba. Tylko wasza

gromada. Co za nuda.

– Cóż, wielkie dzięki, stara ruro – odparł Gabri, trzymając kilka książek w wielkich rękach.

– No pięknie. – Ruth spojrzała w górę. – To jest księgarnia – powiedziała głośno i bardzo powoli. – To miejsce dla ludzi, którzy umieją czytać. Nie łaźnia publiczna.

– To się kiepsko składa, naprawdę. – Gabri popatrzył na Clare.

– To Myrna – tłumaczyła się Clara, ale ponieważ Myrna stała po drugiej stronie sali, rozmawiając z Émilie Longpré, całą jej wiarygodność diabli wzięli.

– Przynajmniej przyćmiewasz smród poezji Ruth – zauważył Gabri, odsuwając *Jestem SUPER* od siebie.

– Pedał! – warknęła Ruth.

– Rura! – odszczeknął się Gabri, mrugając do Clary. – *Salut, ma chère.*

– *Salut, mon amour.* Jaką to inną książkę masz w ręku?

– Autorstwa CC de Poitiers. Wiedziałaś, że nasza nowa sąsiadka napisała książkę?

– Boże, to znaczy, że napisała więcej książek, niż ich przeczytała – powiedziała Ruth.

– Tu ją znalazłem. – Gabri wskazał na stos białych książek w koszu z przeceną. Ruth prychnęła, po czym się powstrzymała, uświadamiając sobie, że to prawdopodobnie kwestia paru dni, zanim tomik jej przepięknie skomponowanych wierszy dołączy do gównianej książki CC w tej trumnie literatury.

Wśród kilku stojących nieopodal osób były Trzy Gracje z Three Pines: Émilie Longpré, maleńka i szykowna w wąskiej spódnicy, bluzce i jedwabnym szalu; Kaye Thompson, po dziewięćdziesiątce, najstarsza z trzech przyjaciółek, zasuszone i pomarszczone, o urodzie kartofla, pachnąca maścią eukaliptusowo-mentolową; oraz Beatrice Mayer, z dzikimi, rudymi włosami, miękkim, pulchnym ciałem, kiepsko schowanym za masywnym kaftanem bursztynowego koloru i ciężką biżuterią na szyi. Matka Bea, jak ją nazywano, trzymała egzemplarz książki CC. Odwróciła się i przez moment spojrzała w stronę Clary. To wystarczyło. Matkę Beę ogarnęło uczucie, którego Clara nie potrafiła zidentyfikować. Furia? Strach? Jakieś wielkie zmartwienie – tego jednego Clara

była pewna. Ten wyraz natychmiast zniknął z różowej i otwartej twarzy Matki, ustępując miejsca łagodnej, wesołej minie.

– Chodź, podejźmy do nich. – Ruth z wysiłkiem się podniosła i ujęła ramię, które ofiarował jej Gabri. – Niewiele się tu dzieje. Gdy w końcu pojawią się nieuniknione hordy, głodne wielkiej poezji, popędzę z powrotem do stolika.

– *Bonjour*, moja droga. – Małeńka Émilie Longpré ucałowała Clarę w oba policzki. W zimie, kiedy większość mieszkańców Quebecu wyglądała jak postacie z kreskówki, opatulone w wełnę i grube kurtki, Em udawało się wyglądać zarówno elegancko, jak i wdzięcznie. Włosy miała ufarbowane na gustowny jasny brąz i pięknie uczesane. Jej ubranie i makijaż były subtelne i odpowiednie na okazję. Osiemdziesięciodwuletnia Em była jedną z matron miasteczka.

– Widziałas to? – Olivier wręczył Clarze książkę. CC gapiała się z okładki, okrutna i zimna.

Be Calm.

Clara spojrzała na Matkę. Teraz rozumiała, dlaczego Matka Bea była w takim stanie.

– Posłuchajcie tego. – Gabri zaczął czytać na głos. – „Pani de Poitiers oficjalnie zadeklarowała, że feng shui należy do przeszłości”.

– Oczywiście, że tak: to starożytna chińska nauka – powiedziała Kaye.

– „Zamiast niego – uparcie kontynuował Gabri – ta pierwsza dama designu oferuje nam o wiele bogatszą, bardziej znaczącą filozofię, która nie tylko pouczy, ale i ubarwi nasze domy, a także i dusze, każdą chwilę, każdą decyzję, każdy oddech. Przygotujcie się na li bien, drogę światła”.

– Co to jest li bien? – zapytał Olivier, kierując pytanie w bliżej nieokreśloną przestrzeń. Clarze wydawało się, że Matka otworzyła usta, lecz zaraz je zamknęła.

– Matko? – zapytała.

– Ja? O nie, kochanie, nie wiem. Czemu pytasz?

– Myślałam, że skoro prowadzisz centrum jogi i medytacji, być może słyszałaś o li bien. – Clara starała się być delikatna.

– Znam się na wszelkich praktykach duchowych – oświadczyła Bea – ale o tym nie słyszałam.

Jasne było, co chce przez to powiedzieć.

– Mimo wszystko – rzekł Gabri – to dziwny zbieg okoliczności, nie sądzicie?

– Jaki? – zapytała Matka. W jej głosie i na twarzy gościł spokój, ale ramiona miała spięte.

– No, że CC zatytułowała swoją książkę *Be Calm*. To nazwa twojego centrum medytacji.

Zapadła cisza.

– Co? – zapytał Gabri, widząc, że dolewa oliwy do ognia.

– To musi być zbieg okoliczności – powiedziała Émilie beznamiętnie. – Oraz, jak sądzę, ukłon w twoją stronę, *ma belle* – dodała, kładąc chudą rękę na pulchnym ramieniu Matki. – CC od jakiegoś roku mieszka w dawnym domu Hadleyów; niewątpliwie zainspirowało ją to, co robisz. To hołd dla twojego ducha.

– A jej filozofia to większy stek bzdur niż twoje nauki – zapewniła ją Kaye. – To musi być satysfakcja; nie przypuszczałam, że to możliwe – zwróciła się do Ruth, która spoglądała na swoją bohaterkę z ukontentowaniem.

– Ładne włosy – powiedział Olivier do Clary, mając nadzieję rozładować napięcie.

– Dziękuję. – Clara rozgarnęła włosy palcami, co spowodowało, że stanęły dęba, jakby właśnie się wystraszyła.

– Masz rację – zwrócił się Olivier do Myrny. – Clara wygląda jak przestraszony piechur z okopów Vimy^[4]. Niewiele osób byłoby w stanie wyprodukować taki styl. Bardzo odważne, w duchu nowego tysiąclecia. Czapki z głów.

Clara przymknęła oczy i popatrzyła jadownicie na Myrnę, na której twarzy malował się uśmiech od ucha do ucha.

– Pierdolić papieża – powiedziała Kaye.

CC po raz kolejny wyrównała pozycję krzesła. Stała ubrana w pokoju hotelowym. Saul wyszedł, nie oferując pożegnalnego pocałunku, którego wcale nie oczekiwała.

Czuła ulgę, że poszedł. Teraz w końcu mogła to zrobić.

Ujęła egzemplarz *Be Calm* i stanęła przy oknie. Powoli podniosła książkę i przycisnęła ją do piersi, jakby to był odzyskany fragment jej samej, którego brak odczuwała przez całe życie.

Odchyliła głowę i czekała. Czyżby w tym roku miało ją to ominąć? Ale nie. Jej dolna warga zadrżała. Potem CC zamrugła i poczuła gułę w gardle. I wtedy pojawiły się łzy. Płynęły po policzkach ku otwartym ustom. Zagłębiła się w znajomych wspomnieniach, w scenie ze świąt Bożego Narodzenia.

Jej matka stała przy dawno uschniętej, pozbawionej ozdób choince, wciśniętej w kąt surowego, ciemnego pokoju; wokół na podłodze rozsypane były ostre igły. Na drzewku wisiała pojedyncza bombka; teraz matka, rozhisteryzowana i wrzeszcząca, zerwała ją. CC wciąż słyszała ulewę spadających na podłogę świerkowych igieł i widziała, jak bombka leci w jej stronę. Nie zamierzała jej łapać. Wyciągnęła tylko ręce, żeby ochronić twarz, ale bombka wylądowała wprost w jej dłoniach. Matka opadła na podłogę, kołysząc się i płacząc; CC desperacko pragnęła, żeby przestała. Desperacko chciała ją uciszyć, zamknąć jej usta, uspokoić, zanim sąsiedzi znowu wezwą policję, a matkę ponownie zabiorą z domu, zostawiając CC samą, w towarzystwie obcych ludzi.

Przez moment CC zawahała się, po czym spojrzała na bombkę w swoich rękach. Błyszczała i była ciepła w dotyku. Widniał na niej tylko jeden obraz. Trzy wysokie sosny, zgrupowane razem jak rodzina, z gałęziami uginającymi się pod ciężarem śniegu. Poniżej napis, zrobiony ręką jej matki: *Noël*.

CC pochyliła się w stronę bombki, zatracając się w spokoju, ciszy i świetle. Ale musiała przyglądać się zbyt długo. Łomotanie do drzwi oderwało ją od trzech sosen i wrzuciło z powrotem w horror rozgrywający się przed nią.

– Co się tu dzieje? Wpuść nas – domagał się męski głos z drugiej strony drzwi.

CC ich wpuściła. To był ostatni raz, kiedy otworzyła jakiegokolwiek drzwi, przed kimkolwiek.

Przechodząc koło Ritza, Crie zatrzymała się, żeby popatrzeć na luksusowy hotel. Odzwierny zignorował ją, nie zaproponował, by weszła. Posuwała się wolno, rozchlapując roztopiony śnieg, wełniane rękawiczki zwisały na sznurku

z ramion, a wbity w nie śnieg ściągał je ku ziemi.

Nie obchodziło jej to. Dreptała po ciemnych, zaśnieżonych, zatłoczonych ulicach, przechodnie wpadali na nią i obrzucali pełnym wstrętu spojrzeniem.

Mimo to szła; stopy jej marzły. Wyszła z domu bez przyzwoitych śniegowców, a kiedy ojciec z wahaniem zasugerował, by założyła coś cieplejszego, zignorowała go.

Tak jak matka ignorowała ją. Tak jak cały świat ignorował jego.

Zatrzymała się przed sklepem *Monde de la musique*. Wisiał tam wielki plakat Britney Spears, tańczącej na gorącej plaży; dziewczyny z chórków uśmiechały się i wyginały.

Cie długo stała pod wystawą, nie czując stóp ani rąk. Nic już w ogóle nie czuła.

– Że co, proszę? – zapytała Clara.

– Pierdolić papieża – powtórzyła Kaye jak coś oczywistego. Matka Bea udawała, że nie słyszy, a Émilie przysunęła się nieco bliżej do przyjaciółki, jak gdyby chcąc ją podtrzymać.

– Mam dziewięćdziesiąt dwa lata i wszystko już wiem – powiedziała Kaye. – Poza jednym – przyznała.

Znów zapadła długa cisza. Ale zażenowanie szybko ustąpiło ciekawości. Kaye, normalnie milcząca, miała przemówić. Przyjaciele podeszli bliżej.

– Mój ojciec służył w oddziałach wysłanych do Francji podczas pierwszej wojny.

Spodziewali się, że Kaye może powiedzieć wiele rzeczy, ale tego nie. Mówiła teraz cicho, jej twarz odprężyła się, a oczy odpłynęły i wzrok wbił się w półki z książkami. Kaye podróżowała w czasie. To był stan, którego Matka Bea miała doświadczać w swoich jogińskich przelotach, ale nigdy nie osiągnęła go w takim stopniu.

– Utworzyli oddział specjalnie dla katolików, w większości Irlandczyków, tak jak tatuś, i oczywiście z Quebecu. Tata nigdy nie mówił o wojnie. Nikt z jego kolegów z armii tego nie robił. A ja nigdy nie pytałam. Wyobrażacie sobie? Myślicie, że chciał, bym pytała?

Kaye popatrzyła na Em; ta milczała.

– Powiedział nam o wojnie tylko jedną rzecz.

Teraz zamilkła. Rozejrzała się dokoła, a jej wzrok padł na puchatą, dzierganą czapkę. Sięgnęła po nią, by ją założyć, po czym spojrzała na Em. Nikt nie oddychał. Wpatrywali się w nią, czekając, co będzie dalej.

– Na rany Chrystusa, kobieto, powiedz nam – wycharczała Ruth.

– Och, oczywiście. – Wydawało się, że Kaye dopiero ją zauważyła. – Tatus. Nad Sommą. Pod wodzą Rawlinsona, no wiecie. Tego starego durnia. Tyle się dowiedziałam. Ojciec stał prawie po szyję w błocie i gównie, ludzkim i końskim. Jedzenie było pełne czerwii. Dawno już przestali walczyć za króla i ojczyznę, teraz walczyli tylko każdy za siebie. Tatus kochał swoich przyjaciół.

Kaye spojrzała na Em, a potem na Matkę.

– Chłopcy stawali w szeregu i kazano im nałożyć bagnety na broń.

Wszyscy pochylili się z lekka.

– Ostatnia ofensywa wyruszyła jakąś minutę wcześniej i została zmieciona. Słyszeli wrzaski i widzieli drgające ludzkie członki, lecące z powrotem w stronę okopów. Teraz przyszła kolej na nich, na tatę i jego przyjaciół. Czekali na rozkaz. Wiedział, że zginie, że zostało mu zaledwie kilka chwil życia, więc może powiedzieć tylko jedno zdanie. I wiecie, co ci chłopcy krzyknęli, wychodząc z okopów?

Ziemski glob przestał się na moment obracać i stanął.

– Przeżegnali się i wrzasnęli: „Pierdolić papieża!”.

Przyjaciele odskoczyli, jak gdyby zranieni tym obrazem, tymi słowami. Kaye zwróciła się ku Clarze; jej wodniste, błękitne oczy jakby czegoś szukały.

– Dlaczego?

Clara zastanawiała się, dlaczego Kaye myśli, że ona to wie. Nie wiedziała. I miała dość rozumu, aby nic nie mówić. Kaye opuściła głowę, jakby nagle zbyt ciężką, a z tyłu szyi uformował się głęboki rowek.

– Czas iść, kochana. Musisz być zmęczona. – Em delikatnie położyła rękę na ramieniu Kaye. Matka Bea ujęła ją za drugie i trzy starsze panie powoli wyszły z księgarni. Zmierzały do domu, do Three Pines.

– Na nas też już pora. Podwieźć cię? – Myrna zapytała Ruth.

– Nie, zostanę tu do samego końca. Ale wy, szczury okrętowe, nie miejcie

wyrzutów. Zostawcie mnie tutaj.

– Święta Ruth między poganami – powiedział Gabri.

– Najświętsza Panienska Nieustającej Poezji – dorzucił Olivier. – Zostaniemy z tobą.

– Była niegdyś dama, zwana Ruth – zaczął Gabri.

– Którą nagle dopadł wielki głód – dopowiedział Olivier.

– Chodź, idziemy. – Myrna pociągnęła za sobą Clarę, choć ta była całkiem ciekawa, jaki rym znajdą do „głód”. Łut? Płód? Nie, pewnie lepsze byłoby normalne słowo. Bycie poetą okazało się trudniejsze, niż się wydawało.

– Muszę tylko szybko zrobić jedną rzecz – powiedziała Clara. – Momencik.

– Wyprowadzę samochód i spotkamy się na zewnątrz – zaproponowała Myrna, wychodząc. Clara znalazła w Ogilvy małą *brasserie*, kupiła tam kanapkę, trochę świątecznych ciasteczek i dużą kawę, po czym ruszyła ku ruchomym schodom.

Miała wyrzuty sumienia z powodu bezdomnego, na którego wdepnęła po drodze do Ogilvy. Żywiła ciche, sekretne przekonanie, że jeśli Bóg kiedyś zstąpi na ziemię, to jako żebrak. A co, jeśli to był On? Albo Ona? Nieważne. Jeśli to był Bóg, Clara nabrała głębokiego przekonania, że ma przechlapane. Wchodząc na ruchome schody, jadące na główne piętro, Clara zauważyła znajomą sylwetkę, podążającą w dół. CC de Poitiers. I była pewna, że CC też ją widziała.

CC de Poitiers złapała za gumową poręcz ruchomych schodów i gapiała się na kobietę stojącą na dole. Clara Morrow. Ta zadowolona z siebie, uśmiechnięta, przemądrzała wieśniaczka. Zawsze otoczona przyjaciółmi, zawsze z tym swoim przystojnym mężulkiem, popisująca się nim, jakby to był wybryk natury, że trafił jej się jeden z montrealskich Morrowów. CC czuła, jak narasta w niej gniew, w miarę jak Clara się zbliżała, wyglądając na taką zadziwioną i uradowaną.

CC mocniej ścisnęła poręcz, siłą woli zmuszając się, by nie przeskoczyć przez cienką metalową przegrodę i nie rzucić się na Clarę. Ubiła swój gniew w wielką kulę i zrobiła z niej pocisk, jak Ahab – jakby jej pierś była armatą, z której miała wystrzelić prosto w serce Clary.

Ale przyszło jej do głowy coś lepszego.

Zwracając się do mężczyzny obok, powiedziała:

– Przykro mi, Denis, że sądzisz, że sztuka Clary jest amatorska i banalna. Czyli tylko marnuje twój czas?

Właśnie mijala Clare i miała wielką satysfakcję, patrząc, jak ta jej zadowolona, arogancka, paskudna twarzyczka się zapada. Cios prosto w serce. CC odwróciła się do zaskoczonego nieznanego i uśmiechnęła się, nie dbając wcale, czy aby nie wziął jej za wariatkę.

Clara zeszła ze schodów jak pijana. Podłoga wydawała się bardzo odległa, ściany jakby się rozstały. Oddychać. Oddychaj – przykazała sobie, bojąc się trochę, że naprawdę może umrzeć. Zabita słowami. Zabita przez CC. Tak od niechcenia i tak okrutnie. Nie poznała, czy mężczyzną obok CC był Fortin, znała jego twarz tylko z fotografii.

Amatorska i banalna.

Napłynęły ból i łzy; stała w Ogilvy, w miejscu, do którego tęskniła przez całe życie, zanosząc się płaczem. Szlochała, opuszczając swe drogocenne prezenty na marmurową posadzkę; położyła na niej kanapkę, ciastka i kawę, ostrożnie, jak dziecko składające jedzenie przed Świętym Mikołajem. Potem sama przyklękła na podłodze, ostatnia ofiara, mała kulka bólu.

Amatorska i banalna. Wszystkie jej podejrzenia, wszystkie obawy się spełniły. Ten głos, który szeptał do niej, kiedy Peter spał, miał jednak rację.

Jej sztuka była beznadziejna.

Ludzie kłębili się wokół niej, nikt nie zaofiarował pomocy. Tak jak przedtem ona – zauważyła to teraz – nie pomogła żebrakowi na zewnątrz. Clara opanowała się, zebrała pakunki i ruszyła przez obrotowe drzwi.

Było ciemno i zimno, wiatr i śnieg wzmagały się, zniecka atakując jej ciepłą skórę. Clara zatrzymała się, by pozwolić oczom przywyknąć do ciemności.

Tam, pod parapetem wystawy, ciągle skulony, tkwił żebrak.

Podeszła do niego, zauważając, że wymiociny nie dymiły już, przymarzły do koca. Im bliżej Clara podchodziła, tym bardziej była przekonana, że to żebraczka, stara kobieta. Widziała kępkę stalowosiwych włosów i chude ramiona, otulające kolana brudnym pledem. Clara schyliła się i poczuła powiew

jej zapachu. To wystarczyło, by się zakrztusiła. Instynktownie cofnęła się, po czym na powrót przysunęła. Kładąc ciężkie torby na ziemi, położyła przed kobietą jedzenie.

– Przyniosłam coś pani – powiedziała najpierw po angielsku, potem po francusku. Podsunęła torebkę z kanapką bliżej i przytrzymała w górze kubek z kawą, mając nadzieję, że żebraczka zauważy.

Żadnego ruchu. Clara zaczęła się martwić. Czy kobieta w ogóle żyła? Delikatnie dotknęła pokrytego brudem podbródka.

– Wszystko w porządku?

Wystrzeliła ku niej ręka w rękawiczce czarnej od brudu; kobieta chwyciła Clarę za nadgarstek. Uniosła głowę. Zmęczonymi, załzawionymi oczami popatrzyła Clarze prosto w oczy.

– Zawsze uwielbiałam twoją sztukę, Claro.

5

– Ależ to nieprawdopodobne! – Myrna nie chciała, żeby zabrzmiało to, jakby wątpiła w słowa przyjaciółki, ale „nieprawdopodobne” było w tej sytuacji miłosiernym słowem.

To było niewiarygodne. Mimo gorącej herbaty i ognia, płonącego na kominku, na ramionach wystąpiła jej gęsia skórka.

Przyjechały z Montrealu w milczeniu, słuchając koncertu bożonarodzeniowego w radiu CBC. Następnego ranka Clara zjawiała się w księgarni Myrny, chętna do rozmowy.

– To prawda – zgodziła się Clara, popijając herbatę i biorąc kolejne kruche ciasteczko w kształcie gwiazdki. Przez chwilę zastanawiała się, czy jej sumienie wytrzyma, jeśli zacznie podjadać też z misek z lukrecjowymi słodyczami i kandyzowanym imbirem, które Myrna porozstawiała dookoła.

– Naprawdę powiedziała: „Zawsze uwielbiałam twoją sztukę, Claro”?

Clara skinęła głową.

– I zdarzyło się to zaraz po tym, jak CC powiedziała, że twoja sztuka jest... Och, nieważne.

– Nie tylko CC, ale i Fortin. Powiedział, że jest amatorska i banalna. To bez znaczenia. Bogu moja sztuka się podoba.

– Mówiąc „Bóg”, masz na myśli upapraną gównem żebraczkę?

– Właśnie.

Myrna w bujanym fotelu pochyliła swe masywne ciało w stronę przyjaciółki. Wokół Myrny znajdowały się te co zwykle stosy książek, czekające, by je przejrzała i wyceniła. Clara miała wrażenie, że wyrastały im nóżki i łąziły za Myrną po całym miasteczku. Gdziekolwiek była Myrna, były tam i książki, jak nieco nieporęczne wizytówki.

Myrna przypominała sobie całą sytuację. Zauważyła żebraczkę, ale Myrna

była osobą, która zauważała większość żebraków. Przez długie lata przyjmowała pacjentów w montrealским psychiatryku, aż pewnego dnia dostała zawiadomienie od kierownictwa. Większość klientów – ci pacjenci, których zatrzymywano na noc, stawali się „klientami” – miała zostać wypisana. Myrna oczywiście protestowała, ale w końcu dała za wygraną. Zanim się obejrzała, siedziała za swoim poobijanym biurkiem, wręczając kolejnym „klientom” papierki, na których napisano nieprawdę – że byli gotowi, by mieszkać samodzielnie; wypisywano ich z receptą i zdrowąską na drogę.

Większość z nich szybko zgubiła receptę, a zdrowaśki nigdy nie zmówili – może z wyjątkiem tej kobiety, którą spotkała Clara.

Czy to możliwe, że Clara spotkała Boga na ulicy? Myrna przyglądała się przyjaciółce znad brzegu kubka. Wierzyła w Boga i modliła się, by Bóg nie okazał się jedną z tych osób, które zdradziła, wypisując ich ze szpitala.

Clara spoglądała przez okno, ponad pełnymi książek regałami. Myrna wiedziała dokładnie, co przyjaciółka tam widzi. Sama niezliczoną ilość razy siedziała na tym samym krześle, gapiąc się przez okno, marząc. Jej marzenia były nieskomplikowane. Podobnie jak Abou Ben Adhem u Leigh Hunta^[5], marzyła jedynie o głębokim spokoju. I znalazła go tutaj, w tym prostym, zapomnianym miasteczku w Kantonach Wschodnich. Po dziesięcioleciach pracy z ludźmi, którym nigdy się nie poprawiało, po latach gapienia się przez okno na zagubione dusze, wędrujące na ulice, które miały stać się ich nowym domem, Myrna pragnęła innego widoku.

Wiedziała, co widzi Clara. Miejski skwer, pokryty teraz trzydziestocentymetrową warstwą śniegu, nieregularną ślizgawkę, kilka bałwanów oraz trzy olbrzymie sosny na dalekim końcu, oświetlone w nocy wesołymi świątecznymi lampkami – czerwonymi, zielonymi i niebieskimi. A na szczycie najwyższej z sosen lśniła biała gwiazda, widoczna wiele kilometrów stąd.

Clara widziała spokój.

Myrna podniosła się i podeszła do opalanego drewnem pieca pośrodku sklepu; ujmując stojący na płycie stary dzbanek z kawą, nalała sobie kolejną filiżankę. Zastanawiała się, czy nie powinna wyjąć małego rondelka i zagrzać mleka na gorącą czekoladę, ale uznała, że jest na to trochę za wcześnie.

Po obu stronach pieca stały bujane fotele, a naprzeciw kanapa, którą Peter

znalazł na śmietniku w czasach, gdy mieszkał w Williamsburgu. Choinka, którą wraz z Billym Williamsem przywlekli z lasu, wypełniała księgarnię słodkim zapachem. Drzewko było teraz udekorowane, a pod nim leżały zapakowane w barwny papier prezenty. Obok leżała taca z ciasteczkami dla gości, gdyby się nagle zjawili; w całym sklepie porozstawiano miseczki z cukierkami, umieszczone w strategicznych miejscach.

– Więc skąd знаła twoje prace? – Myrna musiała o to zapytać.

– A jak sądzisz? – Clara była szczerze ciekawa opinii Myrny. Obie wiedziały, w co wierzyła Clara.

Myrna zastanawiała się przez moment, trzymając w ręku książkę. Zawsze lepiej się jej myślało z książką w ręku. Ale odpowiedź nie nadeszła.

– Nie wiem.

– Pewna jesteś? – zapytała Clara z uśmiechem.

– Ty też nie wiesz – odpowiedziała Myrna. – Chcesz wierzyć, że to był Bóg. Muszę cię ostrzec, że ludzi zamyka się w psychiatrykach za mniej szalone myśli.

– Ale nie na długo. – Clara uchwyciła spojrzenie Myrny. – A w co ty byś wierzyła na moim miejscu? Że CC ma rację i moje prace są do kitu, czy że żebraczka to Bóg, a moje prace są genialne?

– Możesz także przestać słuchać, co inni mówią.

– Próbowałam – zaśmiała się Clara. – O drugiej po południu moja sztuka jest genialna, a o drugiej w nocy do kitu. – Pochyliła się, aż mogła niemal dotknąć Myrny. Spojrzała w ciepłe oczy przyjaciółki i powiedziała bardzo cicho: – Wierzę, że spotkałam Boga.

Myrna uśmiechnęła się, ale wcale nie protekcjonalnie. Jedną z rzeczy, które wiedziała na pewno, było to, że mało w gruncie rzeczy wie.

– Czy to książka Ruth? – Clara podniosła egzemplarz *Jestem SUPER*. – Mogę kupić?

– Ale przecież już wczoraj kupiłaś. Ruth ci ją nawet podpisała. Wiesz, widziałam, że podpisywała nawet jakieś książki Audena...

– Gdzieś zgubiłam swoją. Kupię ją, a jeśli Ruth podpisze jakiegoś Anthony'ego Hechta, to też go kupię.

Clara otworzyła tomik na przypadkowej stronie, żeby poczytać.

Cóż, wszystkie dzieci są smutne, lecz niektórym to przejdzie.

Spójrz, jak wiele ci się udało. Lub jeszcze lepiej.

Kup kapelusz. Kup płaszcz albo zwierzaka.

Zacznij się uczyć tańca, by zapomnieć.

– Jak ta Ruth to robi? Przysięgłabym, że to tylko stara pijaczka.

– O Bogu myślałaś to samo – odrzekła Myrna.

– Posłuchaj:

Zapomnieć co?

Swój smutek, swój cień

I cokolwiek zrobiono ci w dniu śniadania na trawie

Gdy weszłaś do środka owiana słońcem, z ustami kapryśnymi od cukru

w nowej sukience ze wstążką i plamą po lodach

I rzekłaś do siebie w łazience: nie jestem ulubionym dzieckiem.

Myrna spojrzała za okno i zastanowiła się, czy ten ich spokój, taki kruchy i cenny, nie zostanie nagle zniszczony. Od przybycia CC de Poitiers jakby czarne chmury zbierały się nad ich społecznością. CC przyniosła do Three Pines coś niezdrowego, i to na same święta Bożego Narodzenia.

6

Trzy dni przed Bożym Narodzeniem były niezwykle intensywne. Clara uwielbiała tę porę roku. Lubiła wszystko, co się z nią wiązało, od ckliwych reklamówek, przez kiczowatą paradę Père Noël sponsorowaną przez firmę Kanadyjskie Opony, aż po kolędowanie, które organizował Gabri. Śpiewający wędrowali od domu do domu przez zaśnieżone miasteczko, wypełniając powietrze starymi hymnami i śmiechem. Mieszkańcy miasteczka zapraszali ich do salonów; muzykanci wchodzili z przenośnymi instrumentami klawiszowymi i choinkami, śpiewali, pili eggnog z brandy, jedli herbatniki, wędzonego łososia, słodkie zawijasy i inne świąteczne przysmaki. W ciągu kilku wieczorów kolędnicy śpiewali we wszystkich domach w miasteczku – z wyjątkiem jednego.

W myśl jakiejś niewypowiedzianej reguły trzymali się z daleka od ciemnego domu na wzgórzu. Dawnego domostwa Hadleyów.

Gabri, w wiktoriańskiej pelerynie i cylindrze, wiódł kolędników. Miał piękny głos, ale pragnął tego, czego nie mógł mieć. Co roku Ruth Zardo odwiedzała bistro jako Święty Mikołaj – wybrana do tej roli, jak twierdził Gabri, ponieważ nie musiała zapuszczać brody. Co roku Gabri siadał jej na kolanach i chłopięcym sopranem prosił o coś – i co roku Święty Mikołaj proponował mu kopniaka w świąteczne jajka.

W każde święta Bożego Narodzenia monsieur i madame Vachon ustawiali na frontowym trawniku starą *crèche*, z dzieciątkiem Jezus w staroświeckiej wannie na nóżkach i plastikowymi zwierzętami gospodarskimi, które powoli zasypywał śnieg; wiosną wynurzały się znowu, niezmienione, kolejny cud, choć nie wszyscy w miasteczku tak to postrzegali.

Billy Williams zaprzągnął swoje perszerony do jasnoczerwonych sań i zabrał dzieciarnię na przejażdżkę po miasteczku i po pokrytych śniegiem wzgórzach. Dzieci włożyły pod sfatygowane przykrycie z niedźwiedziej skóry i ścisnęły

w dłoniach kubki z gorącą czekoladą; szare kolosy ciągnęły sanie tak spokojnie i statecznie, jak gdyby wiedziały, że ładunek, który wiozą, jest niezwykle cenny. W bistro rodzicom pozwolono usiąść przy oknie, gdzie popijali gorący cydr i przyglądali się, jak ich dzieci znikają za zakrętem ulicy du Moulin; wtedy zwracali się z powrotem ku wnętrzu pełnemu wyblakłych tkanin, niepasujących do siebie mebli i otwartych kominków.

Clara i Peter dokończyli świąteczne dekorowanie, umieszczając w kuchni wieniec sosnowych gałązek, do kompletu z wielką sosnową choinką w salonie. Ich dom, jak wszystkie w miasteczku, pachniał lasem.

Prezenty zostały zapakowane i złożone pod choinką. Clara przechodziła koło nich co rano podekscytowana, że nareszcie, dzięki testamentowi Jane, nie pochodziły ze śmietnika w Williamsburgu. Wreszcie nie wymieniali się podarkami, które wymagały dezynfekcji.

Peter zawiesił skarpety na prezenty na obudowie kominka. Upiekli kruche ciasteczka w kształcie gwiazdek, choinek, bałwanków i udekorowali je srebrnymi kulkami, które wyglądały jak śrut. Co wieczór przed kolędowaniem Peter doglądał ognia na kominku w salonie, podczas gdy Clara brzdąkała na pianinie, fałszując przy śpiewaniu kolęd. W wiele wieczorów Myrna, Ruth, Gabri albo Olivier wpadali na drinka albo niezobowiązującą kolację.

Zanim się zorientowali, nastąpiła Wigilia i wszyscy pospieszyli do Émilie na jej przyjęcie z okazji *réveillon de Noël*. Ale najpierw – na pasterkę do kościoła Świętego Tomasza.

– „Cicha noc, święta noc” – śpiewała kongregacja, a w ich śpiewaniu było więcej zapachu niż talentu. W zasadzie kolęda brzmiała nieco jak stara morska szanta *Co zrobimy z pijanym żeglarzem*. Piękny tenor Gabriego naturalnie przewodził chórowi, pozostałym brakowało jego zdolności. Z wyjątkiem jednej osoby. Z tylnej części drewnianej kaplicy dało się słyszeć dziecięcy głos o tak kryształowej czystości, że zadziwił nawet Gabriego. Przypląnął z jednej z ławek i rozpląwał się nad wieńcami z gałęzi ostrokrzewu i sosny, które rozwiesiło dookoła Przykościelne Stowarzyszenie Kobiet Anglikańskich; z powodu tej zieleni wierni mieli wrażenie, że nabożeństwo odbywa się nie w kościele, ale w lesie. Przy dachowych krokwiach Billy Williams zawiesił nagie klonowe konary, a PSKA, któremu przewodniczyła Matka, poprosiło go, by luźno pozawijał wokół nich małe, białe lampki choinkowe. Wyglądało to tak, jakby

nad grupką zgromadzonych rozpościerało się gwiazdziste niebo. Kościół był pełen zieleni i światła.

– Zieleń to kolor czakry serca – wyjaśniła Matka.

– Jestem pewna, że biskup byłby zachwycony – dodała Kaye.

W Wigilię w kościele Świętego Tomasza gromadziły się rodziny z podnieconymi i wyczerpanymi dziećmi oraz starzy ludzie, którzy przychodzili tu przez całe życie, zawsze siadali w tych samych ławkach, oddawali cześć temu samemu Bogu – tu chrzcili, żenili i żegnali swoich bliskich. Niektórych ze swych zmarłych nigdy nie pogrzebali, ale za to unieśmiertnili na niewielkich witrażach, umieszczonych tak, by chwyciły poranne światło. Ci zmarli, polegli w pierwszej wojnie światowej, maszerowali teraz w odcieniach ciepłej żółci, błękitów i zieleni, na zawsze idealni i na zawsze zatrzymani w tamtych czasach. Poniżej sylwetek poległych umieszczono ich nazwiska oraz napis: *Oto nasze dzieci*.

Tego wieczora kościół wypełnił się anglikanami, katolikami, żydami i niewierzącymi oraz tymi, którzy wierzyli w coś bliżej nieokreślonego, nieograniczającego się do kościoła. Przyszli, bo w Wigilię u Świętego Tomasza nie brakowało światła i zieleni.

Niespodziewanie w te święta Bożego Narodzenia rozbrzmiewał tam piękny śpiew.

– „Pokój niesie ludziom wszem” – śpiewało dziecko, ratując tonącą w kakofonii kongregację. Clara odwróciła się, próbując odnaleźć je wzrokiem. Wielu innych wyciągało szyje, by też je zobaczyć. Nawet Gabri, jakkolwiek nie do końca zachwycony, zmuszony był ustąpić miejsca tej niespodziewanej, boskiej obecności. To jakby anioł – jak ująłby to Yeats – zmęczył się towarzystwem skamlących umarłych^[6] i wybrał bardziej żywe towarzystwo.

Nagle Clara zobaczyła, kto śpiewa.

Z tyłu stała CC de Poitiers, ubrana w puchaty biały sweter – albo z kaszmiru, albo z małych kociąt. Obok stał jej mąż, ozdobny i milczący. A obok niego – olbrzymie dziecko, ubrane w letnią sukienkę bez rękawów w najbardziej jaskrawym z możliwych odcieni różu. Przedramiona dziewczynki sterczały jak połcie słoniny, a wałeczki tłuszczu w talii nadawały przylegającej do ciała sukience wygląd topiących się lodów truskawkowych. Po prostu groteska.

Jednak twarz dziewczynki była piękna. Clara widziała ją wcześniej, ale tylko z oddali, za to zawsze z naburmuszoną, nieszczęśliwą miną. Teraz jednak na tej twarzy, odchylonej ku lśniąącym konarom u powały, malowały się uniesienie i ekstaza.

– „A u źłobka Matka Święta...” – Przepiękny głos Crie igrał ze światełkami pod powałą, a potem przeleciał pod drzwiami starej kaplicy i tańczył z łagodnie padającymi płatkami śniegu, zaparkowanymi autami i nagimi klonami. Słowa kolędy szybowały nad zamarzniętym stawem, osiadały na choinkach i sączyły się do wnętrza każdego szczęśliwego domu w Three Pines.

Po nabożeństwie pastor wybiegł z kościoła, spóźniony już na wigilijną uroczystość w pobliskim Cleghorn Halt.

– *Joyeux Noël* – powiedział Peter do Gabriego, gdy przyjaciele zgromadzili się na stopniach przed kościołem, by stamtąd odbyć krótki spacer przez miasteczko do domu Émilie. – Jakaż piękna noc.

– I jakież piękne nabożeństwo – powiedziała Clara, stając obok Petera. – Niesamowity ma głos ta mała, co?

– Niekiepski – przyznał Gabri.

– Niekiepski? – Matka Bea pokołysała się w ich stronę, z Kaye, owiniętą wokół jej ramienia jak mufka, i z Émilie z drugiej strony. – Była niesamowita. Nigdy w życiu nie słyszałam takiego głosu, a wy?

– Muszę się napić – oświadczyła Kaye. – Kiedy wyruszamy?

– Już zaraz – zapewniła ją Em.

– Olivier poszedł po jedzenie do bistro – poinformował Gabri. – Zrobiliśmy łososia na parze.

– Ożenisz się ze mną? – zapytała Myrna.

– Założę się, że proponujesz to wszystkim dziewczynom – powiedział Gabri.

– Tobie pierwszemu – odparła Myrna i roześmiała się. Ale śmiech nagle uwiązał jej w gardle.

– Durna dziewczucha! – zasyczał ktoś po drugiej stronie kościoła. Wszyscy zamarli, zaskoczeni tymi słowami, przecinającymi przejrzyste wieczorne powietrze. – Wszyscy się na ciebie gapili. Upokarzasz mnie publicznie.

Głos należał do CC. Z kościoła było boczne wyjście i ścieżka, wiodąca

na skróty do ulicy du Moulin i dawnego domu Hadleyów.

Uświadomili sobie, że CC musiała tam stać, schowana w cieniu kościoła.

– Naśmiewali się z ciebie, wiesz? Jasno, równo i wyraźnie. – CC zaśpiewała prześmiewczo, fałszując, dziecinnie. – No i te twoje ubrania. Czy ty na głowę upadłaś? Wydaje mi się, że coś z tobą psychicznie nie tak.

– No, CC, daj spokój. – Męski głos był tak pokorny i słaby, że ledwo przedzierał się przez padający śnieg.

– To twoja córka. Popatrz na nią. Gruba, brzydka i leniwa. Jak ty. Czyś ty zwariowała, Crie? No? No?

Tłum zamarł w miejscu, jakby ukrywając się przed potworem, błagając milcząco, żeby ktoś ją powstrzymał. Ktoś inny.

– No i rozpakowałaś już swój prezent gwiazdkowy, ty samolubny bachorze.

– No ale powiedziałaś mi... – zabrzmiała cichutka odpowiedź.

– Mi, moje, ja! Tylko tyle od ciebie słyszę! I nawet mi nie podziękowałaś!

– Dziękuję za czekoladki, mamusiu. – Dało się słyszeć cichutkie słowa.

– Za późno. Skoro muszę się o to prosić, to się nie liczy. – CC powędrowała ścieżką, stukając obcasami, co brzmiało jak uderzenia szponów o beton.

Członkom kongregacji odebrało mowę. Gabri stał obok Clary, nucąc pod nosem, tak cicho i nisko, że ledwie dawało się rozróżnić słowa starej angielskiej kolędy: „Rozpacz, błaganie, powolne umieranie w zimnego grobu ciemnym śnie”.

Umknęli przed potworem. Ale ten zdążył pożyć wystraszoną dziewczynkę.

– *Joyeux Noël, tout le monde* – witała gości kilka minut później promieniejąca Em. Jej roczny owczarek, Henri, wybiegł na zewnątrz i skakał na wszystkich, aż ktoś wreszcie go udobruchał kawałkiem świątecznego ciasta. Radosny chaos i zamieszanie pomogły przegnać niesmak po wybuchu CC. Wydawało się, że całe miasteczko przyszło jednocześnie, wchodząc po stopniach na szeroką werandę Em i strząsając śnieg z czapek i płaszczy.

Émilie mieszkała w wielkim drewnianym budynku położonym naprzeciw domu Morrowów po drugiej stronie skweru. Olivier zatrzymał się tuż przy wejściu w kręgu światła z ganku, balansując półmiskiem z łososiem na parze.

Spacer do domku Em, zwłaszcza nocą, zawsze był dla niego magiczny. Przywodził na myśl bajkę – jedną z tych, które Olivier czytał przy latarce pod kołdrą – opowiadającą o porośniętych różami chatkach i małych kamiennych mostkach, gołębach sercach i parach, spacerujących ręka w rękę. Jego ojciec z ulgą myślał, że syn czyta „Playboya”, podczas gdy chłopak robił coś nieskończenie bardziej przyjemnego i niebezpiecznego. Marzył o dniu, gdy stworzy własny bajkowy świat – i udało mu się to, a przynajmniej częściowo. Sam stał się bajeczny. I kiedy spoglądał na dom Em, zalany ciepłym, jasnym światłem, sączącym się z okien w ciemność, wiedział, że wkracza prosto w jedną z książek, które czytywał, by znaleźć ukojenie w te noce, gdy świat wydawał się zimny, okrutny i niesprawiedliwy. Uśmiechnął się teraz i poszedł w stronę domu, niosąc swój wkład w wigilijną kolację. Stąpił ostrożnie, by nie poślizgnąć się na lodzie, który mógł kryć się pod cienką pokrywą śniegu. Warstwa niepokalanej bieli była jednocześnie piękna i niebezpieczna. Zima w Quebecu mogła być zarazem magiczna i zabójcza.

W miarę, jak ludzie się schodzili, odbierano jedzenie i niesiono je do gościnnej kuchni, gdzie dostarczone w nadmiarze zapiekanki i ciasta ładowały w piekarniku. Na kontuarze stały miseczki, z których wysypywał się

kandyzowany imbir, wiśnie w czekoladzie i owoce w cukrze, a obok nich puddingi, ciasta i ciasteczka. Mała Rose Lévesque gapiła się na tradycyjną *bûche de Noël*, świąteczną roladę, zrobioną z ciasta biszkoptowego z maślanym kremem, pokrytą grubą warstwą lukru. Małe, pulchne paluszki dziewczynki zaciskały się na rąbku obrusa, haftowanego w mikołaje, renifery i choinki. W salonie Ruth i Peter przygotowywali drinki; Ruth nalewała szkocką do naczynia, które tak naprawdę było wazonem.

Światła na choince błyszcząły, a dzieciaki Vachonów siedziały pod drzewkiem, czytając bileciki na każdym ze sterty kolorowo opakowanych prezentów, szukając paczek przeznaczonych dla siebie. Na kominku migotał ogień; kilku gości było już na lekkim rauszu. W jadalni rozstawiono stół; ugiął się pod ciężarem zapiekane, *tortières*, domowej roboty zapiekanej w melasie fasolki i glazurowanej syropem klonowym szynki. Miejsce u szczytu stołu zajmował indyk, wyglądający jak wiktoriański gentleman. Środek blatu, jak co roku, zarezerwowano na ekstrawaganckie aranżacje kwiatowe Myrny. Tegoroczna wiązanka składała się z gałązek sosnowych i wspaniałych czerwonych amarylisów. W środku sosnowej gęstwiny kryła się pozytywka, grająca kolędę Huronów^[7], ustawiona na warstwie mandarynek, żurawin i czekoladek.

Olivier zaniósł całego łososia na parze do stołu. Dla dzieci – które, pozbawione nadzoru dorosłych, opychały się słodyczami – przygotowano poncz.

Tak to Émilie Longpré urządzała swoje *réveillon*, przyjęcie, które trwało od Wigilii aż po pierwszy dzień świąt, jak nakazuje stara quebecka tradycja, którą celebrowały przed nią jej matka i *grandmère* – w tym samym domu, w ten sam wieczór roku. Przyglądając się, jak Em kręci się w kółko, Clara otoczyła ramieniem jej wążutką talię.

– Mogę w czymś pomóc?

– Nie, kochana. Sprawdzam tylko, czy wszyscy się dobrze bawią.

– W tym domu zawsze się dobrze bawimy – powiedziała Clara całkiem szczerze, lekko całując Em w oba policzki i czując na nich smak soli. Émilie płakała całą noc; Clara wiedziała dlaczego. W Boże Narodzenie odczuwało się zarówno obecność, jak i nieobecność innych ludzi.

– To kiedy zdejmiesz swoją mikołajową brodę? – zapytał Gabri, sadowiąc się

obok Ruth na wytartej sofie przy kominku.

– Sucz – mruknęła Ruth.

– Wywłoka – odszczeknął się Gabri.

– Spójrzcie tylko. – Myrna usiadła po drugiej stronie Ruth, a jej ciężar niemal katapultował Gabriela i Ruth z kanapy. Myrna wskazała talerzem na grupkę młodych kobiet, stojących przy choince i krytykujących fryzury koleżanek. – Tym dziewczynom się zdaje, że mają kiepski dzień z włosami. Czekaście no tylko.

– To prawda – odrzekła Clara, rozglądając się za krzesłem. Pokój był pełen ludzi, trajkoczących po francusku i angielsku. W końcu Clara usiadła na podłodze, stawiając talerz na stoliku kawowym. Peter przyłączył się do niej.

– O czym rozmawiacie?

– O włosach – odpowiedziała Myrna.

– Ratuń się – rzekł Olivier, machając w stronę Petera. – Dla nas już za późno, ale ty możesz jeszcze uciec. Zdaje się, że na drugiej kanapie konwersacja toczy się wokół tematu prostaty.

– Siadaj. – Clara pociągnęła Petera za pasek od spodni. – Te tam pannice myślą, że mają problem.

– Niech no poczekają do menopauzy – potwierdziła Myrna.

– To jak, pogadamy o prostatkach? – Peter zwrócił się do Oliviera.

– I o hokeju! – westchnął Olivier. – Czy wy nas słuchacie?

– Strasznie ciężko jest być kobietą – powiedział Gabri. – Te miesięczki, ta strata dziewictwa za waszą sprawą, bestie; potem dzieci i nawet nie wiemy już, kim jesteśmy...

– Kiedy już poświęciliśmy najlepsze lata niewdzięcznym sukinsynom i samolubnym dzieciom – przytaknął Olivier.

– A potem, kiedy zapiszemy się już na kursy garncarskie albo tajskiej kuchni, bum...

– Albo i nie – wtrącił Peter, uśmiechając się do Clary.

– Ty się pilnuj, chłopcze – ostrzegła, dźgając go widelcem.

– Menopauza – ciągnął Olivier dźwięcznym głosem spikera radiowego.

– Pierwsza siwizna. To jest dopiero problem z włosami – powiedziała Myrna,

nie zwracając na nich uwagi.

– A co dopiero, kiedy siwy włos sypnie ci się na podbródku – dodała Ruth. – To jest dopiero problem z włosami.

– Boże, to prawda – roześmiała się Matka, przyłączając się do nich. – Takie długie i sztywne...

– I nie zapomnij o wąsach – dorzuciła Kaye, przysiadając się, gdy Myrna zaoferowała jej miejsce obok. Gabri podniósł się, żeby Matka mogła usiąść.

– Zawarliśmy doniosłe przymierze – powiedziała Kaye, kiwając głową do Matki i spoglądając na Em, rozmawiającą z sąsiadami. – Jeśli jedna z nas wyląduje nieprzytomna w szpitalu, pozostałe upewnią się, żeby jej tak nie zostawili.

– Podpiętej do respiratora? – zapytała Ruth.

– Z włosami na brodzie! – Kaye spojrzała na Ruth z niepokojem. – Skreślamy cię z listy odwiedzin. Matko, odnotuj to, proszę!

– Och, odnotowałam to całe lata temu.

Clara zabrała swój pusty talerz do bufetu i wróciła po kilku minutach z porcją przekładanego trifle'a^[8], brownie i mieszanką lukrecjową.

– Ukradłam dzieciakom – powiedziała do Myrny. – Lepiej się pospiesz, jeśli też chcesz. Małolaty się wycwanniają.

– Zjem twoje – powiedziała Myrna i faktycznie próbowała uszczknąć z porcji Clary, aż zagroził jej wymierzony w rękę widelec.

– Wy, nałogowcy, jesteście żałośni. – Myrna popatrzyła na wazon Ruth, niegdyś pełen szkockiej; połowa whisky już zniknęła.

– I tu się mylisz – powiedziała Ruth, śledząc spojrzenie Myrny. – To był niegdyś mój ulubiony narkotyk. W czasach nastoletnich uzależniłam się od akceptacji, w wieku lat dwudziestu paru – od pochwał, koło trzydziestki – od miłości, a po czterdziestce – od szkockiej. I trwało to tak trochę. Teraz jedyne, czego pragnę, to miękkiego stolca.

– A ja jestem uzależniona od medytacji – oznajmiła Matka, jedząc trzecią porcję trifle'a.

– Mam dla ciebie propozycję. – Kaye zwróciła się do Ruth. – Może odwiedzisz Matkę w centrum. Ona potrafi każdego wymedytować na miękko.

To stwierdzenie powitała głucha cisza. Clara z wysiłkiem poszukiwała jakiegoś tematu do rozmowy, więc była wdzięczna Gabriemu, gdy podniósł książkę ze stosu na stoliku i zamachał nią.

– Skoro mowa o ekskrementach: czy to nie jest książka CC? Em musiała ją kupić na twojej premierze, Ruth.

– CC pewnie sprzedała tyle samo książek co ja – powiedziała Ruth. – Z wszystkich was zdrajcy.

– Posłuchajcie tego – Gabri otworzył *Be Calm*, a Clara zauważyła, że Matka poruszyła się, jak gdyby zamierzała wstać, ale Kaye położyła jej dłoń na ramieniu, zatrzymując matkę na kanapie.

– „Dlatego – czytał Gabri – wydaje się rozsądne twierdzić, że kolory, podobnie jak emocje, mogą być szkodliwe. Nie jest przypadkiem, że negatywnym emocjom odpowiadają kolory: czerwień to gniew, zieleń – zazdrość, niebieski – depresja. Ale jeśli złoży się wszystkie kolory razem, co otrzymujemy? Biel. Biel to kolor boskości i równowagi. Jedyną metodą, by osiągnąć ten stan, jest chować emocje w środku, najlepiej pod warstwą bieli. To jest li bien, prastara i szlachetna nauka. Z tej książki nauczycie się, jak ukrywać swoje prawdziwe uczucia, jak zabezpieczać je przed niedobrym, skorym do osądów światem. Li bien to starożytna chińska sztuka malowania od wewnątrz, ukrywania kolorów i emocji. To jedyna droga osiągnięcia spokoju, harmonii i opanowania. Jeśli potrafilibyśmy zinternalizować nasze emocje, nie byłoby swarów, krzywd, przemocy, wojny. W tej książce przynoszę wam i całemu światu pokój”. – Gabri z trzaskiem zamknął książkę. – W tym małym jin-jang dziś wieczorem nie pokazała specjalnie siły li bien.

Peter roześmiał się wraz z innymi, ale uważał, by nie patrzeć nikomu w oczy. Prywatnie, pod warstwą swojej białej skóry, Peter zgadzał się z CC. Emocje były niebezpieczne. Emocje najlepiej skrywać pod warstwą spokoju i opanowania.

– Ale to bez sensu – powiedziała Clara, przerzucając kartki książki i zastanawiając się nad poszczególnymi fragmentami.

– A tamto przedtem miało sens? – zapytała Myrna.

– Noo nie, ale tam mówiła, że przywiozła swoją filozofię życiową z Indii. A teraz mówi, że li bien to chińska nauka?

– Naprawdę doszukujesz się w tym sensu? – zapytała Myrna. Clara z powrotem skryła twarz w książce. Nagle jej ramiona zaczęły falować, potem plecy, aż wreszcie podniosła twarz ku kręgowi zaniepokojonych przyjaciół.

– Co się stało? – Myrna wyciągnęła ręce ku Clarze, która płakała.

– Nazwiska jej guru – odpowiedziała pomiędzy chlipnięciami. Myrna nie była już pewna, czy Clara śmieje się, czy płacze. – Krishnamurti Das, Ravi Shankar Das, Gandhi Das. Ramen Das. Khalil Das. Gibran Das. Nawet o CC mówią tu jako o CC Das. – Tu już Clara wyła ze śmiechu, podobnie jak większość obecnych.

Większość. Ale nie wszyscy.

– Nie widzę w tym nic złego – odezwał się Olivier, ocierając oczy. – Gabri i ja jesteśmy wyznawcami Häagena Dasa^[9]. Od czasu do czasu nasza duchowa ścieżka jest lodowata i śliska.

– A jednym z waszych ulubionych filmów jest *Das Boot* – powiedziała Clara do Petera – więc z pewnością jesteście oświeceni.

Clara ze śmiechem osunęła się na Petera, a Henri wskoczył na nich oboje. Kiedy Clara się uspokoiła i przywołała Henriego do porządku, ze zdziwieniem zauważyła, że Matka sobie poszła.

– Wszystko z nią w porządku? – zwróciła się do Kaye, która przyglądała się, jak przyjaciółka odchodzi w stronę salonu, do Em. – Czy powiedzieliśmy coś niestosownego?

– Nie.

– Nie mieliśmy zamiaru jej obrazić – powiedziała Clara, siadając przy Kaye na miejscu Matki.

– Ależ nie obraziliście. Przecież nawet nie o niej była mowa.

– Śmialiśmy się z rzeczy, które Matka traktuje poważnie.

– Śmialiście się z CC, nie z Matki. Ona zauważa różnicę.

Ale Clarze dało to do myślenia. Obie – CC i Matka – nazwały swoje firmy *Be Calm*. Obie mieszkały teraz w Three Pines, obie podążały podobną duchową ścieżką. Clara zastanawiała się, czy te dwie kobiety nie skrywają więcej niż tylko swoje uczucia.

Okrzyki „Wesołych świąt!” i „Joyeux Noël!” ucichły wśród radosnej nocy

i *réveillon* dobiegło końca. Émilie pożegnała machaniem ostatnich gości i zamknęła drzwi.

Była druga trzydzieści nad ranem pierwszego dnia świąt; Émilie czuła się wykończona. Opierając się ręką o stolik dla zachowania równowagi, powoli powędrowała do salonu. Clara, Myrna i reszta posprzątali, po cichu zmywając naczynia, podczas gdy Em zasiadła na kanapie ze szklaneczką szkockiej i rozmawiała z Ruth.

Zawsze rozmawiała z Ruth. Niemal wszyscy sprawiali wrażenie zaszokowanych, gdy dekadę wcześniej Ruth opublikowała swój pierwszy tomik poezji. Zdumiewało to, że ta pozornie szorstka i zgorzkniała kobieta mogła nosić w sobie takie piękno. Ale Em wiedziała. Zawsze wiedziała. To była jedna z rzeczy, które łączyły ją z Clarą, i jeden z wielu powodów, dla których polubiła Clarę od chwili jej przyjazdu: była taka młoda, rezolutna, pełna ikry i talentu. Clara dostrzegała rzeczy, których inni nie widzieli. Jak ten chłopiec w *Szóstym zmyśle* – tyle że widziała nie duchy, ale dobro. Co samo w sobie było trochę straszne. Wygodniej jest widzieć w innych samo zło; to stwarza wymówkę dla wielu własnych nieładnych zachowań. Ale dobro? Nie, tylko wyjątkowi ludzie dostrzegali dobro w innych.

Chociaż, niestety, nie zawsze było w nich co dostrzegać.

Podeszła do wzmacniacza, otworzyła szufladę i delikatnie wyjęła pojedynczą wełnianą rękawiczkę. Pod nią znalazła płytę. Położyła ją na gramofonie i sięgnęła, by wcisnąć przycisk „start”, a palec zakrzywił się i zadrżał jak w mniej udanej wersji *Stworzenia świata* Michała Anioła. Potem powoli poszła w stronę kanapy, delikatnie trzymając rękawiczkę, jak gdyby wewnątrz niej wciąż spoczywała ręka.

W sypialniach w głębi domu spały Kaye i Matka. Od lat trzy przyjaciółki spędzały razem Wigilię i świętowały ten dzień we własny, pozbawiony ostentacji sposób. Em podejrzewała, że to ich ostatnie wspólne Boże Narodzenie. Przypuszczała, że to ostatnie święta Kaye, a może i Matki. Druga trzydzieści nad ranem.

Zabrzmiała muzyka, a Émilie Longpré zamknęła oczy.

W sypialni z tyłu Matka zarejestrowała pierwsze takty koncertu skrzypcowego D-dur Czajkowskiego. Jedynym dniem, kiedy Matka słyszała ten

utwór, była Wigilia, mimo że to jej ulubiona kompozycja. Niegdyś ten utwór miał szczególne znaczenie dla nich wszystkich. Zwłaszcza dla Em, ale to było całkowicie naturalne. Teraz słuchała go tylko raz do roku, w środku nocy między Wigilią a pierwszym dniem świąt Bożego Narodzenia. Serce pękało Matce na dźwięk tego utworu i na myśl, że przyjaciółka jest sama w salonie. Ale szanowała Em i kochała ją tak bardzo, że nie odmówiłaby jej prawa do tego czasu, spędzanego samotnie, ze swym smutkiem i wspomnieniami o synu.

Tej nocy Matka także przeżywała żal. Powtarzała sobie: *Be Calm, Be Calm*, próbując się uspokoić. Jednak ta mantra, która przez tak długi czas niosła jej ukojenie, nagle wydała się pusta; całą moc nagle ukradła jej ta koszmarna, porąbana, groteskowa kobieta. Niech diabli porwą tę CC de Poitiers!

Kaye kręciła się we własnym łóżku. Nawet akt przewracania się na bok był nie do wytrzymania. Jej ciało słabło. Jak to się mówi: oddawało ducha. Ale tak naprawdę był to odwrotny proces. Tak naprawdę stawała się duchem. Otworzyła oczy i pozwoliła im przyzwyczać się do ciemności. Z daleka pobrzmiwał Czajkowski. Jak gdyby wszedł w jej ciało – nie przez słabnące uszy, ale przez pierś i prosto do serca, gdzie nuty się zbierały. To było niemal więcej, niż mogła wytrzymać. Kaye wzięła głęboki, gwałtowny oddech i prawie zawołała do Émilie, żeby przestała. Żeby przestała grać tę niebiańską muzykę. Ale nie zrobiła tego. Zbyt kochała przyjaciółkę, by odmawiać jej kilku chwil z Davidem.

Ta muzyka przywiodła jej na myśl inne dziecko. Kto normalny nazywa dziecko Crie – „Łza”? Kaye wiedziała, że imiona mają znaczenie. Słowa mają znaczenie. W wigilijny wieczór ta mała śpiewała jak anioł i za jej sprawą wszyscy poczuli się bosko. Ale kilkoma celnie dobranymi słowami jej matka zohydziła to, co było takie wyjątkowe. CC przypominała alchemika, obdarzonego nietypowym darem zmieniania złota w ołów.

Co skłoniło matkę Crie do takiej reakcji?

Wtedy Kaye usłyszała w głowie liryczny, irlandzki, męski głos pełen dobroci:

– Powinnaś była pomóc temu dziecku. Dlaczego nic nie zrobiłaś?

Pytanie zawsze było to samo, i ta sama odpowiedź.

Bała się. Przez całe życie się bała.

*Oto jest więc ta mroczna rzecz,
Mroczna rzecz, na którą czekasz od tak dawna.
Jak się okazuje, to nic nowego.*

W jej pamięci pojawiła się linijka z wiersza Ruth Zardo. Dziś w nocy ta mroczna rzecz miała imię, twarz i różową sukienkę.

To nie CC była tą mroczną rzeczą, ale wyrzut sumienia z powodu Crie. Kaye przeniosła wzrok w inny punkt, zacisnęła pięści tuż pod brodą pod flanelowym prześcieradłem, próbując się rozgrzać. Od lat bez przerwy było jej zimno. Wzrok uchwycił czerwone cyferki na elektronicznym zegarze. Trzecia nad ranem. Oto jest, w swoich okopach, zmarznięta i drżąca. Miała szansę odkupienia za wszystkie chwile tchórzostwa w swoim życiu. Wszystko, co musiała zrobić, to stanąć w obronie dziecka. Kaye wiedziała, że nadejdzie sygnał. A wtedy będzie musiała wypełznąć z okopów i stanąć twarzą w twarz z tym, co się zbliża. Ale nie była jeszcze gotowa. Jeszcze nie. Proszę.

Niech szlag trafi tę babę!

Em przysłuchiwała się znajomym nutom skrzypiec. Rozbrzmiewały wokół choinki, poszukiwały prezentów, chichotały przy ściętych mrozem szybach, wyglądając na rozświetlone jasno sosny na znajomym skwerze. Wreszcie koncert wypełnił cały pokój i Em udawała, że skrzypkiem jest nie Yehudi Menuhin, ale ktoś inny.

Wszystkie Wigilie były takie same. Ale ta była gorsza od innych. Em słyszała zbyt wiele. Widziała zbyt wiele.

Wiedziała, co musi zrobić.

Dzień Bożego Narodzenia nastał jasny i czysty, a warstewka śniegu z poprzedniego dnia uleżała się ładnie na gałęziach drzew, dodając światu blasku. Clara otworzyła drzwi do sieni, by wypuścić Lucy, golden retrievera, i nabrała w płuca lodowatego powietrza.

Dzień upływał niespiesznie. Peter i Clara zajrzeli do skarpet na prezenty, znajdując tam gry, magazyny, słodczyce i pomarańcze. Ze skarpety Petera wysypały się nerkowce, a gumisie, odkryte w tej należącej do Clary, nie

zagrzały tam długo miejsca. Większe paczuszki otworzyli nad kawą i racuchami. Peter był zachwycony zegarkiem od Armaniego i natychmiast założył go, zawinawszy rękaw szlafroka frotté aż po łokieć, żeby móc podziwiać prezent bez przeszkód.

Przez chwilę prowadził dramatyczne poszukiwania pod choinką, udając, że gdzieś mu zginął podarek dla Clary, aż w końcu wychynął stamtąd zarumieniony od schylania się.

Wręczył jej kulę owiniętą w papier w renifery.

– Chcę coś powiedzieć, zanim to rozpakujesz. – Znowu się zarumienił. – Wiem, jak bardzo zraniło cię to zajście z CC i Fortinem. – Uniósł ręce w geście, który uciszył jej protest. – Opowiedziałas mi o swoim ulicznym spotkaniu z Bogiem, chociaż spodziewałaś się, że ci nie uwierzę. Chciałem, żebyś wiedziała, jak bardzo doceniam, że mi zaufałaś, i nie zamierzam tego wyśmiewać.

– Ale śmiałaś się ze mnie.

– Tylko troszkę. Myślałem o tym, co powiedziałaś. Masz rację: nie wierzę, że Bóg jest żebraczką...

– Więc kim jest?

– Wiesz, w co wierzę, Claro. Wierzę w ludzi.

Milczała. Peter nie wierzył w Boga i nie miała z tym problemu. Z pewnością nie musiał. Ale wiedziała też, że tak naprawdę Peter nie wierzy w ludzi. Wcale nie uważał ludzi za dobrych, uczynnych, genialnych. Może kiedyś było inaczej, ale nie po tym, co się stało z Jane.

Jane zabito, a w Peterze także coś umarło.

Uwielbiała męża, musiała jednak przyznać, że wierzył tylko w siebie.

– Wiesz, nie masz racji – powiedział, siadając obok niej na kanapie. – Widzę, co sobie myślisz. Wierzę w ciebie.

Clara popatrzyła na jego poważną, piękną, Morrowowską twarz i ucałowała ją.

– CC i Fortin to idioci. Co prawda nie rozumiem twoich prac, i pewnie już nie zrozumie, ale jesteś świetną artystką. Wiem tu. – Dotknął swojej piersi, a Clara mu uwierzyła. Być może jakoś docierała do niego. A może lepiej mu wychodziło mówienie jej tego, co chciała usłyszeć. Tak czy inaczej, pasowało

jej to.

– Rozpakuj prezent.

Clara rozdarła papier, od czego Peter aż się skrzywił. Małe skrawki papieru opadały z kuli, a Peter podnosił je i wygładzał.

Wewnątrz była bombka. Przepiękna. Mieniła się w dłoniach Clary. Namalowano na niej bardzo prosty obraz: trzy sosny pokryte śniegiem. Poniżej widniało jedno słowo: *Noël*. Obrazek był nieskomplikowany, ale bynajmniej nie prymitywny ani naiwny. Miał styl, jakiego Clara nie widziała nigdy wcześniej. Niewymuszoną elegancję. Pewne siebie piękno.

Clara podniosła bombkę pod światło. Jak to możliwe, że malowana kula była taka świetlista? A potem przyjrzała się dokładniej. I uśmiechnęła się. Spojrzała na Petera, którego niespokojna twarz nachylała się ku jej twarzy.

– Farba jest wewnątrz. To wszystko szkło. Pomalowane od środka. Wyobrażasz sobie?

– Podoba ci się? – zapytał miękko.

– Bardzo. I kocham cię. Dziękuję ci, Peter. – Uścisnęła go, ciągle trzymając bombkę. – To musi być ozdoba choinkowa. Myślisz, że obrazek przedstawia Three Pines? Znaczący, jasne, to są trzy sosny, ale wyglądają jak te nasze na skwerze. Podejrzewam, że wszystkie wiecznie zielone drzewa w grupie wyglądają podobnie. Jestem zachwycona, Peter. Najlepszy prezent na świecie. I nie zapytam, gdzie go wynalazłeś.

Peter był wdzięczny, że nie zapytała.

Przed południem indyk z nadzieniem kasztanowym znalazł się już w piekarniku. Jego aromat i inne zapachy wypełniały cały dom wspaniałą bożonarodzeniową wonią. Clara postanowiła przejść się do bistro, po drodze mijając innych mieszkańców miasteczka. Chwilę zajmowało jej, żeby ich rozpoznać, bo prawie wszyscy dostali w prezencie gwiazdkowym nowe czapki, które zastąpiły stare, znoszone już i obgryzione przez psy i koty. Przez całą zimę domowe zwierzaki znęcały się nad pomponami, aż większość mieszkańców miasteczka wyglądała jak świece – z knotami zamiast wełnianych kul na czapkach.

W bistro Clara natknęła się na Myrnę, popijającą grzane wino. Z pewnym trudem uwolniły się z płaszczy, położyły czapki i rękawiczki na kaloryferze,

żeby były ciepłe. Zaróżowieni od mrozu jak wisienki, mieszkańcy miasteczka i ich dzieci przybywali bez przerwy na nartach biegówkach, raketach śnieżnych. Inni zjeżdżali na sankach z górki nad młynem albo sunęli na łyżwach po stawie. Niektórzy wjeżdżali właśnie na górę Saint-Rémy, żeby spędzić resztę dnia, szusując na nartach.

– Kto to? – zapytała Myrna, wskazując mężczyznę siedzącego samotnie przy barze.

– Monsieur Molson Canadian^[10]. Zawsze zamawia to samo piwo. Daje dobre napiwki – odparł Olivier, stawiając na stole dwie kawy po irlandzku dla Clary i Petera oraz kilka fajeczek lukrecjowych. – Wesołych świąt. – Ucałował ich oboje, po czym skinął głową ku nieznanemu. – Pojawił się parę dni temu.

– Pewnie wynajmuje dom – powiedziała Myrna. Zazwyczaj nie widywało się w Three Pines obcych, przede wszystkim dlatego, że rzadko się zdarzało, by ktoś trafił do miasteczka przypadkiem.

Saul Petrov sączył piwo, zagryzając je kanapką z pieczenią wołową, na bagietce, z topionym stiltonem i rukolą. Obok na talerzu znajdował się szybko znikający stos cieniutkich frytek, lekko doprawionych do smaku. Doskonałe.

Po raz pierwszy od lat Saul czuł się jak człowiek. Nie bardzo mu się chciało podchodzić do przyjaznych tubylców, ale wiedział, że kiedy to zrobi, zaproponują mu, by się przysiadł. Wyglądali na takich. Kilku już uśmiechnęło się do niego, wznosząc drinki i wypowiadając pod nosem *Santé* i *Joyeux Noël*.

Wyglądali na miłych.

Nic dziwnego, że CC ich nie znosiła.

Saul zamoczył frytkę w naczynku z majonezem i zastanawiał się, która z tych osób to ten tajemniczy artysta. Twórca niesamowitego roztopiającego się drzewa. Nie wiedział nawet, czy to kobieta, czy mężczyzna.

Zastanawiał się, czy powinien kogoś zapytać. Three Pines było takie małe, że ktoś z pewnością by mu powiedział. Chciał pogratulować artyście, postawić drinka i porozmawiać o jej czy jego sztuce i warsztacie. Pogadać o czymś twórczym, zamiast brnąć w bagno tematów, które wałkowała CC. Ale najpierw miał w Three Pines interes do załatwienia. Jak się z nim upora, znajdzie tego artystę.

– Przepraszam. – Saul odwrócił się i popatrzył na uśmiechającą się do niego z góry olbrzymią kobietę. – Mam na imię Myrna. Jestem właścicielką księgarni tu obok. Chciałam tylko powiedzieć panu, że jutro w Williamsburgu jest proszone śniadanie i mecz curlingowy. Wszyscy idziemy. To impreza dobroczynna na rzecz lokalnego szpitala. Może pan o niej nie wie, ale zapraszamy.

– Naprawdę? – Miał nadzieję, że nie brzmi tak gruboskórnie, jak się poczuł. Może obawiał się być uprzejmy? Bał się, że źle go ocenią? Że uznają za kogoś interesującego, utalentowanego i miłego.

– Śniadanie jest o ósmej w budynku Legionu Kanadyjskiego^[11], a mecz curlingowy o dziesiątej na jeziorze Brume. Mam nadzieję, że pan przyjdzie.

– *Merci.*

– *De rien. Joyeux Noël* – odpowiedziała piękną francuszczyzną. Saul zapłacił za lunch, zostawiając napiwek nawet wyższy niż zwykle, po czym wyszedł i wsiadł do samochodu, by odbyć krótką przejażdżkę pod górkę do dawnego domu Hadleyów.

Powie CC o tej imprezie. Idealnie się nada. Dokładnie tego szukał.

A jak impreza już się skończy, załatwi, co miał zrobić, może wreszcie siądzie przy jednym stoliku z tymi ludźmi.

– Znalazłaś coś?

Nadinspektor Armand Gamache nalał szklanek wody Perrier i pocałował żonę Reine-Marie w czubek głowy, pochylając się przy tym, by spojrzeć na dokument, który trzymała w ręku. Był drugi dzień świąt Bożego Narodzenia; siedzieli w jego biurze w kwaterze głównej Sûreté w Montrealu. Nadinspektor miał na sobie garnitur z szarej flaneli, koszulę i krawat, jakie zawsze nosił do biura, oraz elegancki kardigan z kaszmirowej wełny, by podkreślić, że to jednak dzień wolny. Chociaż Gamache skończył ledwo pięćdziesiątkę, było w nim coś, co nadawało mu urok Starego Świata – grzeczność, maniery, elegancja. Uśmiechnął się do żony, wpatrując się brązowymi oczami w miękką falę jej siwiejących włosów. Z miejsca, gdzie siedział, czuł leciutki zapach wody toaletowej Joy firmy Jean Patou, którą co roku dawał żonie w prezencie na Gwiazdkę. Po chwili przesiadł się na fotel naprzeciwko Reine-Marie. Jego ciało świadczyło o wielu przyjemnych posiłkach i życiu spędzonym raczej na spacerach niż na kontaktowych sportach.

Żona siedziała na drugim skórzanym fotelu, z wielką serwetką w biało-czerwonej kratę na kolanach, kanapką z indykiem w jednej ręce i plikiem papierów w drugiej. Ugryzła kęs kanapki i zsunęła okulary z nosa, pozwalając im zawisnąć na łańcuszku.

– Wydawało mi się, że coś znalazłam. Myślałam, że prowadzący śledztwo przeoczył jedno pytanie, ale w końcu je zadał.

– Jaka to sprawa?

– Labarré. Mężczyzna, którego ktoś wepchnął pod pociąg metra.

– Pamiętam. – Gamache nalał sobie trochę wody mineralnej. Wokół nich na podłodze piętrzyły się zgrabne stosy akt. – Nie wiedziałem, że ta sprawa nie została zamknięta. Nic nie znalazłaś?

– Przykro mi, kochanie. Nieszczęśliwie mi idzie w tym roku.

– Czasami po prostu nie ma czego znajdować.

Oboje podnieśli z podłogi nowe sterty akt i wrócili do pracy w pełnym porozumieniu milczeniu. To była tradycja ich drugiego dnia świąt. Przygotowywali piknikowy lunch, złożony z kanapek z indykiem, owoców oraz sera i zabierali go do biura Gamache'a w wydziale zabójstw, gdzie spędzali cały dzień, czytając o morderstwach.

Reine-Marie spojrzała na siedzącego naprzeciw męża, z głową w papierach; próbował wydobyć z nich prawdę, odnaleźć ludzką postać w suchych słowach, faktach i liczbach. W każdej z biurowych kopert krył się morderca. Te akta dotyczyły nierozwikłanych morderstw.

Kilka lat wcześniej nadinspektor Gamache skontaktował się ze swoim kolegą na równorzędnym stanowisku w montrealskiej miejskiej komendzie policji i w trakcie spotkania przy koniaku w Club Saint-Denis złożył mu propozycję.

– Wymiana, Armand? – zapytał Marc Brault. – A jak miałoby to działać?

– Proponuję drugi dzień świąt. W kwaterze głównej Sûreté jest wtedy cisza i spokój, a przypuszczam, że w twoim biurze także.

Brault skinął głową, przyglądając się Gamache'owi z zainteresowaniem. Podobnie jak większość kolegów, miał olbrzymi szacunek dla tego cichego człowieka. Tylko durnie nie doceniali Gamache'a, ale Brault wiedział, że w policji była masa durniów. Durniów z bronią, durniów posiadających władzę.

Sprawa Arnot dowiodła tego ponad wszelką wątpliwość. I niemal zniszczyła tego potężnego, myślącego człowieka, który siedział teraz naprzeciw niego. Brault zastanawiał się, czy Gamache orientował się we wszystkim, co wtedy zaszło. Zapewne nie. Armand Gamache przemówił, a jego głos był głęboki i miły dla ucha.

Brault odnotował, że ciemne włosy nadinspektora posiwiały na skroniach i przerzedziły się znacznie, czego Gamache nie próbował ukrywać. Gęste i ładnie utrzymane wąsy także posrebrzyła siwizna. Twarz naznaczyły zmartwienia, ale także uśmiechy, a oczy, spoglądające na Braulta zza okularów w kształcie półksiężyców, były pełne mądrości.

Jakże on daje radę? – zastanawiał się Brault. Jakkolwiek świat montrealskiej

policji potrafił być brutalny, nie wątpił, że w Sûreté du Québec było jeszcze gorzej. Gra toczyła się tam o wyższe stawki. A mimo to Armand Gamache awansował na szefa największego i najbardziej prestiżowego wydziału Sûreté.

Oczywiście na tym kończy się droga jego awansu. Nawet Gamache to sobie uświadamiał. Jednak w odróżnieniu od Marca Braulta, który był po prostu ambitny, nadinspektor sprawiał wrażenie usatysfakcjonowanego, a nawet zadowolonego ze swego życia. Był czas, przed sprawą Arnot, kiedy Braultowi wydawało się, że Gamache sobie nie poradzi. Ale już tak nie myślał. Teraz wiedział, co kryło się za tymi poczciwymi oczami i spokojnym obliczem.

Miał dziwne wrażenie, że Armand rozumiał wszystko, co się działo zarówno w głowie Braulta, jak i w mózgach funkcjonariuszy Sûreté.

– Proponuję, byśmy sobie nawzajem dawali akta nierozwiązanych spraw i spędzali kilka dni, czytając je, żeby zobaczyć, czy na coś nie natrafimy.

Brault upił łyk koniaku i odchylił się w fotelu, zastanawiając się. To był dobry pomysł, a zarazem niekonwencjonalny i prawdopodobnie narobiłby zamieszania, jeśliby ktoś się dowiedział. Uśmiechnął się do Gamache'a i z powrotem przechylił w fotelu.

– Dlaczego? Nie masz dość roboty przez resztę roku? Czy może desperacko szukasz powodu, żeby uciec od rodziny w święta?

– No cóż, jak wiesz, gdybym tylko mógł, przeprowadziłbym się do biura i żył kawą z automatu. Nie mam normalnego życia, a rodzina mnie nie znosi.

– O tak, to właśnie o tobie słyszałem, Armand. Tak się składa, że ja też cię nie znoszę.

– A ja ciebie.

Obaj się uśmiechnęli.

– Chciałbym, żeby ktoś zrobił coś takiego dla mnie, Marc. To bardzo proste i bardzo samolubne. Jeśli to mnie by zamordowano, wolałbym myśleć, że sprawa nie będzie tak po prostu leżeć nierozwiązana. Że ktoś się przyłoży do tego. Jak mógłbym odmówić komuś tego samego?

To było proste. I słuszne.

Marc Brault wyciągnął prawicę i uściśnął wielką dłoń Gamache'a.

– Załatwione, Armand, umowa stoi.

– Umowa stoi, Marc. Jeśli tobie by się coś przydarzyło, sprawa nie leżałaby nierozwiązana.

Takie proste słowa, a Brault nie mógł się nadziwić, jak wiele znaczyły.

Przez ostatnich parę lat dwaj mężczyźni spotykali się na parkingu przy kwaterze głównej Sûreté w drugi dzień świąt i – o ironio – wymieniali się pudełkami bynajmniej niezawierającymi prezentów. I co roku w drugi dzień świąt Armand i Reine-Marie otwierali te pudła, poszukując w nich morderców.

– Ha, to dziwne. – Reine-Marie opuściła teczkę i uchwyciła jego spojrzenie. Uśmiechnęła się i wyjaśniła: – To sprawa zaledwie sprzed kilku dni. Zastanawiam się, jak też trafiła do tej sterty.

– Gorączka przedświąteczna. Ktoś musiał się pomylić. Daj mi to, proszę, odłożę do poczty wychodzącej. – Wyciągnął rękę, ale jej wzrok znów opadł na papiery, czytała dalej. Po chwili Gamache opuścił rękę.

– Przepraszam, Armand. Tak się składa, że znałam tę kobietę.

– Nie ma za co. – Gamache odłożył swoją teczkę i usiadł obok żony. – Jak to? Co to za sprawa?

– To nie była przyjaciółka ani nic takiego. Pewnie i ty ją znałeś. Ta żebraczka ze stacji autobusowej Berri. No wiesz, ta zawsze ubrana na cebulkę w każdą pogodę. Musiała tam być przez całe lata.

Gamache skinął głową.

– Ale to i tak nie może być nierozwiązana sprawa. Mówisz, że nie żyje od zaledwie paru dni?

– Zabito ją dwudziestego drugiego. A to jest dziwne. Nie była na stacji Berri, tylko przy ulicy de la Montagne, niedaleko Ogilvy. To spory kawałek, ja wiem, z piętnaście przecznic?

Gamache wrócił na swój fotel i czekał, obserwując czytającą Reine-Marie; kilka siwiejących pasemek włosów zsunęło jej się na czoło. Miała pięćdziesiąt parę lat i była ładniejsza niż wtedy, gdy się pobrali. Prawie nie nakładała makijażu, dobrze czując się z tym, co dała jej natura.

Gamache mógł cały dzień siedzieć i patrzeć na nią. Czasami odbierał ją z pracy w Bibliothèque Nationale i specjalnie przyjeżdżał za wcześniej, żeby popatrzeć, jak żona przegląda historyczne dokumenty, z opuszczoną głową

i poważnym spojrzeniem.

A wtedy ona podnosiła wzrok i widziała, że na nią patrzy, i twarz rozjaśniał jej uśmiech.

– Została uduszona. – Reine-Marie opuściła teczkę. – Napisali tu, że miała na imię Elle. Brak nazwiska. Nie mogę uwierzyć. To obraźliwe. Nawet nie zadali sobie trudu, żeby się dowiedzieć, jak się naprawdę nazywała, więc mówią o niej „ona”.

– To nie są łatwe sprawy – powiedział nadinspektor.

– To pewnie dlatego w wydziale zabójstw nie zatrudniają przedszkolaków.

Musiał się roześmiać na takie dictum.

– Nawet nie próbowali, Armand. Spójrz na to. – Podsunęła mu teczkę. – To najcieńsza ze wszystkich tych teczek. Dla nich ta kobieta to jedynie bezdomna.

– Chcesz, żebym na to spojrział?

– Mógłbyś, proszę? Nawet tylko po to, żeby się dowiedzieć, jakie miała nazwisko.

Znalazł pudło z aktami sprawy Elle, ustawione wraz z innymi aktami od Braulta pod ścianą. Gamache założył rękawiczki i wyjął zawartość, rozkładając ją na podłodze. Wkrótce podłoga jego biura pokryta była cuchnącymi, brudnymi szmatami, których zapach przebijał nawet woń pleśniowego sera.

Obok ubrań leżały stare gazety, pozwijane i brudne. Gamache podejrzewał, że używano ich jako izolacji przed brutalną montrealską zimą. Słowa, jak wiedział, mogły dużo zdziałać, ale nie chroniły przed pogodą. Reine-Marie przyłączyła się do niego i razem przeglądali zawartość pudła.

– Wygląda, że dosłownie otoczyła się słowami – powiedziała Reine-Marie, ujmując książkę. – Wszystkie te ocieplające papiery i nawet książka.

Otworzyła ją na chybił trafił i zaczęła czytać.

Dawno martwa i pogrzebana w innym mieście, moja matka bynajmniej nie jest ze mną kwita.

– Mogę zobaczyć? – Gamache wziął książkę i spojrział na okładkę. – Znam tę poetkę. Poznałem ją. To Ruth Zardo. – Przyjrzał się okładce. *Jestem SUPER.*

– Ta z tego miasteczka, które tak ci się podobało? To jedna z twoich ulubionych poetek, prawda?

Gamache przytaknął i przejrzał początek książki.

– Tej nie mam. Musi być nowa. Nie przypuszczam nawet, żeby Elle ją przeczytała. – Spojrzał na datę wydania i zauważył dedykację: „Cuchniesz. Z miłością, Ruth”.

Gamache podszedł do telefonu i wykręcił numer.

– Czy to księgarnia Ogilvy? Dzwonię, żeby zapytać... Jasne, poczekam. – Przechylił głowę w stronę Reine-Marie i uśmiechnął się. Założyła rękawiczki do przeglądania materiału dowodowego i sięgnęła po małe, drewniane pudełko, które także znajdowało się w pudle z dowodami. Było proste i mocno zużyte. Reine-Marie odwróciła je i na denku znalazła litery.

– Co o tym myślisz? – zapytała, pokazując je Armandowi.

B KLM

– Da się otworzyć?

Lekko pociągnęła za wieczko i zajrzała do środka, a na jej twarzy odmalowało się jeszcze większe zdumienie.

Pudełko było pełne liter alfabetu.

– Może mogłabyś... Tak, słucham? – Uniósł brwi przepraszająco. – Dzwonię w sprawie najnowszej książki Ruth Zardo. Zgadza się. Wysoka frekwencja? Rozumiem. Cóż, *merci*. – Rozłączył się. Reine-Marie wysypała zawartość pudełka na biurko i układała litery w zgrabne stosiki.

Pięć kupek. Z literami B, C, M, L i K.

– Te same, co na denku, z wyjątkiem C – powiedziała. – Dlaczego te właśnie litery, i dlaczego same wielkie?

– Myślisz, że to ma znaczenie, że to same wielkie litery? – zapytał Gamache.

– Nie wiem, ale z dokumentów, nad którymi siedzę w pracy, wiem, że jeśli gdzieś używana jest seria wielkich liter, to dlatego, że każda z nich reprezentuje słowo.

– Jak KMZ albo CBS.

– Ty zawsze jak policjant... ale o to chodzi. Na przykład tytuł: *Jestem SUPER*. Jestem pewna, że to skrót, który oznacza coś innego. – Wskazała

książkę, leżącą teraz na biurku Gamache'a. – Co powiedzieli w księgarni?

– Premiera tej książki z udziałem autorki odbyła się parę dni temu w Ogilvy. Dwudziestego drugiego grudnia.

– Tego dnia, gdy umarła Elle – zauważyła Reine-Marie.

Gamache przytaknął. Dlaczego Ruth miałyby dać egzemplarz zebracze, z dedykacją „Z miłością, Ruth”? Znał starszą panią na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie szastała słowem „miłość”. Znowu sięgnął po telefon, ale ten zadzwonił, gdy tylko go dotknął.

– *Oui, allô?* Tu Gamache.

Po drugiej stronie na moment zapadła cisza.

– *Oui, bonjour?* – spróbował jeszcze raz.

– Nadinspektor Gamache? Nie spodziewałem się, że sam pan odbiera telefony.

– Jestem bardzo wszechstronny.

– Nazywam się Robert Lemieux. Jestem funkcjonariuszem dyżurnym na posterunku w Cowansville w Kantonach Wschodnich.

– Tak, pamiętam pana. Poznaliśmy się w trakcie śledztwa w sprawie śmierci Jane Neal.

– Tak jest.

– W czym mogę pomóc, młody człowieku?

– Wydarzyło się morderstwo.

Otrzymałszy wiadomość, Gamache rozłączył się i spojrzał na żonę. Siedziała na fotelu opanowana i spokojna.

– Zabrałeś kalesony?

– Tak jest, proszę pani. – Odsunął górną szufladę biurka, w której ukazał się kłęb błękitnego jedwabiu.

– Czy to nie jest szuflada, w której większość policjantów trzyma broń? – zapytała.

– W mojej opinii kalesony są wystarczającą ochroną.

– Ciesz się, że tak myślisz. – Ucisnęła go. – Zostawię cię samego, mój drogi. Masz coś do zrobienia.

Stojąc w drzwiach, przyglądała się, jak mąż telefonuje, zwrócony do niej

plecami, wyglądając przez okno na panoramę Montrealu. Obserwowała, jak poruszał się w znajomy sposób, i zauważyła, że włosy odwijają mu się lekko przy szyi, gdy mocna dłoń przytrzymuje słuchawkę przy uchu.

W ciągu dwudziestu minut Armand Gamache był w drodze na miejsce zbrodni. Jego zastępca, Jean Guy Beauvoir, siedział za kierownicą, prowadząc samochód, którym przejeżdżali przez most Champlain w kierunku autostrady prowadzącej do Kantonów Wschodnich.

Gamache spoglądał przez okno kilka minut, po czym znów otworzył książkę, by dokończyć wiersz, który Reine-Marie zaczęła czytać mu na głos.

Gdy śmierć nas rozdzieli,

Spotkają się ponownie ci, co wybaczą, i ci, którym wybaczą.

Czy może, jak zawsze, będzie już za późno?

– Nazywała się Cecilia de Poitiers – powiedział Robert Lemieux w odpowiedzi na pytanie Gamache’a. – Ale wszyscy nazywali ją CC. To stało się tutaj, sir. – Lemieux starał się nie brzmieć zbyt entuzjastycznie. Lepiej byłoby nie sprawiać także wrażenia zblazowanego. Wyprostował się i próbował wyglądać, jakby wiedział, co robi.

– Tutaj? – Gamache pochylił się nad śniegiem.

– Tak jest.

– Skąd pan wie? – zapytał Jean Guy Beauvoir. – Jak dla mnie wszystko to wygląda tak samo.

I wyglądało. Wszędzie pełno śladów stóp na śniegu. Równie dobrze przez miejsce zbrodni mogła przemaszerować parada Świętego Mikołaja. Beauvoir naciągnął niżej czarną narciarską czapkę i zsunął nauszники na uszy. Wybrał najlepszą z czapek, jakie mógł znaleźć: prezentowała się w miarę atrakcyjnie, a przy tym była prawie ciepła. Jean Guy Beauvoir pozostawał w nieustannym konflikcie z samym sobą w kwestii tego, czy ubierać się tak, by móc wyeksponować smukłą, atletyczną sylwetkę, czy raczej nie pozwolić, by zmarzł mu zgrabny tyłek. W zimie w Quebecu było praktycznie niemożliwe, by wyglądać atrakcyjnie i jednocześnie nie marznąć. Jean Guy Beauvoir pomyślał, że może lepiej przypominać głupka w ciepłej kurtce i tej durnej czapce. Przyglądał się Gamache’owi, który był taki elegancki, i zastanawiał się, czy nadinspektor marznie tak samo jak on i tylko tego nie okazuje. Jego szef miał na sobie szarą czapkę, żółty kaszmirowy szalik i polarną kurtkę parkę w odcieniu khaki. Sprawiał wrażenie, że jest mu ciepło. Beauvoir nie mógł się nadziwić, jak atrakcyjnie wyglądało to ciepłe odzienie. Zaczynał podejrzewać, że tylko on prezentował się śmiesznie. Odegnął jednak od siebie tę wysoce nieprawdopodobną myśl, podczas gdy lodowaty wiatr przeszył na wskroś jego elegancką lotniczą kurtkę i wniknął głęboko w kości. Inspektor zatrząsł się

i potupał w miejscu. Stali na zamrożonym jeziorze, ponurym i zimnym. Brzeg był o sto metrów przed nimi, a drugi widzieli jako ciemny pasek w oddali. Beauvoir wiedział, że po ich lewej stronie, za poszarpanym kawałkiem lądu, leży miasteczko Williamsburg, ale gdy tak stali, miał wrażenie, że znajdują się bardzo daleko od cywilizacji. A przynajmniej znajdowali się w miejscu, gdzie wydarzyło się coś zdecydowanie niecywilizowanego.

Ktoś został zamordowany, właśnie tutaj.

Wstyd, że nikt sobie tego w tej chwili nie uświadamiał.

– Niech pan mi opowie, co pan wie – zwrócił się Gamache do Lemieux.

To był jeden z ulubionych momentów Beauvoira. Początek kolejnej zagadki. Ale Gamache rozumiał, że ta zagadka, jak wszystkie morderstwa, narodziła się dawno temu. To nie był ani jej początek, ani koniec. Nadinspektor postąpił kilka kroków po zamrożonym jeziorze; jego buty starły cienką pokrywę śniegu i dotknęły miękkiej warstwy poniżej. Poczł znajome łaskotanie na kostkach – śnieg nasypał mu się do butów.

– Według relacji świadków ofiara po prostu upadła – powiedział Lemieux, przyglądając się nadinspektorowi i próbując zgadnąć, czy był usatysfakcjonowany jego odpowiedziami. Gamache wyglądał, jakby czuł dyskomfort, i w głębi ducha Lemieux się skrzywił. Czy już zrobił coś nie tak?

– Świadkowie próbowali ją reanimować, sądzili, że to atak serca, a potem załadowali ją na ciężarówkę i zabrali do szpitala.

– I zdeptali całe miejsce zbrodni – wtrącił Beauvoir, jakby to była wina Lemieux.

– Tak jest. Myślę, że robili, co mogli.

Lemieux oczekiwał kolejnej nagany, ale ta nie nadeszła. Zamiast tego Beauvoir westchnął, a Gamache poprosił, by Lemieux mówił dalej.

– Lekarz z pogotowia, doktor Lambert, zadzwonił po policję pół godziny później. Około jedenastej trzydzieści dziś rano. Powiedział, że ta śmierć była podejrzana. Wezwał coronera, bo wyglądało, że ofiara została porażona prądem. Jak wspomniałem, lekarz oficjalnie określił ten zgon jako podejrzanym; musi tak zrobić, dopóki nie zostanie orzeczone, że to zabójstwo. Kiedy przybyliśmy na miejsce, stwierdził, że nie ma wątpliwości. Została

zamordowana.

– Proszę wspominać ją z nazwiska – powiedział nadinspektor bez irytacji. – Musimy postrzegać madame de Poitiers jako osobę.

– Tak jest. Ona, pani de Poitiers, została śmiertelnie porażona prądem, właśnie tutaj.

Brzmiało to dla Gamache’a dziwnie już wtedy, kiedy usłyszał wiadomość w biurze, ale teraz, gdy stał na miejscu zajścia, cała historia wydała się jeszcze dziwniejsza.

Jak ktoś może zostać śmiertelnie porażony prądem na środku zamrożonego jeziora? Kiedyś dawało się zabić kogoś prądem w wannie, ale to było, zanim większość urządzeń wyposażono w automatyczny system wyłączający je w takich przypadkach. W dzisiejszych czasach, jeśli ktoś wrzuci współmałżonkowi toster do kąpielii, będzie miał wywalone korki, skutecznie popsute urządzenie i bardzo wkurzonego ukochanego czy ukochaną. Nie. Obecnie było praktycznie niemożliwością śmiertelnie porazić kogoś prądem – no chyba że jest się gubernatorem Teksasu. Ale to kompletny obłęd robić coś takiego na zamrożonym jeziorze, w obecności dziesiątków świadków. Ktoś musiał być kompletnym wariatem, by tego próbować, i absolutnym geniuszem, żeby mu się udało.

Jak to możliwe? Gamache odwrócił się z wolna, ale nie zobaczył nic nowego. Z całą pewnością nie widać było żadnych staroświeckich telewizorów czy tosterów, dymiących na lodzie. Na śniegu stały za to trzy aluminiowe krzesła ogrodowe, z których jedno było przewrócone. Nad krzesłami górowało coś, co wyglądało jak gigantyczny chromowany grzyb pięciometrowej wysokości. Jakieś sześć, siedem metrów dalej stały drewniane trybuny z ławkami.

Wszystko to zwrócone było w stronę otwartej przestrzeni na jeziorze, o szerokości około siedmiu metrów tuż przed trybuną. Nadinspektor podszedł w tamtą stronę, starając się omijać głęboki śnieg – i zobaczył długi i wąski prostokąt, na którym rozrzucono duże okrągłe kamienie.

Curling.

Gamache nigdy nie uczestniczył w meczu curlingowym, ale oglądał Brier^[12] w telewizji i widział dość, by rozpoznać kamienie curlingowe. Lodowisko miało w sobie teraz coś niesamowitego, jak to zwykle bywa z opuszczonymi

miejskami. Nadinspektor prawie słyszał dźwięk sunących po lodzie kamieni, głosy członków obu drużyn, nawołujących do siebie. Jeszcze parę godzin wcześniej to miejsce było pełne radosnych ludzi. Z wyjątkiem jednej osoby, tak nieszczęśliwej, udreźnionej i chorej, że musiała pozbawić kogoś życia. Gamache próbował sobie wyobrazić, co robiła ta osoba. Gdzie siedziała? Czy na trybunie z innymi, czy z daleka od reszty, wiedząc, że ma popełnić czyn, który na zawsze naznaczy ją innością? Czy była podekscytowana, czy przerażona do skrajnego obłędu? Czy zaplanowała zbrodnię w najmniejszym detalu, czy też opanowała ją wściekłość tak wielka, że musiała to zrobić? Gamache stał całkiem bez ruchu i pilnie nasłuchiwał, czy aby nie usłyszy głosu mordercy, czy nie odróżni się on od widmowego śmiechu dzieci i przyjacielskich nawoływań graczy.

Ale go nie usłyszał. Jeszcze nie.

A może nie było żadnych głosów, tylko wiatr gnał po lodowej powierzchni jeziora, wzbijając tumany śniegu i tworząc małe zamrożone fale.

Technicy otoczyli miejsce zajścia żółtą policyjną taśmą i obfotografowali każdą piędź terenu, podnosząc wszystko, co wyglądało choćby trochę jak dowód rzeczowy. Mierzyli to, co znaleźli, wkładali do torebek, zbierali odciski palców – co nie było łatwym zadaniem przy temperaturze minus dziesięć stopni. Gamache wiedział, że ścigają się z czasem. Zegar wskazywał prawie wpół do trzeciej po południu, trzy godziny od morderstwa, a żywoły nie dawały za wygraną. Każde miejsce zbrodni było trudne, ale jezioro w środku zimy było trudniejsze niż cokolwiek innego.

– Jak ktoś mógł zostać tutaj śmiertelnie porażony prądem? – zapytał Beauvoir z irytacją. – Co mówią świadkowie?

– Mecz curlingowy zaczął się koło dziesiątej – powiedział Lemieux, zaglądając do notatek. – Musiało być koło wpół do jedenastej, kiedy ludzie się zeszli. Niemal wszyscy byli na trybunie, ale ofiara i jeszcze jedna kobieta siedziały na tych krzesłach.

– Czy ofiara siedziała na tym, które się przewróciło? – zapytał Beauvoir.

– Nie wiem. – Lemieux był zdruzgotany, że musiał to przyznać. Co zadziwiające, po raz pierwszy Gamache popatrzył na niego uważnie, nie tylko z uprzejmym zainteresowaniem. – Wszyscy zorientowali się, że jest problem dopiero wtedy, kiedy ta druga kobieta zaczęła krzyczeć. Z początku nikt jej nie słyszał, bo na lodowisku był hałas.

– Szał radości na trybunach? – zapytał Beauvoir z niedowierzaniem. Jedyna radość, jaką potrafił sobie wyobrazić w kontekście curlingu, to ta przed opuszczeniem stadionu.

– Chyba ktoś oddał dobry strzał – zasugerował Lemieux.

– Nie ma co zgadywać – powiedział cicho Gamache.

– Tak jest. – Lemieux pochylił głowę i starał się nie okazywać, jak bardzo go zabolęła ta uwaga. Nie chciał wyglądać na nadmiernie rozentuzjasmowanego uczniaka. To był delikatny moment, a chciał zrobić właściwe wrażenie.

– Kiedy ludzie się zorientowali, co zaszło, próbowali reanimować panią de Poitiers. Na miejscu było kilku członków ochotniczej straży pożarnej.

– Czy także Ruth Zardo? – zapytał Gamache.

– Skąd pan wie?

– Poznałem ją przy okazji poprzedniego śledztwa. Czy nadal jest komendantem ochotniczej straży pożarnej w Three Pines?

– Tak jest. Przyszła razem z kilkoma innymi członkami straży. Olivier Brulé, Gabri Dubeau, Peter i Clara Morrowie...

Gamache uśmiechnął się na dźwięk tych nazwisk.

– ...próbowali reanimacji, a potem załadowali ofiarę na zaparkowaną niedaleko ciężarówkę i zabrali do Cowansville, gdzie orzeciono jej zgon.

– Skąd lekarz wiedział, że została śmiertelnie porażona prądem? – zapytał Beauvoir.

– Po oparzeniach. Jej dłonie i stopy były spalone.

– I nikt tego nie zauważył, gdy ją reanimowali? – dopytywał Beauvoir.

Lemieux uznał, że lepiej zignorować to pytanie. Po chwili relacjonował dalej:

– Madame de Poitiers miała męża i córkę. Byli na miejscu i pojechali z nią do szpitala. Tu jest ich nazwisko i adres.

– Ile osób widziało, co się stało? – chciał wiedzieć Gamache.

– Ze trzydzieści, może więcej. To doroczny *funspiel*^[13]. Przed meczem jest zawsze przyjęcie śniadaniowe w siedzibie Legionu.

Wszędzie wokół pracowali teraz śledczy z wydziału dowodowego, którzy co jakiś czas zatrzymywali się, by podejść do Gamache'a z pytaniem albo uwagą. Beauvoir poszedł nadzorować pracę nad zbieraniem dowodów

rzeczowych, a Gamache zatrzymał się na lodzie, by przyjrzeć się, jak pracuje jego zespół, po czym zaczął z wolna okrążyć miejsce zbrodni niespiesznym krokiem, z rękami w rękawiczkach splecionymi za plecami. Lemieux przyglądał się nadinspektorowi, który najwyraźniej przebywał we własnym świecie.

– Proszę pójść ze mną. – Nadinspektor zatrzymał się i odwrócił tak gwałtownie, że złapał spojrzenie młodego funkcjonariusza gapiącego się prosto w jego żywe, brązowe oczy. Drepcąc po śniegu, Lemieux dogonił Gamache’a i szedł obok, zastanawiając się, czego od niego oczekują. Po minucie lub dwóch uświadomił sobie, że może wszystko, co musi robić, to dotrzymać nadinspektorowi towarzystwa. Tak więc Lemieux także złożył ręce za plecami i powoli chodził w kółko po miejscu zbrodni, aż wydeptał w śniegu ścieżkę – a leżące pośrodku kolistego szlaku mniejsze kółko, jak dziesiątka w tarczy, oznaczało miejsce, gdzie umarła CC de Poitiers.

– Co to? – odezwał się w końcu Gamache, wskazując wielki parasol, górujący nad sceną jak bardzo malutki i zmrożony grzyb atomowy.

– To grzejnik, sir. Tak jak lampa uliczna, tyle że emanuje ciepłem.

– Widziałem takie na *terrasses* w mieście Quebec – powiedział nadinspektor, przypominając sobie lampki wina, sączone na starych, kamiennych *terrasses* w Vieux Québec oraz grzejniki, które pozwalały ludziom cieszyć się kolacjami na otwartym powietrzu aż do wczesnej jesieni. – Ale tamte są znacznie mniejsze.

– Większość jest mniejsza. To jest model przemysłowy. Używa się takich w zimie na placach budowy albo na niektórych imprezach sportowych. Wydaje mi się, że ten został wypożyczony od ligi hokejowej trampkarzy w Williamsburgu. Większość ich meczów jest rozgrywana na wolnym powietrzu i kilka lat temu urządzili wielką zbiórkę pieniędzy, bo chcieli zbudować trybuny i kupić coś, żeby widzowie nie marzli na meczach.

– Czy pan pochodzi z tej okolicy?

– Tak jest. Wychowałem się w Saint-Rémy. Moja rodzina się wyprowadziła, ale ja chciałem wrócić po ukończeniu akademii policyjnej.

– Dlaczego?

Dlaczego? To pytanie zaskoczyło Lemieux. Nikt go nigdy o to nie pytał. Czy to jakiś test, jakiś fortel, który Gamache chciał na nim przećwiczyć? Lemieux

spojrzał na dużego mężczyznę stojącego przed nim i zdecydował, że raczej nie. Nadinspektor nie wyglądał na kogoś, kto musi uciekać się do forteli. Mimo to prawdopodobnie najlepiej było udzielić dyplomatycznej odpowiedzi.

– Chciałem pracować dla Sûreté i pomyślałem, że będę miał przewagę nad innymi, zostając tutaj, bo znam tu tak wielu ludzi.

Gamache przyglądał mu się przez niezręcznie długi moment, po czym odwrócił się, by popatrzeć na industrialny grzejnik. Lemieux odprężył się odrobinę.

– To musi być urządzenie elektryczne. Prawdopodobnie prąd, który zabił panią de Poitiers, pochodził z niego. A jednak stała daleko od grzejnika, kiedy padła na ziemię. Zastanawiam się, czy to możliwe, że grzejnik był źle podłączony, madame de Poitiers w jakiś sposób weszła z nim w kontakt i zdołała odejść kilka kroków dalej, zanim się przewróciła? Jak pan myśli?

– Mogę zgadywać?

Gamache się roześmiał.

– Tak, ale proszę nie mówić tego inspektorowi Beauvoirovi.

– Ludzie w tej okolicy cały czas używają generatorów prądu. Każdy ma takie urządzenie. Myślę, że to niewykluczone, że ktoś podłączył do niego CC.

– To znaczy użył kabla z krokodylkami i przypiął ją do generatora? – Gamache starał się, by w jego głosie nie zabrzmiało niedowierzanie, ale to nie było łatwe. – Nie sądzi pan, że by to zauważyła?

– Nie, jeśli oglądała curling.

Wyglądało na to, że młody Lemieux i nadinspektor Gamache różnili się zasadniczo w swoim doświadczeniu dotyczącym curlingu. Gamache lubił oglądać finały ogólnokrajowe w telewizji – w Kanadzie był to praktycznie obowiązek – ale nie dostrzegał w tym sporcie nic porywającego. Jeśli Reine-Marie nagle włączyłaby generator elektryczności i przypięła mu do uszu parę wielgachnych krokodylków, z pewnością by to zauważył.

– Jakież inne pomysły?

Lemieux potrząsnął głową i starał się sprawić wrażenie, że myśli bardzo intensywnie.

Jean Guy Beauvoir odłączył się od grupy z laboratorium kryminalistycznego i przyłączył do Gamache'a, który stał teraz nieopodal grzejnika.

– Jak to się zasilą, Jean Guy?

– Nie mam pojęcia. Zebraliśmy z niego odciski i obfotografowaliśmy, więc może pan dotknąć.

Obaj mężczyźni krążyli wokół grzejnika, na przemian schylając się i zadzierając głowy ku niebu, jak dwaj mnisi na bardzo krótkiej pielgrzymce.

– Tu się go włącza. – Gamache wcisnął przełącznik. Jak nietrudno było przewidzieć, nic się nie stało.

– Jeszcze jedna zagadka. – Beauvoir się uśmiechnął. – Czy to się kiedyś skończy?

Gamache popatrzył w stronę Lemieux, który siedział na trybunie, chuchał w zmarznięte dłonie i pisał w notatniku. Nadinspektor poprosił go, żeby uporządkował swoje notatki.

– Co pan o nim myśli?

– O Lemieux? – zapytał Beauvoir i serce mu się ścisnęło. – Jest w porządku.

– Ale...?

Skąd Gamache wiedział, że jest jakieś „ale”? Nie po raz pierwszy Beauvoir miał nadzieję, że przełożony nie czyta w jego myślach, bo była w nich masa śmieci. Jak mawiał dziadek Beauvoira: „Nie chcesz samotnie wędrować po własnej głowie, *mon petit*. To bardzo przerażające miejsce”.

Ta lekcja utkwiała mu w pamięci. Beauvoir spędzał bardzo niewiele czasu na analizowaniu własnych myśli, a jeszcze mniej na zastanawianiu się nad cudzymi. Preferował fakty, dowody, to, co mógł zobaczyć, czego mógł dotknąć. Teraz zastanawiał się, czy nadinspektor nie odkrył metody zagładania w jego głowę. Mógł tam znaleźć masę kompromitujących rzeczy. Więcej niż trochę pornografii. Fantazję albo dwie na temat Isabelle Lacoste. Nawet jedną z udziałem Yvette Nichol, koszmarnej stażystki sprzed roku. Ta fantazja dotyczyła wybebeszenia jej. Ale jeśli Gamache myszkował w głowie Beauvoira, znalazłby tam wyłącznie szacunek dla własnej osoby. A jeśli by grzebał wystarczająco długo, dotarłby w końcu do miejsca, które Beauvoir próbował ukryć nawet przed samym sobą. Tam czekały lęki Beauvoira, wygłodniałe i cuchnące. Tam też, skryta pod strachem przed odrzuceniem i lękiem przed bliskością, pełzała obawa, że któregoś dnia utraci Gamache’a. Tuż obok tego lęku, w tym ukrytym miejscu, siedziało coś jeszcze. To tu ukrywała się miłość,

jaką czuł do niego Beauvoir, zwinięta dla bezpieczeństwa w małą kulkę i zatoczona w najciemniejszy zakątek umysłu.

– Myślę, że za bardzo się stara. Coś tu nie tak. Nie ufam mu.

– Czy to dlatego, że bronił mieszkańców miasteczka, którzy próbowali pomóc pani de Poitiers?

– Oczywiście, że nie – skłamał Beauvoir. Nienawidził, kiedy kwestionowano jego słowa, a już szczególnie, gdy robił to taki dzieciak. – Wydaje się tylko, że to ponad jego możliwości, a nie powinno być. Nie jako funkcjonariusza Sûreté.

– Ale nie szkolono go w zakresie zabójstw. Jest jak lekarz rodzinny, któremu nagle przyszło przeprowadzić na kimś operację. Teoretycznie powinien być w stanie to zrobić, ma pewnie do tego lepsze przygotowanie niż kierowca autobusu, ale to nie jest jego robota. Nie wiem, jak dobrze bym sobie radził, gdyby nagle przeniesiono mnie do antynarkotykowego albo do spraw wewnętrznych. Przypuszczam, że popełniłbym parę błędów. Nie, uważam, że Lemieux poradził sobie całkiem nieźle.

Zaczyna się – pomyślał Beauvoir.

– Nieźle to nie jest dość dobrze – powiedział. – Bardzo nisko ustawia pan poprzeczkę, sir. To jest wydział zabójstw. Elitarny oddział Sûreté. – Widział, że Gamache się jeży, jak zawsze, kiedy była o tym mowa. Z jakiegoś niepojętego dla Beauvoira powodu Gamache miał opory przed stwierdzeniem oczywistości. Nawet kierownictwo przyznawało, że tak jest. Do wydziału zabójstw trafiali najlepsi z najlepszych, najbardziej inteligentni, najodważniejsi. Co rano opuszczali komfort swoich domostw, całowali na pożegnanie dzieci i ruszali w świat, by ścigać tych, którzy z rozmysłem zabijali. Tu nie było miejsca dla słabych. A stażyści jeszcze nie zdążyli stać się silni. Słabość prowadziła do popełniania błędów, a z nich wynikały tragiczne skutki. Morderca mógł uciec i zabić ponownie, może nawet policjanta. Beauvoira albo kogoś innego, a może nawet Armanda Gamache'a. Pewnego dnia ta chęć pomocy młodemu funkcjonariuszowi może go kosztować życie. Inspektor poczuł falę złości na człowieka, który stał przed nim.

– Dyskutowaliśmy o tym wcześniej, sir – powiedział twardym, gniewnym głosem. – To jest zespół. Pański zespół, i zawsze zrobimy, co pan każe. Ale proszę, niech pan nie wymaga ode mnie entuzjazmu dla żółtodziobów.

– Ale nie mogę przestać, Jean Guy. Znalazłem pana w oddziale Trois-Rivières, pamięta pan?

Beauvoir przewrócił oczami.

– Siedzieliśmy nad trzcina w koszyku.

– Trawą, sir. Ile razy muszę panu powtarzać, że to była trawa. Gandzia. Siedziałem między stertami marihuany, którą skonfiskowaliśmy. To nie był kosz, tylko papierowe wiaderko. Z Kentucky Fried Chicken. I mnie w nim nie było.

– Teraz mi głupio, bo powiedziałem naczelnikowi Brébeufowi, że znalazłem pana w koszyku. Ojej. Ale pamięta pan, co? Był pan żywcem pogrzebany pod dowodami rzeczowymi. A dlaczego? Dlatego, że tak pan wszystkich wkurzał, że przydzielono pana na stałe do magazynu dowodów.

Inspektor codziennie przywoływał tamte chwile. Nigdy nie zapomniał, że go uratowano. Że uratował go ten wielki mężczyzna, który stał naprzeciw, nienagannie ubrany, z siwiejącymi włosami, z oczami w najgłębszym odcieniu brązu.

– Był pan znudzony i wściekły. Przyjąłem pana, kiedy nikt inny pana nie chciał – przypomniał cicho Gamache, żeby nikt więcej nie mógł usłyszeć. Mówił z nieskrywanym uczuciem. Do Beauvoira wróciła nagle lekcja, od wspomnienia której zawsze próbował uciec. Nadinspektor był najlepszy, najmądrzejszy, najdzielniejszy, najsilniejszy, ponieważ nie bał się samotnie zajrzeć we własną głowę, pootwierać tam wszystkich drzwi, dotrzeć w najciemniejsze kąty. I zaprzyjaźnić się z tym, co tam znalazł. Zaglądał też w mroczne zakamarki umysłów innych. W umysły morderców. Mierzył się ze wszystkimi potworami, jakie tam napotkał. Szedł w miejsca, o których istnieniu Beauvoirovi nawet się nie śniło.

To dlatego Gamache był ich szefem. Jego szefem. Dlatego go kochał. I to dlatego właśnie Jean Guy Beauvoir codziennie walczył, próbując chronić tego człowieka, który bez ogródek pokazywał, że nie potrzebuje i nie chce ochrony. Co więcej, Gamache próbował codziennie przekonać Beauvoira, że jest coś niegodnego w chronieniu się, że to pułapka. Że jedynie zasłania widok na okropności, które nadciągają w naszą stronę. Że lepiej je widzieć i stawić im czoła. Nie ma co się chować za zbroją, która, jak przyjdzie co do czego, i tak nie

da ochrony. Nie przeciwko temu, co ścigali.

– Ale powiem panu coś, Jean Guy. – Teraz Gamache uśmiechnął się promiennie. – Jeśli pan nie chce Lemieux, to ja go wezmę. Nie będę pana zmuszał do pracy z nim.

– Dobra, niech pan go przyjmie, ale proszę nie biec do mnie z płaczem, jeśli się okaże, że to on jest mordercą.

Gamache się roześmiał.

– Muszę przyznać, że dokonałem wielu złych wyborów, szczególnie ostatnio – miał na myśli funkcjonariuszkę Yvette Nichol, choć nie powiedział tego głośno – ale to byłby najgorszy z możliwych. Lepiej jednak zaryzykować niż żyć w strachu.

Gamache poklepał Beauvoira po ramieniu z niewymuszoną sympatią, która niemal odebrała inspektorowi dech. Po czym odszedł, podążając zdecydowanym krokiem przez lód i pozdrawiając innych śledczych skinieniem głowy, zmierzając w stronę Roberta Lemieux, by uszczęśliwić go – na dziś, na cały tydzień, na resztę zawodowej kariery.

Beauvoir przyglądał się, jak Gamache spokojnie przemawia do Lemieux. Widział, jak twarz młodego człowieka otwiera się w takim zdumieniu, jakby ukazał mu się anioł. Beauvoir obserwował ten wyraz na twarzach wielu ludzi, którzy rozmawiali z Gamache'em. Nikt nigdy nie patrzył w taki sposób na Beauvoira.

Inspektor potrząsnął w zdumieniu głową i wrócił do swoich zadań.

10

– Zobacz, kto przyszedł! – zawołał Peter z kuchni. Clara zamknęła książkę i przyłączyła się do męża stojącego przy zlewie. Odsłaniając firanki, widziała znajomą postać zmierzającą ścieżką do ich domu, a obok kogoś jeszcze.

Obcego.

Clara pospieszyła do sieni, by otworzyć drzwi, przestępując nad Lucy, która nie przejawiała żadnego zainteresowania chronieniem ich domostwa. Jedyną osobą, na którą czekała, była Ruth, i to też tylko dlatego, że Ruth czekała na nią.

– Nie za ciepło dla pana?! – zawołała Clara.

– Słyszę, że śnieg ma spaść – odpowiedział Gamache.

Clara się uśmiechnęła. Nie widziała go od ponad roku, od czasu morderstwa Jane. Czasem zastanawiała się, czy otworzą się stare rany, jeśli znowu zobaczy nadinspektora. Czy zawsze będzie go łączyć z tamtymi, okropnymi czasami? Nie tylko ze śmiercią Jane, ale i z tymi przerażającymi minutami, podczas których była uwięziona w piwnicy dawnego domu Hadleyów? Teraz jednak, obserwując jego przybycie, czuła radość. I komfort. Zapomniała już, jaka to przyjemność słuchać nienagannej angielszczyzny, zabarwionej lekkim brytyjskim akcentem. Zamierzała zapytać, gdzie się tego nauczył, ale ciągle zapominała.

Gamache ucałował Clarę w oba policzki i z sympatią uścisnął prawicę Petera.

– Pozwólcie, że przedstawię funkcjonariusza Roberta Lemieux. Odstąpiła nam go Sûreté z Cowansville.

– *Enchanté* – przywitał się Lemieux.

– *Un plaisir* – odparła Clara.

– Więc to było morderstwo – powiedział Peter, odbierając od nich płaszcze. Pojechał z CC do szpitala i zanim tam dotarli, wiedział, że kobieta nie żyje. Był

na lodowisku curlingowym, obserwując wspaniały, ostatni strzał Matki, kiedy spojrzał w stronę trybuny i zauważył, że tłum, który powinien był obserwować zawodników, wstaje z miejsc i przygląda się czemuś zupełnie innemu. Upuścił szczotkę i pobiegł w tamtą stronę.

CC de Poitiers leżała nieprzytomna na śniegu.

Wszystkie mięśnie miała napięte, jak gdyby walczyła z jakąś siłą.

Próbowali ją reanimować, wezwali karetkę, aż w końcu doszli do wniosku, że szybciej będzie, jeśli sami zabiorą ją do szpitala. Załadowali więc kobietę na otwartą pakę pikapa Billy'ego Williamsa i jak wariaci pognali do Cowansville, podskakując i ślizgając się po zaśnieżonych bocznych drogach. Peter, Olivier i Ruth ulokowali się na pace, w szoferce obok Billy'ego siedzieli nieruchawy mąż CC i jej córka. Gapili się w przestrzeń. Milczący i nieruchomi jak bałwany. Peter wiedział, że to nieładnie tak myśleć, ale nie mógł opanować złości na człowieka, który palcem nie kiwnął, by ratować żonę, podczas gdy całkiem obcy ludzie robili wszystko za niego.

Olivier rytmicznie naciskał i zwalniał pierś CC, masując jej serce. Ruth liczyła uciski. A Peterowi trafiła się najgorsza robota. Musiał dmuchać w jej martwe płuca. Bo były martwe. Wszyscy to wiedzieli, ale nie ustawiali w wysiłkach, podczas gdy Billy wpadał na wszystkie dziury i płachty lodu na szosie między Williamsburgiem a Cowansville. Klęcząc na lodowatej metalowej podłodze, Peter czuł, jak sam się unosi na każdym wyboju i spada na kolana, objając je i siniacząc za każdym razem coraz bardziej. Ale mimo to nie dawał za wygraną. Nie dla CC. Nie dlatego, że tuż obok Olivier cierpiał ten sam los. Ruth, pewnie i czule podtrzymująca głowę CC, także klęczała; jej bolące biodro i stare kolana tłukły o podłogę, a głos łamał się za każdym razem, gdy liczyła uciski.

Kontynuował reanimację, przyciskając ciepłe usta do coraz bardziej zimnych i sztywnych warg CC, aż w końcu miał takie uczucie, jak wtedy, gdy jako dziecko pocałował kijki narciarskie. Ot tak, żeby zobaczyć, jak to jest. Były tak zimne, że aż parzyły i nie mógł oderwać od nich ust. W końcu udało mu się je odkleić, zostawiając na kijkach cieniutką warstwę skóry. Usta mu krwawiły; rozejrzał się szybko dookoła, by upewnić się, że nikt nie widział.

Teraz miał wrażenie, że jeśli będzie dłużej reanimował CC, to jego wilgotne usta przylepią się do jej ust jak przyspawane i utknie tak – aż w końcu oderwie

się, na zawsze zostawiając na niej odrobinę siebie w krwawym pocałunku życia.

To było najobrzydliwsze, co musiał w życiu zrobić, tym bardziej, że nawet za jej życia Peter uważał CC za odstręczającą osobę. Śmierć niewiele zmieniła.

– Pani de Poitiers została zamordowana, rozmyślnie porażono ją prądem – powiedział Gamache.

– Wiedziałaś, że lekarze podejrzewali morderstwo – zwróciła się Clara do męża.

– Słyszałem, jak doktor Lambert rozmawiał z policją. Zaraz, czy to był pan?

– Peter zapytał Lemieux.

– *Oui, monsieur*. Ja też pana rozpoznałem. Jak mi się wydaje, spotkaliśmy się na kilku lokalnych imprezach.

– To z pewnością niewykluczone. Porażenie prądem – rzekł Peter z zastanowieniem. – Hmmm. Ten zapach. Grill.

– Wiesz co, teraz, kiedy o tym wspomniałeś, ja też to pamiętam – dodała Clara z obrzydzeniem. – Było takie zamieszanie, że ciężko sobie coś przypomnieć.

– O to właśnie chcę was prosić – powiedział Gamache, dając znak Lemieux, żeby robił notatki.

Peter wprowadził ich do przytulnego salonu i wrzucił brzozone polano do kominka; ogień zatrząskał i podniósł się, gdy płomienie objęły korę. Gamache po raz kolejny zauważył miodowe podłogi z szerokich sosnowych desek, okna ze szprosami, wychodzące na skwer miejski, pianino i zajmującą całą ścianę biblioteczkę. Naprzeciw paleniska stała sofa, a po bokach dwa fotele. Na pufach leżały stare gazety, magazyny i rozłożone książki. Jediną nieznaną rzeczą w znajomym wnętrzu była dla Gamache'a olbrzymia, barwnie udekorowana choinka, emanująca słodkim zapachem. Clara weszła do salonu, niosąc tacę z herbatą i biszkoptami; wszyscy czworo zasiedli wokół ciepłego kominka. Na zewnątrz zachodziło słońce, a na bladym horyzoncie zbierały się chmury.

– Od czego mamy zacząć?

– Od dzisiejszego ranka, jeśli mogę prosić. Rozumiem, że najpierw było przyjęcie śniadaniowe?

– W budynku Królewskiego Legionu Kanadyjskiego, przy ulicy Larry

w Williamsburgu. Przyszliśmy tam z Peterem wcześniej, żeby pomóc w przygotowaniach. To impreza dobroczynna na rzecz szpitala.

– Dotarliśmy tam koło siódmej dziś rano – kontynuował opowieść Peter – a prócz nas także inni ochotnicy. Myrna Landers, Émilie Longpré, Bea Mayer i Kaye Thompson. Mamy to już obcykane. Razem z Clarą rozstawiamy stoliki i krzesła, podczas gdy reszta nastawia kawę i przygotowuje jedzenie.

– Szczerze powiedziawszy, w drugi dzień świąt mało kto jest naprawdę głodny. Goście płacą po dziesięć dolarów i dostają śniadanie z nieograniczonymi dodatkami – powiedziała Clara. – Ja i Peter gotujemy, a Em i Kaye podają. Kaye ma chyba ze dwieście lat i ciągle jest w stanie pomagać, choć teraz zwykle wybiera coś, co może robić na siedząco.

– Jak na przykład dyrygowanie wszystkimi – wtrącił Peter.

– Tobą nigdy nie dyryguje, to należy do mnie – zauważyła Clara. – Kaye to robi w czynie społecznym.

– Piękna obywatelska postawa – rzekł Peter z miną wiecznego cierpiętnika.

– A co robili inni? – zapytał Gamache.

Lemieux był zaskoczony tym pytaniem. Jeśli będą dociekać szczegółów, które na dodatek wydarzyły się całe godziny przed morderstwem, niedługo zabraknie mu miejsca w notatniku. Próbował pisać mniejszymi literami.

– Kto nam został? – Peter zwrócił się do Clary.

– Myrna Landers i Bea Mayer.

– Beta? – zapytał Lemieux.

– Ma na imię Beatrice, ale wszyscy mówią na nią Bea. – Peter przeliterował „Beatrice” dla Lemieux.

– Właściwie to wszyscy mówią na nią Matka – powiedziała Clara.

– Dlaczego? – spytał Gamache.

– Ciekawe, czy pan zgadnie.

Lemieux popatrzył na szefa, żeby zobaczyć, czy irytuje go jej nonszalancki i poufały ton, ale nadinspektor się uśmiechał.

– Co robiły przy śniadaniu Myrna i Bea? – dopytywał Gamache.

– Sprzątały stoliki, podawały kawę i herbatę – odpowiedział Peter.

– Och, tak – dodała Clara. – Herbatkę Matki. Jakiś ziołowy napar. Paskudny.

Nic nie mam przeciwko herbacie – Clara uniosła swój kubek – nawet ziołowej, ale boję się pomyśleć, co łąduje w tych mieszankach, które Matka serwuje co roku. Ona jest nie do zdarcia. Nikt nigdy tego nie pije, ale ona i tak próbuje.

– Istnieje niewyraźna granica pomiędzy godnym szacunku uporem a szaleństwem – stwierdził filozoficznie Gamache. – Czy pani de Poitiers i jej rodzina byli na śniadaniu?

– Naprawdę nie wiem – powiedziała Clara po chwili zastanowienia. – Cały czas gotowaliśmy, więc nie mieliśmy okazji rozejrzeć się po sali.

– Czy na śniadaniu wydarzyło się coś niezwykłego? – dopytywał Gamache.

Peter i Clara pomyśleli, po czym potrząsnęli przecząco głowami.

– Peter miał w tym roku zagrać w zespole curlingowym Em po raz pierwszy, więc wyszedł wcześniej.

– Kiedy ja wychodziłem, Em i Matka były już nad jeziorem. To tuż obok, kawałek drogą i w prawo. Od Legionu idzie się może z pięć minut.

– A pański zespół nie czekał na pana?

– Cóż, Georges poczekał. To drugi mężczyzna w drużynie. On także po raz pierwszy brał udział w grze.

– Co za Georges?

– Simenon^[14] – odpowiedział Peter i uśmiechnął się, widząc, że Gamache uniół brwi. – No tak, wiem. Jego matka była moim księżkowym.

– Co i na synu się odbiło – stwierdził Gamache.

– Poszliśmy z Georges'em w stronę jeziora Brume i tam znaleźliśmy Em i Matkę. Billy Williams już oczyścił powierzchnię lodu, więc mogliśmy grać; trybunę ustawił parę dni przed Bożym Narodzeniem.

– Jezioro było wystarczająco zamrożone?

– Och, już od dawna. To blisko brzegu; sądzę też, że Billy sprawdza wiertłem grubość pokrywy lodowej. Bardzo roztropny facet z tego naszego Billy'ego.

– Co jeszcze pan zauważył?

Peter sięgnął pamięcią wstecz. Pamiętał, że stał przy drodze, wpatrując się z niewysokiego wzniesienia w pokryte śniegiem jezioro. Matka i Bea już siedziały na swoich krzesłach.

– Krzesła – powiedział Peter. – Matka, Em i Kaye zawsze przynoszą krzesła,

żeby usiąść blisko grzejnika.

– Ile krzeseł było dziś rano? – zapytał Gamache.

– Trzy. Dwa blisko grzejnika, a jedno trochę dalej z przodu.

– No i co zaszło? – Gamache pochylił się, otulając kubek wielkimi dłońmi; jego oczy były ożywione i uważne.

– Wyglądało, jakby wszyscy zjawili się naraz – opowiadał Peter. – Em i Matka siedziały na krzesłach, kiedy przyszedliśmy do nich z Georges'em. Rozmawialiśmy chwilę o strategii, potem zjawiła się przeciwna drużyna, a zaraz potem trybuna się zapełniła.

– Ja dotarłam tuż po rozpoczęciu gry – powiedziała Clara.

– Gdzie pani siedziała?

– Na ławkach, między Myrną a Olivierem.

– A gdzie była CC?

– Siedziała na jednym z krzeseł koło grzejnika. – Clara uśmiechnęła się nieznacznie.

– Co takiego? – zapytał Gamache.

Clara zarumieniła się, jakby przyłapano ją na gorącym uczynku.

– Wspominałam CC. Zająć najlepsze miejsce to było bardzo w jej stylu. Tak się składa, że wybrała krzesło najbliżej grzejnika. Należało się ono Kaye.

– Nie lubiła pani CC, prawda? – spytał Gamache.

– Nie. Uważałam, że jest okrutna i samolubna – odpowiedziała Clara. – Mimo to nie zasłużyła na śmierć.

– A na co zasłużyła? – dopytywał nadinspektor.

To pytanie zdumiało Clare. Na co zasługiwała CC? Zastanawiała się przez chwilę, patrząc w ogień, obserwując, jak płomienie igrają i skaczą. Lemieux poruszył się na swoim miejscu i o mało czegoś nie powiedział, ale Gamache uchwycił jego spojrzenie i młody funkcjonariusz zachował milczenie.

– Zasłużyła na samotność. To powinna być jej kara za pomiatanie ludźmi, za cały ból, jaki sprawiła. – Clara starała się, by jej głos brzmiał stanowczo i spokojnie, ale drżał i łamał się; miała nadzieję, że się nie rozplacze. – CC nie zasługiwała na zaufanie.

Gamache milczał, zastanawiając się, co CC mogła zrobić tej cudownej

kobiecie, że Clara życzyła jej, by spotkał ją taki horror. Gamache bowiem wiedział, że izolacja jest gorsza od śmierci.

Spodziewał się, że to nie będzie łatwa do rozwikłania sprawa. Każdy, kto był dość pokieraszowany, by spowodować tyle bólu, musiał wieść życie pełne tajemnic i narobić sobie wrogów. Gamache przysunął się nieco do ognia. Słońce zaszło, nad Three Pines zapadła noc.

– Nie była taka zła – oznajmiła Ruth Zardo, wciskając korek z powrotem do butelki wina. Nalała sobie kolejny kieliszek, nie oferując poczęstunku gościom.

Gamache i Lemieux siedzieli w lodowatej kuchni Ruth, na białych, wyciskanych z formy krzesłach ogrodowych, które Ruth nazywała swoim kompletem do jadalni. Gospodyni miała na sobie kilka przeżartych przez mole swetrów; panowie nie zdjęli kurtek.

Młody funkcjonariusz rozcierał dłonie, starając się zagrzać jedną zwiniętą w pięść rękę wewnątrz drugiej; próbował opanować odruch chuchania na nie. Przesłuchawszy Morrowów, przeszli z nadinspektorem na drugą stronę skweru i skierowali się do najmniejszego domku, jaki Lemieux kiedykolwiek widział. Wyglądał raczej jak budka z dwoma okienkami na parterze i jednym na górze. Biała farba łuszczyła się ze ścian, a światło na ganku było zgaszone.

Osoba, która otworzyła drzwi, przypominała wycior. Wyprostowana i szorstka, wszystko w niej było suche. Jej ciało, ramiona, usta, nawet jej poczucie humoru. Gdy przechodzili przez mroczny korytarz, oświetlony słabymi żarówkami, Lemieux potknął się parę razy o sterty książek.

– Widzę, że Sûreté zatrudnia teraz kaleki – powiedziała Ruth, wymachując laską w jego kierunku. – Ale i tak ten jest lepszy niż ta poprzednia, co to ją pan przyprowadził. Jak ona się nazywała? Nieważne. Kompletna nieudacznica. I bardzo niegrzeczna. Usiądźcie, jeśli musicie.

Lemieux znowu roztarł dłonie, po czym ujął długopis i zaczął pisać.

– Słyszałem o CC de Poitiers, że była okrutna i samolubna – zaczął Gamache, zdziwiony, że nie widzi pary unoszącej się z ust.

– No i?

– Cóż, to nie brzmi najlepiej.

– Och, nie była zbyt miła, ale nie była też taka zła. Naprawdę. – Stara poetka

upiła łyk wina i odstawiła kieliszek na okrągły plastikowy stolik. – Któż nie jest okrutny i samolubny?

Gamache zapomniał, jak nieprawdopodobnie czarująca była Ruth Zardo. Zaśmiał się głośno i pochwycił jej spojrzenie. Ona także zaczęła się śmiać.

Robert Lemieux nie załapał, o co chodzi.

– Co pani myślała o madame de Poitiers?

– Że była zgorzkniała, małostkowa i, owszem, bardzo okrutna. Podejrzewam jednak, że był ku temu powód. Tyle że nie poznaliśmy jej jeszcze dość dobrze, żeby wiedzieć jaki.

– Jak długo ją pani znała?

– Niewiele ponad rok. Kupiła dawny dom Timmy Hadley – mówiąc te słowa, Ruth przyglądała się bacznie Gamache'owi, wyczekując reakcji, ale się rozczarowała. Gamache zareagował na tę wieść pół godziny wcześniej, w domu Clary i Petera. Clara mu powiedziała, że CC kupiła dawny dom Hadleyów. Przez chwilę siedzieli wtedy w ciszy, a Lemieux zastanawiał się, co go ominęło.

Ostatnim razem, gdy Armand Gamache był w domu Hadleyów, omal nie zginął, a Peter, Clara i Beauvoir wraz z nim. Jeśli istniał dom, który płakał, to był właśnie ten dom.

Gamache nigdy nie zapomniał tej piwnicy, tego mroku. Nawet teraz, przed radośnie płonącym ogniem, z ciepłym kubkiem w dłoniach, otoczony przyjaciółmi i kolegami, Gamache poczuł, jak na samo wspomnienie wstrząsa nim lęk.

Nie chciał wracać w to mroczne miejsce, ale wiedział, że nie będzie miał wyboru.

CC de Poitiers kupiła ten dom. To mówiło o tej kobiecie więcej niż dowolnie duża liczba przymiotników.

– Używała go tylko w weekendy – ciągnęła Ruth, gdy jej rewelacja okazała się klapą. – Przyjeżdżała z mężem i z córką. Z tych dwojga to para luzerów. Przynajmniej CC miała w sobie trochę iskry. Trochę życia. Ojciec i córka wyglądali jak para wielkich, żarłocznych nierobów. Grubi i leniwi. I nudni. Bardzo nudni.

Dla Ruth Zardo „nudny” było jednym z najgorszych epitetów. Tuż obok innych, takich jak „miły” czy „ładny”.

– Co się stało na meczu curlingowym? – zapytał Gamache.

Wydawało się, że rozmowa o rodzinie CC rozzłościła Ruth. Stała się jeszcze bardziej niż zwykle szorstka i obcesowa.

– CC umarła.

– Będzie nam potrzebne więcej niż te dwa słowa – powiedział Gamache.

– Jak zawsze, drużyna Em przegrywała. A potem CC umarła. – Ruth siadła głębiej w fotelu i rzuciła Gamache’owi ostre spojrzenie.

– Proszę się ze mną nie droczyć, madame Zardo – powiedział łagodnie, przyglądając się jej z zainteresowaniem. – Czy naprawdę musimy to przerabiać jeszcze raz? Nie znudziło się to pani jeszcze?

– Co, gniew? Jest równie dobry jak to. – Wzniosła kieliszek w prześmiewczym toaście.

– Ale czemu czuje pani taki gniew?

– A w panu morderstwo nie budzi gniewu?

– Ale nie to panią złości – powiedział z namysłem, niemal uprzejmie. – A przynajmniej nie tylko to. Jest coś jeszcze.

– Cwany chłopak. Założę się, że w szkole często to panu mówili. Która godzina?

Wydawało się, że nadinspektor nie zwrócił uwagi na tę nagłą zmianę tematu. Spojrzał na zegarek.

– Za kwadrans piąta.

– Muszę wyjść za pięć minut. Na spotkanie.

– Co się stało na meczu curlingowym? – spróbował znowu Gamache. Lemieux wstrzymał oddech. Nie wiedział czemu, ale zdawało mu się, że to istotny moment. Stara poetka wpatrywała się w nadinspektora, a jej twarz i postawa pełne były nienawiści. Wytrzymał jej spojrzenie, zachowując uprzejmy wyraz twarzy.

Ruth Zardo mrugnęła. Dosłownie. Lemieux wydawało się, że zamknęła oczy ze złości, a potem otworzyła je z całkiem nowym spojrzeniem na świat. A przynajmniej z nowym do niego podejściem. Wzięła głęboki oddech i pokiwała siwą głową. Uśmiechnęła się lekko.

– Wyzwała pan we mnie najgorsze instynkty, nadinspektorze.

– To znaczy, że zamierza pani zachować się przyzwoicie.

– Tego się obawiam.

– Bardzo przepraszam, madame. – Gamache poderwał się z plastikowego fotela i uklonił. Ruth skinęła głową w odpowiedzi.

Lemieux nie był pewien, co się właśnie stało. Uznał, że może to jakiś dziwaczny kod, którym posługują się Anglicy – jakiś taniec agresji i poddania. Z jego, jakkolwiek ograniczonego, doświadczenia wynikało, że frankofoni rzadko zachowują się w ten sposób. Według niego Francuzi byli o wiele bardziej bezpośredni w okazywaniu uczuć. A Anglicy? Nigdy nie było wiadomo, co myślą, a co czują – to dopiero zagadka!

– Byłam na trybunie, koło Gabriego. Rozgrywka toczyła się od dobrej chwili. Jak już mówiłam, Em przegrywała. Biedna Em zawsze przegrywa. Idzie jej tak źle, że nazwała swój zespół *Be Calm*. W pewnym momencie Gabri dał mi kuksańca w bok. Ktoś krzyknął, że zdarzył się wypadek.

Ruth opisała im całe zajście, odtwarzając je w pamięci. Kiwała się w przód i w tył, próbując jasno zobaczyć, co spowodowało zamieszanie. Wszystkie te masywne kurtki, czapki i szaliki zasłaniające jej widok; potem pustoszejąca trybuna, gdy ludzie zaczęli się przesuwać, przechodzić, a wreszcie biec przez tłum w kierunku przewróconego krzesła.

Ruth ruszyła w tamtą stronę, myśląc, że to Kaye upadła. Idąc, wołała:

– Z drogi, idzie komendant straży pożarnej!

Oczywiście Ruth nie spodziewała się pożaru. Nauczyła się jednak, że większość ludzi, nawet tych, którzy twierdzą, że nie znoszą, jak się nimi dyryguje, tak naprawdę chce, żeby ktoś objął przywództwo. By im powiedział, co mają robić.

CC leżała na wznak. Martwa. Ruth od razu to wiedziała.

Ale i tak musiała spróbować.

– Olivier, zrób masaż serca. Peter? Gdzie jest Peter Morrow?

– Jestem, jestem. – Peter przebijał się przez tłum, co wymagało przebiegnięcia sprintem przez jezioro od boiska curlingowego. – Co się stało?

– Zrób jej usta-usta.

Trzeba Peterowi przyznać, że się nie zawahał. Padł na kolana obok Oliviera,

gotów do akcji. Obaj mężczyźni wpatrywali się w Ruth. Ta jednak musiała wydać jeszcze jeden rozkaz.

– Gabri, znajdź jej męża. Clara?

– Jestem.

– Znajdź córkę.

Po czym Ruth odwróciła się do nich plecami, pewna, że jej rozkazy zostaną wykonane, i zaczęła liczyć.

– Czy wiedziała pani, co się jej stało? – zapytał Gamache, przywracając Ruth do rzeczywistości.

– Nie miałam pojęcia.

Czy tylko mu się wydawało, czy powieka jej drgnęła? Milczał przez chwilę, ale Ruth nie dodała nic więcej.

– Co było dalej?

– Billy Williams powiedział, że może zaraz przyprowadzić ciężarówkę i że powinniśmy ją załadować na samochód. Ktoś już zadzwonił do szpitala, ale zanim karetka by przyjechała, minęłoby dwadzieścia minut, i następne dwadzieścia, zanim zawiozłaby ją na pogotowie. Tak było szybciej.

Ruth opisała koszmarną jazdę do Cowansville, a jej historia w znacznej części pokrywała się z wcześniejszą opowieścią Petera Morrowa.

– Która godzina?

– Za pięć piąta.

– Czas na mnie.

Wstała i poszła przodem do końca korytarza, nie spoglądając na nich, jak gdyby za drzwiami czekało na nią zbawienie. Gdy przechodzili, stąpając ciężko, Lemieux słyszał, jak coś stuka i szeleści w szafach. Kościotrupy. Albo butelki. Albo jedno i drugie.

Lemieux nie lubił Ruth Zardo i zastanawiał się, dlaczego jego szef okazuje jej tyle sympatii.

– Wynocha. – Ruth otworzyła drzwi; ledwie zdążyli założyć buty, a już zaczęła wypychać ich na zewnątrz ramieniem, o wiele silniejszym, niż by się wydawało.

Gamache sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął z niej nie czapkę ani rękawiczki, których spodziewał się Lemieux, ale książkę. Nadinspektor podszedł do jedyne go rozjaśniającego ciemność światła na ganku i umieścił pod nim książkę, żeby Ruth mogła zobaczyć.

– Znalazłem to w Montrealu.

– Geniusz z pana. Niech no zgadnę. Znalazł ją pan w księgarni?

– Tak się składa, że nie. – Zdecydował, że jeszcze jej nie powie.

– Przypuszczam, że wybrał pan ten moment, żeby poprosić o dedykację?

– Już ją pani wpisała. Czy zechce pani spojrzeć?

Lemieux przygotował się na jadowitą ripostę, ale nie nadeszła.

Ruth pokuśtykała w stronę Gamache'a, a ten otworzył cienki tomik. „Cuchniesz. Z miłością, Ruth”.

– Komu ją pani dała?

– Czy oczekuje pan, że będę pamiętać każdy egzemplarz, który podpisałam?

– „Cuchniesz. Z miłością, Ruth” – powtórzył Gamache. – To niezwykajna dedykacja. Proszę, pani Zardo, niech pani pomyśli.

– Nie mam pojęcia, a poza tym jestem spóźniona.

Zeszła z ganku i poszła przez skwer ku światłom miasteczkowych sklepików. Ale w pół drogi zatrzymała się i usiadła.

W ciemności. Na zimnie. Na zamarznętej ławce pośrodku skweru.

Lemieux był zarazem pod wrażeniem jej tupetu, jak i nim oburzony. Wyrzuciła ich, twierdząc, że jest umówiona, a potem beczelnie i beczynnie usiadła na ławce. To była jawna zniewaga. Lemieux zwrócił się w stronę nadinspektora, by go o to zapytać, ale szef wydawał się zatopiony we własnych myślach. Ruth Zardo wpatrywała się we wspaniałe, rozświetlone drzewa i w jaśniejącą na niebie gwiazdę, a Armand Gamache wpatrywał się w Ruth.

Lemieux zdecydował, że pobiegnie do samochodu zaparkowanego przed domem Morrowów i włączy silnik. Jeszcze nie wracali, ale zapadła noc i upłynie parę minut, zanim auto się nagrzej. Jeśli tak zrobi, to do czasu, gdy trzeba będzie wracać, wewnątrz będzie jak w uchu, a zamrożone szyby się rozmrożą – jedno i drugie było pożądane w przejmująco zimną grudniową noc.

– Nie rozumiem tego, sir – powiedział, wracając do Gamache’a.

– Nie ma tu wiele do rozumienia – odpowiedział z uśmiechem. – Co szczególnie pana zastanawia?

– Jak pan wie, to moje pierwsze śledztwo w sprawie morderstwa.

– Tak, wiem.

– Ale wydaje mi się, że jeśli się chce kogoś zamordować, jest cała masa lepszych sposobów, by to zrobić.

– Na przykład?

– Cóż, *franchement*, każdy sposób jest lepszy, niż porazić kobietę prądem na oczach tłumu na zamrożonym jeziorze. To obłąd.

To właśnie martwiło Gamache’a. To był obłąd.

– Znaczy się, czemu jej nie zastrzelić albo nie udusić? To jest Quebec, środek zimy, dlaczego nie zabrać jej na przejażdżkę samochodem i nie wypchnąć z auta? Zostałaby eksponatem-rzeźbą w lodzie na Cowansville Fête des Neiges. To bez sensu.

– I to jest pierwsza lekcja. – Lemieux z wysiłkiem dotrzymywał kroku masywnemu mężczyźnie, który zmierzał w stronę jasno oświetlonego bistro Oliviera. Gamache nagle się zatrzymał, a Lemieux musiał odskoczyć, żeby nie wpaść na niego. Nadinspektor patrzył poważnie na młodego policjanta. – Musi pan to wiedzieć. Wszystko ma sens. Wszystko. Po prostu jeszcze nie dowiedzieliśmy się dlaczego. Musi pan na to patrzeć oczyma mordercy. W tym

cała sztuka, i to dlatego nie każdy nadaje się do pracy w wydziale zabójstw. Musi pan wiedzieć, że dla osoby, która to zrobiła, takie rozwiązanie wydawało się właściwe i rozsądne. Proszę mi wierzyć, żaden morderca nigdy nie pomyślał: „Hej, to głupie, ale i tak to zrobię”. Nie, Lemieux, naszym zadaniem jest dowiedzieć się, dlaczego to miało sens.

– Jak?

– Zbierając dowody, rzecz jasna. To istotna część tej pracy.

– Ale to nie wszystko, prawda? – Lemieux wiedział, że Gamache jako śledczy osiągał niemal stuprocentowe wyniki. W jakiś sposób był w stanie wydedukować, kto mógł zabić, nawet w sytuacjach, gdy inni nie mieli pojęcia. Teraz to Lemieux stał niemal bez ruchu. Wielki mężczyzna za chwilę powie mu, jak to robi.

– Musimy słuchać.

– I to wszystko?

– Słuchać bardzo uważnie. Czy to panu coś wyjaśnia? – Gamache się uśmiechnął. – Musimy słuchać aż do bólu. Tak, po prostu słuchamy.

Otworzył drzwi bistro i wszedł do środka.

– *Patron*.

Olivier podszedł i ucałował nadinspektora w oba policzki.

– Słyszę, że ma padać śnieg.

– Jutro ma spaść parę centymetrów.

Gamache pokiwał głową z miną mędrca.

– Może i więcej.

– Czy tak mówili w *Météo Média*, czy w prognozie z *Burlington*?

– W *Radio Canada*.

– Ależ *patron*, oni uważali, że ostatnie referendum wygrają separatyści. Nie można wierzyć prognozom *Radio Canada*.

– Może i ma pan rację, Olivier – roześmiał się nadinspektor i przedstawił Olivierowi Lemieux.

Bistro było pełne, mnóstwo ludzi wpadło na drinka przed kolacją. Gamache ukłonił się kilku osobom.

– Niezły tłum.

– Zawsze tak jest w okresie Bożego Narodzenia. Przyjeżdża z wizytą mnóstwo rodzin z dziećmi, a po ostatnich wydarzeniach wszyscy przychodzą do Ricka.

Do Ricka? Jakiego Ricka? Lemieux już się pogubił. To chyba był rekord. Do tej pory zajmowało mu kilka minut, zanim przestawał się orientować, o co chodzi w rozmowie z przesłuchiwanym, i zwykle działo się to z Anglikami. Teraz jednak jego szef rozmawiał po francusku z innym Québécois, a Lemieux już się pogubił. To nie wróżyło najlepiej.

– Ludzie nie wyglądają na szczególnie wstrząśniętych – zaobserwował Gamache.

– *C'est vrai* – zgodził się Olivier.

– Potwór nie żyje, mieszkańcy miasteczka świętują – powiedział Gabri, wyłaniając się nieopodal łokcia nadinspektora.

– Gabri – skarcił go Olivier. – To okropne tak mówić. Nie słyszałeś, że o zmarłych należy wyrażać się dobrze albo wcale?

– Przepraszam, masz rację. CC nie żyje. – Gabri odwrócił się do Gamache'a. – To dobrze.

– Och, dobry Boże – jęknął Olivier. – Proszę się odsunąć. Gabri wciela się w Bette Davis.

– To będzie wieczór na jazdę bez trzymanki – zgodził się Gabri. – *Salut, mon amour*. – Uścisnęli się z Gamache'em. – Nie porzucił pan jeszcze żony?

– A pan?

– Mam pomysł – rzekł Gabri. – Teraz, skoro to legalne, nadinspektor mógłby być naszym drużbą.

– Myślałem, że Ruth będzie naszym drużbą.

– To prawda. Sorry, nadinspektorze.

– Może mógłbym być starszą drużną. Dajcie mi znać. Słyszałem, że przeżył pan dzisiaj ciężki dzień z ratowaniem madame de Poitiers.

– Nie miałem gorzej niż Peter, a jak podejrzewam, ucierpiałem też o wiele mniej niż Ruth. – Olivier skinął głową w stronę okna i kobiety siedzącej samotnie na zimnie. – Niedługo przyjdzie na swoją szkocką.

Lemieux pomyślał, że to pewnie było jej „spotkanie”.

Gamache zwrócił się do Gabriego:

- Chciałbym zarezerwować miejsce w pańskim pensjonacie. Dwa pokoje.
- Mam nadzieję, że ten drugi nie jest dla tej okropnej stażystki?
- Nie, tylko ja i inspektor Beauvoir.
- *Merveilleux*. Zarezerwujemy.
- *Merci, patron*. Do zobaczenia jutro.

Pochodząc do drzwi, nadinspektor szepnął do Lemieux:

– U Ricka to knajpa z filmu *Casablanca*. To druga lekcja: jeśli pan czegoś nie wie, proszę pytać. Musi pan być w stanie przyznać, że czegoś nie wie, inaczej pogubi się pan jeszcze bardziej lub, co gorsza, wyciągnie niewłaściwe wnioski. Wszystkie błędy, jakie popełniłem, popełniłem dlatego, że założyłem coś i zachowywałem się tak, jakby moje założenie było faktem. To bardzo niebezpieczne, Lemieux. Proszę mi wierzyć. Zastanawiam się, czy aby nie wyciągnął pan już mylnych wniosków?

To mocno ubodło Lemieux. Desperacko pragnął zrobić wrażenie na Gamache’u.

Jeśli miał wykonać swoją robotę, musiał zrobić na nim wrażenie. Teraz jednak z jakiegoś powodu nadinspektor uznał, że podwładny podąża mylnym tropem. Jednak Lemieux nie podążał żadnym tropem ani nie wyciągnął wniosków w kwestii śledztwa. Któż mógłby to robić tak wcześnie?

– Musi pan postępować bardzo uważnie. Często myślę, że powinno nam się tatuować: „Mogę się mylić” na spodzie dłoni, którą piszemy lub strzelamy.

Gdy tak stał przed bistro, twarz Gamache’a była skryta w mroku, ale Lemieux uznał, że nadinspektor się uśmiecha. To musiał być żart. Szef wydziału zabójstw *Sûreté du Québec* nie mógł być zwolennikiem takiego wątpienia w siebie.

Mimo to młody funkcjonariusz wiedział, że jego zadaniem jest uczyć się od Gamache’a. Jeśli będzie obserwował nadinspektora i słuchał, to nie tylko rozwiąże zagadkę morderstwa, ale i zagadkę Gamache’a.

Robert Lemieux nie mógł się doczekać, kiedy to nastąpi.

Wyjął swój notatnik i na lodowatym zimnie zapisał dwie lekcje, o których była mowa. Po czym czekał przez chwilę, jakby miało ich być więcej, ale szef

sprawił wrażenie zamrożonego: czapka na miejscu, rękawiczki na miejscu, wszystko na miejscu. Z wyjątkiem Gamache'a.

Nadinspektor wpatrywał się w coś w oddali. Coś ponad czarującym miasteczkiem, ponad Ruth Zardo i jej oświetloną choinką. Wpatrywał się w coś w ciemności.

Im dokładniej się przyglądał i im dłużej pozwalał oczom przyzwyczajać się do nocnego mroku, tym bardziej Robert Lemieux rozróżniał zarys czegoś ciemniejszego niż noc. Dom na wzgórzu, górujący nad miasteczkiem. Wpatrywał się w ciemność, która coraz bardziej nabierała kształtu: na tle mrocznego nieba i jeszcze ciemniejszego sosnowego lasu zarysowały się kształty wieżyczek. Lemieux dostrzegł odrobinę dymu unoszącą się nad jednym z kominów – ale dym wkrótce rozwiął się w lesie, jak widmo.

Gamache wziął oddech, wydechając obłoczek białej pary, i uśmiechnął się, zwracając się w stronę młodego człowieka obok.

– Gotowy?

– Tak jest.

Lemieux nie wiedział dlaczego, ale nagle poczuł lekki posmak lęku i był niezmiernie wdzięczny, że ma za towarzysza Armanda Gamache'a.

Na szczycie wzgórza zatrzymał ślizgający się samochód obok zwał śniegu, z nadzieją, że szef ma tam dość miejsca, żeby się przecisnąć i wysiąść.

Miejsca wystarczyło – i Gamache stał przez krótki moment, przyglądając się wielkiemu, ciemnemu budynkowi, zanim ruszył po długiej ścieżce, wiodącej do nieoświetlonych drzwi wejściowych. Miał nieodparte wrażenie, że dawny dom Hadleyów śledzi każdy jego krok.

To było dziwaczne, ale Gamache nauczył się akceptować, a nawet pielęgnować ten aspekt swej osobowości. Czasami to pomagało. Czasami przeszkadzało. Nadinspektor nie był pewien, co bardziej.

Richard Lyon obserwował zbliżających się mężczyzn z wnętrza domu. Jeden z nich z pewnością był szefem. Nie tylko szedł ścieżką jako pierwszy, ale sprawował nad wszystkim kontrolę. To była cecha, którą Lyon rozpoznawał u innych, głównie jako przeciwwagę do własnego kompletnego braku tej umiejętności. Druga postać była mniejsza, szczuplejsza i stawiała lżejsze kroki.

– Weź głęboki oddech. Przyjmij, co przychodzi. Bądź mężczyzną. Bądź

mężczyzną – powtarzał sobie. Teraz tamci niemal stali na progu. Czy powinien pójść otworzyć drzwi, jeszcze zanim dojdą? Czy powinien poczekać, aż zadzwonią do drzwi? Czy byłoby niegrzeczne kazać im czekać? Czy jeśli otworzy drzwi, zdradzi to jego niepokój?

Myśli galopowały w głowie Richarda Lyona, ale ciało zamarło. To był jego naturalny stan.

– Bądź mężczyzną. Zdecydowany uścisk dłoni. Patrz mu w oczy. Zdecydowany ton. – Lyon pomrukiwał przez chwilę, starając się nadać głosowi głębokie brzmienie. Za nim w ponurym salonie jego córka, Crie, wpatrywała się w przestrzeń.

I co teraz? Zwykle w takiej sytuacji CC poinstruowałyby go dokładnie, co ma robić. Bądź mężczyzną. Przyjmij, co przychodzi. Nie był szczególnie zaskoczony, że wciąż słyszy ją we własnej głowie. To było niemal kojące.

– Boże, ależ z ciebie offerma.

Niemal kojące. Pomogłoby mu, gdyby powiedziała coś konstruktywnego, na przykład: „Idź otwórz drzwi, idioto” albo: „Usiądź i każ im czekać. Jezu, czy ja zawsze wszystko sama muszę robić?!”.

Zadzwonił dzwonek u drzwi i Richard Lyon praktycznie wyskoczył ze skóry.

Co za idiota. Wiedziałaś, że tam są. Powinieneś być podejść do drzwi i wpuścić ich, gdy się zbliżali. Teraz pomyślą, że jesteś nieuprzejmy. Boże, ależ z ciebie offerma!

Armand Gamache stał w drzwiach, próbując nie pamiętać ostatniego razu, kiedy tutaj był. Starał się postrzegać dawną siedzibę Hadleyów po prostu jako budynek. A budynki, powtarzał sobie, są zrobione z najzwyczajniejszych materiałów. Takich samych jak te, z których wzniesiono jego własny dom w Outremont. W tym miejscu nie kryło się nic szczególnego. A mimo to zdawało mu się, że domostwo wciąż jęczy i dygocze.

Gamache zebrał się w sobie, odciągając ramiona odrobinę w tył i lekko unosząc głowę. Jeszcze tego brakowało, żeby pozwolił, by ten budynek wziął nad nim górę. Mimo to po części czuł się jak sześciolatek, który wszedł do nawiedzonego domu, bo koledzy go namówili, i teraz chciał uciec co sił w nogach.

Ależ to byłby widok – pomyślał nadinspektor, wyobrażając sobie, jak

Lemieux przygląda się zwierchnikowi przebiegającemu z krzykiem obok, i dalej, do miasteczka. Lepiej tego nie robić. Jeszcze nie teraz.

– Może ich nie ma w domu. – Lemieux z nadzieją rozejrzył się dokoła.

– Są.

– Witajcie. – Drzwi otworzyły się gwałtownie, co spłoszyło Lemieux. Stanął w nich niewysoki, przysadzisty mężczyzna mówiący niskim głosem. Gamache'owi wydawało się, że niedawno wyleczył zapalenie gardła. Mężczyzna odchrząknął i spróbował ponownie.

– Witajcie. – Tym razem zabrzmiało to lepiej.

– Pan Lyon? Nazywam się Armand Gamache. Jestem szefem wydziału zabójstw Sûreté du Québec. Pan wybaczy, że niepokoiimy.

– Rozumiem – powiedział Lyon, zadowolony z tonu i treści swojej wypowiedzi. – Okropny, okropny dzień. Oczywiście jesteśmy zdruzgotani. Proszę wejść.

Nadinspektor odniósł wrażenie, że mężczyzna przećwiczył te słowa. Ale widać niewystarczająco. Treść była w porządku, ale ton niewłaściwy: brzmiało to, jak gdyby kiepski aktor wygłaszał kwestię z pamięci, nie wkładając w to serca.

Gamache wziął głęboki oddech i przeszedł przez próg. Był niemal zaskoczony, że duchy i demony nie wirują wokół jego głowy, że nie wydarzyło się nic katastrofalnego, nie nastąpił żaden kataklizm.

Znalazł się w ponurym przedpokoju. Niemal się roześmiał.

Dom nie zmienił się aż tak bardzo. W nieprzyjaznym przedpokoju gości wciąż witała ciemna boazeria. Ani jednej plamki na zimnych, marmurowych posadzkach. Gdy szli za gospodarzem do salonu, nadinspektor nie zauważył świątecznych dekoracji. Paliło się niewiele świateł. Pojedyncze plamy tu i tam, ale nie dość, by odegnąć ponury nastrój.

– Czy można by zapalić więcej świateł? – Skinął do Lemieux, który szybko obszedł pomieszczenie, włączając lampy, aż pokój stał się jasny, jeśli nie przytulny. Ściany były nagie, nie licząc prostokątów znaczących miejsca, gdzie Timmer Hadley zawieszała obrazki. Ani CC, ani jej mąż nie zadali sobie trudu odmalowania ścian. Jak się wydawało, nie wysilili się, by cokolwiek zrobić. Meble wyglądały, jakby zostały po poprzednich właścicielach. Były ciężkie,

ozdobne i – jak wkrótce mieli odkryć – nieprawdopodobnie niewygodne.

– Moja córka, Crie. – Lyon postąpił kilka kroków i wskazał ogromną dziewczynkę w żółtej letniej sukience, leżącą na sofie. – Crie, ci panowie są z policji. Przywitaj się, proszę.

Nie zrobiła tego.

Gamache usiadł przy niej i przyglądał się, jak dziewczynka wpatruje się w przestrzeń. Zastanawiał się, czy cierpi na autyzm. Z drugiej strony jej zachowanie mogło wynikać z tego, że niedawno była świadkiem morderstwa własnej matki. Byłoby dziwne, gdyby dziecko zareagowało inaczej.

– Crie, nazywam się Armand Gamache, pracuję dla Sûreté. Bardzo mi przykro z powodu twojej mamy.

– Ona tak zawsze – wytłumaczył Lyon. – Chociaż ma dobre stopnie w szkole. Wydaje mi się, że to normalne u dziewczynki w jej wieku. Huśtawki nastroju. – Wszystko będzie dobrze, powiedział sobie. Udało ci się go zmylić. Nie spieprz sprawy. Bądź smutny z powodu tego, co się stało z twoją żoną, i wspieraj córkę. Bądź mężczyzną.

– Ile lat ma Crie?

Lemieux usiadł na małym krzeselku w kącie i wyciągnął notatnik.

– Trzyście. Nie, zaraz. Dwanaście. Niech no sobie...

No tak.

– Nie szkodzi, panie Lyon, możemy to sprawdzić. Może moglibyśmy pomówić na osobności?

– Och, Crie na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu, by zostać, prawda?

Cisza.

– Ale ja owszem – odparł Gamache.

Słuchając i robiąc notatki, Lemieux starał się pójść za radą nadinspektora i nie wyciągać pochopnych wniosków na temat tego słabego, nieustannie paplającego, głupiego, małego człowieczka.

– Crie, może pójdziesz pooglądać telewizję?

Dziewczynka nadal gapiała się w przestrzeń.

Lyon lekko poczerwieniał.

– Crie, mówię do ciebie. Wyjdź, proszę.

– Może moglibyśmy przejść do innego pokoju.

– Nie ma takiej potrzeby.

– Owszem, jest – powiedział łagodnie Gamache i wstał. Wyciągnął ramiona, prowadząc Lyona przed sobą. Mały człowieczek ruszył przez przedpokój do położonego po drugiej stronie pokoju. W drzwiach Gamache znów popatrzył na pulchną Crie; wyglądała, jakby hodowano ją na pieczeń.

Ten dom ciągle był pełen tragedii.

– Tak, byliśmy na przyjęciu śniadaniowym dziś rano – powiedział Lyon.

– Wszyscy troje?

– Tak. – Lyon się zawahał.

Gamache czekał. Siedzieli teraz w jadalni.

– CC i ja przyjechaliśmy innymi samochodami. Odwiedzała kolegę.

– Przed śniadaniem?

– To był bardzo stresujący okres dla niej. Bardzo ważny czas. Wiele istotnych wydarzeń.

– Czym zajmowała się pańska żona?

– Nie wie pan? – Mężczyzna wyglądał na szczerze zaskoczonego. Nadinspektor uniósł brwi i potrząsnął głową.

Lyon wystąpił i przebiegł przez pokój, a po chwili wrócił z książką.

– To napisała CC.

Gamache popatrzył na okładkę. Wyglądała odpychająco, była przekombinowana i dziwaczna: całkiem biała, z wyjątkiem wygiętych czarnych brwi, przenikliwych błękitnych oczu, nozdrzy i czerwonej krechy ust, zawieszonych pośrodku. Pomyślał, że fotograf musiał nie znosić swojej modelki.

Książka nosiła tytuł *Be Calm*.

Nadinspektor próbował przypomnieć sobie, dlaczego brzmi to znajomo. Wiedział, że mu się przypomni. Poniżej był czarny symbol.

– Co to?

– Och, tak. To nie wyszło najlepiej. To miało być logo firmy CC, orzeł.

Gamache popatrzył na czarnego kleksa. Teraz, kiedy Lyon mu powiedział, mógł dostrzec, że to orzeł. Zakrzywiony, rozwarty dziób, głowa z profilu.

Nadinspektor nie uczęszczał na żadne kursy marketingu, ale przypuszczał, że większość firm wybierała logotypy, które wyrażały siłę, kreatywność albo zaufanie; jakieś pozytywne cechy. To logo wyrażało wściekłość. Wyglądało, jakby ptak był nieźle wkurzony.

– Może pan ją zatrzymać, mamy więcej.

– Dziękuję. Nadal jednak nie wiem, czym zajmowała się pańska żona.

– *Be Calm* to ona. – Richard Lyon wydawał się niezdolny pojąć, że nie wszyscy orbitowali wokół CC de Poitiers. – Firma projektancka? Li bien? Pastelowe kolory?

– Projektowała protezy dentystyczne? – próbował zgadnąć Gamache.

– Protezy? Nie. Domy, wnętrza, meble, ubiory. Wszystko. Życie. CC tworzyła to wszystko. – Rozpostarł ramiona gestem szerokim jak u starotestamentowego proroka. – Była genialna. Ta książka jest o jej życiu i filozofii.

– Która polegała na...?

– Cóż, to jak z jajkiem. Czy może jak z farbą na ścianie. To znaczy, nie na ścianie, ale w li bien. Pod farbą. Malowanie wewnątrz. Coś w tym stylu.

Długopis Lemieux zawisł nad papierem. Czy powinien to zapisać?

Dobry Boże, zamknijże się, człowieku. Błagam, nie mów. Jesteś gruby, brzydki i durny, jesteś ostatnią ofermą – pomyślał Lyon.

– O której wyszła dziś rano? – Gamache zdecydował się spróbować z innej strony.

– Nie było jej już, gdy się obudziłem. Tak się przykro składa, że ja chrapię, więc mamy oddzielne sypialnie. Ale czułem zapach kawy, więc musiała wyjść całkiem niedawno.

– A która to mogła być godzina?

– Koło siódmej trzydzieści. Gdy dotarłem do Legionu godzinę później, CC już tam była.

– Z kolegą?

Czyżby Lyon znów się zawahał?

– Tak. Z mężczyzną, nazywał się Saul jakimśtam. Wynajął tu kwatere na święta.

– A co robi dla pańskiej żony? – Nadinspektor miał nadzieję, że Lemieux powstrzyma się od min.

– Jest fotografem. Robi zdjęcia. Zrobił to zdjęcie. Świetne, prawda? – Lyon wskazał na okładkę książki.

– Czy robił zdjęcia w trakcie śniadania?

Mężczyzna skinął głową, a jego oczy były okrągłe, napuchnięte i wyrażały jakąś niemą prośbę.

Prośbę o co? – zastanawiał się Gamache.

Prośbę o to, by nie kontynuować tego wątku w przesłuchaniu, uświadomił sobie nagle nadinspektor.

– Czy fotograf był obecny na meczu curlingowym? – brnął dalej.

Lyon przytaknął niechętnie.

– To znaczy, że musiał sfotografować osobę, która zabiła pańską żonę.

– Och! – To była jedyna, pełna zaskoczenia odpowiedź Lyona. Gamache nie wiedział, czy zaskoczenie Lyona było wyrazem zadowolenia, czy przerażenia.

– Jak sądzisz, kto to zrobił? – zapytała Clara, podając Peterowi lampkę czerwonego wina, a potem siadając w fotelu i popijając z własnego kieliszka.

– Ruth.

– Ruth? Naprawdę? – Clara uniosła się lekko i wpatrywała w Petera. On niemal nigdy się nie mylił. To była jedna z jego najbardziej irytujących cech. – Uważasz, że Ruth zabiła CC?

– Myślę, że jeśli będę to powtarzał, w końcu będę miał rację. Moim zdaniem Ruth to jedyna osoba tutaj, która byłaby zdolna zabić bez chwili wahania.

– Naprawdę tak myślisz? – Clara była zaskoczona, choć niekoniecznie nie zgadzała się z tą opinią.

– Tak uważam. To w jej naturze. Jeśli do tej pory nikogo nie zamordowała, to tylko dlatego, że nie miała motywu ani sposobności. Ale jest do tego zdolna.

– Ale czy poraziłaby kogoś prądem? Zawsze mi się wydawało, że jeśli Ruth zamierzałyby kogoś zabić, zastrzeliłaby tę osobę albo przejechała ją samochodem. Ruth nie jest z tych, którzy bawią się w subtelności.

Peter podszedł do biblioteczki, by przeszukiwać piętrzące się wzdłuż i wszerz

sterty przemieszanych ksiązek. Przeglądał tytuły, począwszy od biografii, przez powieści, literaturę piękną i historię. Masę kryminałów. I poezji. Wspaniałej poezji, od której Clara mruzczała i pojękiwała w kąpiel; uwielbiała czytać poezję w wannie, bo większość tomików była niewielka i łatwo dawało się je utrzymać w śliskich dłoniach. Peter zazdrościł żonie, że słowa dają jej tak wiele przyjemności. Wydawała z siebie takie dźwięki, jak gdyby słowa pieściły ją i wnikały w nią, tymczasem to Peter chciał zapewniać żonie takie doznania. Pragnął być obiektem wszystkich jej ekstatycznych westchnień. Ale ona wzdychała też z powodu Hechta, Atwood, Angelou, a nawet Yeatsa. Pojękiwała i mruzczała z rozkoszy nad Audenem i Plessnerem. Jednak największą przyjemność czerpała z poezji Ruth Zardo.

– Pamiętasz to? – Przyniósł małą książeczkę i wręczył ją Clarze. Przewertowała ją, otworzyła na przypadkowej stronie i zaczęła czytać:

Byłaś ćmą

Ocierając się o mój policzek w mroku.

Zabiłam cię, nie wiedząc,

że byłaś tylko ćmą, bez żądła.

Clara przewertowała tomik znowu, docierając do kolejnego wiersza, znów na chybił trafił, i jeszcze do jednego, i jeszcze raz.

– Niemal wszystkie są o śmierci albo stracie – powiedziała. – Nie zdawałam sobie wcześniej z tego sprawy. Większość wierszy Ruth jest o śmierci. – Zamknęła książkę. To był jeden ze starszych tomików Ruth.

– Nie tylko o śmierci – zaprzeczył Peter, dorzucając brzozone polano do kominka i przyglądając się, jak płonie. Potem ruszył do kuchni, żeby sprawdzić, jak się ma odgrzewana na kolację zapiekanka. Zawołał stamtąd: – Są też bardzo subtelne. W Ruth jest wiele rzeczy, których nie zauważamy.

– „Byłaś tylko ćmą, bez żądła”. – Clara powtórzyła słowa z wiersza. Czy CC była tylko ćmą? O nie. CC de Poitiers miała żądło. Wystarczyło znaleźć się w pobliżu, żeby to poczuć. Clara nie była pewna, czy zgadza się z Peterem w kwestii Ruth. Cała gorycz Ruth znajdowała ujście w poezji. Ruth niczego w sobie nie tłamsiła, a Clara wiedziała, że rodzaj gniewu, jaki prowadzi do morderstwa, musi kisić się przez długi czas, często pod pokrywą uśmiechów

i pełnego słodczy rozsądku.

Zadzwoił telefon i po kilku słowach Peter się rozłączył.

– Dopij wino! – zawołał od drzwi. – Dzwoniła Myrna, zaprasza nas na szybkiego drinka do bistro.

– Mam duszkiem wypić jednego drinka po drugim?

– Jak za dawnych dobrych czasów, nie?

Armand Gamache stał przed dawnym domem Hadleyów. Drzwi zamknęły się, wreszcie mógł odetchnąć. I było mu głupio. Obszedł ponure gmaszysko z Lyonem i nic, co zobaczył, nie wzbudziło w nim sympatii do tego miejsca, ale nie kryło też żadnych upiorów. Było tylko zmęczone, smutne i stęsknione za śmiechem. Całkiem jak jego mieszkańcy.

Zanim nadinspektor opuścił dom, poszedł z powrotem do salonu, gdzie Crie siedziała w plażowej sukience i klapkach. Okrył ją kocem i usiadł naprzeciwko dziewczynki, przez moment przyglądając się pozbawionej wyrazu młodej twarzy – po czym zamknął oczy.

Próbował jej powiedzieć, że wszystko się ułoży. Prędzej czy później. Życie nie zawsze będzie pełne bólu. Świat nie zawsze będzie okrutny.

Poczekaj trochę. Daj światu szansę. Wróć – prosił w myślach.

Powtórzył to parę razy, po czym otworzył oczy i zobaczył w drzwiach Lemieux, który mu się przyglądał.

Teraz, stojąc na zewnątrz, Gamache wzruszył ramionami, zapiął płaszcz i zszedł ścieżką do samochodu. Śnieg właśnie zaczynał prószyć, puszysty, lekki i śliczny. Nadinspektor spojrzał w dół na miasteczko, lśniące od lampek świątecznych dekoracji i padającego śniegu. Nagle coś, co powiedział Gabri, zamigotało mu w głowie. „Potwór nie żyje, wieśniacy świętują”. Aluzja do Frankensteinia. Ale w tamtej historii wieśniacy nie tylko świętowali zagładę potwora: sami go zabili.

Czy to możliwe, że mieszkańcy ślicznego, sennego, spokojnego miasteczka skrzyknęli się, by zabić CC de Poitiers?

Gamache odgonił tę szaloną myśl. Ale wtedy przypomniał sobie: ta śmierć

sama w sobie była szalona.

– Chce mnie pan o coś zapytać? – powiedział Gamache do młodego człowieka siedzącego za nim.

– Nie, sir.

– Lekcja numer trzy, synu. Proszę mi nigdy nie kłamać. – Odwrócił się teraz i obrzucił Roberta Lemieux spojrzeniem, jakiego tamten miał nigdy nie zapomnieć. Było ono pełne troski, ale i niemego ostrzeżenia.

– Co pan robił w salonie z tą córką?

– Ma na imię Crie. A na co to wyglądało?

– Siedział pan zbyt daleko, by móc z nią rozmawiać. A jednak, cóż...

– Proszę mówić dalej.

– Miał pan zamknięte oczy.

– Zgadza się.

– Modlił się pan? – spytał Lemieux zakłopotany. Dla jego pokolenia modlitwa była czymś gorszym od gwałtu, od sodomii, od klęski. Czuł, że głęboko obraził swego przełożonego. A mimo to zapytał.

– Owszem, modliłem się, choć, jak sądzę, w nieco niekonwencjonalny sposób. Myślałem o Crie i chciałem przekazać jej, że świat potrafi być dobrym miejscem i że powinna mu dać jeszcze jedną szansę.

To było dla Roberta Lemieux za dużo informacji. O wiele za dużo. Zaczął się zastanawiać, jak trudne stoi przed nim zadanie. Jednak przyglądając się, jak nadinspektor powoli, z rozmysłem zmierza z powrotem do samochodu, Lemieux musiał przyznać, że odpowiedź udzielona przez szefa dała mu poczucie komfortu. Może to wszystko nie będzie aż takie trudne. Gdy teraz siedzieli obaj w ciepłym wnętrzu auta, Gamache uśmiechnął się, obserwując, jak młody policjant wyjmuje notatnik i zapisuje to, co mu powiedział nadinspektor.

Peter i Clara strząsnęli śnieg z płaszczy, powiesili okrycia na wieszaku przy drzwiach i rozejrzeli się dokoła. Bistro było pełne, aż huczało od rozmów. Kelnerzy fachowo lawirowali między okrągłymi drewnianymi stolikami, balansując tacami z jedzeniem i piciem.

– Tutaj! – Myrna stała przy kanapie przed kominkiem.

Była z nią Ruth, a para obok właśnie zbierała się do wyjścia.

– Możecie zająć nasze miejsca – powiedziała Hanna Parra, lokalna radna; ona i jej mąż Roar owijali szyje szalikami. – Już zaczął padać śnieg?

– Tak – powiedział Peter – ale drogi będą przejezdne.

– Jesteśmy dwa kroki od domu. Krótka przejażdżka. – Roar uścisnął ich dłonie, a Hanna ucałowała oboje w oba policzki. Wychodzenie skądś nie było w Quebecu błahym wydarzeniem.

Przybywanie dokądś także nie.

Przywitawszy się i ucałowawszy wszystkich w oba policzki, Clara i Peter zapadli w miękkie fotele. Peter przywołał spojrzeniem Gabriego i po chwili wielki mężczyzna podszedł z dwoma kieliszkami czerwonego wina i dwiema miseczkami nerkowców.

– Nie do uwierzenia, co się stało. – Gabri upił łyk wina Clary i zgarnął garść orzechów z jej miseczki.

– Czy są pewni, że to morderstwo? – zapytała Myrna. Peter i Clara skinęli głowami.

– Śledztwo znów prowadzi ten safandula Gamache – powiedziała Ruth, sięgając po kieliszek Petera. – Sami wiecie, jak było ostatnim razem. – Wzięła duży łyk wina.

– Czyż nie rozwiązał zagadki? – spytała Myrna, przestawiając swoją szkocką na drugą stronę stołu.

– A co, rozwiązał? – Ruth posłała jej łobuzerskie spojrzenie. – Takie szczęście. Zastanówcie się. Kobieta upadła na lodzie, a Gamache uważa, że porażono ją prądem? Jakim cudem? Palec Boży?

– Ale ona naprawdę została porażona prądem – powiedział Peter, gdy Olivier właśnie zbliżał się do nich.

– Rozmawiacie o CC – rzekł, patrząc tęsknie na puste krzesło obok kominka. Miał jednak pełno gości w restauracji: usiąść teraz oznaczałoby dezercję.

– Peter myśli, że to ty zrobiłaś, Ruth – oznajmiła Clara.

– Może i tak. I może ty jesteś następny. – Ruth uśmiechnęła się dziko do Petera, który żałował, że Clara nie siedziała cicho.

Ruth sięgnęła po najbliższego drinka na stole.

– Co powiedzieliście policji? – zapytał Petera Olivier.

– Opisałem tylko, co zaszło.

– Nadinspektor zarezerwował pokój w pensjonacie. – Olivier uniósł pusty kieliszek Petera i przechylił go w stronę przyjaciela w niemym pytaniu. Peter, zaskoczony, że kieliszek jest pusty, potrząsnął przecząco głową. Dwa to był jego limit.

– Nie uważasz, że CC została porażona prądem? – zapytała Ruth Clara.

– Och, wiem, że tak było. Od razu wiedziałam. Zaskoczyło mnie tylko, że ten głupek Gamache tak szybko na to wpadł.

– Skąd mogłaś tak od razu wiedzieć? – zapytała sceptycznie Myrna.

Ruth odpowiedziała:

– Woń spalenizny powietrze rozdarła. CC de Poitiers padła i umarła.

Wbrew sobie Myrna wybuchła śmiechem. To były wyjątkowo odpowiednie słowa – czy raczej stosownie przekręcone. Woń spalenizny faktycznie wypełniła powietrze.

– A mnie przyszedł do głowy inny wiersz – powiedziała Clara:

W tym świecie spędził długie lata;

Swą świeczkę spalił aż do knota

Dlatego myśli część narodu

Że pozostawił kupę smrodu^[15].

W odpowiedzi na wiersz Clary wokół kominka zapadła cisza. Za nimi rozmowy szumiały i cichły, słychać było wybuchy śmiechu, stukanie trącanych o siebie kieliszków. Nikt nie opłakiwał CC de Poitiers. Three Pines nie zubożało od jej straty. Zostawiła po sobie smród, który teraz się rozwiewał. Three Pines wydawało się lżejsze i jaśniejsze po tej śmierci.

Gamache czuł zapach potrawy, jeszcze zanim przekroczył próg. *Boeuf bourguignon*. W powietrzu pachniało polędwicą wołową i grzybami, małutkimi perłowymi cebulkami i burgundzkim winem. Zadzwoił z biura do Reine-Marie, żeby jej powiedzieć, że wraca, i na jej prośbę kupił po drodze bagietkę w piekarni za rogiem. Teraz z trudem przeciskał się przez drzwi z pudłem

materiałów dowodowych, torbą i cenną bagietką. Nie chciał połamać bułki przed wejściem do domu, chociaż nie byłby to pierwszy taki przypadek.

– Czy to mój kochanek listonosz?

– *Non, Madame Gamache, désolé.* Tylko piekarz.

– Z bagietką, mam nadzieję. – Reine-Marie wyszła z kuchni, wycierając ręce w ściereczkę. Gdy go zobaczyła, jej twarz rozjaśnił ciepły uśmiech. Nie mogła się powstrzymać. Mąż stał w przedpokoju, przytrzymując obiema rękami pudło, a skórzana torba spadała mu z ramienia. Próbował zsunąć z siebie płaszcz w kolorze karmelu, a bagietka, którą ścisnął pod pachą, ocierała się chrupką skórką o jego twarz.

– Obawiam się, że bagietka nie jest tak znakomita jak wtedy, gdy ją kupiłem.

– Uśmiechnął się przepaszająco.

– Dla mnie w sam raz, monsieur. – Żona delikatnie uwolniła go od bułki, wysuwając ją spod jego ramienia, żeby mógł postawić pudło na podłodze.

– *Voilà.* Dobrze być z powrotem w domu. – Pocałował ją i przytulił się do miękkiego ciała. Oboje zrobili się pulchni od czasów, gdy się poznali. Nie było mowy, żeby któreś zmieściło się w ślubny strój. Nabrali jednak nie tylko ciała, ale i ducha, więc Gamache uważał, że to dobry interes. Jeśli życie oznaczało rozrastanie się w różnych aspektach, jemu to pasowało.

Reine-Marie odwzajemniła uścisk, czując, jak od jego płaszcza, mokrego od padającego śniegu, nasiąka też jej sweter. Ale i ona uważała, że to dobry interes. W zamian za drobną niewygodę otrzymywała ogromną ilość komfortu. Nadinspektor wziął prysznic, przebrał się w czysty golf i tweedową marynarkę, po czym przyłączył się do żony na kieliszek wina przy kominku. To był ich pierwszy spokojny wieczór od wielu tygodni; przez święta bez przerwy gościli rodzinę albo chodzili na gwiazdkowe przyjęcia.

– Może zjemy tutaj? – zapytał.

– Fantastyczny pomysł.

Gamache rozstawił przed fotelami rozkładane stoliczki, a Reine-Marie podała *boeuf bourguignon* z makaronem jajecznym i pokrojoną bagietką.

– Co za dziwaczna para – powiedziała Reine-Marie, gdy skończył jej opowiadać o wydarzeniach dnia. – Zastanawiam się, dlaczego CC i Richard nadal byli razem. I dlaczego w ogóle się pobrali.

– Też mnie to zastanawia. Richard Lyon jest taki bierny, taki niezgrabny; pomyślałem nawet, że trochę udaje. Tak czy inaczej, życie z nim musiało być bardzo irytujące, chyba że druga osoba byłaby nijaka albo bardzo cierpliwa, nie wydaje się jednak, by CC de Poitiers odznaczała się którąś z tych cech. Słyszałaś o niej?

– Nigdy. Ale może była znana anglojęzycznej społeczności.

– Myślę, że była sławna jedynie w lustrze. Lyon mi to dał. – Sięgnął do leżącej obok fotela torby i wyjął z niej *Be Calm*.

– Wydana własnym sumptem – skomentowała Reine-Marie, przyjrzawszy się okładce. – Czy Lyon i jego córka widzieli całe zajście?

Gamache pokiwał głową, nabierając na widelec miękkie duszone mięso.

– Byli na trybunie. Lyon nie wiedział, że coś się stało, dopóki nie zauważył, że wszyscy gapią się w miejsce, gdzie siedziała CC. Potem ludzie ruszyli się z miejsc. Gabri podszedł do Lyona i powiedział mu, że wydarzył się wypadek.

Nadinspektor uświadomił sobie, że mówi o Gabrim tak, jak gdyby Reine-Marie go znała, ale jej to wcale nie przeszkadzało.

– A córka? Mówiłaś, że ma na imię Crie? Kto daje dziecku na imię Crie? To naprawdę paskudne nazwać tak tę małą. Biedulka.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo jest biedna. Coś jej jest, Reine-Marie. Jest nieobecna, jakby w stanie katatonii. Jest też olbrzymia. Musi mieć ze dwadzieścia pięć, trzydzieści kilogramów nadwagi, a ma dopiero dwanaście czy trzynaście lat. Lyon nie mógł sobie nawet przypomnieć, ile dokładnie.

– Tusza nie jest oznaką bycia nieszczęśliwym, Armand. A przynajmniej mam taką nadzieję...

– To prawda. Ale jest coś jeszcze. Ta mała sprawia wrażenie kompletnie wyłączonej z otoczenia. I to nie koniec. Lyon opowiadał, że gdy wydarzyło się morderstwo, widział, jak CC pada na ziemię, jak zespół ratowników próbuje jej pomóc, ale nie wiedział, gdzie była Crie.

– Czy to znaczy, że jej nawet nie szukał? – zapytała Reine-Marie, a jej widelec zatrzymał się w pół drogi między talerzem a ustami.

Gamache pokiwał głową.

– Obrzydliwy facet – powiedziała.

Trudno było się z tym nie zgodzić, więc nadinspektor nie mógł się nadziwić, dlaczego tak bardzo się stara nie przyznać jej racji.

– Być może – przyszła mu do głowy odpowiedź – to zbyt łatwe. Chyba wolałbym, by rozwiązanie zagadki nie było tak pospolite: posłany w odstawkę, upokorzony, zdradzany mąż zabija samolubną żonę. Może dla wielkiego Armanda Gamache’a jest to zbyt nieskomplikowane.

– To tylko twoje ego.

– Co takiego?

– To jedyny powód, dla którego nie przyznajesz mi racji w sprawie Lyona. Domyślasz się, że to on zabił. Wiesz, że ten związek musiał być chory. Dlaczego traktowałyby go w taki sposób, gdyby było inaczej, i dlaczego on miałby to znosić? I dlaczego jego córka się tak odizolowała? Z tego, co mówisz, nikt nawet nie zauważył, czy tam była, czy nie.

– Była. Pojechała z nimi ciężarówką. Ale masz rację.

– W czym?

– Nie chcę, by to Richard Lyon był sprawcą.

– Dlaczego nie? – Reine-Marie wychyliła się w przód.

– Lubię go. Przypomina mi Sonny’ego.

– Naszego psa?

– Pamiętasz, jak łąził z podwórka na podwórko, szukając miejsca, gdzie ktoś robi piknik?

– Pamiętam, jak raz wskoczył do autobusu linii trzydzieści cztery i wylądował w Westmount.

– Lyon przypomina mi Sonny’ego. Tak samo chce przypodobać się innym i potrzebuje towarzystwa. Myślę też, że ma dobre serce.

– Ludziom o dobrym sercu często dzieje się krzywda. Dobre serce łatwo złamać, Armand. No i te dobre serca potrafią się rzucić na innych. Bądź ostrożny. Przepraszam, nie powinnam tego mówić. Znasz się na swojej pracy lepiej ode mnie. Wybacz mi.

– Zawsze dobrze jest mi przypominać pewne rzeczy, szczególnie o moim ego. Co to za postać z *Juliusza Cezara* opisywała swoją pracę jako polegającą na staniu przy cesarzu i szeptaniu mu do ucha: „Jesteś tylko człowiekiem”?

– Oo, to teraz jesteś cesarzem? To nie najlepszy rozwój sytuacji.

– Uważaj – powiedział, wycierając ostatki sosu z talerza kawałkiem bagietki – bo kompletnie pozbawisz mnie ego. A wtedy zniknę.

– Nie martwię się o to. – Pocałowała go, zebrała talerze ze stołu i wyszła do kuchni.

– Dlaczego CC nie siedziała razem z rodziną? – zapytała Reine-Marie kilka minut później, kiedy Gamache zmywał, a ona wycierała naczynia. – Nie wydaje ci się to dziwne?

– Cała historia wydaje mi się dziwna. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek pracował nad sprawą, w której wszystko od początku nie trzyma się kupy. – Z podwiniętymi rękawami i rękami unurzany w pianie energicznie szorował żeliwny garnek.

– Dlaczego ta kobieta miałaby zostawić rodzinę na lodowatej trybunie i zająć wygodne krzesło przy grzejniku? – zachodziła w głowę Reine-Marie.

– Myślę, że odpowiedź jest prosta – zaśmiał się, podając jej garnek. – Dlatego, że tam było wygodnie i ciepło.

– Czyli samolubna matka i odrażający ojciec. Na miejscu Crie też bym zniknęła.

Gdy skończyli zmywać, zabrali tacę z kawą do salonu, a Gamache przyniósł pudło z materiałami dowodowymi dotyczącymi zabójstwa Elle. Popijając kawę, a czasami odkładając akta, by pogapić się w ogień, przejrzał zawartość pudła dokładniej, niż miał okazję to zrobić rano.

Wyjął małe, grawerowane, drewniane pudełko i otworzył je, przyglądając się dziwnej mieszance zamkniętych wewnątrz liter. Bezdomni nie słynęli ze zdrowego rozsądku, ale komu chciałoby się wycinać te litery? C, B, L, K i M. Odwrócił pudełko i zobaczył litery przyklepione do denka. B KLM.

Może C odpadło. Może zajmowało przestrzeń pomiędzy B a K.

Wyjął raport z sekcji zwłok. Elle została uduszona. W jej krwiobiegu stwierdzono obecność alkoholu, znaleziono też oznaki chronicznego alkoholizmu. Nie stwierdzono narkotyków. Oczywiście siniaki na szyi.

Dlaczego zabijać żebraczkę?

Mordercą z pewnością była inna bezdomna osoba. Jak w każdej subkulturze, interakcje w tym środowisku zwykle ograniczają się do jego członków. Przeciętnego przechodnia Elle prawdopodobnie nie obchodziła w wystarczającym stopniu, by ją zabić.

Gamache otworzył kartonową kopertę ze zdjęciami z miejsca zbrodni. Twarz Elle była brudna i zaskoczona. Nogi rozpostarte na boki, owinięte warstwami szmat i gazet. Odsunął zdjęcie i zajął do pudła. Były tam. Niektóre gazety położył, inne nowsze, zawinięte w kształt ramion, nóg i torsu Elle, wyglądającej jak wypatroszony upiór.

Były też zdjęcia brudnych rąk Elle, z groteskowymi paznokciami – długimi, powykrecanymi i odbarwionymi. Bóg jeden wie, co miała pod nimi. Choć właściwie to koroner wiedział. Gamache zajął do raportu. Brud. Jedzenie. Odchody.

Na jednej z rąk widać było krew – z raportu wynikało, że to jej własna – i kilka świeżych nacięć pośrodku dłoni, jak stygmaty. Ktokolwiek ją zabił, mógł umazać się krwią. Nawet jeśli wyprałby ubranie, ślady DNA i tak by zostały. Jeszcze jeden problem do kolekcji: krew.

Gamache odnotował to i sięgnął po ostatnią fotografię. Była na niej Elle, leżąca nago na stole koronera. Przyglądał się zdjęciu przez moment, zastanawiając się, czy kiedyś przywyknie do widoku zwłok. Morderstwo wciąż go szokowało.

Po chwili ujął szkło powiększające i powoli badał ciało. Szukał liter. Czy przylepiła albo wypisała na swoim ciele K L C B albo M? Może te litery były jej obsesją, talizmanem. Niektórzy szaleńcy malowali sobie krzyże na całym ciele i w swoich domostwach, by odgonić zło. Może dla Elle litery były ekwiwalentem krzyża.

Przesunął lupę niżej. Na ciele ofiary nie dostrzegł śladu liter, ale całe pokryte było brudem. Pokładami brudu nagromadzonego przez lata. Nawet okazjonalna kąpiel w Old Brewery Mission^[16] nie mogła ich usunąć. Brud wżarł się w ciało jak tatuaż. I, podobnie jak tatuaż, opowiadał historię. Była ona równie sugestywna jak poezje Ruth Zardo.

Rozumiem. Nic nie masz do oddania:

*nic – ani pomocnej dłoni, ani kawałka chleba, ani szala,
co osłoniłby od zimna,
ani dobrego słowa. Bóg wie, jak niewiele jest
do podziaku. Potrzebujesz wszystkiego.*

Dobrego słowa. To przypomniało mu o czymś. Crie. Podobnie jak Elle, pragnęła dobrego słowa. Błagała o nie na pewno tak samo, jak Elle żebrała o jedzenie.

Tatuaż brudu opowiadał o życiu Elle na zewnątrz, ale milczał o tym, co działo się w środku, pod warstwami cuchnących szmat, brudu i przeżartej alkoholem skóry. Wpatrując się w zdjęcie jej ciała na stole koronera, Gamache zastanawiał się, co czuła i myślała ta kobieta. W końcu dowie się, jak się nazywała, może nawet kto ją zabił, ale jej samej prawdopodobnie nigdy nie znajdzie. Ta kobieta zaginęła całe lata temu.

Tak jak Crie, tyle że zaszła dalej?

I wtedy zobaczył małe odbarwienie, różne od reszty skóry. Ciemne i okrągłe, zbyt równe jak na drobinę przypadkowego brudu. Widniało na jej piersi, na mostku.

Ponownie uniósł lupę i chwilę mu się przyglądał. A gdy podniósł wzrok, już wiedział.

Ponownie przyjrzał się pozostałym zdjęciom, zwłaszcza jednemu z nich. Potem przekopał pudło z dowodami w poszukiwaniu pewnego drobiazgu. Czegoś, co łatwo byłoby przeoczyć. Ale nie znalazł.

Starannie powkładał wszystko z powrotem do pudła i odstawił je przy drzwiach. Wrócił na fotel przy kominku i siedział, patrząc, jak Reine-Marie czyta; jej usta poruszały się leciutko od czasu do czasu, a brwi wznosiły się i opadały w sposób, jaki tylko on, który znał ją tak dobrze, mógł zauważyć.

Po czym wziął do ręki *Be Calm* i zaczął czytać.

Jean Guy Beauvoir sięgnął po kawę od Tima Hortona z podwójnym cukrem i śmietanką, tuląc kubek w dłoniach, by je ogrzać. Wielki, czarny, opalany drewnem piec pośrodku pokoju nie dawał wiele ciepła.

Była dziesiąta rano w śnieżny poranek, niemal dobę po morderstwie; zespół śledczy Sûreté zebrał się w biurze operacyjnym w Three Pines. Dzielili je z wielkim czerwonym wozem strażackim. Białe ściany powyżej ciemnej drewnianej boazerii oklejone były szczegółowymi mapami okolicy, diagramami strategii pożarniczych oraz wielkimi plakatami, upamiętniającymi zwycięzców Nagrody Gubernatora w kategorii literatury.

Biuro urządzono w siedzibie Ochotniczej Staży Pożarnej w Three Pines, której komendantem była Ruth Zardo.

– *Tabernacle*. Stara stetryczała rura. Nie pozwoli nam tego wyprowadzić. – Beauvoir wskazał wóz strażacki, który zajmował pół pomieszczenia.

– Czy madame Zardo wyjaśniła dlaczego? – zapytał Gamache.

– Powiedziała, że nie chce, żeby samochód zamarzł, w razie gdyby był potrzebny do pożaru, czy coś takiego – odpowiedział Beauvoir. – Zapytałem, kiedy ostatnio przydarzył się pożar, na co odpowiedziała, że to tajemnica. Tajemnica? Od kiedy to pożary są objęte tajemnicą?

– Zaczynajmy. Proszę o złożenie raportów. – Gamache siedział u szczytu stołu, ubrany w koszulę, krawat i wycięty pod szyję sweter z wełny merynosa, a na to miał nałożoną tweedową marynarkę. W rękę trzymał długopis, ale rzadko coś zapisywał. Wszędzie dokoła technicy podłączali telefony, faksy i komputery, ustawiali biurka, tablice oraz wyładowywali sprzęt. Gamache jednak nie słyszał tego zamieszania. Skupiał się wyłącznie na tym, o czym była mowa przy stole.

Robert Lemieux założył swoje najlepsze ubranie i wyglansował buty; teraz był wdzięczny głosowi instynktu, który mu to doradził, i jeszcze bardziej

wdzięczny, że go posłuchał. Obok niego młoda policjantka popijała kawę i pochylała się w przód, słuchając z uwagą. Przedstawiła się jako Isabelle Lacoste. Lemieux nie opisałby jej jako atrakcyjnej, przynajmniej nie w taki sposób, jaki od razu rzuca się w oczy w barze. Zresztą nie wyglądała na kobietę, która spędza czas, chodząc po barach. Raczej na naturalną i wyluzowaną. Nosila proste i dobrze skrojone spodnie, świetnie leżące na zgrabnej sylwetce, lekki sweter i apaszkę. Ciemne oczy były skupione, płowe włosy przytrzymywała opaska. W jednym uchu miała wiszący kolczyk. Podeszła od razu i przywitała Lemieux. Instynktownie spojrział na jej lewą dłoń i ze zdziwieniem zauważył obrączkę na palcu.

– Dwoje dzieci – powiedziała z uśmiechem, nie spuszczać wzroku z jego twarzy. – Chłopiec, René, i dziewczynka, Marie. *Toi?*

– Kawaler, nie mam nawet dziewczyny.

– To i dobrze. Przynajmniej jak długo trwa śledztwo. Bądź uważny. – Pochyliła się w jego stronę. – I bądź sobą. Szef wybiera tylko tych, którzy niczego nie udają.

– Oraz tych, którzy dobrze robią swoje, jak sądzę – odpowiedział, myśląc, że prawi jej komplement.

– *Oh, mais, franchement*, nie można dobrze robić swojej roboty, jeśli się nie wie, kim się jest. Jak ktoś może odkryć prawdę o innej osobie, jeśli nie potrafi przyznać się do prawdy o sobie?

– *Bon* – zaczął Beauvoir. – Dobra wiadomość: wiem, jak doprowadzono prąd do lodowiska curlingowego na jeziorze. Wczoraj wieczorem przesłuchiwałem Billy'ego Williamsa, faceta, który prowadził ciężarówkę, wiozącą CC do szpitala. Powiedział mi, że to on podłączył tę lampę. Pokażę wam. Niektórzy jeszcze nie byli na miejscu zbrodni.

Trzymając w jednej ręce pączka z polewą czekoladową, a w drugiej flamaster, Beauvoir podszedł do wielkiej płachty papieru przypiętej do ściany.

– To jest jezioro Brume, a tu miasteczko Williamsburg. Tu jest Legion. Zgadza się?

Rysunki inspektora były zawsze przejrzyste i nieskomplikowane. Duże kółko reprezentowało Brume. Mniejsze, jak księżyc, dotykało jego krawędzi. To Williamsburg. A krzyżyk na brzegu jeziora oznaczał siedzibę Legionu.

– Z Legionu nie da się zobaczyć jeziora. Trzeba zejść tą drogą za róg. Ale i tak to tylko pięć minut drogi. Tuż przed curlingiem wszyscy byli na śniadaniu w Legionie. Billy Williams powiedział mi, że dotarł nad jezioro tuż przed śniadaniem i wjechał ciężarówką na tafłę.

– Czy to bezpieczne? – zapytał ktoś z funkcjonariuszy.

– W tym miejscu lód ma grubość jakieś pół metra – powiedział Beauvoir. – Billy sprawdzał to tuż przed świętami, gdy ustawiał trybunę i lampę-grzejnik. Jedyne, co musiał zrobić tuż przed meczem wczoraj, to oczyścić jeszcze raz lodowisko i podłączyć grzejnik. Rankiem było pogodnie, więc zdecydował, że zrobi obie te rzeczy przed pójściem do Legionu na śniadanie. Tutaj zaparkował ciężarówkę. Na zdjęciu z miejsca zbrodni widać ślady opon. – Beauvoir zaznaczył na rysunku mały krzyżyk – na lodzie, blisko brzegu. – Po czym puścił w obieg zdjęcia.

– Teraz coś ważnego. Tu stoi ciężarówka, tu grzejnik, który nazywa się promiennik, a tu – narysował na płachcie prostokąt – jest lodowisko curlingowe. Billy Williams jest w tej okolicy licencjonowanym mechanikiem Kanadyjskiego Stowarzyszenia Automobilistów, więc ma tę wielką ciężarówkę. Widziałem ją. Olbrzymie bydlę. Koła takiej wysokości. – Gamache odchrząknął i Beauvoir przypomniał sobie, gdzie się znajduje. – Tak czy inaczej, Billy ma na pace ciężarówki generator do zasilania akumulatorów samochodowych. I znowu, to nie jest byle jaki generator. Ten jest ogromny. Williams mówi, że potrzebuje takiej mocy, żeby rozruszać zamrożone półciężarówki i sprzęt budowlany. Więc po prostu wziął kable podłączeniowe i przypiął z jednego końca generator, z drugiej grzejnik. *Voilà*. Zasilanie i ciepło.

Robert Lemieux poruszył się na swoim miejscu i po chwili uchwycił spojrzenie Lacoste. Spojrzała na niego i skinęła głową. Na znak zachęty? – zastanawiał się. Skinęła raz jeszcze, czy jej się rozszerzyły.

– Sir – powiedział Lemieux, wdzięczny, że głos mu się nie załamał. Beauvoir zwrócił zdumiony wzrok na nowego, który miał czelność mu przerwać.

– O co chodzi?

– No więc – Lemieux wykonał gest w stronę rysunku – kiedy oglądaliśmy wczoraj ten grzejnik, przyszło mi do głowy pytanie, ale chciałem jeszcze sprawdzić, zanim coś powiem. Takie grzejniki niemal zawsze opala się propanem. Nie są zasilane elektrycznie. – Rozejrzał się wokół. Wszystkie oczy

wpatrywały się w niego. – Zadzwońm do znajomego, który jest elektrykiem. Grywa także w hokeja w tutejszej lidze męskiej.

Ku zaskoczeniu Lemieux, Beauvoir się uśmiechnął. Łagodnym, otwartym uśmiechem, od którego jego twarz nabrała niemal młodzieńczego wyglądu.

– Racja. Ten też był kiedyś na propan – powiedział inspektor. – Ale się zepsuł i mieli go wyrzucić; Billy Williams go uratował. Wiedział, że może go podłączyć do prądu i będzie działał wystarczająco dobrze, żeby obsłużyć doroczne wydarzenie curlingowe. To było parę lat temu. Do tej pory działało. Ale do zasilania grzejnika konieczny jest generator.

– Wczoraj Robert Lemieux w rozmowie ze mną zasugerował, że to mógł być generator. – Gamache skinął w stronę policjanta, który wyprostował się nieco na krześle. – Obawiam się, że nie potraktowałem tej sugestii wystarczająco poważnie. Przepraszam.

Lemieux nigdy wcześniej nie zdarzyło się, żeby przełożony go przeprosił. Nie miał pojęcia, co z tym zrobić, więc nie zrobił nic.

– Czy generator pana Williamsa ma dość mocy, by zabić? – zapytał Gamache.

– Oto jest pytanie. Zrobiłem wczoraj jeszcze jeden przystanek, w Cowansville, żeby porozmawiać z koronerem, panią doktor Harris. Dała mi raport z sekcji zwłok. Lekarka zna Williamsa i uważa, że jego generator jest wystarczająco silny, żeby spowodować śmierć. Jak się okazuje, tak wiele nie trzeba, żeby to zrobić. – Beauvoir wrócił na swoje miejsce i zjadł ostatni kęs pączka, mieszając kawę długopisem. – Doktor Harris chce z panem porozmawiać, szefie. Powiedziała, że wpadnie później z bardziej szczegółowym raportem i ubraniami, które miała na sobie ofiara. Ale gdyby się pan zastanawiał: koroner nie wątpi, że to nie był wypadek.

Beauvoir spojrział na swoje notatki. Od czego by tu zacząć? Nie miał ochoty powtarzać, że to dziwaczna, a może nawet szalona metoda, by popełnić morderstwo. Nadinspektor Gamache już to wiedział. Wszyscy wiedzieli. Ale wczoraj po południu doktor Sharon Harris powtórzyła mu to kilka razy.

– Nie jestem pewna, czy w pełni pan docenia powagę sytuacji, inspektorze. Proszę spojrzeć na to. – Doktor Harris zdjęła białe prześcieradło z ciała ofiary.

Na zimnym, twardym stole leżała zimna, twarda kobieta. Twarz wykrzywiały grymas wściekłości; Beauvoir zastanawiał się, czy rodzina rozpoznałaby tę minę. Sharon Harris krążyła wokół ciała przez dobrą chwilę, pokazując godne uwagi szczegóły, jak gdyby była przewodnikiem turystycznym po kostnicy.

Teraz, na porannej odprawie, Beauvoir puścił w obieg zdjęcia, które zrobiła doktor Harris w trakcie sekcji zwłok. W pokoju zapadła cisza, wszyscy je oglądali.

Gamache przyjrzał się uważnie fotografiom, po czym podał je Lacoste. Odwrócił się z lekka, skrzyżował nogi i popatrzył przez okno. Śnieg padał, osiadając na samochodach i domach, gromadząc się na gałęziach drzew. Widok napawał spokojem, co stanowiło ostry kontrast dla fotografii i rozmowy wewnątrz budynku dawnego dworca. Ze swojego miejsca Gamache widział wygięty kamienny mostek, łączący ich brzeg rzeki Bella Bella z Three Pines. Od czasu do czasu niespiesznie i bezgłośnie przejeżdżał samochód; śnieg tłumiał wszelki dźwięk.

W pomieszczeniu pachniało palonym drewnem i przemysłową kawą w mokrym kartonie, z lekką nutą politory i piżmowym zapachem starych książek. Albo rozkładów jazdy. Kiedyś to był dworzec kolejowy, teraz opuszczony, jak wiele małych stacji należących do Narodowych Kolei Kanadyjskich, ale miasteczko Three Pines znalazło znakomity użytek dla starego budynku z drewna i cegły.

Gamache podniósł ogrzaną kawą dłoń do nosa. Był zimny. I trochę wilgotny. Gdyby nadinspektor był psem, to pewnie lepiej by rokowało. Pomieszczenie powoli się nagrzewało; nic nie było tak przyjemne jak zmarznąć, a potem poczuć napływające i rozprzestrzeniające się ciepło.

Tak teraz czuł się Armand Gamache. Był zadowolony i usatysfakcjonowany. Uwielbiał swoją pracę i swój zespół. W Sûreté nie czekał go dalszy awans i nadinspektor pogodził się z tym, bo nie miał potrzeby konkurowania z innymi. Był człowiekiem zadowolonym.

Najbardziej lubił tę część swojej roboty: siedział z zespołem i dedukował, kto mógł popełnić morderstwo.

– Widzicie jej dłonie? Stopy? – Beauvoir przytrzymał w ręku kilka zdjęć z sekcji zwłok. – Są zwęglone. Czy ktoś ze świadków wspomniał o zapachu? – zapytał Gamache’a.

– Owszem, mimo że woń była słaba – potwierdził Gamache.

Beauvoir skinął głową.

– Tak właśnie podejrzewała doktor Harris. Myślała, że poczuli ten zapach. Woń spalonego ciała. Większość ofiar porażenia prądem, jakie widziała, wyglądała jeszcze gorzej. Niektóre dosłownie dymiły.

Kilku śledczych się wzdrygnęło.

– Dosłownie – powiedział inspektor. – Większość ludzi, którzy umierają w taki sposób, zostaje zabita przez druty wysokiego napięcia. To zwykle pracownicy elektrowni albo technicy, którzy mieli pecha i dotknęli przewodów zerwanych w trakcie burzy albo przypadkiem przeciętych. *Pouf!* Śmierć na miejscu.

Teraz to Gamache wychylił się w przód. Znał Jean Guy Beauvoira na tyle dobrze, by wiedzieć, że inspektor nie ma pociągu do dramatyzmu. W gruncie rzeczy go nie znosił. Ale lubił robić te małe pauzy. Niemal go zdradzały. Jak kłamca odchrząkujący przed wypowiedzeniem wyjątkowego łgarstwa albo pokerzysta pocierający nos, Beauvoir komunikował doniosłe informacje tymi dramatycznymi pauzami.

– Doktor Harris nie spotkała się ze zgonem spowodowanym niskim napięciem od ponad dekady. Automatyczne zabezpieczenia zlikwidowały takie zagrożenia. Lekarka mówi, że to prawie nie do zrobienia.

Teraz wszyscy słuchali go z uwagą. Nawet technicy, moment wcześniej pochłonięci własną pracą, zatrzymali się, żeby posłuchać.

Morderstwo niemożliwe do popełnienia.

Kubki z kawą i pączki zawisły w połowie drogi do ust, fotografie odłożono na stół, wszyscy wstrzymali oddech.

– Żeby było możliwe – powiedział Beauvoir – wymagało spełnienia kilku warunków jednocześnie. CC musiała stać w kałuży, znajdując się pośrodku zamrożonego jeziora przy temperaturze minus dziesięć stopni, i dotknąć gołymi rękami jakiegoś przewodnika podłączonego do prądu. Gołymi rękami. – Wzniósł dłonie, jak gdyby zespołowi śledczemu należało przypomnieć, jak wyglądają. – Jakim cudem zdjęła na tym mrozie rękawiczki i dotknęła jedyne przedmioty w okolicy, który był pod napięciem? Ale na tym nie koniec. Prąd musiał popłynąć przez jej ciało do stóp i stamtąd do kałuży. Proszę spojrzeć pod

nogi.

Wszyscy popatrzyli na Beauvoira.

– Pod nogi, pod nogi. Spójrzcie na swoje stopy.

Głowy zebranych zniknęły pod stołem. Gamache pochylił się i przyjrzał swoim butom. Były pokryte nylonem, a wewnątrz miały warstwę goreteksu i filcu.

– Popatrzcie na podeszwy – podpowiedział zniecierpliwiony Beauvoir. Wszyscy znów się schylili.

– No i?

– Gumowe – odparła Isabelle Lacoste. Beauvoir zorientował się po wyrazie jej twarzy, że zrozumiała. – Wylewane podeszwy z traktorem zapobiegającym poślizgom, żeby nie potknąć się na lodzie i śniegu. Założę się, że wszyscy mamy gumowe podeszwy.

Wszyscy się z tym zgodzili.

– I tu jest zagwozdka – oznajmił Beauvoir, ledwie mogąc powstrzymać podniecenie. – Trzeba będzie podzwonić i popytać, ale założę się, że w całym Quebecu nie sprzedaje się innych zimowych butów niż takie na gumowej podeszwie. I tu się kryje ostatni element, bodaj najbardziej nieprawdopodobny w całej tej serii wydarzeń. Jeśli CC de Poitiers nosiłaby buty na gumowej albo nawet skórzanej podeszwie, ciągle by żyła. Chwyciła coś metalowego. Metal przewodzi prąd. Ziemia przewodzi prąd. Nasze ciała przewodzą prąd. Według doktor Harris prąd jest jak żywe stworzenie: z desperacją próbuje przeżyć. Gna z miejsca na miejsce, z jednej formy w drugą, przez metal, ciało, aż do ziemi. A po drodze przepływa przez serce. Serce zaś ma własny przepływ elektryczny. Niesamowite, co? Doktor Harris mi to wszystko wyjaśniła. Jeśli prąd przepływa wprost przez ciało, trwa to zaledwie parę sekund, zanim zacznie wpływać na akcję serca. Zaburza normalny rytm i powoduje stan – zajrzał do notatek – fibrylacji.

– To dlatego używa się elektrod, żeby zainicjować akcję serca – wtrąciła Lacoste.

– I dlatego wszywa się rozruszniki. To tylko baterie, dające sercu impuls elektryczny – zgodził się Beauvoir, podekscytowany tematem, zachwycony, że może zająć się faktami. – Gdy CC dotknęła metalu, jej serce zareagowało

w ciągu sekund.

– Ale – przemówił Gamache i wszystkie oczy zwróciły się na niego – madame de Poitiers musiała być uziemiona.

Wszyscy siedzieli w milczeniu. Pomieszczenie się ogrzało, ale nadinspektor wciąż czuł chłód. Spojrzał na Beauvoira i wiedział, że to nie koniec rewelacji.

Beauvoir sięgnął do stojącej obok torby i wyciągnął kozaki CC de Poitiers, zrobione z najmłodszej, najbielszej, najdelikatniejszej skóry małej foki. Na podeszwach, gdzie wszyscy inni mieli gumę, śledczy dostrzegli maleńkie pazurki.

Beauvoir odwrócił jeden but bokiem, żeby widać było podeszwę. Pazurki – wygięte, spalone i groteskowe – okazały się metalowymi ząbkami, wystającymi ze skórzanej podeszwy.

Gamache poczuł, jak zaciska mu się szczeka. Któż by nosił takie buty? Może Eskimosi. Za kręgiem polarnym. Ale nawet oni nie zabijali młodych fok. Eskimosi to rozsądni i szanowani myśliwi, którym do głowy by nie przyszło zabijać młode. Nie musieli tego robić.

Nie. Tylko barbarzyńcy mordowali młode. I tylko barbarzyńcy popierali handlowanie nimi. Na stole leżały ciała dwóch małych fok. Jasne, to były zwierzęta, ale nadinspektora oburzało wszelkie bezsensowne zabijanie. Jaka kobieta nosiłaby na sobie ciała dwóch martwych foczych dzieci, ukształtowane w formę kozaków, z metalowymi pazurami w podeszwach?!

Gamache zastanawiał się, gdzie teraz była CC de Poitiers – i czy próbowała się wytłumaczyć oburzonemu Bogu i kilku wściekłym fokom.

Beauvoir stał przed kolejną płachtą papieru przymocowaną do ściany. Kozaki CC tkwiły pośrodku stołu jak rzeźba, przypominając wszystkim, jak dziwni byli zarówno morderca, jak i zamordowana.

– Podsumowując: aby morderstwo mogło się wydarzyć, musiały zgrać się ze sobą cztery czynniki – mówił Beauvoir, jednocześnie pisząc. – A: ofiara musiała stać w wodzie. B: musiała zdjąć rękawiczki. C: musiała dotknąć czegoś podłączonego do prądu. D: musiała mieć metalowe podkówki na podszewkach.

– Mam tu raport z miejsca zbrodni – powiedziała Isabelle Lacoste, która poprzedniego dnia kierowała zespołem kryminalistycznym. – Oczywiście, to wstępna wersja, ale już możemy odpowiedzieć na jedno pytanie. W kwestii wody. Jeśli przyjrzyście się jeszcze raz fotografiom, zauważycie, że śnieg wokół przewróconego krzesła jest lekko zabarwiony na niebiesko.

Gamache przyjrzał się uważniej. Przedtem myślał, że to tylko cień. Niektóre obszary na śniegu pod pewnym kątem i w pewnym świetle mogły wyglądać na niebieskie. Ale niekoniecznie w tym odcieniu błękitu. Teraz nadinspektor niemal jęknął. Powinien był od razu zauważyć. Wszyscy powinni byli zauważyć.

Morderca mógł zrobić kałużę tylko w jeden sposób. Stopić lód i śnieg albo rozlać jakiś płyn. Jeśli jednak rozlałby kawę lub herbatę, w krótkim czasie zamarłyby z powrotem.

Co by nie zamarzło?

Coś, co stworzono specjalnie po to, by nie zamarzało.

Płyn do spryskiwania szyb samochodowych. Wszechobecny, jasnoblękitny płyn, który wszyscy Kanadyjczycy wlewali litrami w swoje auta. Zrobiony tak, żeby rozpylać go na szybę i usuwać topniejący śnieg i sól. I tak, by nie zamarzał.

Czy to było proste?

– To płyn do spryskiwania szyb – wyjaśniła Lacoste.

Najwyraźniej, pomyślał Gamache. Przynajmniej jedno w tej sprawie było nieskomplikowane.

– Jak morderca mógł rozlać płyn niezauważony? – zastanawiała się Lacoste.

– Cóż, nie wiemy, czy nie został zauważony – odparł Gamache. – Nie pytaliśmy o to. Ktoś siedział tuż przy madame de Poitiers. Ta osoba mogła zauważyć.

– Kto? – zapytał Beauvoir.

– Kaye Thompson.

Teraz to Gamache wstał i podszedł do szkicu miejsca zbrodni. Opowiedział zgromadzonym o przesłuchaniach, jakie przeprowadził poprzedniego dnia, po czym narysował trzy krzyżyki w pobliżu promiennika.

– Krzesła ogrodowe. Miały być dla starszych pań, które je przyniosły, ale ostatecznie tylko jedna z nich użyła swojego. Kaye Thompson siedziała tutaj. – Wskazał jeden z krzyżyków. – Pozostałe dwie uczestniczyły w curlingu, a CC zasiadła na krzesło obok grzejnika. To krzesło tutaj – zatoczył krąg wokół krzesła najbliższego lodowiska – leżało na boku. To pod nim właśnie rozlano płyn, czy tak? – Zwrócił się do Lacoste, która przytaknęła.

– Jest teraz badane w laboratorium, ale podejrzewam, że znaleźliśmy nasze narzędzie zbrodni – powiedziała.

– Ale czy to nie grzejnik był narzędziem? – zapytał jeden z policjantów, zwracając się do Beauvoira. – Mówił pan, że ofiara dotknęła czegoś podłączonego do prądu. Grzejnik był podłączony do prądu.

– *C'est vrai* – przyznał inspektor. – Ale wygląda na to, że nie grzejnik ją zabił. Sądzymy, że to było krzesło. Jeśli przyjrzeć się ranom na jej rękach, odpowiadają one aluminiowym rurkom na oparciu krzesła.

– Ale w jaki sposób? – zapytała jedna z pracownic technicznych.

– Tego właśnie musimy się dowiedzieć – powiedział Beauvoir, tak podekscytowany zagadką, że zapomniał polecić pani technik, by wróciła do pracy. Ta kobieta zadała właściwe pytanie. Jak prąd wydostał się z grzejnika i zmienił krzesło w elektryczne?

Krzesło elektryczne.

Jean Guy Beauvoir obracał ten koncept w swym przejrzystym, analitycznym umyśle. Czy to było w jakiś sposób istotne? Czy był powód, dla którego morderca zdecydował się zabić CC de Poitiers krzesłem elektrycznym?

Czy to był rewanz? Zemsta? Kara za jakąś zbrodnię popełnioną przez CC? Jeśli tak, to była pierwsza od pięćdziesięciu lat taka egzekucja w Kanadzie.

– Co pani o tym myśli? – Gamache zwrócił się do technik, która zadała pytanie, młodej kobiety w kombinezonie z pasem z narzędziami. – Jak się pani nazywa?

– Céline Provost, sir. Jestem elektrykiem w oddziale technicznym Sûreté. Przyszłam tylko podłączyć komputery.

– *Bon*, Provost. Jaką ma pani teorię?

Provost przez dobrą minutę patrzyła na diagram, zastanawiając się.

– Jakie napięcie ma generator?

Beauvoir jej powiedział. Pokiwała głową i myślała jeszcze przez chwilę. Potem potrząsnęła głową.

– Zastanawiam się, czy morderca mógł podpiąć kabel krokodylkowy do grzejnika i do krzesła, a potem przysypać go śniegiem.

– Ale...?

– Ale to by oznaczało, że krzesło cały czas było pod prądem. Byłoby pod napięciem od momentu, gdy morderca podłączył kabel. Ktokolwiek by go dotknął, zostałby porażony. Nie dawałoby to gwarancji, że jako pierwsza zrobi to madame de Poitiers.

– Nie byłoby jak tego włączyć i wyłączyć?

– W żaden sposób, z wyjątkiem generatora na ciężarówce, a ten robi masę hałasu. Jeśliby zgasł, wszyscy by zauważyli. Jeżeli zaś morderca podłączyłby kabel w ostatniej chwili, kobieta, która siedziała obok, z pewnością by to widziała.

Gamache zastanowił się nad tym. Miała rację.

– Przykro mi, sir.

– Jeszcze jakieś raporty? – zapytał Gamache, siadając.

Przez następne dwadzieścia minut różni funkcjonariusze raportowali o znaleziskach na miejscu zbrodni, wstępnych analizach i badaniach alibi.

– Wiemy – relacjonowała Lacoste – że Richard Lyon pracuje w fabryce odzieżowej. Zajmuje się papierkową robotą i rozdziela zadania dla kolejnych zmian. Ale w wolnych chwilach zajmuje się tym. – Podniosła diagram.

– Dość tych tajemnic – powiedział Beauvoir. – Co to jest?

– Bezgłośnie rzepy. Najwyraźniej armia amerykańska ma problem. Teraz, gdy prowadzą coraz więcej operacji w bliskiej odległości od nieprzyjaciela, cisza jest niezmiernie ważna. Muszą się zaczać. – Lacoste przykucnęła za biurkiem i udawała, że się skrada. – Po czym przygotowują się do strzału. Ale cały ekwipunek mają przypięty do munduru na rzepy. Przy otwarciu kieszeni rzep się odrywa, a dźwięk zdradza pozycję żołnierza. Ktokolwiek wynajdzie bezgłośnie, mocne zapięcia, zarobi fortunę.

Gamache dostrzegł, że wszyscy zaczęli intensywnie myśleć, usłyszawszy tę wiadomość.

– Czy Lyon wynalazł takie rzepy?

– Wynalazł system magnesów zamykających kieszeń.

– Pomysłowe – zauważył nadinspektor.

– Jednak żeby to działało z płótnem mundurów, magnesy muszą być dość ciężkie. Każda kieszeń wymaga dwóch magnesów, mundur ma koło czterdziestu kieszeni. Magnesy dodają prawie siedem kilogramów do i tak ciężkiego wyposażenia.

Rozległy się chichoty.

– Lyon jest właścicielem dziewięciu patentów, na różne rzeczy. Wszystkie nieudane.

– Luzer – podsumował Beauvoir.

– Mimo to wciąż próbuje – powiedziała Lacoste. – I jeśli raz mu się uda, będzie bogatszy, niż mu się kiedykolwiek śniło.

Gamache przysłuchiwał się temu i przypomniał sobie pytanie, które zadała Reine-Marie poprzedniego wieczora. Dlaczego Richard Lyon i CC de Poitiers byli małżeństwem? Dlaczego się nie rozwiedli? Jedno z nich było takie ambitne, samolubne i okrutne; drugie – słabe i niekompetentne. Nadinspektor spodziewałby się, że to CC zabije męża, nie odwrotnie.

Uświadomił sobie, że niemal przyjął za pewnik, iż Lyon zamordował żonę. Zdawał sobie sprawę z tego, że niebezpiecznie jest przyjmować coś za pewnik.

Ale mimo wszystko – czy było możliwe, że Richard Lyon wreszcie wpadł na wynalazek, który działał? Czy zabił żonę, by nie musieć się z nią dzielić swą fortuną?

– Jest jeszcze jedna dziwna rzecz w tej sprawie. – Lacoste uśmiechnęła się przepaszająco do inspektora Beauvoira. Pracowali razem przy wielu śledztwach, wiedziała, że jego umysł jest bystry i analityczny. Takie zamieszanie i bałagan były dla niego torturą. Inspektor uzbroił się w cierpliwość i skinął głową. – Szukałam w komputerze zapisów dotyczących CC de Poitiers. Owszem, ma prawo jazdy i legitymację ubezpieczeniową. Ale nie ma aktu urodzenia, ani paszportu, nic starszego niż sprzed dwudziestu lat. Sprawdziłam też CC Lyon, Cecilia Lyon, Cecilia de Poitiers. – Lacoste uniosła dłonie w geście rezygnacji.

– Proszę spróbować Eleanor i Henri de Poitiers – zasugerował Gamache, spoglądając na leżącą przed nim książkę. – Z książki wynika, że byli jej rodzicami. Proszę też poszukać li bien – przeliterował, żeby Lacoste mogła zapisać.

– Co to?

– Jej filozofia życiowa. Miała nadzieję, że to zastąpi feng shui.

Beauvoir próbował udawać, że wie coś na ten temat i że go to interesuje. Ale nie wiedział i wcale go to nie ciekawiło.

– CC miała nadzieję – ciągnął Gamache – że ta filozofia uczyni ją bardzo bogatą.

– Czy to motyw morderstwa? – ożywił się Beauvoir.

– Możliwe, gdyby jej się udało. Ale do tej pory wszystko wskazuje na to, że CC de Poitiers odnosiła mniej więcej tyle sukcesów co jej mąż. Czy możemy już rozdzielić zadania? – Gamache podniósł się do wyjścia.

– Sir, jeszcze jedno – odezwał się Robert Lemieux. – Zlecił mi pan przejrzenie śmietnika w domu Lyona. Tu jest lista.

– To może poczekać, dziękuję – powiedział nadinspektor. – Mamy dziś masę roboty. Porozmawiam z Kaye Thompson, żeby się dowiedzieć, co widziała. Chciałbym, żeby pan – zwrócił się do Beauvoira – znalazł tego fotografa, o którym mówił Richard Lyon. – Inspektor przytaknął energicznie, podniecony perspektywą dalszego polowania. – Niech pan przynajmniej przejrzy zdjęcia ze

śniadania i meczu curlingowego. Może nawet uchwycił samego mordercę. Nazywa się Saul jakiś tam.

– Saul Petrov. – Dało się słyszeć damski głos zza wielkiego, czerwonego wozu strażackiego. Po chwili zebrani ujrzeli młodą kobietę. – Znalazłam go.

Podchodząc, musiała zauważyć zaskoczenie, a nawet grozę malujące się na twarzach zgromadzonych przy stole. Nie zdziwiło jej to. Była na to przygotowana.

– Dzień dobry, funkcjonariuszko Nichol – powiedział Armand Gamache.

Beauvoir rozdzielił zadania, podczas gdy Gamache rozmawiał na osobności z Yvette Nichol. W budynku był jeden wydzielony pokój, który niegdyś służył jako budka biletera. Ostatnimi czasy przejęła go Ruth Zardo. Znajdowały się tam biurko, krzesło i około trzystu książek – stanowiących niewątpliwie zagrożenie pożarowe.

Nadinspektor wstał, gdy tylko zobaczył Nichol – jak człowiek oczekujący na egzekucję wstaje, by zmierzyć się z przeznaczeniem. Skinął głową do Beauvoira; jego zastępca wiedział instynktownie, czego dotyczyła tocząca się rozmowa. Bez jednego słowa Gamache przemaszerował przez pomieszczenie, by spotkać Nichol w pół drogi i zaprowadzić ją do pokoiku.

Beauvoir obserwował, jak jego zespół pracuje przy komputerach i telefonach, ale myślami skupiony był na nadinspektorze. I na Nichol. Tej paskudnej, niemiłej, małostkowej kobiecie, która niemal wykoleiła ich poprzednie dochodzenie. Okazała się wyjątkowo antagonizującym innym członkiem zespołu, którego funkcjonowanie zależało od wewnętrznej harmonii i na niej się opierało.

– Proszę wytłumaczyć, dlaczego pani przyszła. – Gamache stał w małym biurze, górując nad drobnej postury policjantką. Jej krótkie, mysie, rozczochrane włosy wyglądały, jakby strzygł je sekatorem pijany ogrodnik. Ubranie źle na niej leżało, nadinspektorowi wydawało się też, że widzi kawałek żółtka przylepiony do jej swetra. Twarz Nichol znaczyły blizny i czerwone ślady po trądziku jak u nastolatki. W jej szarych oczach czaiły się lęk i przebiegłość.

Ona się kogoś boi, ale nie mnie – pomyślał nadinspektor.

– Przydzielono mnie do pana, sir. – Przyglądała mu się uważnie. – Naczelnik Francoeur zadzwonił dziś rano i kazał mi się do pana zgłosić. Ja także byłam zaskoczona. – Próbowwała zrobić wrażenie skruszonej, ale brzmiało to, jakby się

dąsała. – Czytałam notatki, które pan i inspektor Beauvoir sporządziliście.

– Jak?

– Cóż, naczelnik przesłał mi je do domu. Zauważyłam pańską notatkę o fotografii i uznałam ją za priorytetową. Zgodziłam się z tym...

– Co za ulga.

– Znaczy się, wiedziałam, że ma pan rację. No i oczywiście miał ją pan. – Teraz się zdenerwowała. – Proszę. – Wyciągnęła rękę z karteluszką. Wziął go od niej i przeczytał:

Saul Petrov, ulica Tryhorn 17.

– Wyszukałam ten adres na mapie. Widzi pan, to tutaj. – Wyciągnęła z kieszeni mapę i wręczyła inspektorowi. Nie wziął jej. Tylko wpatrywał się w Nichol. – Obdzwoniłam jakieś piętnaście agencji nieruchomości w okolicy. Nikt go nie znał, ale w końcu znalazłam restaurację Le Sans Souci w Saint-Rémy. Tam ludzie wieszają ogłoszenia o domkach do wynajęcia. Zapytałam właściciela, który przypomniał sobie, że ktoś niedawno dzwonił do niego z Montrealu z podobnym pytaniem. Facet wynajął domek od razu. Zadzwoiłam i okazało się, że to ten fotograf. Saul Petrov.

– Rozmawiała pani z nim?

– Tak jest. Musiałam. Żeby potwierdzić jego tożsamość.

– A jeśli on jest mordercą? I może właśnie teraz pali zdjęcia i pakuje samochód? Jak dawno temu pani dzwoniła?

– Jakieś dwie godziny temu. – Głos Nichol przycichł aż do szeptu. Gamache wziął głęboki wdech i patrzył na nią przez chwilę, po czym ruszył w stronę drzwi.

– Inspektorze Beauvoir? Proszę wziąć z sobą kogoś i dowiedzieć się, czy to jest fotograf, którego szukamy. Lemieux, proszę tu zostać. Muszę z panem porozmawiać. – Nadinspektor zwrócił się znowu do Nichol: – Proszę tu usiąść i poczekać na mnie.

Nichol opadła na krzesło, jak gdyby ktoś podciął jej nogi.

Beauvoir wziął kartkę z adresem, spojrzął na mapę na ścianie i po kilku minutach już był za drzwiami; przedtem jednak przyjrzał się Yvette Nichol,

siedzącej w maleńkim, zagraconym pokoju i wyglądającej tak żałośnie, jak tylko można sobie wyobrazić. Z zaskoczeniem zauważył, że ma dla niej odrobinę współczucia.

Negatywna strona osobowości nadinspektora Armanda Gamache'a owiana była legendą. Nie dlatego, że była taka okropna, ale dlatego, że tak znakomicie ją kamuflował. Mało komu zdarzało się ją oglądać. Ci jednak, którym się to przydarzyło, zapamiętali to na zawsze.

– Mam dla pana zadanie – powiedział Gamache do Lemieux. – Chciałbym, żeby pojechał pan do Montrealu i popytał o parę rzeczy. Chodzi o kobietę, znaną jako Elle. To nie jest jej prawdziwe nazwisko. Żyła w nędzy i została zamordowana tuż przed świętami.

– Czy to dotyczy sprawy de Poitiers?

– Nie.

– Zrobiłem coś nie tak? – Lemieux wyglądał na zdruzgotanego.

– Bynajmniej. Chcę dowiedzieć się paru rzeczy w tej sprawie i pomyślałem, że to będzie dla pana dobry trening. Nie pracował pan w Montrealu?

– Niedawno tam byłem.

– No to ma pan okazję. – Nadinspektor dostrzegł niepokój, malujący się na twarzy młodego policjanta. – Poradzi pan sobie. Nie posyłałbym pana, gdyby nie to, że przyszły mi do głowy dwie myśli. Pierwsza, że pan sobie poradzi. Druga, że to panu potrzebne.

– Co mam zrobić?

Gamache mu wyjaśnił, po czym obaj poszli do samochodu. Nadinspektor wyjął z bagażnika pudło z materiałem dowodowym i wręczył Lemieux, przekazując też instrukcje.

Gamache odprowadził Lemieux wzrokiem, gdy ten wyjeżdżał powoli przez stary kamienny most na bulwar Commons i dalej dookoła miejskiego skweru, aż wspiął się ulicą du Moulin i wyjechał z Three Pines. Nadinspektor stał pod równo padającym śniegiem i spoglądał na ludzi na skwerze. Niektórzy taszczyli torby z zakupami z Sarah's Boulangerie albo ze sklepu wielobranżowego pana Béliveau. Inni jeździli z dziećmi na łyżwach. Kilka osób wyprowadzało psy. Jeden z psów, młody owczarek, tarzał się, kopał w śniegu i podrzucał coś

w powietrzu.

Gamache zatęsknił za Sonnym.

Pod padającym śniegiem wszyscy wyglądali mniej więcej tak samo, okutani w grube kurtki i czapki, które czyniły ich anonimowymi. Nadinspektor podejrzewał, że jeśliby potrafił rozróżnić dzieci i psy, mógłby po nich zidentyfikować dorosłych.

To właśnie był jeden z problemów, z którymi się zmagali. W zimie w Quebecu wszyscy wyglądali tak samo. Jak kolorowe słodkie pianki. Trudno było nawet odróżnić kobiety od mężczyzn. Twarze, włosy, dłonie, stopy, ciała – wszystko było zakryte przed zimnem. Nawet jeśli ktoś widział mordercę, czy byłby w stanie go zidentyfikować?

Przyglądał się szalejącym psom i z uśmiechem rozpoznał, czym się bawiły. To był ulubiony zimowy przysmak Sonny'ego.

Zamarznięte kupy. Nawet za tym tęsknił.

– Nie chcę pani w moim zespole. – Gamache popatrzył na wystraszoną twarz Nichol kilka minut później. Nie zamierzał znosić jej manipulacji, arogancji, złości. Wystarczająco miał z nimi do czynienia przy poprzedniej sprawie.

– Rozumiem, sir. To nie był mój pomysł. Wiem, jak narozrabiałam przy ostatniej sprawie z panem. Bardzo mi przykro. Co mogę zrobić, by panu udowodnić, że się zmieniłam?

– Może pani odejść.

– Chciałabym móc to zrobić. – Wyglądała żałośnie. – Naprawdę. Wiem, co pan czuje i szczerze mówiąc, nie mam o to żalu. Nie wiem naprawdę, co mnie napadło ostatnim razem... Byłam głupia. Arogancka. Ale myślę, że się zmieniłam. Po tym roku w narkotykowym. – Przyglądała się jego twarzy, próbując zobaczyć, czy to robi jakąś różnicę.

Nie robiło.

– Do widzenia, funkcjonariuszko Nichol.

Gamache wyszedł z pokoju, założył płaszcz i nie oglądając się, wsiadł do samochodu.

– Przykro mi, nadinspektorze, ale Kaye Thompson nie ma. Spędziła noc

u przyjaciółki. U Émilie Longpré.

Matrona, zawiadująca domem spokojnej starości w Williamsburgu, wyglądała na uprzejmą i dobrze zorganizowaną. Ośrodek mieścił się w dawnym pałacyku; w wielkich, eleganckich, choć nieco podniszczonych pokojach pachniało talkiem. Jego mieszkańcy również nim pachnieli.

Armand Gamache mógł przynajmniej śmiać się sam z siebie. Madame Longpré mieszkała w Three Pines; mogła nawet być jedną z anonimowych postaci na skwerze, którym przyglądał się, przechodząc tamtędy. Poczł taką wściekłość na Yvette Nichol, że wybiegł jak obrażone dziecko, wsiadł do samochodu i zaraz odjechał. No i tyle. A teraz był całe kilometry od miejsca, gdzie znajdował się świadek, którego mógł spotkać kilka metrów od biura operacyjnego. Uśmiechnął się, a matrona za biurkiem zastanawiała się, co tak rozbawiło wielkiego mężczyznę.

Zamiast wrócić od razu do Three Pines, Gamache zaparkował auto przy siedzibie Legionu i wszedł do środka. Drzwi nie były zamknięte na klucz. W tej okolicy nikt nie zamykał drzwi na klucz. Nadinspektor spacerował po wnętrzu, jego kroki odbijały się lekkim echem w pustej przestrzeni. W jednej ze ścian było przejście, otwierające się z kuchni na salę kawiarnianą. Nadinspektor wyobrażał sobie gwar w trakcie śniadania w drugi dzień świąt, wykrzykiwane pozdrowienia, prośby o dolewkę kawy czy herbaty. Beatrice Mayer, proponującą swój okropny ziołowy napar. Dlaczego nazywano ją Matką? Najwyraźniej Clara uważała, że nadinspektor domyśli się, zanim nawet ją pozna. Beatrice Mayer? Matka Bea? Potrząsnął głową, ale wiedział, że prędzej czy później do tego dojdzie.

Bawiły go tego rodzaju małe zagadki.

Ponownie zanurzył się w obrazach wyobraźni, przyłączając się do uczestników śniadania w drugi dzień świąt. Wnętrze było ciepłe, wesołe i przystrojone najbardziej kiczowatymi świątecznymi ozdobami, jakie można sobie wymyślić. Nie musiał inwestować energii w wyobrażanie ich sobie: ciągle wisiały na ścianach. Gwiazdki i śnieżynki z plastiku i krepiny. Sztuczna choinka, której brakowało co najmniej połowy druciano-plastikowych gałązek. Papierowe dzwonki oraz malowane zieloną i niebieską kredką bałwanki, dzieło podnieconych, zmęczonych i nieszczególnie utalentowanych przedszkolaków. Na stojącym w kącie pianinie niemal na pewno grano kolędy. Pomieszczenie

musiała wypełniać woń racuchów i syropu klonowego, zbieranego z drzew wokół miasteczka. Jajka i wędzony kanadyjski boczek. A CC i jej rodzina? Gdzie siedzieli? Czy mąż i córka towarzyszyli jej przy ostatnim posiłku? I czy któreś z nich wiedziało, że to jej ostatni posiłek?

Ktoś z obecnych wiedział. Ktoś siedział w tym pomieszczeniu, jedząc, pijąc, śpiewając kolędy w drugi dzień świąt i planując morderstwo.

Wyszedłszy, Gamache zatrzymał się na moment, żeby pozbierać myśli; po chwili spojrzął na zegarek i ruszył w stronę jeziora Brume. Zawsze lubił Williamsburg. Miasteczko różniło się od Saint-Rémy, które było bardziej francuskie; Williamsburg miał bardziej angielską tradycję, choć to się zmieniało w miarę, jak dwa języki i dwie kultury mieszały się ze sobą. Przechodząc, zauważył śliczne domy i sklepy, wszystkie pokryte niepokalanie białym śniegiem. Było cicho, panował zimowy spokój, jak gdyby ziemia odpoczywała. Na śnieżnej podściółce auta ledwie wydawały dźwięk. Ludzie bezgłośnie sunęli chodnikami. Wszystko to stwarzało niezmiernie kojącą atmosferę.

Dotarcie nad jezioro z Legionu zajęło mu cztery i pół minuty. Nie spieszył się, dzięki długim nogom pokonywał ten dystans nieco szybciej niż większość ludzi. Ale to dawało przybliżoną średnią.

Stał na skraju drogi, spoglądając na puste, zasłonięte śniegiem jezioro. Niemal nie dawało się dostrzec lodowiska curlingowego; jedynym dowodem, że coś się tutaj działo, była opuszczona trybuna, jak gdyby czekająca na gości, którzy nigdy się nie pojawili.

Co zrobić z Yvette Nichol? Panujący tutaj spokój dał mu chwilę, by zastanowić się nad tym. Nichol była problemem. Teraz już to wiedział. Raz dał się jej nabrać, ale Armand Gamache nie należał do ludzi, których można nabrać dwa razy.

Istniał powód, dla którego się zjawiała, ale niekoniecznie było nim morderstwo CC de Poitiers.

Inspektor Beauvoir wyjechał z Three Pines i zwrócił się w stronę Saint-Rémy. Po kilku minutach jazdy zaśnieżoną leśną drogą skręcił na podjazd i zajeżdżał pod zaniedbany drewniany dom. Zabrał ze sobą jednego z policjantów, na wszelki wypadek. Teraz zapukał do drzwi i stał przed nimi

rozluźniony, starając się sprawić wrażenie zrelaksowanego, a może nawet roztargnionego. Jednak w każdej chwili gotowy był do pościgu. W zasadzie miał wręcz nadzieję, że to będzie konieczne. To nadinspektor Gamache specjalizował się w rozmowach. Beauvoir był od biegania.

– *Oui?* – Na progu stał rozczochrany mężczyzna w średnim wieku.

– Monsieur Petrov? Saul Petrov?

– *Oui, c'est moi.*

– Ja w sprawie morderstwa CC de Poitiers. Rozumiem, że państwo się znali?

– Czekałem na pana. Dlaczego dopiero teraz? Mam parę zdjęć, które mogą pana zainteresować.

Gamache zsunął z ramion swój ogromny płaszcz i poprawił marynarkę i sweter, które pomarszczyły się pod spodem. Jak wszyscy w zimie, wyglądał, jakby mu ktoś wpuścił mysz pod koszulę. Postał chwilę, zbierając myśli, po czym wszedł do wydzielonego pokoiku, podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer.

– Ach, to pan, Armand. Dostał pan mój prezent?

– Jeśli miała nim być Yvette Nichol, naczelniku Francoeur, to tak, dostałem. *Merci* – mówił Gamache jowialnym tonem do telefonu.

– W czym mogę pomóc? – Głos Francoeura był niski i głęboki, niczym nie zdradzał przebiegłości, sprytu i okrucieństwa.

– Chcę wiedzieć, dlaczego ją pan przysłał.

– Wydawało mi się, że zbyt pochopnie podjął pan decyzję w jej sprawie, nadinspektorze. Nichol przez rok pracowała w narkotykowym i byliśmy bardzo z niej zadowoleni.

– Ale dlaczego ją przysłaliście?

– Kwestionuje pan moją decyzję?

– Nie, sir. Wie pan, że nie mam powodu, by zastanawiać się, czemu pan coś robi.

To był celny cios.

– Dlaczego pan dzwoni, Gamache? – warknął Francoeur.

– Chciałem panu podziękować, sir, za przysłanie mi funkcjonariuszki Nichol.

Joyeux Noël.

Nadinspektor rozłączył się, ale jeszcze zanim to zrobił, usłyszał dźwięk słuchawki odkładanej na drugim końcu linii. Dostał to, czego potrzebował.

Wiedział, że został odcięty od podejmowania decyzji na najwyższym stopniu Sûreté du Québec, na szczeblu, na którym sam niegdyś działał. Oficjalnie ciągle był naczelnikiem wydziału zabójstw i wysokiej rangi funkcjonariuszem. Ale nieoficjalnie wszystko się zmieniło. Od czasu sprawy Arnot.

Dopiero od niedawna zdał sobie sprawę, jak bardzo sytuacja się zmieniła. Nie dostawał więcej próśb o skierowanie inspektora Beauvoira do innych śledztw. Od czasu sprawy Arnot funkcjonariuszkę Isabelle Lacoste wielokrotnie odsyłano do pomniejszych zadań w nieznaczących departamentach, podobnie jak innych członków jego zespołu śledczego. Gamache nie myślał wiele o tym, wychodząc z założenia, że czasowe przeniesienia były konieczne. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że innych spotykała kara za coś, za co on sam ponosił odpowiedzialność.

Kilka tygodni wcześniej inny szef i przyjaciel, naczelnik Michel Brébeuf, zaprosił Gamache'a i Reine-Marie na kolację, a po jedzeniu wziął nadinspektora na bok.

– *Ça va, Armand?*

– *Oui, merci, Michel.* Martwimy się o dzieci. W ogóle nas nie słuchają. Luc rzucił pracę i chce podróżować po świecie razem z Sophie i dziećmi. Annie o wiele za dużo pracuje, broniąc nieszczęsnego koncernu Alcoh przed niezasłużonymi oskarżeniami. Jak to musi być, pracować dla korporacji, która świadomie zatruwa środowisko? – Gamache się uśmiechnął.

– Szokujące. – Brébeuf zaproponował mu koniak i cygaro. Gamache przyjął drinka, ale odmówił palenia. Siedzieli w gabinecie Brébeufa w przyjaznym milczeniu, przysłuchując się Radio Canada i pomrukowi rozmów kobiet, śmiejących się i nadrabiających towarzyskie zaległości.

– Co mi chciałeś powiedzieć? – Nadinspektor odwrócił się na fotelu i spojrzał na przyjaciela.

– Pewnego dnia nie będziesz miał racji, Armand – rzekł z uśmiechem Brébeuf, zdumiony, że Gamache znów odgadł jego myśli. Nie mógł

wykombinować, jak on to robi.

– Według ciebie, Michel, myliłem się, i to spektakularnie. Ten dzień nadszedł i przeminął.

– Nie. Nie przeminął.

No i tyle. Gdy zapadła między nimi cisza, gęsta jak padający śnieg, nadinspektor nagle uświadomił sobie, jak głęboko sięgał problem. Oraz to, że nieświadomie pociągnął za sobą Beauvoira i innych. A teraz zakopywano ich pod warstwami kłamstw i niechęci.

– Sprawa Arnot jeszcze nie jest zamknięta, prawda? – Gamache wytrzymał spojrzenie nieruchomych oczu Brébeufa. Wiedział, jaką odwagą wykazał się przyjaciel, mówiąc mu o tym.

– Bądź ostrożny, Armand. To poważniejsza sprawa, niż ci się może wydawać.

– Wierzę, że masz rację.

Teraz naczelnik Francoeur przysłał mu z powrotem Yvette Nichol. Oczywiście, to nie mogło mieć głębszego znaczenia. Pewnie chodziło tylko o małą zemstę Francoeura, który wiedząc, jak Nichol grała na nerwach zespołowi Gamache'a, zdecydował się skierować ją do nich. Tak, to było najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie. Złośliwy żarcik, tylko tyle.

– Sukces! – zawołał Beauvoir, wchodząc do ciepłego biura operacyjnego i zdejmując ciężki płaszcz. Rzucił czapkę na biurko, a zaraz za nią rękawiczki. – Nie mylił się pan. Fotograf ma zdjęcia.

– Cudownie! – powiedział Gamache, klaszcząc. – To spójrzmy na nie.

– Ale nie miał ich przy sobie – dodał Beauvoir, jak gdyby to było więcej, niż należało oczekiwać.

– A gdzie są? – zapytał szef. Po głosie dało się poznać, że nie jest zachwycony.

– Wysłał je pocztą do laboratorium w Saint-Lambert. Poszły ekspresem, więc powinny dotrzeć jutro.

– Do laboratorium.

– *Précisément*. – Beauvoir wyczuwał, że entuzjazm nadinspektora jest mniejszy, niżby sobie życzył. – Ale fotograf mówi, że zrobił setki zdjęć, zarówno na śniadaniu, jak i na meczu curlingowym.

Beauvoir rozejrzał się dokoła. Isabelle Lacoste była pochłonięta pracą na komputerze, a Yvette Nichol siedziała samotnie przy przeciwnym końcu stołu, jak gdyby odizolowana na wyspie, przyglądając się odległemu kontynentowi, na którym przebywał nadinspektor.

– Widział coś? – zapytał Gamache.

– Pytałem go o to. Twierdził, że fotograf tak się skupia na robieniu zdjęć, że właściwie nie zwraca uwagi na to, co się dzieje dookoła, toteż był równie zdumiony jak inni, kiedy CC się przewróciła. Powiedział jednak, że miał fotografować CC i tylko ją, więc obiektyw zwrócony był nieustannie w jej stronę.

– No więc musiał coś widzieć.

– Prawdopodobnie – zgodził się Beauvoir – ale może nie zdawał sobie

sprawy z tego, co widzi. Jeśli CC zostałaby zakłuta nożem, zatłuczona na śmierć albo uduszona, Petrov prawdopodobnie by zareagował, ale to było znacznie mniej oczywiste. Zauważył tylko, że CC dotknęła stojącego przed nią krzesła. Nie było w tym nic niezwykłego, a już na pewno nic groźnego.

Inspektor miał rację.

– Dlaczego to zrobiła? – zapytał Gamache. – To prawda, co pan powiedział: takie zachowanie nie zwróciłoby niczyjej uwagi, ale to ciągle nieco dziwaczne. W każdym razie Petrov nie kłamie: był zajęty fotografowaniem CC, a nie podłączaniem jej do prądu.

– Zgoda – powiedział Beauvoir, rozgrzewając dłonie nad piecem i sięgając po dzbanek z kawą. – Wydaje mi się, że Petrov był dość chętny do pomocy w śledztwie. Może nawet zbyt chętny. – W świecie Beauvoira ktokolwiek próbował pomóc, od razu był podejrzany.

Émilie Longpré nakryła stół dla trzech osób, składając i wygładzając serwetki dużo staranniej, niż to było niezbędne. W powtarzających się gestach kryło się coś wyjątkowo kojącego. Matka jeszcze nie przyszła. Wedle zegara na ścianie kuchennej, zajęcia z medytacji, w których Matka brała udział, miały się skończyć lada moment.

Kaye się zdrzemnęła, ale Em nie mogła usiedzieć spokojnie. Normalnie odpoczywałyby z filiżanką herbaty i najnowszym numerem „La Presse”, ale teraz uwijała się po mieszkaniu, ścierając kurz z grzbietów książek kucharskich, podlewając rośliny w doniczkach, które już miały aż nadto wilgoci – zajmując się wszystkim, co mogło odsunąć natłok myśli.

Zajęła się gotowaniem zupy z zielonego groszku: wrzuciła kość od szynki do dużego garnka i pilnowała, żeby smaki się połączyły. Henri siedział cierpliwie u jej stóp, gapiąc się na Em orzechowymi oczami, jak gdyby był w stanie siłą woli zmusić kość, by wyleciała z garnka prosto do jego wyczekującej paszczy. Pies machał ogonem, gdy Em kręciła się po kuchni, i starał się upewnić, że wlezie Em pod nogi tyle razy, ile tylko możliwe.

Chleb kukurydziany był gotowy do wstawienia do pieca; do czasu, jak się upiecze, Matka powinna być na miejscu.

I faktycznie, pół godziny później samochód Matki zajechał na podjazd pod

domem Em i wytoczyła się z niego jego właścicielka, z wahaniem stąpając po śliskiej ścieżce. Jej środek ciężkości był tak nisko, że nie przewróciłaby się, nawet gdyby chciała. Zdaniem Kaye, Matka nie mogła także się utopić. Z powodów, które pozostawały dla Em tajemnicą, Kaye nigdy nie miała dość zastanawiania się nad metodami, które mogłyby przenieść Beę na łono Abrahama. Bea ze swej strony odwzajemniała się, utrzymując, że przynajmniej pozna szacownego patriarchę.

Teraz trzy wiekowe przyjaciółki siadały przy wygodnym kuchennym stole, by zajadać zupę z kromkami świeżego, ciepłego chleba, na pajdach którego topiło się masło. Henri, którego próbowały wyrzucić z pomieszczenia, schował się jednak pod blatem i wypatrywał okruszków.

Gdy dziesięć minut później pojawili się Gamache i Beauvoir, przed każdą z nich stała porcja jedzenia, zimna i nietknięta. Jeśli nadinspektor wymyśliłby sobie, że przemknie się do bocznego okna i zajrzy do środka, zobaczyłby trzy przyjaciółki trzymające się za ręce, jak gdyby w niekończącej się modlitwie.

– Proszę się nie przejmować, nadinspektorze – powiedziała Em, gdy Gamache spojrział na ślady butów z naniesionym śniegiem na podłodze przedpokoju. – Henri i ja bez przerwy roznosimy go po całym domu. – Skinęła w stronę sześciomiesięcznego szczeniaka owczarka niemieckiego, który wyglądał, jakby miał wybuchnąć z entuzjazmu. Machał ogonem i kręcił spoczywającym na podłodze zadem tak intensywnie, że Gamache obawiał się, iż wykrzesze ogień. Wszyscy zostali sobie przedstawieni, inspektor zdjął buty i przeprosił, że niepokoi w porze lunchu. W kuchni pachniało domową francusko-kanadyjską zupą grochową i świeżo upieczonym chlebem.

– *Namaste* – powiedziała Matka, składając dłonie razem i lekko skłaniając się w kierunku mężczyzn.

– Chryste! – jęknęła Kaye. – Nie zaczynaj znowu.

– *Namaste?* – zapytał Gamache. Beauvoir o nic nie pytał, bo Matka była starą *Anglaise* i miała na sobie fioletowy kaftan. Tacy ludzie nieustannie mówili bezsensowne rzeczy.

Nadinspektor odpowiedział poważnym ukłonem. Beauvoir udawał, że tego nie zauważył.

– To starożytne i szlachetne pozdrowienie – rzekła Beatrice Mayer,

wygładzając swoje dzikie, rude włosy i rzucając Kaye zaniepokojone spojrzenie, które ta po prostu zignorowała.

– Mogę? – nadinspektor wskazał Henriego.

– Na własne ryzyko, monsieur. Może zalizać pana na śmierć – ostrzegła Em.

– Bardziej prawdopodobne, że utopi pana w ślinie – powiedziała Kaye, odwracając się, by odejść od stołu.

Gamache przyklęknął i pogłaskał Henriego, który postawił uszy jak dwa żagielki. Pies natychmiast położył się na boku i wystawił brzuch, żeby go po nim drapać – co nadinspektor uczynił.

Em zaprowadziła ich przez kuchnię do salonu. Dom sprawiał wrażenie gościnnego, wygodnego i bezpiecznego, jak gdyby nie mogło się tu zdarzyć nic złego. Nawet Beauvoir się zrelaksował. Gamache podejrzewał, że wszyscy się tak czuli w tym domu. I w towarzystwie tej kobiety.

Teraz Émilie Longpré przeprosiła ich na chwilę i wróciła z dwiema miskami zupy.

– Wyglądacie na głodnych – powiedziała tylko i znowu zniknęła w kuchni. Zanim mężczyźni zdążyli zaprotestować, usadzono ich przed kominkiem z miskami parującej zupy i koszykiem kukurydzianego chleba na składanych stoliczkach. Gamache nie oponował – byli naprawdę głodni.

Teraz detektywi z wydziału zabójstw Sûreté słuchali, podczas gdy starsze panie odpowiadały na ich pytania.

– Czy może nam pani opowiedzieć, co wydarzyło się wczoraj, podczas meczu curlingowego? – zapytał Kaye Beauvoir.

– Matka właśnie oczyściła dom – zaczęła Kaye, a inspektor natychmiast pożałował decyzji rozpoczęcia rozmowy od niej. Nic w tym zdaniu nie miało sensu.

„Matka właśnie oczyściła dom”. Kolejna zwariowana Angielka. W jej przypadku jednak obłąd nie był kompletną niespodzianką. Beauvoir pomyślał, że mogli ją niedawno wypisać z wariatkowa. Siedziała teraz przed nim, opatulona warstwami grubych swetrów i koców. Wyglądała jak kosz na brudną bieliznę, tyle że z głową. Dziesięć włosów, które rosło jeszcze na maleńkiej czaszce, podniosło się i stanęło dęba.

Wyglądała jak muppet.

– *Désolé, mais qu'est-ce que vous avez dit?* – zapytał Beauvoir ponownie, tym razem po francusku.

– Matka. Właśnie. Oczyszcza. Dom – powtórzyła wyraźnie starsza pani zadziwiająco mocnym głosem.

Gamache, który wszystko uważnie obserwował, dostrzegł, że Émilie i Beatrice wymieniły uśmiechy. Nie złośliwe, raczej jak gdyby reagując na znajomy żart, który towarzyszył im przez całe życie.

– Czy aby mówimy o tym samym, madame? O curlingu?

– Och, rozumiem – roześmiała się Kaye. Inspektor zauważył, że ładnie się śmiała. Jej twarz zmieniała się w uśmiechu z podejrzliwej i wykrzywionej w bardzo przyjemną.

– Tak, proszę mi wierzyć, że nadal mówię o meczu. Matka to ona. – Wskazała kostropatym palcem na przyjaciółkę w kaftanie. Z jakiegoś powodu nie zaskoczyło to Beauvoira. Od pierwszej chwili nabrał antypatii do Matki i miał ku temu więcej niż jeden powód. Matka. Kto upiera się przy tym, by go nazywano Matką? No, chyba że była matką przełożoną, ale wątpił, czy w tym przypadku tak było.

Będą z nią problemy, przeczuwał to, choć nigdy nie opisałby tego takimi słowami, a już na pewno nie przy Gamache'u.

– Co to znaczy, madame? – zwrócił się ponownie do Kaye i ugryzł kęs chleba kukurydzianego, starając się nie dopuścić, by masło spływało mu po brodzie.

– „Oczyszczyć dom” to termin curlingowy – wyjaśniła Kaye. – Em może to lepiej wytłumaczyć. Ona była skiperem drużyny. To znaczy jej kapitanem.

Beauvoir zwrócił się do madame Longpré. Miała rozumne, błyszczące oczy, w których dostrzegł chyba odrobinę zmęczenia. Jej włosy były ufarbowane na subtelny odcień brązu i pięknie ułożone. Wyglądała na opanowaną i miłą, przypominała mu Reine-Marie Gamache. Rzucił przelotne spojrzenie na nadinspektora, który przysłuchiwał się ze spokojnym skupieniem. Czy patrząc na madame Longpré, widział swoją żonę za trzydzieści lat?

– Grał pan kiedyś w curling, inspektorze? – zapytała Em. Beauvoir był zaskoczony, a nawet dotknięty tym pytaniem. W curling?

Grał na środkowej pozycji w drużynie hokejowej Sûreté. W wieku lat trzydziestu sześciu był lepszy od chłopaków o dziesięć lat od niego młodszych.

Curling? Beauvoir czuł się zażenowany na sam dźwięk tego słowa.

– Widzę, że pewnie nie – ciągnęła Em. – Wielka szkoda. To fantastyczny sport.

– Sport, madame?

– *Mais oui*. Bardzo trudny. Wymaga równowagi i dobrej koordynacji wzrokowo-ruchowej. Powinien pan spróbować.

– Pokazałaby nam pani? – Gamache odezwał się po raz pierwszy od czasu, gdy usiadł. Teraz patrzył ciepło na Em, a ona odwzajemniła się uśmiechem, przechylając głowę.

– Może jutro rano?

– Znakomicie.

– Czy może pani opisać, co się działo aż do momentu, kiedy zrozumiała pani, że coś jest nie tak? – Beauvoir ponownie zwrócił się do Émilie. Czemu nie, mógł robić za jedyne normalnego.

– Gra trwała od prawie pół godziny. To był *funspiel*, więc krótszy niż normalna rozgrywka, no i nie chcieliśmy, żeby wszyscy za bardzo zmarzli, siedząc na dworze.

– Ale nic to nie dało. Było lodowato. Najzimniej, odkąd pamiętam – powiedziała Kaye.

– Przegrywaliśmy, jak zawsze – ciągnęła Em. – W pewnym momencie uświadomiłam sobie, że przeciwna drużyna ma całą masę kamieni w swoim domu.

Widząc zdezorientowaną minę inspektora, zaczęła tłumaczyć:

– Dom to podobne do tarczy koncentryczne czerwone koła, namalowane na lodzie. To tam powinny wylądować kamienie. Przeciwna drużyna dobrze sobie poradziła: ich dom był pełen kamieni. Poprosiłam więc matkę, by wykonała manewr, znany jako oczyszczenie domu.

– Wzięłam zamach i popchnęłam mój kamień po lodzie. – Matka wstała i zrobiła gest prawą ręką ku przodowi, potem znów w tył, wreszcie szybkim wahadłowym ruchem znowu w przód. – Kamień sunie po lodzie, uderzając po drodze inne w domu.

– To brzmi jak rozbicie w bilardzie – powiedział Beauvoir i uświadomił sobie

po ich minach, że ma to dla kobiet dokładnie tyle sensu, ile dla niego oczyszczenie domu.

– To wielka frajda – zapewniła Matka.

– Tak się składa – dodała Em – że to taka frajda, iż stało się to tradycją rozgrywki w drugi dzień świąt. Jestem przekonana, że wiele osób przychodzi tylko po to, żeby zobaczyć, jak Matka oczyszcza dom.

– To bardzo dramatyczne, wszędzie kamienie się zderzają – wyjaśniła Matka.

– I hałaśliwe – dorzuciła Kaye.

– Zwykle to sygnał zakończenia meczu. Potem się poddajemy – rzekła Emily.

– Po czym idziemy do Legionu na grzaniec rumowy.

– Ale wczoraj było inaczej – zauważył inspektor. – Co się stało?

– Nie zdawałam sobie sprawy, że coś jest nie tak, dopóki nie zaczęłam biec tam, gdzie siedziały Kaye i CC de Poitiers – powiedziała Matka.

– Ja też nie – dodała Em. – Patrzyłam na kamień Matki. Wszyscy na niego patrzyli. Z trybun rozległ się głośny, radosny okrzyk, ale nagle ucichł. Myślałam, że...

– Co takiego, madame? – zapytał Gamache, patrząc na jej porażoną smutkiem twarz.

– Myślała, że się przewróciłam – odparła Kaye.

– A nie było tak?

Em pokiwała głową.

– Nie ma mowy. Kaye przeżyje nas wszystkich – powiedziała Matka. – Już ma sto czterdzieści pięć lat.

– Sto czterdzieści pięć to moje IQ – sprostowała Kaye. – Mam dziewięćdziesiąt dwa lata. Matka ma siedemdziesiąt osiem. Niewiele się spotyka ludzi, których IQ jest niższe niż ich wiek.

– Kiedy uświadomiła pani sobie, że stało się coś złego? – zapytał Kaye Beauvoir niefrasobliwym tonem, starając się nie zdradzić, że to kluczowe pytanie. Kobieta siedząca przed nimi była jedynym naocznym świadkiem zbrodni.

Kaye zastanowiła się; kiedy myślała, jej mała, pomarszczona twarz wyglądała jak bulwa ziemniaczana, która zbyt długo została na słońcu.

– Ta kobieta, która zginęła, CC? Siedziała na krześle Em. Co roku przynosimy sobie własne ogrodowe krzeselka i ustawiamy pod grzejnikiem. Ludzie zawsze byli bardzo uprzejmi i pozwalali nam zająć najcieplejsze miejsca. Wyjątkiem była ta okropna baba...

– Kaye! – ofuknęła ją Émilie.

– Była okropna i wszyscy o tym wiedzieli. Zawsze rozstawiała innych po kątach, coś przesuwiała, prostowała. Ustawiłam solniczki i pieprzniczki na śniadaniowych stołach w Legionie, a ta zaczęła je przestawiać. I narzekała na herbatę.

– To była moja herbatka – wtrąciła Matka. – Baba nigdy nie piła naturalnego, ekologicznego naparu ziołowego, chociaż udawała, że była w Indiach.

– Proszę cię – powiedziała Émilie. – Ta nieszczęsna kobieta nie żyje.

– Siedzieliśmy z CC koło siebie, jakieś dwa metry jedna od drugiej. Jak wspomniałam, było naprawdę zimno, miałam na sobie mnóstwo ubrań. Mogłam się zdrzemnąć. Potem nagle zobaczyłam, że CC stoi koło krzesła Matki i trzyma jego oparcie tak, jakby zamierzała je podnieść i rzucić. Ale jakoś dziwnie dygotała. Wszyscy dookoła klaskali i krzyczeli, ale w tej chwili uświadomiłam sobie, że CC nie wiwatuje, tylko wrzeszczy. Po czym puściła krzesło i upadła.

– Co pani wtedy zrobiła?

– Oczywiście wstałam i podeszłam do niej, żeby sprawdzić, co się stało. Leżała na wznak, a zapach dookoła był dziwny. Chyba krzyknęłam, bo zaraz ludzie się zbiegli. Potem Ruth Zardo przejęła inicjatywę. Strasznie się rządzi. I pisze okropne wiersze. Nic się nie rymuje. Jak dla mnie Wordsworth zawsze będzie lepszy.

– Dlaczego CC wstała z krzesła? – zapytał Beauvoir pospiesznie, nie chcąc, by Kaye albo Gamache zaczęli cytować wiersze.

– Skąd mam wiedzieć?

– Czy zauważyła pani jeszcze kogoś obok krzesel? Może ktoś w pobliżu się pochylił? Albo może rozlał napój?

– Nie – powiedziała Kaye z przekonaniem.

– Czy madame de Poitiers rozmawiała z panią? – zapytał nadinspektor.

– Wyglądało na to, że przeszkadza jej krzesło Matki.

– Co? – zdziwiła się Matka. – Nie wspomniałaś mi o tym. Dlaczego, na miłość boską, miałoby jej przeszkadzać moje krzesło, z wyjątkiem tego, że było moje? Ta baba zawzięła się na mnie. No i umarła, trzymając moje krzesło.

Twarz Matki nabrała koloru jej kaftana, a pełne goryczy słowa nie pasowały do cichego, przytulnego wnętrza. Najwyraźniej uświadomiła sobie, jak agresywnie to brzmi, i zaraz się uspokoiła.

– Co pani ma na myśli, madame? – zapytał Gamache.

– Ale o czym?

– Powiedziała pani, że madame de Poitiers się na panią uwzięła. Co pani przez to rozumie?

Matka popatrzyła na Émilie i Kaye i nagle poczuła się zagubiona i przestraszona.

– Matka chce powiedzieć – powiedziała Kaye, przychodząc na ratunek przyjaciółce – że CC de Poitiers była durną, pustą, mściwą kobietą. I że spotkało ją to, na co sobie zasłużyła.

Robert Lemieux znajdował się głęboko we wnętrzu kwatery głównej Sûreté w Montrealu, budynku, który znał z plakatów werbunkowych, ale nigdy wcześniej w nim nie był. Na plakatach zauważył gromady zadowolonych mieszkańców Quebecu, z uwielbieniem wpatrujących się w umundurowanego funkcjonariusza Sûreté. Tego także nigdy w życiu nie widział z bliska.

Odnalazł drzwi – zamknięte – z wypisanym na nieprzejrzystej szybie nazwiskiem, które podał mu nadinspektor Gamache.

Zapukał i poprawił na ramieniu skórzaną torbę.

– *Venez* – warknął głos. Znad biurka o pochyłym blacie spoglądał chudy, łysiejący mężczyzna. Jedyne źródłem światła w pomieszczeniu była pojedyncza lampka. Lemieux nie mógł ocenić, czy pokój był maleńki, czy ogromny, choć miał w tym względzie przecucie. Wnętrze okazało się klaustrofobiczne.

– To pan jest Lemieux?

– Tak jest. Nadinspektor Gamache mnie przysłał. – Policjant postąpił w stronę nieprzyjemnego gospodarza, wokół którego unosił się zapach

przypominający formaldehyd.

– Wiem. Inaczej bym pana nie przyjął. Jestem zajęty. Proszę mi dać to, co pan przyniósł.

Lemieux pogrzebał w torbie i wyciągnął z niej fotografię brudnej ręki Elle.

– No i?

– Widzi pan tutaj? – Zakreślił wskazującym palcem kółko wokół środka dłoni na zdjęciu.

– Chodzi panu o te plamy krwi?

Policjant przytaknął, starając się wyglądać autorytatywnie i modląc się, by ten niemiły mężczyzna o nic nie pytał.

– Och, widzę, o co mu chodzi. Niezwykłe. Dobrze, proszę powiedzieć nadinspektorowi, że dostanie to w swoim czasie. Proszę już iść.

Lemieux poszedł.

– To było ciekawe – powiedział Beauvoir, gdy z nadinspektorem szli przez szybko rosnące zwały śniegu w kierunku biura operacyjnego.

– Co wydało się panu ciekawe? – zapytał szef, trzymając rękę za plecami.

– Matka. Ona coś ukrywa.

– Możliwe. Ale czy mogła być mordercą? Cały czas grała w curling.

– Mogła jednak podłączyć krzesło, zanim rozgrywka się rozpoczęła.

– To prawda. Mogła też rozlać płyn do rozmrażania szyb. Ale jak zdołała sprawić, że CC dotknęła krzesła, zanim kto inny to zrobił? Tam były dzieci. To mogło być któreś z nich. Mogła to także być Kaye.

– Matka i Kaye kłóciły się przez cały czas, gdy tam byliśmy. Może to madame Thompson miała zostać porażona prądem. Może Matka zabiła niewłaściwą osobę.

– Możliwe – odrzekł Gamache. – Ale nie sądzę, by madame Mayer ryzykowała życie innych osób.

– Więc nie podejrzewamy nikogo, kto grał w curling? – zapytał rozczarowany Beauvoir.

– Tak myślę, ale będziemy wiedzieć lepiej po jutrzejszym spotkaniu z madame Longpré na jeziorze.

Inspektor westchnął.

Szczerze mówiąc, nie mógł się nadziwić, że cała lokalna populacja nie wymarła z nudów. Sama tylko rozmowa o curlingu wysysała z niego chęć do życia. To było jak jakiś anglosaski dowcip, wymówka, by nosić ubrania w kratę i krzyczeć. Jak Beauvoir zaobserwował, większość anglofonów nie lubiła podnosić głosu. Frankofoni nieustannie pokrzykiwali, gestykulowali, obściskiwali się. Tymczasem dla Beauvoira zagadką było, po co w ogóle Anglicy mają ręce – chyba tylko po to, by trzymać w nich pieniądze. Curling przynajmniej dawał im pretekst do ekspresji. Beauvoir oglądał raz Brier w telewizji CBC, przez chwilę. Jedyne, co zapamiętał, to gromadę mężczyzn ze szczotkami, gapiących się na kamień, podczas gdy jeden z nich krzyczał.

– Jak to możliwe, że ktoś zabił CC de Poitiers prądem i nikt nic nie zauważył? – zapytał inspektor, gdy wchodzili do biura operacyjnego, próbując usunąć śniegowe błoto z butów.

– Nie wiem – przyznał Gamache, mijając bez słowa Nichol, która próbowała ściągnąć na siebie jego wzrok. Gdy wychodził, siedziała przy pustym biurku, tkwiła tam do tej pory.

Gamache otrząsnął płaszcz ze śniegu i odwiesił go na wieszak. Obok niego Beauvoir skrupulatnie oczyszczał swoje okrycie.

– Cieszę się, że nie muszę odśnieżać.

– Jeśliby każdy odśnieżał na swoim, całe miasto byłoby przejezdne^[17] – powiedział nadinspektor. Widząc zdezorientowaną minę Beauvoira, dodał: – To Emerson.

– Lake and Palmer?

– Ralph Waldo.

Gamache podszedł do swojego biurka. Powinien skupić się na sprawie, ale przekonał się, że jego myśli dryfują w kierunku Nichol. Zastanawiał się, czy aby nie znaleźli się oboje w sytuacji, która ich przerastała.

– Co to za Emerson Ralph Waldo? – mruczał pod nosem inspektor. – Pewnie jakiś mało znany hipisowski zespół z lat sześćdziesiątych. W każdym razie ich teksty nie miały sensu.

Beauvoir podśpiewywał piosenkę *Lucky Man*, a Gamache ściągnął wiadomości z serwera, czytał je przez pół godziny, wysłuchał raportów, po

czym założył płaszcz, czapkę i rękawice, i wyszedł.

Szedł przez miejski skwer w padającym śniegu. Mijał ludzi w raketach śnieżnych i sunących na biegówkach. Machał do mieszkańców miasteczka, wykopujących ścieżki w zaspach śniegu na chodnikach i podjazdach. Obok przemknął Billy Williams, jadący pługiem śnieżnym, rozpryskując na boki kaskady śniegu z drogi na okoliczne trawniki. Nikomu najwyraźniej to nie przeszkadzało. Jeszcze trzydzieści centymetrów śniegu, jaka to różnica?

Gamache pogrążył się w myślach.

– Sir.

– Sir!

Powracającego do biura operacyjnego Gamache’a powitał chór głosów. Wszyscy naraz chcieli z nim porozmawiać.

– Sir, Lemieux dzwoni z Montrealu.

– Proszę go poprosić, żeby poczekał. Odbiorę tam. – Skinął w stronę małego pokoju.

– Sir, mam tutaj problem! – wołała Lacoste z drugiego końca pomieszczenia.

– Sir – Beauvoir podszedł do nadinspektora – dzwoniliśmy do laboratorium w sprawie fotografii. Jeszcze ich nie mają, ale obiecali nas zawiadomić, kiedy tylko je otrzymają.

– Świetnie. Proszę zobaczyć, czy może pan pomóc Lacoste. Za moment przyjdę.

– Funkcjonariuszko Nichol?

Wszelki ruch w pomieszczeniu zamarł. Wydawało się niemożliwe, by taka kakofonia ucichła w jednej chwili, ale tak się stało. Wszystkie oczy zwróciły się na Nichol, po czym skierowały na Gamache’a.

– Proszę ze mną.

Nadinspektor wszedł do dawnej budki biletera.

– Proszę usiąść. – Skinął w kierunku jedynej w pokoju krzesła, po czym podniósł słuchawkę telefonu. – Lemieux? Gdzie pan jest?

– W Old Brewery Mission, przyszedłem prosto z kwatery głównej. Zrobiłem, jak pan prosił.

– Wiadomo, kiedy będzie gotowe?

– Nie, sir.

Gamache uśmiechnął się. Mógł sobie wyobrazić młodego policjanta w tym okropnym pokoju z genialnym, utalentowanym, nieprzyjemnym człowiekiem. Biedny Lemieux.

– Dobra robota.

– Dziękuję. Ale miał pan rację. Tu, w Misji, znali tę żebraczkę. – Był tak podekscytowany, jakby dokonał fuzji jądrowej.

– Jako Elle?

– Tak jest. Nie mają innego nazwiska. Ale miał pan rację także w innej kwestii. Jest tu ze mną kierownik Misji. Podać mu słuchawkę?

– Jak się nazywa?

– Terry Moscher.

– *Oui, s'il vous plaît.* Proszę mi dać pana Moschera.

Po chwili przerwy w słuchawce zabrzmiał głęboki, władczy głos.

– *Bonjour*, nadinspektorze.

– Monsieur Moscher, chciałbym zauważyć, że to nie leży w naszej gestii, śledztwo dotyczy morderstwa w Montrealu. Jednak pozwolono nam przeprowadzić pewne nieformalne, dyskretne dochodzenie.

– Rozumiem, nadinspektorze. Odpowiadając na pańskie pytanie: Elle zwykle trzymała się na uboczu. Większość naszych klientów tak robi, więc nie znałem jej dobrze ani ja, ani nikt z personelu. Ale popytałem w kuchni i kilka osób pamiętało, że miała na szyi wisiołek, jak sądzą, srebrny.

Gamache przymknął oczy, niemo modląc się o pomocną odpowiedź na następne pytanie.

– Czy ktoś zapamiętał, jak on wyglądał?

– Nie. Gdy o to pytałem, jeden z kucharzy wspomniał, że kiedyś coś o nim powiedział do Elle, ot tak, żeby zagać rozmowę, a ona natychmiast go zakryła. Wyglądało na to, że był dla niej ważny. Dla ludzi żyjących na ulicy najdziwniejsze rzeczy potrafią mieć znaczenie. Bezdomni mają swoje fiksacje, obsesje. Najwyraźniej dla Elle jedną z nich był ten naszyjnik.

– Jedną z nich? Miała inne?

– Możliwe, ale jeśli tak było, nic o nich nie wiemy. Staramy się szanować prywatność naszych klientów.

– Nie będę pana dłużej niepokoić, monsieur Moscher. Musi pan być bardzo zajęty.

– W zimie zawsze jest duży ruch. Mam nadzieję, że dowie się pan, kto ją zabił. Zwykle zabija ich pogoda. Dziś w nocy będzie zabójczy mróz.

Obaj odłożyli słuchawkę, myśląc, że miło byłoby poznać rozmówcę.

– Sir – Beauvoir wetknął głowę za drzwi – czy mógłby pan przyjść i spojrzeć, nad czym pracuje Isabelle Lacoste?

– Za moment będę.

Inspektor zamknął drzwi, ale zanim to zrobił, rzucił przelotne spojrzenie Nichol, siedzącej na krześle jak posąg, w nieciekawych, źle na niej leżących ubraniach, z fryzurą sprzed dziesięciu lat, z szarym oczami i brzydką cerą. Większość kobiet w Quebecu, szczególnie frankofonek, była szykowna, wręcz elegancka. Młode ubierały się stosunkowo odważnie. Nawet w Sûreté. Na przykład Isabelle Lacoste, niewiele starsza od Nichol: pełna energii, włosy zawsze czyste, przycięte prosto, ale elegancko, ubierała się z prostotą, jednak jej stroje wyróżniały się zawsze odrobiną koloru i indywidualności. Oczywiście styl i aparycja Nichol także były jedyne w swoim rodzaju. Cechowała je nijakość. Beauvoir chciałby zostać i posłuchać, jak szef zmywa Nichol głowę za to, że miała czelność się tu znów pokazać.

Gdy drzwi się zamknęły, Gamache odwrócił się, by przyjrzeć się siedzącej przed nim młodej kobiecie.

Irytowała go. Już samo obserwowanie jej sposobu bycia – „O, ja biedna” – działało mu na nerwy. Była zgorzkniałą, arogancką manipulantką. Wiedział to.

Niewykluczone jednak, że błędnie ją ocenił.

To nad tym rozmyślał, krążąc po miejskim skwerze. Krążył i krążył, ale lądował zawsze w tym samym punkcie.

Mylił się.

– Przepraszam – powiedział, patrząc jej prosto w oczy. Spoglądała na niego wyczekująco, jakby spodziewając się, że to nie koniec: „Przepraszam, ale zwalniam panią”. „Przepraszam, ale wraca pani do domu”. „Przepraszam, ale żałosna z pani nieudacznica i nie chcę pani widzieć przy moim śledztwie”.

Miała rację, to nie był koniec.

– Ignorowałem panią, ale myliłem się.

Nichol wciąż czekała, obserwując jego twarz, a zwłaszcza oczy – ciemnobrązowe, poważne i mądre. Spojrzał na nią, składając ręce przed sobą; jego włosy i zarost były starannie przystrzyżone. Pokoik pachniał lekko drewnem sandałowym. Zapach był tak ulotny, że przez chwilę myślała, że tylko się jej to zdawało, ale doszła do wniosku, że nie. Wszystkie zmysły Nichol wyostriżyły się, gdy tak czekała na wyrok. W następnym zdaniu oznajmi jej, że odsyła ją, upokorzona, do Montrealu. Z powrotem do narkotykowego. Z powrotem do maleńkiego domku na wschodnich przedmieściach, z pokrytym śniegiem ogrodem warzywnym od frontu, i do ojca, tak dumnego z jej sukcesów.

Jak mu powiedzieć, że ją znowu zwolniono? To była jej ostatnia szansa. Tak wiele osób pokładało w niej nadzieje. Nie tylko jej ojciec, ale także naczelnik.

– Dam pani jeszcze jedną szansę. Chciałbym, żeby przyjrzała się pani Richardowi Lyonowi i jego córce, Crie. Szkoły, finanse, znajomi, rodzina. Chciałbym dostać te informacje do jutrzejszego ranka.

Nichol wstała, czując się jak we śnie. Stojący przed nią nadinspektor Gamache uśmiechnął się nieznacznie i po raz pierwszy od jej przybycia patrzył na nią ciepło.

– Mówi pani, że się zmieniła?

Przytaknęła.

– Wiem, że byłam okropna poprzednim razem. Strasznie przepraszam. Postaram się bardziej. Naprawdę.

Nadinspektor przyjrzał się jej uważnie i skinął głową. I wyciągnął rękę.

– Dobrze. Może więc uda się zacząć na nowo. Z czystym kontem.

Wsunęła swoją drobną rękę w jego dłoń. Ten dupek jej uwierzył!

Na zewnątrz w biurze operacyjnym Beauvoir widział ten uścisk dłoni, ale z całej siły miał nadzieję, że to pożegnanie. Gdy Nichol wyszła, pognał do Gamache'a.

– Nie powie mi pan chyba, że...

– Że co, Jean Guy?

– Doskonale pan wie, co. Nie przyjął jej pan z powrotem do zespołu?

– Nie miałem wyjścia. Naczelnik Francoeur mi ją przydzielił.

– Mógł pan odmówić.

Gamache się uśmiechnął.

– Trzeba mierzyć zamiar podług sił. Nie muszę o to walczyć. Poza tym, może się zmieniała.

– Boże drogi. Ile razy będzie pan próbował rozgryźć ten orzech?

– Uważa pan, że robię ten sam błąd?

– A pan nie?

Nadinspektor spojrział przez okno na Nichol, już zasiadającą przed komputerem.

– Cóż, przynajmniej wiem, kiedy zrezygnować.

– Już pan trochę rezygnuje, sir. Nie wierzy pan jej do końca, prawda?

Gamache wyszedł z małego gabinetu i podążył w stronę biurka Isabelle Lacoste.

– Co jest?

– Cały ranek nad tym siedzę i nadal nic nie mogę znaleźć o Cecylii de Poitiers i jej rodzicach. Nic. Przejrzałam jej książkę w poszukiwaniu jakichś wskazówek. Bardzo dziwna, swoją drogą. Wspomniał pan o Francji, więc wysłałam już zapytanie do tamtejszej Sûreté. Pół godziny temu nadeszła taka odpowiedź.

Gamache pochylił się nad komputerem, żeby przeczytać e-mail z Paryża.

Nie zwracajcie nam głowy zmyślonymi bzdetami.

– Cóż, *zut alors* – powiedział Gamache. – Co pani zrobiła?

– Napisałam to:

Szanowne durne francuskie pojeby: wy w waszej wszechmogącej paryskiej prefekturze Sûreté macie łby powtykane w dupy tak głęboko, że nie rozpoznalibyście uzasadnionej i rzeczowej prośby, choćby was zębami złapała za wasze małe, zasuszone jajka. My się tutaj zajmujemy łapaniem przestępców kryminalnych, podczas gdy wy śnicie o dniu, w którym będziecie mieć chociaż połowę naszego rozumu, wy niedorobione gównojady.

Z wyrazami szacunku, Isabelle Lacoste, Sûreté du Québec.

– To z pewnością jedna z możliwości – rzekł z uśmiechem Gamache. Beauvoir był pod wrażeniem i już wyczekiwał kolejnej fantazji z udziałem Lacoste, którą mu podsunie wyobraźnia.

– Nie wysłałam tego. – Lacoste tęsknie popatrzyła na e-mail. – Za to zadzwoniłam do paryskiego wydziału zabójstw. Jeśli za parę minut nie oddzwonią, zatelefonuję jeszcze raz. Nie rozumiem ich odpowiedzi. Miał pan z nimi do czynienia, sir?

– Parę razy. Nigdy nie odpowiedzieli mi w taki sposób. – Spojrzał raz jeszcze na bezczelną wiadomość z Paryża. Kolejna rzecz w tej sprawie, która nie miała sensu.

Dlaczego uważali, że to było zmyślane?

Nadinspektor usiadł przy biurku i zaczął przerzucać czekające na niego stosy papierów i wiadomości. Natrafił na sporządzoną przez Lemieux listę śmieci w domu CC de Poitiers. To było rutynowe przeszukanie, rzadko pomocne w takich sprawach, ponieważ mordercy na ogół nie bywali tak głupi, by wyrzucać dowody rzeczowe do własnego śmietnika. Jednak Richard Lyon zrobił na Gamache’u wrażenie może nie kompletnego idioty, ale niezbyt mądrego człowieka.

Gamache nalał sobie kawy i zaczął czytać.

Jedzenie, różne.

Stare kartony po mleku i pizzy.

Zerwana bransoletka.

Butelki po winie, dwie sztuki.

Gazety – tanie szmatławce.

Pudełko po płatkach śniadaniowych Fruit Loops.

Kaseta wideo, Lew w zimie.

Plastikowe butelki po soku.

Papierki od batoników Mars.

Zużyty papier do pakowania prezentów.

Pudło ze sklepu z rękodziełem eskimoskim w Montrealu.

Ci ludzie najwyraźniej nie zwracali sobie głowy recyklingiem, pomyślał Gamache. Uznał, że kasetę wideo jest popsuta, a pudło z eskimoskiego sklepu zawierało kozaki. Nie było materiałów elektrycznych do podłączania grzejników. Ani butelki po płynie do odmrażania szyb.

Oczekiwać ich byłoby przesadą, naprawdę.

Saul Petrov chodził po salonie wynajętego domku. Za oknem śnieg padał coraz słabiej. Czy powinien powiedzieć policji, co mówiła CC? Wyraźnie dała do zrozumienia, że szukała czegoś w Three Pines. Był pewien, że chodziło o pieniądze. Czy znalazła?

Tego poranka, gdy rozmawiał z Sûreté, odwiedził jej męża, próbując się zorientować, jak się sprawy mają, i może trochę pomyszkować. Richard Lyon był chłodny, wręcz nieprzyjazny. Szczerze mówiąc, jego odpowiedź zaskoczyła Petrova. Nie podejrzewał, że ten człowiek jest zdolny do tego, by się komuś postawić. Lyon zawsze wydawał się taki słaby, taki niepozberany. Ale bez problemu dał Saulowi do zrozumienia, że nie jest mile widziany.

Saul wiedział, że Lyon miał powody, żeby go nie lubić. Niedługo tych powodów będzie jeszcze więcej.

Petrov spacerował z jednego kąta zagraconego salonu w drugi, kopiąc po drodze gazetę, która leżała mu na drodze, prosto w stronę kominka. Jego cierpliwość się kończyła. Co mógł zdradzić policji, a co zatrzymać dla siebie? Może powinien poczekać, aż wywołają zdjęcia. Powiedział prawdę: wysłał je do laboratorium. Ale nie wszystkie. Zatrzymał jedną rolkę filmu. Rolkę, która mogła przynieść mu dość pieniędzy, by mógł przejść na emeryturę, może kupić ten domek i poznać bliżej mieszkańców Three Pines. Może nawet odnaleźć tego fantastycznego artystę, którego portfolio CC wyrzuciła do śmieci.

Uśmiechnął się do siebie. CC mogła nie znaleźć w Three Pines skarbu, ale on – i owszem. Podniósł rolkę filmu i popatrzył na twarde, czarny kawałek plastiku w swojej dłoni. Kierował się zasadami moralnymi, ale jego moralność zależała od sytuacji – ta sytuacja była nad wyraz obiecująca.

– *Vous avez dit „l’Aquitaine”?* *J’ai besoin de parler à quelqu’un là-bas?*

Mais pourquoi? – Isabelle Lacoste z trudem skrywała irytację. Czuła się jak idiotka. Rzadko jej się to zdarzało, ale tym razem najwyraźniej cierpliwy i inteligentny funkcjonariusz paryskiej Sûreté kazał jej zadzwonić do Akwitania. Nie wiedziała nawet, co to za Akwitania.

– Czym jest Akwitania? – musiała zapytać, żeby nie okazać się jeszcze większą idiotką.

– To region Francji – odpowiedział nosowym głosem policjant. Brzmiało to grzecznie i miło, jakby nie próbował jej w żaden sposób pogrążyć, tylko chciał udzielić informacji.

– Dlaczego miałabym tam dzwonić?

– Oczywiście z powodu nazwiska, które pani nam podała. Eleanor de Poitiers. Eleonora Akwitańska. Proszę zapisać numer lokalnego posterunku żandarmerii.

Funkcjonariusz z lokalnego posterunku śmiał się i powiedział, że niestety nie może rozmawiać z Eleanor de Poitiers, „chyba że wybiera się natychmiast na tamten świat”.

– Jak to? – Zaczynała być zmęczona tym, że wszyscy się z niej śmieją, oraz tym, że musi zadawać w kółko to samo pytanie. Niemniej pracując z Armandem Gamache’em, obserwowała jego niemal niewyczerpane pokłady cierpliwości, więc wiedziała, że to właśnie cierpliwość jest tutaj potrzebna.

– Ona nie żyje – powiedział konstabl.

– Nie żyje? Zamordowana?

Mężczyzna znów się roześmiał.

– Jeśli pan coś wie, to proszę mi powiedzieć. – Nadal ćwiczyła cierpliwość.

– Proszę się zastanowić. Eleanor de Poitiers – powtórzył wolno i wyraźnie, jak gdyby to miało jej pomóc. – Muszę iść. Moja zmiana kończy się o dziesiątej.

Rozłączył się. Lacoste automatycznie spojrzała na zegarek. Kwadrans po czwartej w Quebecu. Kwadrans po dziesiątej we Francji. Człowiek został dla niej po godzinach.

Ale co z tego?

Rozejrzała się dookoła. Gamache i Beauvoir już poszli. Podobnie jak Yvette

Nichol.

Lacoste zwróciła się do komputera, otworzyła wyszukiwarke Google i wpisała zapytanie: „Eleonora Akwitańska”.

Ściany pomieszczenia do medytacji miały kolor kojącej akwamaryny. Dywan na podłodze był w odcieniu głębokiej, ciepłej zieleni. Na suficie obracał się leniwie wiatrak. W kącie piętrzyły się poduszki.

Nadinspektor i Beauvoir pojechali do Saint-Rémy odwiedzić Matkę Beę w jej centrum medytacji. Gamache obrócił się, zauważając sięgające od podłogi do sufitu okna, wychodzące na ciemność. Jedyne, co widział, to własne odbicie oraz inspektora stojącego obok z miną, jakby wkroczył do przedsionka piekieł.

- Spodziewa się pan ataku duchów?
- Nigdy nic nie wiadomo.
- Myślałem, że jest pan ateistą.
- Nie wierzę w Boga, ale duchy mogą istnieć. Czuje pan ten zapach?
- To kadzidło.
- Niedobrze mi od niego.

Gamache zwrócił się do tylnej ściany. Na górze kaligraficznym pismem wymalowano *Be Calm*. Ośrodek madame Mayer nosił nazwę *Be Calm*. Tak się dziwnie złożyło, że CC również nazwała tak swoją firmę i książkę.

Be Calm.

Jednak, jak na ironię, żadna z tych kobiet nie została obdarzona spokojem.

Poniżej widniało więcej napisów. Słońce już zaszło, wewnątrz było dyskretnie oświetlone. Gamache nie mógł odczytać, co napisano na ścianie, więc podszedł bliżej. Wtedy nadeszła Matka, w fioletowym kaftanie, z rozwianymi włosami.

- Panowie przyszli na zajęcia o piątej?
- Nie, madame. Przyszliśmy prosić panią o pomoc.

Na twarzy Matki odmalowało się wahanie. Wydawało się, że Bea jest przyzwyczajona do pułapek, a przynajmniej do wyobrażania ich sobie.

- To dla mnie oczywiste, że jest pani bardzo wrażliwa. Widzi pani

i przeczuwa rzeczy, których inni nie zauważają. Mam nadzieję, że moje słowa nie brzmią zbyt obcesowo.

– Nie wydaje mi się, by moja intuicja była specjalnie lepsza od innych – odpowiedziała Matka. – Jeśli w czymś mam przewagę, to w tym, że nauczyłam się pracować nad sobą. Może dlatego, że potrzebne mi to bardziej niż innym. – Uśmiechnęła się do Gamache’a, ignorując Beauvoira.

– Najbardziej oświeceni najmniej chętnie się przyznają do własnego oświecenia – rzekł Gamache. – Planowaliśmy porozmawiać z panią na osobności, madame, chcemy, żeby nam pani pomogła. Chcemy, żeby podzieliła się pani z nami swoimi obserwacjami na temat madame de Poitiers.

– Nie znałam jej dobrze.

– Ale to nie było konieczne, prawda? Pani jest nauczycielką; ma pani do czynienia z ludźmi z różnych środowisk. Prawdopodobnie zna ich pani lepiej niż oni znają siebie.

– Staram się nie osądzać innych, nadinspektorze.

– Nie chodzi o osąd, ale o wnikliwe spostrzeżenia.

– Sądzę, że CC de Poitiers bardzo cierpiała. – Matka poprowadziła ich do stosu poduszek i zachęciła, by wzięli po jednej. Gamache usiadł z trudem, ledwie mu się udało nie przewrócić. Beauvoir zdecydował, że nie chce ryzykować. Poza tym sugestia, by inspektor wydziału zabójstw siadał na poduszce, była idiotyczna, jeśli nie wręcz obraźliwa.

Matka bez najmniejszego wysiłku zajęła miejsce na szkarłatnej poduszce.

– Wydaje mi się, że była zagubioną duszą. Jeśli nie zostałyby zamordowana i miałyby dość pokory, by o to poprosić, pewnie mogłabym jej pomóc.

Beauvoir poczuł, że chyba zaraz zwymiotuje.

– Widzi pan, przyszła raz do mnie. Byłam uradowana, że ją widzę, wyobrażałam sobie, że przyszła po pomoc. Ale myliłam się.

– Czego chciała?

– Nie mam pojęcia. – Teraz Matka wyglądała na szczerze skonfundowaną. Beauvoir pomyślał, że to jej pierwsza reakcja, która wyglądała na autentyczną.

– Weszłam, a ona stała tutaj, poprawiając obrazki na ścianie. – Matka wskazała na fotografie w ramach, kilka na ścianie, a kilka stojących, które

tworzyły coś w rodzaju małej kapliczki. – Wszystkiego musiała dotknąć. Wszystko poprzestawiała.

– Jak to?

– Jak pod linijkę. Pod koniec zajęć uczestnicy rzucają poduszki w kąt, jak panowie widzą. Mnie się to podoba. Wola Boża, gdzie one wylądują. Nie lubię zbędnego przymusu.

Beauvoirem wstrząsnęła kolejna fala mdłości.

– Ale CC najwyraźniej nie była w stanie wejść gdzieś i niczego nie dotykać ani nie przestawiać. Była na bardzo niskim poziomie duchowej ewolucji. Jeśli ktoś ma taki nawyk, nie ma w nim miejsca na duchowość. Wszystkie poduszki były ułożone jedna na drugiej i wyrównane pod ścianą, wszystkie obrazki perfekcyjnie wyprostowane, jak pod linijkę.

– Dlaczego CC tu przyszła?

– Naprawdę nie wiem. Gdy mnie zobaczyła, wyglądała na zaskoczoną, jakbym przyłapała ją na robieniu czegoś niewłaściwego. Po jej wyjściu sprawdziłam, czy niczego nie brakuje, bo wyglądała, jakby coś przeszkobała. Próbowwała to ukryć przez agresywne zachowanie. Bardzo typowe.

– Typowe dla czego? – zapytał Gamache.

To pytanie najwyraźniej zbiło Matkę z tropu, a Beauvoir zastanawiał się, czy aby nie była osobą nienawykłą do pytań.

– Cóż, dla osób nieszczęśliwych, rzecz jasna – rzuciła po chwili. – Miałam wrażenie, że CC szukała czegoś, a to coś bynajmniej nie było oświeceniem. Mam wrażenie, że tak pograżyła się we własnych iluzjach, że wydawało jej się, że już je osiągnęła. Ale ciężko byłoby znaleźć osobę mniej oświeconą od niej.

– To bardzo spostrzegawcze z pani strony – zauważył nadinspektor.

Matka przyjrzała mu się uważnie, poszukując śladów sarkazmu.

– Co sprawia, że myśli pani, iż CC uważała się za oświeconą?

– Czytał pan jej książkę? Jest przemądrzała i pełna samozadowolenia. Ta kobieta nie miała żadnego duchowego centrum, żadnych autentycznych przekonań. Posługiwała się każdą filozofią, jaka jej się nawinęła. Trochę z tego, trochę z tamtego. Ulepiała z tego wyboistą, dziurawą i błotnistą duchową ścieżkę. Przywodzi mi na myśl Frankenstein. Pozszywała razem kawałki różnych religii i wierzeń i tak stworzyła to swoje li bien.

Jasne było, że Matka ma na samym końcu języka słowo „bzdury”.

– Brakowało jej duchowej równowagi. – Uniosła ramiona i rozpostarła je w geście, który wyglądał jak uścisk; fałdy purpurowego kaftana opadały w taki sposób, że przypominała renesansowe malowidło pędzla niezbyt utalentowanego artysty.

– Proszę mi opowiedzieć o li bien – powiedział Gamache.

– Ma to coś wspólnego z chowaniem emocji wewnątrz. Najwyraźniej jej zdaniem emocje były źródłem wszystkich problemów, więc chodziło o to, żeby ich nie okazywać, a jeszcze lepiej, nie czuć.

– A to li bien, czy to starożytna nauka, tak jak zen?

– Li bien? Nigdy o nim nie słyszałam. Według mnie wyszała to wszystko z palca.

Gamache, który przeczytał książkę CC de Poitiers, zauważył z zainteresowaniem, że Matka, chociaż miała rację, pomijała różne kluczowe elementy, jak kulę li bien. To był fundament nauczania CC oraz jedyny przedmiot, jaki odziedziczyła po nieżyjącej matce. CC wyjaśniała to w książce dość szczegółowo, Gamache odniósł wrażenie, że jedynie ten element w całej opowieści faktycznie miał dla autorki jakieś znaczenie. Brzmiało to tak, jak gdyby CC faktycznie dostała taki dar po matce i wiedziała, że jest on cenny, choć nie rozumiała, jak i dlaczego. Wyprodukowała więc cały system wierzeń skupiony na nim.

Uczyniła z kuli li bien jakąś świętość. A teraz ta świętość zniknęła bez śladu. Nadinspektor zlecił funkcjonariuszom przeszukanie mieszkania CC w montrealskiej dzielnicy Notre Dame de Grace. Nie znaleźli tam nic, za to wszyscy chcieli jak najszybciej opuścić to miejsce o sterylnej atmosferze. Policjanci przeszukali też ponownie stary dom Hadleyów, także bez rezultatu.

Oczywiście mógł się mylić; może kula li bien nigdy nie istniała. Może Matka miała rację i CC zmyśliła i to.

– Czy nie ma tam mowy także o świetle? – zapytał, zastanawiając się, co starsza pani na to odpowie.

– Cóż, owszem, ale to jest jeszcze bardziej poplątane. CC najwyraźniej uważała, że wszystko, co jasne albo białe, było duchowe, zaś kolory, jak czerwień czy błękit, były złe. Posunęła się do tego, że przypisała każdemu

kolorowi emocjonalny odpowiednik. Czerwień to gniew, błękit – depresja, żółć – tchórzostwo albo strach, coś w tym rodzaju. Nie pamiętam, z wyjątkiem tego, że było to dziwaczne. Nie wiem, czy sama w to wierzyła, ale przesłanie, które sprzedawała innym, głosiło, że im ktoś jaśniejszy i bielszy, tym lepszy.

– Czy CC była rasistką?

Matka się zawahała. Gamache miał wrażenie, że kobieta stara się pokazać CC w najgorszym możliwym świetle, a rasizm był dosyć paskudny. Ale trzeba jej przyznać, że się powstrzymała.

– Nie sędzę. Raczej chodziło jej o wewnętrzne jakości. Emocje i uczucia. Jej zdaniem kiedy chowamy emocje w środku i są one właściwie uporządkowane, jesteśmy w stanie równowagi.

– Co miała na myśli przez to uporządkowanie?

– Pewnie pamięta pan to z lekcji fizyki. CC była dość cwana, ale także, moim zdaniem, niebezpieczna. Posługiwała się twierdzeniami, które niosły w sobie ziarno prawdy albo odrobinę faktów, ale rozciągała je do granicy absurdu. Fizyka uczy, że biel zawiera w sobie wszystkie kolory. Gdy połączy się wszystkie barwy, otrzymujemy biel, podczas gdy czerń jest brakiem koloru. Stąd, zdaniem CC, jeśli kolory odpowiadają emocjom i człowiek ulega jednej z nich, czuje złość, smutek, zazdrość i tak dalej, wtedy jeden kolor dominuje, co zakłóca równowagę. Ideał polega na osiągnięciu bieli. Wszystkich kolorów, wszystkich emocji, właściwie uporządkowanych.

Dla Beauvoira brzmiało to jak bełkot. Dawno już przestał słuchać i gapił się na plakat z widokiem Indii, wiszący na ścianie, starając się wyobrazić sobie, że stoi na nagiej skale tuż obok mężczyzny w przepasce na biodrach. Wszystko było lepsze od tej gadaniny.

– Czy CC miała rację?

Kompletnie zaskoczył Matkę tym prostym pytaniem.

Matka wzięła głęboki wdech i starała się odzyskać równowagę ducha.

– Nie. Jej wierzenia były bzdurne i obraźliwe. Doradzała ludziom, żeby zdusili w sobie emocje. Jeśliby ktoś stosował się do jej wskazań, skończyłby z poważną chorobą psychiczną. CC miała kuku na muniu.

– A jednak – ciągnął Gamache przyjaznym głosem – czy to nie tego samego uczy się na zajęciach z medytacji? Nie tyle pozbycia się emocji czy stłumienia

ich, ale kontrolowania ich tak, by nie kontrolowały nas? Czy nauka o czakrach nie jest czasem częścią praktyki medytacji?

– Owszem, to prawda, ale tu jest inaczej. Ja sama uczę medytacji z zastosowaniem czakr. Nauczyłam się od niego. – Wskazała na plakat, który tak pochłonął Beauvoira. – W Indiach. To metoda uzyskania wewnętrznej i zewnętrznej równowagi. W ciele jest siedem ośrodków energetycznych, umieszczonych od czubka głowy po prywatne części ciała. Każde z nich ma kolor, a kiedy są właściwie ustawione, uzyskuje się stan równowagi. Jeśli to pana interesuje, proszę przyjść na moje zajęcia. Tak się składa, że za chwilę zaczynamy sesję.

Zakołysała się na poduszce i podniosła do pionu. Nadinspektor także wstał, choć nie z taką gracją. Matka potoczyła się w stronę wyjścia, pospieszając ich, by wyszli. Gamache zatrzymał się i przyjrzał napisowi na ścianie.

Be calm, and know that I am God. „Uspokójcie się, a wieście, że Ja Bóg”.

– Piękne – powiedział – i brzmi znajomo.

Czyżby Matka zawahała się na moment, zanim odpowiedziała?

– To z Izajasza.

– Nazwała pani swoje centrum Be Calm. Czy to stąd ta nazwa?

Matka pokiwała głową w stronę ściany.

– Tak. Trochę mi głupio, że mam na ścianie cytat, który w gruncie rzeczy jest chrześcijański, ale to jest ponadwyznaniowa wspólnota. Ludzie, którzy przychodzą tu na jogę albo medytację, wierzą w przeróżne rzeczy. Niektórzy z nich to chrześcijanie, inni przestrzegają nauk Buddy. Są tacy, co skłaniają się ku nauce hinduizmu. Bierzemy z każdej wiary to, co ma znaczenie. Nie jesteśmy tutaj dogmatyczni.

Gamache zauważył, że w odniesieniu do niej samej takie podejście uchodziło za zaletę, kiedy jednak robiła to CC, było to groteskowe.

– Ale Izajasz to starotestamentowa księga, więc niekoniecznie chrześcijańska – rzekł z uśmiechem. – Dlaczego wybrała pani ten konkretny wers?

– Bo jest w gruncie rzeczy bliski buddyjskiemu wierzeniu, że gdy zachowujemy spokój, możemy znaleźć Boga – wyjaśniła. – To piękna myśl.

– Rzeczywiście piękna – przyznał szczerze. – Cisi i spokojni. – Odwrócił się od hasła na ścianie i spojrzał prosto w oczy stojącej przy nim starszej pani. –

I nieruchomi.

Matka się nie zawahała.

– I nieruchomi, nadinspektorze.

– *Merci, madame.* – Gamache położył zdecydowanym gestem rękę na ramieniu Beauvoira i poprowadził go w stronę drzwi. Beauvoir nie zadał sobie nawet trudu zapięcia płaszcza. Wypadł na zewnątrz w lodowaty wieczór, czując, jak gdyby się skąpał w zimnym górskim strumieniu. Kaszłał i krztusił się, gdy mroźne powietrze zalało mu płuca, ale nie dbał o to. Wreszcie wracało mu poczucie rzeczywistości.

– Proszę mi dać kluczyki. – Nadinspektor wyciągnął dłoń i Beauvoir bez protestu wrzucił w nią klucze do samochodu. – Wszystko w porządku? – Posadził inspektora na siedzeniu pasażera.

– Nic mi nie jest. Tylko ta kobieta, to miejsce... – Zrobił gest dłonią wokół umęczonej głowy. Wciąż było mu niedobrze i miał nadzieję, że wytrzyma, aż dojadą do pensjonatu, ale nie dał rady.

Pięć minut później stali na poboczu, a Gamache przytrzymał głowę Beauvoira, który wymiotował, przeklinając starszą panią i jej przytłaczający, klaustrofobiczny spokój.

– Nic mi nie będzie. – Beauvoir wyglądał jak śmierć.

– W ostatecznym rachunku pewnie nie – odparł nadinspektor, praktycznie niosąc młodszego kolegę po schodach do jego pokoju w pensjonacie. Pomógł mu się rozebrać i przygotował kąpiel; w końcu umyty i rozgrzany Beauvoir opadł na duże, wygodne łóżko pokryte prześcieradłami z miękkiej flaneli i puchową kołdrą. Gamache przetrzepał poduszki i podciągnął kołdrę pod brodę inspektora, układając go do snu. Postawił tacę z herbatą i krakersami w zasięgu ręki.

Stopy Beauvoira spoczywały na termoforze, opatulone wygodnie, a ciepło rozpląywało się powoli po zmarzniętym, wstrząsanym dreszczami ciele. Inspektor nigdy nie czuł się taki chory – ani nie czuł aż takiej ulgi.

– Lepiej panu trochę?

Beauvoir skinął głową, starając się nie szczekać przy tym zębami. Gamache położył swoją chłodną, wielką dłoń na rozpalonym czole młodszego kolegi i przytrzymał ją tam przez moment.

– Przyniosę panu jeszcze jeden termofor, co pan na to?

– Tak, poproszę.

Beauvoir czuł się jak wtedy, gdy miał trzy lata, był chory i spoglądał błagalnie w smutne oczy swojego ojca. Gamache wrócił kilka minut później z kolejnym termoforem.

– Rzuciła na mnie urok – powiedział Beauvoir, zwiijając się wokół termoforu.

– Ma pan grypę.

– Ta cała Matka rzuciła na mnie urok i dostałem grypy. Boże, czy myśli pan, że mnie otruto?

– To grypa.

– Ptasia grypa?

– Ludzka grypa.

– Albo SARS. – Beauvoir z wysiłkiem uniósł się w pościeli. – Czy umrę na SARS?

– To grypa – powiedział Gamache. – Muszę iść. Tu ma pan komórkę i herbatę. Tu stawiam kosz na śmieci. – Nadinspektor uniósł blaszany kubelek, po czym postawił go na podłodze. Matka Gamache’a nazywała takie naczynie, używane kiedy chorował, „kubłem do bekania”, chociaż oboje wiedzieli, że bekanie nie było tu problemem.

– Niech pan teraz leży i śpi.

– Umrę, zanim pan wróci.

– Będzie mi pana brakowało. – Nadinspektor wyrównał puszystą białą pierzynę, jeszcze raz dotknął czoła kolegi i cichutko wyszedł. Beauvoir już zasnął.

– Jak on się czuje? – zapytał Gabri schodzącego po schodach Gamache’a.

– Śpi. Będzie pan tu przez chwilę?

– O, na pewno.

Gamache włożył płaszcz i stanął na progu.

– Ochładza się.

– Przestał padać śnieg. Słyszałem, że jutro temperatura ma spaść do minus dwudziestu.

Obaj popatrzyli za drzwi. Słońce już dawno zaszło, drzewa i staw jaśniały. Kilka osób wyprowadzało psy lub jeździło na łyżwach. Z bistro rozchodziła się luna przyjaznego światła, a drzwi kafejki otwierały się i zamykały, w miarę jak mieszkańcy schodzili się na późnopołudniowego drinka.

– Musi być z pięć stopni – powiedział Gabri, kiwając głową w stronę miejskiego skweru. – Ruth. Wygląda prawie jak żywa.

Gamache wyszedł z ciepłego pensjonatu i ruszył pospiesznie przez Commons. Rozważał możliwość zatrzymania się i porozmawiania z Ruth, ale zdecydował inaczej. Coś w jej postawie nie zachęcało do pogaduszek ani w ogóle do rozmowy. Śnieg skrzypiał pod stopami nadinspektora, co było wyraźnym znakiem, że temperatura spada. Twarz piekła go, jak gdyby atakowała ją chmura maleńkich szpilek, oczy lekko zwilgotniały. Z żalem minął

bistro. Miał w planie spędzać tam każde popołudnie, wypijać spokojnie drinka, przeglądać notatki i spotykać się z mieszkańcami.

Bistro było jego sekretną bronią w pogoni za mordercami. Nie tylko w Three Pines, ale też w każdym mniejszym i większym miasteczku w Quebecu. Najpierw znajdował przyjemną kafejkę, restaurację albo bistro, a potem łapał mordercę. Zdarzało się tak dlatego, że Armand Gamache wiedział coś, co zawsze umykało jego kolegom po fachu. Wszystko w morderstwie – zarówno w mordercy, jak i w zamordowanym – było głęboko ludzkie. Określać mordercę mianem groteskowego potwora oznaczało nadawać mu niezasłużoną przewagę. Nie. Mordercy byli ludzcy, a korzenie zbrodni wyrastały z emocji. Nie ma wątpliwości, że z chorobliwych, wstrętnych, wypaczonych emocji – ale jednak. Emocji tak potężnych, że doprowadzały kogoś do zbrodni.

Praca nadinspektora polegała na zbieraniu materiału dowodowego, ale także na kolekcjonowaniu emocji. A jedyną metodą, by tego dokonać, było poznać ludzi. Przyglądać się im, przysłuchiwać. Być uważnym. A najlepiej udawało się to w pozornie nieformalnej atmosferze i otoczeniu.

Na przykład w bistro.

Przechodząc opodal, Gamache zastanawiał się, czy morderca jest teraz w środku, czy popija w ten zimny wieczór szkocką albo gorący cydr. Czy grzeje się przy kominku w otoczeniu przyjaciół. A może morderca był na zewnątrz, w mroku i na zimnie? Odrzucony, zgorzkniały, szorstki, zraniony?

Gamache przeszedł przez kamienny mostek, z przyjemnością przysłuchując się ciszy nad miasteczkiem. Śnieg to sprawiał. Rozłożył na wszystkim prostą, czystą narzutę, tłumiącą wszelkie dźwięki i wszelkie życie pod nią. Rolnicy i ogrodnicy Quebecu modlili się zimą o dwie rzeczy: mnóstwo śniegu i długi, nieprzerwany ziąb. Wczesna odwilż była katastrofą. Młode, wrażliwe rośliny dawały się na nią nabrać i wystawiały się na działanie żywiołów, które dusiły je w pąkach. Ostry przymrozek trzeciego dnia. „I jak ja, upada” – zacytował w myśli Gamache, zadziwiony, że mu się to teraz przypomniało. Pożegnanie Wolseya. Szekspir, oczywiście. Ale dlaczego teraz przyszło mu to do głowy?

To los człowieka: dziś puszcza obficie

Pięknych nadziei liście delikatne

*Jutro się jasnych kwiatów stroi szatą
Ostry przymrozek trzeciego dnia chwyta
I kiedy biedak, w spokojnem marzeniu
Myśli, że owoc wielkości dojrzeją,
Kęsa mu korzeń – i – jak ja upada^[18].*

Czy Gamache upadał? Czy dawał się nabrać i uwierzył, że ma nad wszystkim kontrolę, że wszystko idzie tak, jak powinno?

Sprawa Arnot nie została zamknięta, ostrzegał go przyjaciel Michel Brébeuf. Czy ostry przymrozek jeszcze nadejdzie? Gamache zaczął machać ramionami, by się rozgrzać i dodać sobie animuszu. Parsknął rozbawiony i potrząsnął głową. To uczyło pokory. Jednego dnia był szanowanym nadinspektorem Gamache'em, szefem wydziału zabójstw Sûreté du Québec, a następnego ścigał wytwory własnej wyobraźni na głębokiej prowincji.

Teraz zatrzymał się i popatrzył na wiekowe miasteczko, zabudowane kręgami starych domów, kochanych przez ich mieszkańców, którzy sami także byli kochani. Nawet Ruth Zardo. Pięknie to świadczyło o tej cichej, spokojnej miejscowości, że jej mieszkańcy znaleźli w sercach miejsce dla kogoś tak głęboko zranionego jak Ruth.

A CC de Poitiers? Czy dla niej także znalazłoby się tutaj miejsce? A dla jej męża i dziecka?

Z wahaniem uniósł wzrok znad gorejącego kręgu świateł Three Pines i przeniósł go ku ciemności i dawnemu domowi Hadleyów, który wznosił się nad miasteczkiem jak wyjątek potwierdzający regułę. Stał ponad kręgiem światła, na skraju miasteczka. Poza nawiasem.

Czy morderca krył się tam, w tym odosobnionym i odpychającym gmachu, który – jak się zdawało – emanował złością?

Gamache stał na lodowatym zimnie i zastanawiał się, dlaczego CC żywiła do innych negatywne uczucia. Dlaczego na każdym kroku je prowokowała? Do tej pory nie natrafił na choćby jedną osobę, której byłoby smutno z powodu jej śmierci. Odejście CC nie wzbudziło poczucia straty nawet w jej rodzinie. Może szczególnie w jej rodzinie. Nadinspektor przechylił głowę lekko na bok, jak gdyby miało mu to pomóc myśleć. Ale nie pomogło, tylko podsycało jego

złość.

Skreślił teraz i poszedł w stronę starego dworca, oświetlonego i prawie tak zapraszającego jak bistro.

– Szefie! – zawołała Lacoste, gdy wszedł do środka, wnosząc z sobą powiew zimnego powietrza. – Ależ się cieszę, że pana widzę! Gdzie inspektor?

– Chory. Jest przekonany, że Beatrice Mayer rzuciła na niego urok.

– Nie byłaby pierwsza.

– To prawda – zaśmiał się. – Gdzie Nichol?

– Poszła już. Zatelefonowała w parę miejsc, po czym zniknęła kilka godzin temu. – Lacoste przyglądała się twarzy nadinspektora, by zobaczyć, czy dostrzeże, co Gamache o tym myślał. Nichol znowu się na nich wypięła, jak gdyby miała we krwi sabotowanie własnej kariery i ich spraw. Ale nadinspektor nie zareagował.

– Co nowego?

– Cała masa wiadomości. Dzwoniła koroner. Powiedziała, że będzie czekać na pana w bistro Oliviera o piątej trzydzieści. Ona mieszka tu niedaleko, prawda?

– W miejscowości Cleghorn Halt, w dół linii kolejowej. Bistro ma po drodze do domu. Znalazła coś?

– Ma pełny raport z sekcji zwłok. Chciała z panem o nim porozmawiać. Dzwonił do pana także Robert Lemieux z Montrealu. Powiedział, że coś panu przesłał mailem. Z kwatery głównej. Chciał też, żeby pan oddzwonił. Ale zanim pan to zrobi... – Podeszła do biurka, a Gamache podążył za nią. – Znalazłam Eleanor de Poitiers. – Lacoste usiadła i postukała po klawiaturze. Na ekranie pojawił się obrazek. Czarno-biały rysunek przedstawiający średniowieczną damę na koniu, z chorągwią w ręku.

– Proszę kontynuować.

– To wszystko. Eleanor de Poitiers to Eleonora Akwitańska. To ona. – Wskazała na ekran. Nadinspektor przystawił sobie krzesło i usiadł koło Lacoste; jego brwi były ściągnięte, całe ciało pochylone w przód, jakby przyciągał je ekran. Wpatrywał się w ilustrację, próbując znaleźć w tym jakiś sens.

– Proszę mi opowiedzieć, co pani wie.

– Co wiem, czy co myślę? Tak czy inaczej, niewiele tego. CC de Poitiers podała nazwiska rodziców jako Eleanor i Henri de Poitiers, z Francji. W swojej książce – wskazała na egzemplarz na biurku – opisuje, że spędziła dzieciństwo we Francji, w otoczeniu tamtejszych elit. Wydarzyła się jakaś finansowa katastrofa i odesłano ją do Kanady, żeby zamieszkała u krewnych, zgadza się?

Gamache przytaknął.

– Cóż, Eleanor to ona – Ponownie wskazała na obrazek średniowiecznej amazonki, po czym kliknęła jeszcze raz i obraz na ekranie się zmienił. – A to jej ojciec: Henryk Plantagenet, czyli król Anglii Henryk II. – Ukazał się portret poważnego i potężnego blondyna w koronie.

– Nie rozumiem.

– Jedyni znani Eleanor i Henri de Poitiers to ci dwoje. – Na ekranie widać było teraz oba portrety obok siebie.

– Ale to bez sensu – powiedział Gamache, nadaremnie próbując to wszystko zrozumieć.

– Nigdy pan nie był nastolatką.

– Co pani przez to rozumie?

– Romantyczne dziewczyny mają pociąg do takich rzeczy. Potężna, tragiczna królowa, szlachetny król. Krucjaty. Eleanor de Poitiers nawet pojechała wraz ze swym pierwszym mężem na wyprawę krzyżową. Zorganizowała armię trzystu kobiet i przez część drogi jechała na ich czele z obnażoną piersią. A przynajmniej tak opowiadają. Wzięła nawet rozwód z Ludwikiem VII Młodym, żeby poślubić Henryka.

– I żyli długo i szczęśliwie?

– Nie do końca. Henryk ją uwięził, ale najpierw urodziła mu czterech synów. Jednym z nich był Ryszard Lwie Serce. Niesamowita! – Lacoste popatrzyła na wizerunek kobiety na koniu i wyobrażała sobie, jak by to było należeć do jej armii. Jechać za tą niezwykłą osobą przez Palestynę, z obnażoną piersią. Nie tylko nastolatki fascynowały się Eleonorą Akwitańską.

– Ryszard Lwie Serce? Ale nie miała córki o imieniu CC?

– Która była projektantką i mieszkała w Three Pines? Nie. Król Henryk zmarł w tysiąc sto osiemdziesiątym dziewiątym roku. Eleonora w tysiąc dwieście czwartym. Tak więc CC albo już dawno powinna nie żyć, albo troszkę

skłamała. Nic dziwnego, że cała paryska Sûreté się ze mnie naśmiewała. Bogu dzięki, że przedstawiłam im się jako Yvette Nichol.

Gamache potrząsnął głową.

– Czyli zmyśliła to. Sięgnęła prawie tysiąc lat wstecz, żeby wymyślić swoich rodziców. Dlaczego? Dlaczego miałyby to robić? I dlaczego wybrała ich?

Przez moment oboje siedzieli w milczeniu.

– Kim więc byli jej prawdziwi rodzice? – zapytała w końcu Lacoste. – Sądzę, że to może być ważne pytanie.

Nadinspektor podszedł do swojego biurka. Była piąta dwadzieścia. Akurat dość czasu, by porozmawiać z Lemieux, zanim wyruszy na spotkanie z doktor Harris. Ściągnął pocztę z serwera i wybrał numer policjanta.

– Funkcjonariusz Lemieux! – zakrzyknął głos w słuchawce.

– Mówi Gamache! – odkrzyknął nadinspektor, nie do końca pewien, dlaczego mówi tak głośno.

– Szefie, cieszę się, że pan dzwoni. Dostał pan szkic rysownika z Sûreté? Powiedział, że wysłał go panu mailem.

– W tej chwili otwieram pocztę. Co powiedział rysownik i dlaczego krzyczymy do siebie?

– Jestem na dworcu autobusowym. Autobus właśnie przyjechał. Rysownik z Sûreté powiedział, że wygląda, jakby Elle zaciskała coś w dłoni, gdy umarła, i to coś wbiło się jej w rękę.

– Czy to tłumaczy kształt ran wewnątrz dłoni?

– Właśnie. – Autobus musiał ruszyć albo zamknąć drzwi, bo hałas w tle zelżał. Lemieux przestał krzyczeć. – Dałem mu zdjęcia z sekcji zwłok, a on sporządził szkic, tak jak pan prosił. Niestety, nie jest zbyt szczegółowy.

Słuchając Lemieux, Gamache przeglądał pocztę elektroniczną, szukając wiadomości od ekscentrycznego rysownika, rezydującego w głębinach kwatery głównej Sûreté. Kliknął na nagłówek i przez przeraźliwie długą chwilę czekał, aż obrazek załaduje się na modemowym połączeniu.

Obrazek stopniowo pojawił się na ekranie.

– Rozmawiałem o Elle z innymi bezdomnymi – ciągnął Lemieux. – Nie są zbyt rozmowni, ale większość z nich ją pamiętało. Gdy zniknęła, były walki

o jej miejsce. Najwyraźniej było ono ekwiwalentem apartamentu w penthousie. Tuż nad jedną z krat nad ogrzewaniem metra. Dziwne, że z niego zrezygnowała.

– Naprawdę dziwne – wymamrotał Gamache, przyglądając się powoli załadowującemu się obrazkowi. Dopiero połowa się załadowała. – Dobra robota, Lemieux. Niech pan wraca.

– Tak jest.

Nadinspektor się uśmiechnął. Niemal mógł wyobrazić sobie radość na twarzy Lemieux.

Przez następne pięć minut wpatrywał się w ekran, przyglądając się ładującemu się obrazkowi. Pojawiał się powoli, centymetr za centymetrem. Kiedy w końcu załadował się cały, Gamache odchylił się w fotelu, złożył ręce na brzuchu i gapił się w ekran.

Nagle się opamiętał i spojrzał na zegar. Piąta trzydzieści pięć. Czas na spotkanie z panią koroner.

Gdy nadinspektor przyszedł, uśmiechając się i przepraszając za spóźnienie, doktor Sharon Harris właśnie usadowiła się w fotelu i zamówiła szklaneczkę dubonnet. Nadinspektor przysiadł się do niej, zamawiając to samo. Siedzieli przy oknie, spoglądając przez okna ze szprosami na zamarznięty staw i przystrojone świątecznie choinki. Za plecami słyszeli strzelający i szumiący kominek. Doktor Harris w roztargnieniu bawiła się dyskretną białą metką, zwisającą ze stolika. Spojrzała na nią. – Dwieście siedemdziesiąt dolarów.

– Mam nadzieję, że nie za dubonnet. – Gamache zatrzymał w pół drogi rękę niosącą kieliszek z nietkniętym aperitifem do ust.

– Nie – zaśmiała się. – Za stolik.

– *Santé*. – Upił łyk i uśmiechnął się. Zapomniał o tym. Całe wyposażenie bistro składało się z antyków, które kolekcjonował Olivier. I wszystko było na sprzedaż. Mógł dopić drinka i kupić kieliszek z rżniętego kryształu, w którym go podano. Kieliszek był śliczny. Gdy nadinspektor ujął go w dłoń i spojrzał przez szkło, kryształ uchwycił i odbił bursztynowe światło dochodzące z kominka, rozbijając je na kolorowe pasma. Jak bardzo ciepła tęcza. Albo czakry – pomyślał Gamache.

– Ciągłe chce się pani tutaj przeprowadzić? – zapytał ją, przysuwając się z powrotem do stolika i zauważając tęskne spojrzenie, jakie doktor rzuciła przez okno.

– Jeśliby się coś trafiło, to tak, ale wszystko, co się tu pojawia, natychmiast jest sprzedane.

– Dawny dom Hadleyów był na rynku jakiś rok temu.

– Tego akurat bym nie kupiła, choć przyznam, że patrzyłam na ofertę. Tanio. Praktycznie oddali go za darmo.

– Za ile poszedł?

– Nie pamiętam dokładnie, ale poniżej stu tysięcy.

– *C'est incroyable* – powiedział, biorąc garść nerkowców. Doktor Harris rozejrzała się po bistro, wypełnianym się klientami. – Nikt nie wygląda na szczególnie przejętego morderstwem. Nasza ofiara nie była specjalnie lubiana, co?

– Nie, wygląda, że nie. To ona właśnie kupiła dom Hadleyów.

– Aaach!

– Aaach? – zapytał.

– Ktokolwiek kupił ten dom, musiał być skrajnie dziwaczną osobą. Mnie nie podobały się nawet zdjęcia dołączone do oferty w Internecie.

– Ludzie mają różne gusta. – Uśmiechnął się.

– To prawda – zgodziła się. – Ale czy pan by to kupił?

– Ja nawet nie lubię tam wchodzić – odparł nadinspektor konspiracyjnym szeptem. – Dostaję gęziej skórki. Co pani ma dla mnie?

Doktor Harris pochylała się i wyciągnęła z teczek papierowy folder. Położyła go na stole i wzięła garść orzechów, odchyliła się w fotelu i znów spojrzała w okno, popijając drinka pomiędzy pogryzaniem solonych orzeszków.

Gamache założył swoje okulary do czytania w kształcie półksiężyców i spędził dziesięć minut, studiując raport, aż w końcu odłożył go i w zamyśleniu wypił łyk dubonneta.

– Niacyna – powiedział.

– Niacyna – przytaknęła Sharon Harris.

– Proszę mi o tym opowiedzieć.

– Z wyjątkiem stwierdzonej w organizmie niacyny, CC była zdrową, choć może nieco zbyt chudą czterdziestoosmioletnią kobietą. Urodziła dziecko. Zbliżała się do menopauzy. Wszystko to naturalne i w normie. Stopy zostały przypalone od porażenia prądem i znaleźliśmy pęcherze na dłoniach, których układ odpowiada rurkom na oparciu krzesła. Poniżej miała małe skaleczenie, ale to stara rana, już się goiła. Wszystko wskazuje na porażenie prądem, z jednym wyjątkiem. Tej niacyny.

Gamache pochylał się w przód, zdejmując okulary i stukając nimi lekko w papierową teczkę.

– Co to takiego?

– Witamina. Z grupy B. – Lekarka zbliżyła się także, rozmawiali pochyleni nad stolikiem. – Przepisuje się ją przy podwyższonym poziomie cholesterolu, niektórzy biorą ją też w przekonaniu, że poprawia sprawność intelektualną.

– A poprawia?

– Nie ma na to dowodów.

– Więc czemu ludzie tak myślą?

– Niacyna powoduje rumieniec na twarzy, więc pewnie niektórzy uważają, że to oznacza przyływ krwi do mózgu, a to już wiadomo, co musi oznaczać.

– Poprawę sprawności intelektualnej.

– Oczywiście, nie? – Potrząsnęła głową z dezaprobatą. – Zastanawiające, że tylko ludzie o niskiej sprawności intelektualnej dochodzą do takich wniosków. Normalna dawka to pięć miligramów. To dość, by w niewielkim stopniu podnieść ciśnienie krwi i przyspieszyć akcję serca. Jak mówiłam, lekarze często przepisują niacynę, ale jest też dostępna bez recepty. Nie sądzę, że można to przedawkować. Tak się składa, że stosuje się ją nawet jako suplement w płatkach śniadaniowych. Niacynę i tiaminę.

– Jeśli więc normalna dawka wynosi pięć miligramów, to ile zażyła CC?

– Dwadzieścia.

– Nieźle. Ekwiwalent mnóstwa płatków śniadaniowych.

– Czy Mlekołaki są na liście podejrzanych?

Gamache się roześmiał.

– Co by się jej mogło stać po zażyciu dwudziestu miligramów? – zapytał.

– Musiałaby dostać niezłego uderzenia gorąca. Podręcznikowego przypadku. Z poceniem się, zmianą koloru twarzy. – Doktor Harris zastanawiała się jeszcze przez chwilę. – Nie znam dobrze działania tej substancji, więc sprawdziłam w encyklopedii leków. Niacyna nie jest w żaden sposób niebezpieczna. Może wywołać nieprzyjemne objawy, ale nie jest groźna. Jeśli ktoś miał nadzieję ją tym zabić, źle się do tego zabrał.

– A ja myślę, że dobrze się do tego zabrał. Zabił CC, a niacyna odegrała w tym ważną rolę. CC została śmiertelnie porażona prądem, zgadza się?

Doktor Harris przytaknęła.

– A pani wie lepiej niż ktokolwiek, jak trudno tego dokonać.

Lekarka znów przytaknęła.

– Szczególnie w środku zimy. Musiała nie tylko dotknąć czegoś pod prądem, musiała też stać w kałuży, w butach z metalowymi podkówkami i...

Nie dokończył. Doktor Harris zastanowiła się nad tym przez moment. Próbowwała sobie wyobrazić całą sytuację. Kobieta stoi w kałuży przy krześle, wyciąga ręce...

– Bez rękawiczek. Musiała mieć gołe ręce. Tak tego dokonał. I pomyślałem, że poprosiła pani o wnikliwą analizę krwi na wypadek otrucia. Rękawiczki. Cały czas się zastanawiałem, dlaczego zdjęła rękawiczki? Dlaczego ktokolwiek na jej miejscu miałby to zrobić?

– Bo było jej gorąco – powiedziała doktor Harris. Uwielbiała swoją pracę, ale zazdrościła Gamache'owi i Beauvoirovi tego, że potrafili złożyć kawałki układanki w całość.

– Ktoś na śniadaniu podrzucił jej wystarczająco dużo niacyny, by sprowokować uderzenie gorąca. Ile to mogło potrwać? – zapytał Gamache.

– Jakieś dwadzieścia minut.

– To znaczy, że była na meczu curlingowym, kiedy to zaczęło działać. W pewnym momencie poczuła uderzenie gorąca i zdjęła rękawiczki, no i prawdopodobnie czapkę. Zobaczymy to jutro na zdjęciach.

– Na jakich zdjęciach?

– Na miejscu był fotograf. CC wynajęła go, żeby zrobił jej sesję w otoczeniu lokalnych śmiertelników. Jutro jego klisze dotrą do laboratorium.

– Dlaczego wynajęła fotografa?

– Była projektantką, taką pomniejszą Marthą Stewart. Właśnie wydała książkę i zastanawiała się nad publikacją magazynu. To do niego miały być zdjęcia.

– Nigdy o niej nie słyszałam.

– Podobnie jak większość ludzi. Ale najwyraźniej CC postrzegała siebie jako dynamiczną i skuteczną propagatorkę trendów. Podobnie jak Martha, w interesach chciała wznieść się ponad to, co reprezentował kolor na ścianie – w przypadku CC biel, tak na marginesie – i stworzyć całą filozofię życiową.

– Brzmi okropnie.

– Ja tego nie pojmuję – przyznał Gamache, moszcząc się wygodniej w fotelu.
– Nie mam pojęcia, czy jej kompletnie na mózg padło, czy to, co robiła, było nieomal szlachetne. Miała marzenie i walczyła, by je zrealizować, choćby po trupach wszystkich, którzy wątpili.

– Zgadza się pan z jej filozofią?

– Nie. Rozmawiałem nawet z kimś, kto opisał ją jako odpowiednik Frankensteina. Myślę, że to dość trafione. Tak się składa, że ta metafora powraca w ciągu tej całej sprawy. Ktoś inny wspomniał, że mieszkańcy świętują zagładę potwora, jak w historii Frankensteina.

– Frankenstein nie był potworem – przypomniała doktor Harris. – Był twórcą potwora.

Gdy to powiedziała, Gamache poczuł, jak w piersi coś go ściska. W tym coś się kryło. Coś, wokół czego krążył i tracił to coś z oczu przez cały czas śledztwa.

– Więc co teraz, *patron*? – zapytała.

– Dzięki informacji o niacynie posunęła pani nasze śledztwo znacznie do przodu. Dziękuję. Teraz podążamy za światłami samochodu.

– Co takiego?

– Zawsze myślę o śledztwie tak, jakby to była jazda stąd do Gaspé. Bardzo daleka droga i jej końca nie widać. Ale nie muszę widzieć, dokąd jadę. Muszę tylko rozświetlać drogę przed sobą i podążać za światłami samochodu. Prędzej czy później dojadę.

– Trochę jak Diogenes ze swoją lampą?

– Wręcz przeciwnie. On szukał uczciwego człowieka. Ja szukam mordercy.

– Proszę być ostrożnym. Morderca widzi, że szuka go ktoś z lampą.

– Ostatnie pytanie, pani doktor. Jak ktoś mógł podać CC niacynę?

– Rozpuszcza się w wodzie, choć jest dość gorzka. Prawdopodobnie smak kawy by to zamaskował. Albo sok pomarańczowy, jak sądzę.

– Herbata?

– To mniej prawdopodobne. Nie jest dość esencjonalna.

Harris zebrała swoje rzeczy i wyjęła kluczyki z kieszeni; skierowała je za okno i przycisnęła guziczek. Na zewnątrz rozbudził się samochód, rozbłysły

światła drogowe i zapewne włączyło się ogrzewanie, by rozgrzać zimne wnętrza. Z wynalazków ostatnich dwudziestu lat, zdaniem Gamache'a, najlepsze były ogrzewanie w fotelach samochodowych i automatyczny zapłon. Kiepsko się złożyło dla Richarda Lyona, że zamiast którejś z tych rzeczy wynalazł magnetyczne zapięcia do mundurów.

Gamache wyszedł za drzwi, ale gdy już miał się oddalić, coś mu się przypomniało.

– Co pani wie o Eleanor de Poitiers?

Doktor Harris przystanąła na moment.

– Nic. Kto to?

– A o królu Henryku II?

– Król Henryk II? Nie wierzę, że pyta mnie pan o zmarłego wieki temu brytyjskiego monarchę? Moim ulubionym był Ethelred Bezradny. Czy to wystarczy?

– Niezły ma pani repertuar.

– To katolickie szkoły. Przepraszam, nie mogłam się powstrzymać...

– Niacy na. – Gamache wskazał na stolik. – Uratowała mnie pani.

Harris poczuła niezwykle zadowolenie.

– O jeszcze jedno chciałem zapytać – powiedział Gamache, podając jej płaszcz. – Eleonora Akwitańska.

– O, to łatwe. *Lew w zimie*.

– Kochanie, możesz otworzyć drzwi?! Jestem w pracowni! – zawołała Clara. Nikt nie odpowiedział. – Nieważne! – dodała po tym, jak pukanie rozległo się po raz drugi. – Ja otworzę. Nie rób sobie kłopotu. Naprawdę. Nie mam nic przeciwko! – To ostatnie wykrzyzczała do zamkniętych drzwi pracowni męża. Była niemal pewna, że siedzi tam i gra w tetris.

Nieczęsto się zdarzało, by ktoś do nich pukał. Większość ich znajomych po prostu wchodziła do środka i częstowała się tym, co było w lodówce. Peter i Clara czasami wracali do domu i zastawali tam Ruth, śpiącą na sofie, ze szklaneczką szkockiej i egzemplarzem „Times Literary Review” na pufie stojącym obok. Raz zastali Gabriela w wannie. Najwyraźniej w pensjonacie odłączyli ciepłą wodę, więc stamtąd zdezerterował.

Clara otworzyła drzwi, spodziewając się lodowatego poddmuchu, ale nie była do końca zaskoczona, widząc nadinspektora Gamache'a – mimo że w głębi ducha miała cień nadziei, że być może to główny kurator z MoMA przyjechał, by obejrzyć jej prace.

– Proszę do środka. – Przesunęła się, by Gamache mógł wejść, i szybko zamknęła za nim drzwi.

– Nie zajmę pani dużo czasu. – Skłonił się lekko, a ona odwzajemniła ukłon, myśląc, że może powinna leciutko dygnąć.

– Czy ma pani magnetowid?

Tego pytania Clara kompletnie się nie spodziewała.

Nadinspektor rozpiął kurtkę i wyjął kasetę wideo, rozgrzaną ciepłem jego ciała.

– *Lew w zimie?* – Clara spojrzała na pudełko.

– *Précisément.* Bardzo chciałbym to obejrzyć, najszybciej jak się da.

Gamache wyglądał na kompletnie spokojnego i zrelaksowanego, ale Clara знаła go wystarczająco długo, by wiedzieć, że to nie jest ot taka sobie prośba albo plan na przyjemne spędzenie cichego zimowego wieczoru na prowincji.

– Mamy magnetowid. Ale Ruth i Myrna przychodzą na kolację.

– Nie chciałbym przeszkadzać.

– Och, nie przeszkadza pan! – Clara uściśnęła jego rękę i zaprowadziła do ciepłej, przyjaznej kuchni. – Zawsze jest dość miejsca dla gościa, gdyby się nagle zjawił, ale chcę się upewnić, że nie będzie pan miał nic przeciwko towarzystwu. Specjalnością Petera są okrawki z indyka z warzywami. To danie wygląda okropnie, ale smakuje bajecznie.

Po chwili Peter wyszedł ze swojej pracowni i przyszła reszta gości; Myrna obejmowała wszystkich swymi przyjaznymi ramionami, a Ruth zaraz poszła w stronę barku.

– Bogu dzięki – powiedziała Ruth, dowiedziawszy się, że nadinspektor chce obejrzyć film na wideo. – A już się bałam, że znowu trzeba się będzie zmuszać do rozmowy przez cały wieczór.

Clara przygotowała koszyki z obiadem dla Richarda i Crie, a Myrna zgłosiła się na ochotnika, że je zanieśnie.

– Mogę panią podwieźć? – zaoferował Gamache.

– To tylko kawałek. Poza tym jeśli się trochę przejdę, będę miała powód, żeby zjeść dokładkę – odmówiła z uśmiechem Myrna i owinęła szyję olbrzymią kolorową chustą, aż wyglądała jak beduin w wyjątkowo kiepską pogodę.

– Czy może pani zobaczyć, jak się miewa Crie, kiedy tam pani dotrze? – zapytał nadinspektor, ścisząc głos. – Martwię się o nią.

– O co panu chodzi? – zapytała Myrna, a jej zwykle jowialna twarz nabrała wyrazu troski i zastanowienia. – To naturalne, że dziecko, które niedawno było świadkiem morderstwa własnej matki, będzie przez jakiś czas nienormalne.

– To prawda, ale wydaje mi się, że w tym wypadku to coś więcej. Może pani na nią spojrzeć?

Myrna zgodziła się i ruszyła w drogę.

Na pasie szybkiego ruchu autostrady z Montrealu do Kantonów Wschodnich Yvette Nichol niemal wjechała w samochód przed sobą. Jej zderzak był ledwie kilka centymetrów od tamtego auta. Ten kierowca za moment to zauważy.

Czy da po hamulcach? Jeśli choćby ich dotknie, w ciągu sekundy oba samochody wypadną z szosy z prędkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę i w kilka sekund zmienią się w kulę ognia. Nichol kurczowo zaciskała ręce na kierownicy, a jej oczy pałały skupieniem i furią. Jak tamten śmie ją spowalniać? Jak śmie zajmować jej pas? Dlaczego nie zjedzie jej z drogi? Co za ślamazarny dureń! Ale ona mu pokaże, tak jak każdemu, kto jej wchodzi w drogę. Furia czyniła ją niezwyciężoną. Ale to nie tylko to.

To była frajda.

Wystraszy tamtego kierowcę na śmierć.

– Czytałem pani książkę – powiedział Gamache do Ruth, kiedy siedzieli we dwójkę przed wesoło płonącym kominkiem, podczas gdy Peter krzątał się po kuchni, a Clara przeglądała regały w poszukiwaniu czegoś do czytania.

Ruth zrobiła taką minę, jakby wolała mieć do czynienia z wrzącym olejem niż z komplementem. Zdecydowała się zignorować go i upiła spory łyk szkockiej.

– Moja żona ma do pani pytanie.

– Pańska żona? Ktoś się zgodził wyjść za pana?

– Owszem, i stało się to, kiedy była tylko na bardzo lekkim rauszu. Chciała wiedzieć, co oznacza „SUPER” w tytule.

– Nie jestem specjalnie zaskoczona, że pańska żona nie wie, co to znaczy „super”. Prawdopodobnie nie zna też znaczenia takich terminów jak „szczęście” lub „zdrowie psychiczne”.

– Jest bibliotekarką i zwróciła uwagę, że jeśli ludzie posługują się wielkimi literami, na ogół traktują tworzone przez nie słowo jako skrótowiec. Pani tytuł brzmi *Jestem SUPER*, a SUPER napisane jest wielkimi literami.

– Cwana jest ta pana żona. Ona pierwsza to zauważyła, a przynajmniej zapytała jako pierwsza. SUPER to skrót od Samolubna, Ułomna, Popieprzona, Egotyczna, Rozchwiana.

– Wszystko się zgadza – przyznał.

Robert Lemieux zjechał z pasa szybkiego ruchu, pozwalając, by maniak, który gnał za nim zderzak w zderzak z szybkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę, go wyprzedził. Jeśli byłby w nastroju, postawiłby policyjnego „koguta” na dachu i ścigał tego psychopatę na sygnale, ale tym razem zajął się innymi sprawami. Miał pewność, że dobrze się spisał w Montrealu. Przekonał policyjnego rysownika, by sporządził szkic. Był na dworcu autobusowym i w Old Brewery Mission. Udało mu się posunąć sprawę Elle do przodu, czego Gamache najwyraźniej wolał nie rozgłaszać. Lemieux odnotował to w swoim notatniku.

Osiągnął to, czego pragnął i potrzebował. Był niemal pewien, że nadinspektor mu ufał. A to było kluczowe. Wiele zależało od pozyskania jego zaufania.

– Jediną osobą, która się przemieszczała podczas meczu curlingowego, był ten fotograf – powiedziała Myrna w kilka minut później. Jak tylko wróciła, Peter i Clara postawili półmiski na stole, by wszyscy mogli się częstować. Gamache na moment przysiadł się do Myrny; gdy zapytał ją o to, przyznała, że z Crie jest bardzo nie w porządku. Umówili się, że spotkają się nazajutrz, by o tym porozmawiać.

Kolacja stała na rozkładanych stolikach w salonie. Clara miała rację. Danie

wyglądało jak coś, co znaleziono po świętach na dnie właśnie odsąconego kuchennego zlewu. Ale smakowało fantastycznie. Ziemniaki purée, pieczony indyk, sos z mięsa i groszek, wszystko ugniecione razem w naczyniu do zapiekania. Do tego był świeży chleb i zielona sałata, podana w oddzielnych miseczkach na stoliku kawowym. Lucy krążyła po pokoju jak głodny rekin.

– Fotografa było wszędzie pełno – zgodziła się Clara, biorąc pajdę chleba i smarując ją masłem. – Ale fotografował wyłącznie CC.

– Do tego go zatrudniono. Gdzie wy byliście? – Popił łyk czerwonego wina i przysłuchiwał się, podczas gdy pozostali mówili.

– Ja na trybunie, koło Oliviera – powiedziała Ruth.

– Ja siedziałam pomiędzy Myrną a Olivierem – rzekła Clara. – A Peter grał w curling.

– Obok mnie stał Richard Lyon – poinformowała Myrna.

– Cały czas tam był? – zapytał Gamache.

– Na pewno. Zauważyłabym, gdyby odszedł. Byłoby mi zimno z jednej strony. Ale co z Kaye Thompson? – Myrna popatrzyła na resztę obecnych. – Siedziała tuż obok CC. Musiała coś widzieć.

Wszyscy pokiwali głowami i popatrzyli wyczekująco na Gamache'a, który potrząsnął głową.

– Rozmawiałem z nią dzisiaj. Mówi, że nic nie widziała. Zorientowała się, że coś jest nie tak dopiero, gdy CC zaczęła krzyczeć.

– Ja tego nie słyszałam – powiedziała Ruth.

– Nikt nie słyszał – odparł. – Hałas, jaki robiła Matka, oczyszczając dom, zagłuszył krzyk CC.

– Och, faktycznie – potwierdził Peter. – Wszyscy wiwatowali.

– A co z Crie? – zapytał nadinspektor. – Czy ktoś ją zauważył?

Odpowiedziały mu przeczące spojrzenia.

Po raz kolejny odnotował z głębokim bólem, jak przykro musiało być Crie. Dziewczynka zawsze tłumiała wszystkie swoje uczucia, ból. Przy całym swym ogromnym ciężarze była niewidoczna. Nikt jej nie zauważał. Być niezauważanym, jak wiedział Gamache, to najgorsze, co się może komukolwiek zdarzyć.

– Ma pani Biblię? – zapytał Clarę. – Stary Testament, jeśli można. Po angielsku.

Podeszli do regału i po chwili Clara znalazła Biblię.

– Czy mogę ją zatrzymać do jutra?

– Choćby do przyszłego roku, jeśli pan chce. Już nawet nie pamiętam, kiedy ostatnio czytałam Stary Testament – odpowiedziała Clara.

– Ostatnio? – zapytał Peter.

– Albo w ogóle – przyznała Clara ze śmiechem.

– Chce pan teraz obejrzeć film? – zapytał Peter.

– Bardzo – odparł Gamache.

Peter wyciągnął rękę, by wziąć kasetę ze stołu w salonie, ale nadinspektor go powstrzymał.

– Ja to zrobię, jeśli można. – Gamache ujął pudełko przez chusteczkę i wysunął z niego kasetę. Wszyscy to zauważyli, ale nikt nie zapytał, a on nie zamierzał informować ich bez pytania, że ta taśma została wyciągnięta ze śmietnika należącego do martwej kobiety.

– O czym to jest? – zapytała Myrna.

– O Eleonorze Akwitańskiej i jej mężu, królu Henryku – odpowiedziała Ruth. Gamache zwrócił się ku niej zaskoczony.

– No co? To świetny film. Z Katharine Hepburn i Peterem O’Toole’em. I dzieje się w święta Bożego Narodzenia, jeśli dobrze pamiętam. A u nas też święta.

Gamache pomyślał, że w tej sprawie było wiele dziwaczności.

Przeleciały napisy początkowe, zaryczał lew z czołówki Metro-Goldwyn-Mayer, a salon wypełniła nastrojowa gotycka muzyka; pojawiły się groteskowe obrazy maszkaronów. Ekran już emanował potęgą i dekadencją.

Oraz grozą.

Zaczął się *Lew w zimie*.

Samochód agentki Nichol wpadł w lekki poślizg na zaśnieżonym zakręcie, ledwie zdążając skręcić z głównej szosy w maleńką, boczną drogę prowadzącą do Three Pines. Gamache nie zaprosił jej, żeby zatrzymała się wraz z nimi

w pensjonacie, ale i tak zamierzała to zrobić, nawet jeśli jej przyszło zapłacić z własnej kieszeni. Podczas pobytu w Montrealu Nichol najpierw pojechała przesłuchać dyrektorkę snobistycznej prywatnej szkoły, do której chodziła Crie, po czym udała się do domu po walizkę, z krótkim postojem na posiłek z bliższą i dalszą rodziną zgromadzoną w maleńkim, dziwacznym domku.

Jej ojciec zawsze się denerwował przy takich okazjach i przykazywał córkom, by nigdy nie wspominały o rodzinnej historii z Czechosłowacji. Dorastając w niepokalanie czystym domku na wschodnich przedmieściach Montrealu, Nichol oglądała korowody dalekich krewnych i znajomych znajomych, którzy zatrzymywali się u nich – był to nie tyle korowód, ile procesja. Włazili przez drzwi, cali w czerni, z surowymi, kamiennymi obliczami, używali słów, których nie rozumiała, i przyciągali do siebie całą uwagę, jaką otoczenie było w stanie zaoferować. Nieustannie domagali się czegoś, jęczeli i narzekali. Przyjeżdżali z Polski, Litwy, Węgier; mała Yvette słuchała ich i była przekonana, że każda z tych osób mówi swoim własnym językiem. Kręcąc się w pobliżu drzwi ich maleńkiego, zatłoczonego, pełnego chaosu salonu – pomieszczenia, które niegdyś było tak przyjemne i spokojne – mała Yvette z wysiłkiem próbowała zrozumieć, o czym rozmawiają dorośli. Przybysze z początku mówili do niej uprzejmie, ale gdy ona nie reagowała, podnosili głos, a w końcu krzyczeli na nią. Matka Yvette, zazwyczaj dobra i uprzejma, także się niecierpliwiła i pokrzykiwała na córkę, ale przynajmniej w języku, który Yvette rozumiała. Mała Yvette Nikolev stała się cudzoziemką. Przez całe życie była gdzieś obok, na zewnątrz. Ze wszystkich sił próbowała się dopasować do innych, ale jej to nie wychodziło; nawet własna matka brała stronę obcych.

To wtedy właśnie zaczęła się martwić. Jeśli jej własny dom był tak niezrozumiały i przytłaczający, to co czekało na zewnątrz? Co, jeśli nikt nie będzie jej rozumiał? Co, jeśli coś się stanie, a ona nie będzie w stanie pojąć instrukcji, co robić? Co, jeśli będzie czegoś potrzebować? Kto jej to zapewni? Tak to Yvette Nichol nauczyła się brać sobie wszystko sama.

– To co, znów pracujesz z Gamache’em? – spytał ojciec.

– Tak jest. – Yvette uśmiechnęła się do niego. Gdy była dzieckiem, tylko ojciec się za nią ujmował. On jeden chronił ją przed tymi najeźdźcami. Chwytał jej spojrzenie, machał, by podeszła, i dawał jej mlecznego karmelka, owiniętego

w szeleszczący głośno celofan. Mówił jej, żeby schowała się gdzieś, by go odpakować. Z dala od wścibskich i zazdrosnych oczu. To była ich tajemnica. To od ojca nauczyła się o znaczeniu i niezbędności tajemnic.

– Nie wolno ci opowiadać im o Czechosłowacji. Obiecuj mi, że tego nie zrobisz. W Sûreté nie zrozumieją. Chcą mieć tam samych pełnej krwi obywateli Quebecu. Jeśli się dowiedzą, że jesteś Czeszką, to cię wyrzucą. Tak jak wuja Saula.

Na samą myśl, że mogłaby zostać porównana do głupiego wuja Saula, robiło jej się niedobrze. Durny wuj Saul Nikolev, który wyleciał z czeskiej policji, który nie był w stanie ochronić własnej rodziny. To przez niego wszyscy zginęli. Poza jej ojcem, Ari Nikolevem, matką oraz kilkoma wiecznie niezadowolonymi, zgorzkniałymi krewnymi, którzy używali ich domu jak latryny, zrzucając swoje gówno na ich młodą rodzinę.

W malutkiej, uporządkowanej tylnej sypialni Ari Nikolev przyglądał się, jak córka pakuje do walizki najbrzydsze, najbardziej nietwarzowe ubrania, jakie miała w szafie. To on tak zasugerował.

– Już ja znam facetów – powiedział, gdy zaprotestowała.

– Ale w tych ubraniach nie będę się podobać mężczyznom. – Dziabnęła palcem stos ciuchów. – Sądziłam, że chcesz, by Gamache mnie polubił.

– Ale nie aż tak, by się z tobą umawiać. Wierz mi, w takim stroju też cię będzie lubił.

Gdy odwróciła się, by wziąć kosmetyczkę, ojciec wrzucił jej do walizki kilka mlecznych karmelków, żeby znalazła je wieczorem. I żeby pomyślała o nim. Jeśli się dobrze złoży, może także po to, by uznała, że i on miał swoją małą tajemnicę.

Nie było żadnego wuja Saula. Komuniści nikogo nie zamordowali. Nie było żadnej szlachetnej i odważnej ucieczki za granicę. Ari zmyślił to wszystko wiele lat temu, żeby zamknąć usta krewnym żony, nieustannie biwakującym u nich w domu. To była jego tratwa ratunkowa, zbudowana ze słów; utrzymywała go na powierzchni morza cierpienia i niedostatku. Najprawdziwszych cierpień. Nawet on był skłonny to przyznać. Ale potrzebne mu były historie o bohaterstwie i przetrwaniu.

Tak więc spłodziwszy Angelinę, a po niej Yvette, Ari powołał do życia

nieistniejącego wuja Saula. Jego zadaniem było uratować rodzinę i nie sprostał temu zadaniu. Spektakularna klęska Saula kosztowała Ariego życie całej zmyślonej rodziny.

Wiedział, że powinien powiedzieć Yvette prawdę. Rozumiał, że to, co dla niego było na początku tratwą ratunkową, dla jego córeczki stało się fundamentem całego świata. Ale Yvette uwielbiała go bezkrytycznie, a Ari Nikolev chciał zawsze oglądać w jej szarych oczach to uwielbienie.

– Będę codziennie dzwonił – powiedział, podnosząc jej lekką walizkę z łóżka. – Musimy się trzymać razem. – Uśmiechnął się i przechylił głowę w bok, nasłuchując kakofonii dźwięków, dochodzących z salonu, gdzie krewni przekrzykiwali się w dyskusjach na tematy, na które żaden z nich nigdy nie zmieniał zdania. – Jestem dumny z ciebie, Yvette, i wiem, że świetnie sobie poradzisz. Bo musisz.

– Tak jest.

Nikt z krewnych nawet pieprzonej głowy nie podniósł, gdy wychodziła w towarzystwie ojca, który zaniósł jej walizkę i włożył do bagażnika. – Jakbyś miała stłuczkę, nie uderzy cię w głowę – wyjaśnił. Po czym ucisnął córkę i szepnął jej do ucha: – Tylko nic nie spieprz.

Teraz Yvette dojeżdżała do Three Pines. U szczytu ulicy du Moulin zwolniła; samochód lekko podskakiwał na śliskiej drodze. Poniżej iskrzyło się miasteczko: światełka wysokich choinek odbijały się czerwono, zielono i niebiesko na śniegu i lodzie, połyskując jak gigantyczny witraż. Nichol widziała sylwetki ludzi przesuujące się za oknami sklepów i domów.

W piersi narastało jej jakieś uczucie. Czyżby niepokój? Może niechęć, że musiała opuścić własny, ciepły dom, by tu przyjechać? Nie. Przez chwilę Nichol siedziała w samochodzie, czując, jak ramiona powoli opadają, rozluźniając się, a oddech się wyrównuje. Próbowwała zidentyfikować to dziwaczne uczucie. Wtem, ściągając brwi i wyglądając przez szybę na pogodne miasteczko, nagle uświadomiła sobie, co czuje.

Ulgę. To była ulga. Czy to tak jest, gdy sobie człowiek odpuści, pozwoli rozluźnić?

Jej komórka zadzwoniła. Yvette zawahała się, widząc, kto dzwoni, nie chcąc

rozstawać się ze swoją ostatnią myślą.

– *Oui, bonjour*. Tak jest, jestem w Three Pines. Będę miła, pozyskam sobie jego względy. Wiem, jakie to ważne. Nie narozrabiam – odpowiedziała na jego ostrzeżenie.

Rozłączyła się i zdjęła stopę z hamulca. Auto ześlizgnęło się ku miasteczku i zatrzymało przed budynkiem pensjonatu.

Eleonora i Henryk walczyli ze sobą co sił. Ich skłócenie synowie zwracali się przeciwko sobie nawzajem i przeciw rodzicom. Każda z postaci niemal eksplodowała, wyrzucając chmury odłamków w kierunku pozostałych. Historia była druzgocząca i genialna. Gdy film się skończył i Gamache spojrzał w dół, zauważył, że jego talerz jest pusty. Nie przypominał sobie, żeby jadł. Nie przypominał sobie nawet, żeby oddychał.

Pomyślał, że gdyby miał wybór w tej kwestii, Eleonora i Henryk byłiby ostatnimi ludźmi na ziemi, których chciałby mieć za rodziców. Nadinspektor siedział, wpatrując się w napisy końcowe, i zastanawiał się, co mu umknęło, bo bez wątpienia coś przeoczył. Istniał powód, dla którego CC miała tę taśmę, jak również przyczyna, dla której przybrała nazwisko de Poitiers. Z jakiegoś względu wyrzuciła znakomicie działającą kasetę wideo. Znaleźli ten film w śmietniku. Dlaczego?

– Może kupiła DVD – zasugerowała Clara, gdy nadinspektor zapytał pozostałych zgromadzonych, czy mają jakieś teorie na ten temat. – My powoli wymieniamy filmy z naszej kolekcji na DVD. Wszystkie ulubione filmy Petera w pewnym momencie nie dają się już oglądać, bo on przewija wybrane sceny i ogląda je w kółko.

– Dobry wieczór wszystkim! – Z kuchni zabrzmiał wesoły głos Gabriego. – Słyszałem, że macie dziś wieczór filmowy. Spóźniłem się?

– Film się właśnie skończył – powiedział Peter. – Przykro mi, stary.

– Nie mogłem się urwać wcześniej, musiałem doglądać chorych.

– Jak się ma inspektor Beauvoir? – zapytał Gamache, wchodząc do kuchni.

– Ciągłe śpi. Ma grypę – wyjaśnił Gabri reszcie gości. – Czy ja mam gorączkę? Mam nadzieję, że się nie zaraziłem. – Podstawił czoło Peterowi, który go zignorował.

– Cóż, nawet, jeśli wirus przeskoczył na ciebie, nic ci nie grozi – skomentowała Ruth. – Marne szanse na to, żeby Gabri dostał ludzkiej grypy.

– Suka.

– Wywłok.

– Kto się zajmuje inspektorem? – zapytał Gamache, zastanawiając się, czy aby nie powinien wracać do pensjonatu.

– Yvette Nichol się zjawiała i wynajęła pokój. Zapłaciła za niego sama, pozwijanymi w ruloniki banknotami. Ale powiedziała, że się nim zaopiekuje.

Gamache miał nadzieję, że Beauvoir jest nieprzytomny.

Beauvoirovi śnił się koszmar. W gorączce wydawało mu się, że jest w łóżku z agentką Nichol. Znowu było mu niedobrze.

– Proszę. – Usłyszał kobiecy głos, dość przyjemny.

Jakimś sposobem kubek na papiery znalazł się tuż pod brodą. Inspektor pochylił się nad nim, ale w żołądku nie zostało mu już nic, co mógłby zwrócić.

Opadając z powrotem w wilgotną pościel, miał dziwaczne wrażenie, że na czole położono mu chłodny ręcznik i ktoś otarł mu usta.

Jean Guy Beauvoir zapadł z powrotem w niespokojny sen.

– Przyniosłem deser. – Gabri wskazał tekturowe pudełko na kuchennym blacie. – Ciasto czekoladowe.

– Wiesz co, chyba zacznam cię lubić – powiedziała Ruth.

– Nie ma to jak znajomy gej. – Gabri się uśmiechnął i zaczął rozpakowywać ciasto.

– Zrobię kawy – zaofiarowała się Myrna.

Gamache zebrał talerze i nalał ciepłej wody do zlewu, żeby pozmywać. Szorował naczynia i podawał je Clarze do wytarcia, jednocześnie wyglądając za pokryte mroźnym szronem okno na światła Three Pines, i rozmyślał o filmie. *Lew w zimie*. Analizował postacie, fabułę, najbardziej druzgoczące riposty wymieniane przez Eleonorę i Henryka. To był film o tym, jak władza i miłość mogą się wypaczyć i zmarnować.

Dlaczego jednak było to takie ważne dla CC? I czy było ważne dla sprawy?

– Kawa będzie za parę minut – oznajmiła Clara, rozwieszając wilgotną ścierkę na oparciu krzesła.

Pokój już wypełniała intensywna woń świeżo zaparzonej kawy i gęstej czekolady.

– Czy może mi pani pokazać swoją pracownię? – poprosił Gamache Clare, mając nadzieję, że zaprowadzi go to wystarczająco daleko od ciasta, by mógł oprzeć się pokusie wetknięcia w nie palca. – Właśnie sobie uświadomiłem, że nigdy nie widziałem pani prac.

Oboje przewędrowali przez kuchnię w stronę otwartych drzwi do pracowni Clary. Drzwi do mieszczącej się obok pracowni Petera były zamknięte.

– To na wypadek, gdyby muza próbowała uciec – wyjaśniła, a nadinspektor przytaknął z miną mędrca. Wszedł do dużego, zagraconego studio Clary i rozejrzał się wokół.

Po całym pomieszczeniu porozkładane były brezentowe płachty; we wnętrzu unosił się przyjemny zapach farb olejnych, akryli i płótna. W jednym kącie, obok starego, wytartego fotela sterty magazynów o sztuce tworzyły stolik, na którym stał brudny kubek po kawie. Nadinspektor odwrócił się niespiesznie, zatrzymując przy ścianie, na której wisiały trzy obrazy.

Zbliżył się do nich.

– To Kaye Thompson – powiedział.

– Brawo! – odpowiedziała Clara. – A to Matka. – Wskazała pracę obok. – Jakiś czas temu sprzedałam portret Émilie doktor Harris, ale proszę spojrzeć tutaj. – Wyciągnęła rękę w stronę olbrzymiego płótna przy sąsiedniej ścianie. – Tu są wszystkie trzy.

Gamache patrzył na obraz przedstawiający trzy stare kobiety, splecione ramionami, tulące się do siebie. To dzieło było niesamowicie złożone, składały się na nie warstwy fotograficzne, malarskie, a nawet tekst. Em, stojąca pośrodku, odchyliła się energicznie, śmiejąc się ze wszystkich sił; pozostała dwójka wspierała ją i także się śmiała. Ten intymny portret podkreślał poczucie łączności pomiędzy tymi kobietami, ich przyjaźń i współzależność. Był jak pieśń o miłości i trosce, dużo głębszej niż ta, z której wywodzą się sympatyczne wspólne kolacje i pamięć o urodzinach. Nadinspektor odniósł wrażenie, jakby zaglądał w duszę każdej z nich, zaś połączenie wszystkich trzech wydawało się

zbyt intensywne.

– Zatyłowałam to *Trzy Gracje*.

– Idealny tytuł – wyszeptał.

– Matka jest Wiarą, Em nadzieją, a Kaye Miłością. Miałam dosyć tego, że trzy Gracje zawsze są portretowane jako młode, atrakcyjne dziewczyny. Myślę, że mądrość przychodzi z wiekiem, z doświadczeniem i cierpieniem. Tak ludzie się uczą, co naprawdę ma znaczenie.

– Czy ta praca jest ukończona? Wygląda, jakby było tu miejsce na jeszcze jedną postać.

– Bardzo pan spostrzegawczy. Tak, to jest skończone, ale we wszystkich moich pracach zostawiam puste miejsce, pewnego rodzaju szczelinę.

– Dlaczego?

– Czy może pan odczytać napis na ścianie za nimi? – Clara skinęła w kierunku płótna.

Gamache pochylił się i założył okulary do czytania.

Więc uderz w dzwon, co wciąż ma ton

O ideałach nie wspominaj

We wszystkim zawsze jest szczelina

I światło wpada właśnie stąd^[19].

Przeczytał tekst na głos.

– Piękne. Czy to madame Zardo?

– Nie, Leonard Cohen. Wszystkie moje prace to swego rodzaju naczynia. Pojemniki na coś. Czasami komunikuję to przez pustą przestrzeń, niekiedy za pośrednictwem czegoś bardziej oczywistego. W *Trzech Gracjach* to bardziej oczywiste.

Dla Gamache'a nie było oczywiste. Odsunął się od obrazu – i wtedy dostrzegł, co miała na myśli Clara. Ciała kobiet układały się w kształt naczynia, wazy, a przestrzeń, którą dostrzegł, była szczeliną, przez którą wsączało się światło.

– Robię to dla Petera – powiedziała Clara cicho.

Z początku nadinspektor uznał, że się przesłyszał, ale ona mówiła dalej, jak gdyby sama do siebie.

– On jest jak pies, jak Lucy. Nieprawdopodobnie lojalny. Wszystko, co ma, inwestuje w jedną rzecz. W jedną pasję, jedno hobby, jedną przyjaźń, jedną miłość. Ja jestem jego miłością i przeraża mnie to. – Odwróciła się i popatrzyła w mądre, brązowe oczy Gamache’a. – Peter wlał we mnie całą swoją miłość. Jestem jego naczyniem. Ale co, jeśli pęknę? Albo stłukę się? Umrę? Co on wtedy zrobi?

– Więc cała pani sztuka jest studium tego tematu?

– Większość z moich prac jest o niedoskonałości i nietrwałości. We wszystkim zawsze jest szczelina.

– „I światło wpada właśnie stąd” – dodał. Pomyślał o CC, która tyle pisała o świetle, oświeceniu, iluminacji i przekonana była, że wypływają one z perfekcji. Mimo to nie mogła się równać z tą mądrą kobietą, która stała teraz obok niego.

– Peter tego nie rozumie. Pewnie nigdy nie załapie.

– Malowała pani kiedyś Ruth?

– Czemu pan pyta?

– No cóż, szczerze mówiąc, jeśli w kimkolwiek jest szczelina... – Gamache roześmiał się, Clara także.

– Nie, ale wie pan dlaczego? Boję się. Myślę, że mogłaby być moim największym dziełem i dlatego boję się spróbować.

– Z obawy przed tym, że nie da pani sobie z tym rady?

– Strzał w dziesiątkę. Poza tym w Ruth jest coś przerażającego. Chyba nie chcę się zagłębiać w nią aż tak bardzo.

– Kiedyś to pani robi – powiedział, a Clara mu uwierzyła.

Nadinspektor spojrział na nią w milczeniu spokojnymi, pogodnymi brązowymi oczami. Domyślała się, że widział wszelkie możliwe okropności. Zamordowane i okaleczone kobiety, dzieci, mężczyzn. Z pewnością często spotykał się z gwałtowną śmiercią. Popatrzyła na jego dłonie, duże i ekspresyjne, i uznała, że musiał robić różne straszne rzeczy: dotykać ciał przedwcześnie umarłych ludzi, walczyć o swoje. Jednak może najstraszniejsze było pukanie do drzwi ludzi, którzy kochali tych utraconych, by dostarczyć im

wiadomość, by złamać im serce.

Gamache podszedł do następnej ściany i zobaczył najbardziej niesamowite prace Clary. W tych „naczyniami” były drzewa. Namalowała je jako strzeliste i rosochate, dorodne i dojrzałe. Co więcej, ich kształty roztopiały się, jak gdyby ich własny, wewnętrzny żar okazał się dla nich zbyt intensywny. Były świetliste – dosłownie – o barwach mlecznych jak Wenecja o brzasku – ciepłych, rozmytych, szlachetnych.

– To fantastyczne! Te drzewa emanują światłem – zwrócił się ku niej zdumiony i zachwycony, jak gdyby zobaczył tę kobietę po raz pierwszy w życiu. Wiedział, że Clara miała niebywałą intuicję, odwagę i współczucie dla innych. Nie przypuszczał jednak, że była aż tak utalentowana. – Czy ktoś jeszcze widział te prace?

– Dałam portfolio CC tuż przed świętami. Przyjaźniła się z Denisem Fortinem.

– Właścicielem galerii – powiedział Gamache.

– Najlepszym w Quebecu, a może i w całej Kanadzie. Ma kontakty w Musée d’Art Contemporain oraz w nowojorskim Museum of Modern Art. Jeśli spodobają mu się czyjeś prace, ten artysta ma gwarantowany sukces.

– To fantastycznie.

– Nie do końca. Uważał, że moje prace są beznadziejne. – Odwróciła się, bo nie mogła patrzeć nikomu w oczy, gdy przyznawała się do porażki. – Tak się złożyło, że CC i Fortin byli w Ogilvy, kiedy przyszedłam tam na promocję książki Ruth. Minęliśmy się na ruchomych schodach. Ja jechałam w górę, oni w dół. Słyszałam, jak CC mówiła do niego, że to wielka szkoda, że uważa moje prace za amatorskie i banalne.

– On tak powiedział? – zdziwił się Gamache.

– No, on nie, ale ona tak. Powtarzała coś, co on powiedział, a Fortin nie zaprzeczył. W tym momencie się minęliśmy, a ja zaraz stamtąd wybiegłam. Bogu dzięki, że natrafiłam na żebraczkę.

– Jaką żebraczkę?

Czy powinna mu to opowiedzieć? I tak już czuła się, jakby ją wychłostano i odarto ze skóry, nie zdołałaby bardziej się obnażyć, nawet przed tym człowiekiem, który jej uważnie słuchał. Miała mu wyznać, że uważała, iż

zebraczka była Bogiem?

Czy ciągle w to wierzyła?

Zatrzymała się na chwilę, żeby się zastanowić. Tak – nadeszła jasna i prosta odpowiedź. Tak, ciągle wierzyła, że spotkała Boga na zimnych, ciemnych, błogosławionych ulicach Montrealu w święta Bożego Narodzenia. Mimo to uznała, że wystarczająco się na dzisiaj skompromitowała.

– Och, nic takiego. Dałam jej kawę, żeby się lepiej poczuć. Tak się powinno robić, prawda?

Owszem, na dobrych i wrażliwych ludzi to tak działa, ale nie na wszystkich – pomyślał nadinspektor. Zgadywał, że Clara czegoś mu nie mówi, ale zdecydował się nie naciskać. Poza tym to w żaden sposób nie wiązało się ze śledztwem, a Armand Gamache nie miał serca wchodzić w czyjeś życie z butami tylko dlatego, że mógł.

– Czy CC wiedziała, że pani tam była, gdy to powiedziała?

Clara udawała, że się zastanawia, ale już znała odpowiedź – od momentu, gdy zauważyła CC na ruchomych schodach.

– Tak, wymieniliśmy przelotne spojrzenie. Wiedziała.

– To musiało być druzgoczące dla pani.

– O mało mi serce nie pękło. Wierzyłam, że moje prace spodobają się Fortinowi. Nigdy mi przez myśl nie przyszło, że może być inaczej. To wszystko moja wina, żyłam w świecie fantazji.

– To nie pani wina, że czuje ból, kiedy ktoś wbija w panią nóż. – Spojrzał na jej twarz i na dłonie, zwinięte w pięści, ze zbieleńcami kostkami; oddychała tak ciężko, jak gdyby musiała wtłaczać w siebie powietrze. Wiedział, że Clara Morrow to osoba uprzejma, dobra i tolerancyjna. Jeśli CC de Poitiers była w stanie doprowadzić ją do takiej reakcji, co musiała wyczyniać z innymi?

Gamache dodał Clarę do długiej listy podejrzanych. Co skrywała głęboko, nawet przed nim i przed sobą? Co mignęło mu w tym jej milczeniu kilka sekund temu?

– Deser! – Gabri wetknął głowę do pracowni przez uchylone drzwi.

– Jak pan myśli, kto zabił CC? – zapytała Myrna, oblizując swój widelczyk i popijając łyk mocnej, czarnej kawy. Od połączenia świeżo zmielonej i zaparzonej kawy z kremem czekoladowym Myrnie niemal zakręciło się w głowie.

– Najpierw muszę dowiedzieć się, kim była CC – przyznał Gamache. – Uważam, że morderca kryje się gdzieś w jej przeszłości – oznajmił i opowiedział zgromadzonym, co wiedział o CC i jej wymyślonym świecie. Jak starodawny gawędziarz ciągnął opowieść spokojnym, głębokim głosem, a zgromadzeni w kręgu biesiadnicy słuchali, z twarzami oświetlonymi bursztynowym blaskiem bijącym z kominka. Jedli ciasto i popijali kawę, a oczy robiły im się coraz większe w miarę, jak docierała do nich głębia tajemnicy i zmyśleń, jakie otaczały tę sprawę.

– Więc nie była tym, za kogo się podawała – podsumowała Clara, gdy skończył opowiadać. Miała nadzieję, że triumfalny ton jej głosu nie jest zbyt oczywisty. W końcu CC była stuknięta.

– Ale czemu wybrała ich na rodziców? – Myrna machnęła ręką w kierunku telewizora.

– Nie wiem. Czy macie jakieś teorie na ten temat?

Wszyscy się zastanawiali.

– To nic niezwykłego, kiedy dzieci myślą, że zostały adoptowane – powiedziała Myrna. – Nawet szczęśliwe dzieci przechodzą przez taką fazę.

– To prawda – potwierdziła Clara. – Pamiętam, że sama wierzyłam, iż moją prawdziwą matką jest królowa brytyjska, która wysłała mnie na kolonialną prowincję, bym wychowywała się jak zwykłe dzieci. Za każdym razem, kiedy rozlegał się dzwonek do drzwi, sądziłam, że to królowa po mnie przyszła.

Clara wciąż pamiętała tę swoją fantazję: królowa Elżbieta stojąca na ganku skromnego domu w montrealskiej dzielnicy Notre Dame de Grace, sąsiedzi

wychylający się z okien, by choć rzucić okiem na jej koronę i długą szkarłatną suknię. I na torebkę. Clara wiedziała doskonale, co królowa trzyma w torebce: jej fotografię i bilet lotniczy, by zabrać ją do domu.

– Ale wyrosłaś z tego – zauważył Peter.

– Owszem – przyznała Clara, tylko odrobinę kłamiąc – chociaż jedną fantazję mogą zastąpić inne.

– Och, proszę was. To nieprzyzwoite, dyskutować przy stole o heteroseksualnych fantazjach – powiedział Gabri.

Ale dorosłe fantazje Clary bynajmniej nie były erotyczne.

– W tym właśnie problem – rzekł Gamache. – Zgadzam się, że jako dzieci wszyscy żyjemy we własnym świecie. Jako kowboje, Indianie, kosmonauci, księżniczki i królewicze.

– Opowiedzieć wam o moich fantazjach? – zaoferował Gabri.

– Dobry Boże, spraw, żeby ten dom nagle wybuchł! – jęknęła Ruth.

– W moich fantazjach zawsze mi się wydawało, że jestem hetero.

To wyznanie zrobiło na wszystkich duże wrażenie.

– Ja wymyślałam sobie, że jestem lubiana – wyjawiała Ruth. – I ładna.

– A ja, że jestem biała – powiedziała Myrna. – I szczupła.

Peter ani pisnął. Nie przypominał sobie żadnych fantazji z dzieciństwa. Za wiele czasu i energii zajmowało mu radzenie sobie z rzeczywistością.

– A pan? – zapytała Gamache’a Ruth.

– Ja fantazjowałem o tym, jak ratuję moich rodziców – odparł, wspominając, jak jako chłopiec wyglądał przez okno salonu, przechylając się przez oparcie kanapy, przytulając policzek do chropawej tkaniny. Czasami, gdy wiał wiatr, ciągle czuł jej dotyk na policzku. Za każdym razem, gdy rodzice wychodzili na kolację, czekał na nich, wyglądając światła samochodu w ciemności. I co wieczór wracali do domu. Aż raz nie wrócili.

– Wszyscy mamy swoje fantazje – podsumowała Myrna. – Czy CC była tu wyjątkowa?

– Pod jednym względem – powiedział Gamache. – Czy pani wciąż chciałaby być biała i szczupła?

Myrna roześmiała się serdecznie.

– Wykluczone. Teraz by mi to do głowy nie przyszło.

– A ja, gdybym był hetero, Olivier by mnie zabił – dodał Gabri.

– Tak czy inaczej, wszystkie dziecięce fantazje odchodzą w niepamięć lub ustępują miejsca innym. Ale nie w wypadku CC. To w tym tkwi różnica. Ona najwyraźniej w nie wierzyła do tego stopnia, że przybrała nazwisko de Poitiers. Nie wiemy nawet, jak brzmiało jej prawdziwe nazwisko.

– Ciekawe, kim byli jej rodzice? – zastanawiał się Gabri. – Była po czterdziestce, prawda? Czyli jej rodzice byliby przynajmniej pod siedemdziesiątkę. Jak ty – zwrócił się do Ruth, która odczekała chwilę, po czym przemówiła:

*Dawno umarła, pogrzebana w obcym mieście,
moja matka nie jest ze mną jeszcze kwita.*

– To z wiersza? – zapytał Gamache. Brzmiało znajomo.

– Tak pan sądzi? – odburknęła Ruth.

*Gdy śmierć nas rozdzieli,
Spotkają się znów ci, co wybaczą i ci, którym wybaczone –
A może, jak zwykle, będzie już za późno?*

– Bogu niech będą dzięki – skomentował Gabri. – Już myślałem, że uda mi się przeżyć jeden wieczór bez poezji. Proszę, kontynuuj, nie jestem jeszcze dosyć przygnębiony, by się natychmiast zabić.

– Pani poezja jest niezwykła – powiedział do Ruth Gamache. Ona wyglądała na bardziej przygnębiającego go komplementem niż przytykami Gabriego.

– Spierdalaj pan. – Odepchnęła nadinspektora i ruszyła w stronę drzwi.

– No to się narobiło – podsumował Gabri.

Gamache przypomniał sobie, że czytał ten wiersz w samochodzie, jadąc do Three Pines, żeby rozpocząć śledztwo. Ostrożnie wyjął kasetę z *Lwem w zimie* z magnetowidu.

– Dziękuję – powiedział do Clary i Petera. – Muszę wracać do inspektora

Beauvoira. Czy ma pani swoje portfolio? – zapytał Clare. – Chciałbym je wziąć ze sobą.

– Oczywiście. – Zaprowadziła go do pracowni, a tam do zagraconego biurka. Włączyła lampę, przerzuciła stos papierów. Gamache obserwował ją, aż jego wzrok przyciągnęło coś lśniącego na półce z książkami za biurkiem. Stał przez moment nieporuszenie, jakby obawiał się, że najmniejszy ruch może spłoszyć ten obiekt. Powoli i cichutko posuwał się naprzód, skradając się w jego kierunku. Sięgnął do kieszeni. Pewnym gestem wyciągnął dłoń i ujął przedmiot przez chustkę, podnosząc ze stojaka, na którym był umieszczony. Nawet przez tkaninę wydawał się lekko ciepły.

– Piękna, prawda? Dostałam od Petera na gwiazdkę.

Gamache trzymał w ręku promienną kulę. Namalowana była na niej scenka: trzy sosny z konarami pokrytymi ciężką warstwą śniegu. Poniżej widniało słowo *Noël*, a pod nim coś jeszcze, namalowane bardzo jasnym kolorem. Pojedyncza wielka litera.

L.

Gamache odnalazł kulę li bien.

Peter Morrow wyglądał na zmartwionego – i faktycznie się martwił. Gdy ją o to spytano, Clara radośnie oświadczyła, że śliczna bombka była pierwszym gwiazdkowym prezentem, jaki Peter kiedykolwiek dla niej kupił. Jak tłumaczyła, aż do tego roku byli zbyt biedni, by kupować prezenty.

– Albo zbyt skąpi – rzuciła Ruth.

– Gdzie pan to dostał? – zapytał Gamache uprzejmym tonem, ale i z naciskiem, domagającym się odpowiedzi.

– Nie pamiętam – próbował lawirować Peter, ale widząc determinację w spojrzeniu Gamache’a, zmienił zdanie. – Claro, naprawdę chciałem ci coś kupić... – zwrócił się do niej, próbując się wytłumaczyć.

– Ale...? – Clara już się domyślała, do czego to zmierza.

– No cóż, jechałem do Williamsburga na zakupy...

– Paryż Północy – wyjaśnił Gabri Myrnie.

– Słynie ze swoich sklepów – zgodziła się Myrna.

– I przejeżdżałem koło śmietnika, no i...

– Koło śmietnika?! – wykrzyknęła Clara.

W tym momencie suczka Lucy zaczęła kręcić się pod nogami swojej pani, zaniepokojona wysoką częstotliwością jej głosu.

– Ostrożnie, stłuczesz bombkę – mruknęła Ruth.

– Śmietnika – powiedziała Clara ciszej; pochyliła głowę, a spojrzenie wbiła w Petera, który pragnął teraz, by, jak to wcześniej ujęła Ruth, ten dom nagle wybuchł.

– Jacques Cousteau połowów śmietnikowych znowu natrafił na skarb – zauważył Gabri.

– Znalazł pan to – Gamache uniósł kulę li bien – na śmietniku w Williamsburgu?

Peter przytaknął.

– Tak tylko zajrzałem, dla zabawy. Dzień był ciepły, więc przedmioty nie poprzymarzały do siebie. Byłem tam tylko chwilę i ta rzecz przyciągnęła moją uwagę. Widzicie dlaczego. Nawet teraz, ledwie oświetlona lampką, lśni własnym światłem; możecie sobie wyobrazić, jak błyszczała w dziennym świetle. Jak latarnia morska. Wzywała mnie. – Peter spojrzał na Clare, żeby zobaczyć, czy jego opowieść odnosi pożądaný skutek. – Pomyślałem sobie, że sążone mi było ją znaleźć. Że to przeznaczenie.

Clara pozostawała niewzruszona i nieprzekonana o wyjątkowości tego prezentu.

– Kiedy to było? – zapytał Gamache.

– Nie pamiętam.

– Niech pan sobie przypomni, panie Morrow. – Wszyscy teraz popatrzyli na Gamache'a. Wydawało się, że nadinspektor nagle urósł i emanował zdecydowaniem i autorytetem, które sprawiały, że nawet Ruth zamilkła. Peter myślał przez chwilę.

– To było przed świętami. Wiem już: to było dzień po promocji twojej książki – zwrócił się do Ruth. – Dwudziestego trzeciego grudnia. Clara była w domu i mogła wyprowadzić Lucy, kiedy ja pojechałem po świąteczne zakupy.

– Raczej na świąteczne grzebanie po śmietnikach – wtrąciła Clara. Peter westchnął i nie odpowiedział.

– Gdzie w śmietniku leżała bombka?

– Na samym brzegu, jakby ktoś sięgnął do krawędzi i położył ją tam, a nie tylko wyrzucił na oślep.

– Czy znalazł pan coś jeszcze?

Gamache wnikliwie obserwował Petera, próbując zorientować się, czy tamten nie kłamie. Peter potrząsnął głową. Gamache mu wierzył.

– Co to jest? I dlaczego jest takie ważne? – zapytała Myrna.

– To się nazywa kula li bien – wyjaśnił Gamache. – I należało do CC, która zbudowała wokół niej całą swoją duchową filozofię. W swojej książce opisała ją dokładnie, tak jak ją tu widzicie, zaznaczając, że to jedyna rzecz, jaką odziedziczyła po matce. Wspomina nawet, że to jej matka ją pomalowała.

– Na obrazku są trzy sosny – podchwyciła Myrna.

– I inicjał L – powiedziała Clara.

– Czyli dlatego CC przeprowadziła się tutaj – stwierdził Gabri.

– Dlaczego? – zapytał Peter, który nie skupiał się na rozmowie, rozmyślając o tym, w jakie kłopoty się władował.

– Trzy sosny? – Gabri podszedł do okna i wykonał gest na zewnątrz. – Trzy sosny. Three Pines.

– Po trzykroć trzy sosny – powiedziała Ruth. – Stukaj obcasami, Dorotko.

– Jesteśmy daleko od Kansas^[20] – odpowiedział Gabri. – Kumasz? – zwrócił się do Petera.

– Three Pines – powtórzył Peter, w końcu załapując, o co chodzi. – Matka CC stąd pochodziła?

– A jej inicjałem było L – rzekła Myrna.

Émilie Longpré leżała w łóżku. Było wcześniej, jeszcze przed dziesiątą, jednak czuła się zmęczona. Otworzyła książkę i próbowała czytać, ale tom ciążył jej w rękach. Z wysiłkiem trzymała go w dłoniach, próbując doczytać historię, żeby dowiedzieć się, jak kończy się cała książka. Obawiała się, że jej czas wypełni się, zanim skończy.

Teraz książka w twardej oprawie spoczywała ciężko na jej podołku; czuła się z tym trochę tak, jak wtedy, gdy nosiła w łonie małego Davida. W tamtych

czasach kładła się na tym samym łóżku, tak jak teraz; obok niej Gus rozwiązywał krzyżówki i pomrukiwał coś do siebie. I do dziecka w jej łonie.

Teraz książka była jej jedyną towarzyszką.

– Ależ nie – poprawiła sama siebie. Nie jest sama. Są jeszcze Bea i Kaye. One także były z nią wtedy i będą do samego końca.

Em patrzyła, jak książka, ciężka od słów, podnosi się i opada na jej podołku. Spojrzała na pozycję zakładki. Była w połowie. Dopiero w połowie. Émilie znów otworzyła tom, tym razem podtrzymując go obiema rękami, i czytała dalej, zagłębiając się bez reszty w historii. Miała nadzieję, że dobrze się skończy. Że bohaterka znajdzie miłość i szczęście. A przynajmniej odnajdzie samą siebie. To by wystarczyło.

Książka znów się zamknęła, a oczy Em wraz z nią.

Matka Bea widziała, co niesie przyszłość i nie wyglądało to za dobrze. Jak zwykle zresztą. Nawet w najlepszych okolicznościach Matka potrafiła zobaczyć najgorsze. Ta cecha charakteru nie służyła jej najlepiej. Wieczne spoglądanie na ruiny przyszłości odbierało całą radość jej dniowi powszedniemu. Jedyne, co było pocieszające, to że jej czarnowidztwo zwykle okazywało się nieuzasadnione. Samoloty się nie rozbijały, windy nie urywały, mosty nie waliły. Okej, mąż ją zostawił, ale to nie była szczególna katastrofa. Niektórzy powiedzieliby nawet, że to samospełniająca się przepowiednia. Zmusiła go, by odszedł. Zawsze powtarzał, że w ich związek zaangażowało się zbyt wiele osób: Beatrice, on i Bóg. Ktoś musiał odpaść.

Nie było wielkiego wyboru.

Teraz Matka Bea leżała w łóżku, opatulona miękką flanelową pościelą. Wybrała Boga raczej niż męża, ale tak naprawdę wolałaby nawet dobrą pierzynę niż swego małżonka.

Była w najbardziej ulubionym miejscu na świecie: w domu, we własnym łóżku, bezpieczna. Dlaczego więc nie mogła spać? Dlaczego nie mogła już medytować? Dlaczego nie mogła nawet jeść?

Kaye leżała w łóżku, wydając rozkazy młodym, wystraszonemu żołnierzom piechoty w okopach, w których się znajdowała. Mieli na głowach płaskie,

przekrzywione hełmy, a twarze ubrudzone błotem, gównem i poznaczone pierwszym zarostem. Pierwszym i ostatnim – wiedziała to, ale zdecydowała się nic im nie mówić. Zamiast tego wygłosiła budującą przemowę, w której zapewniała, że gdy przyjdzie czas, pierwsi wyjdą z okopów – po czym zaintonowała *Rule, Britannia!* i przewodziła głosom żołnierzy w pełnym werwy śpiewie.

Wkrótce wszyscy zginą. Zwinęła się w jak najciaśniejszy kłębek, zawstydzona tchórzostwem, jakie niosła w sobie przez całe życie niczym dziecko w łonie – tak bardzo różna w tym od swego bohaterskiego ojca.

– Przepraszam – powtórzył Peter, chyba po raz setny.

– Nie o to chodzi, że wyciągnąłeś ją ze śmietnika, ale o to, że nie powiedziałeś prawdy – skłamała Clara. Dokładnie o to jej chodziło, że znowu dał jej śmieci na Gwiazdkę. Kiedy nie mogli sobie pozwolić na nic więcej, to się nie liczyło. W tamtych czasach ona robiła coś dla niego, bo miała zdolności manualne; on ich nie miał, więc wyciągał dla niej coś ze śmietnika, a potem oboje udawali, że podobają im się prezenty, które dostali.

Ale teraz było inaczej. Teraz mogli sobie pozwolić na zakupy, a on ciągle wolał wyciągnąć coś ze śmietnika.

– Przepraszam. – Peter rozumiał, że to nie wystarczy, ale nie wiedział, co zrobić.

– Przestań – odpowiedziała Clara.

Peter był na tyle mądry, że zamilkł.

Gamache usiadł obok Beauvoira. Zamierzał zmienić termofor, chociaż gorączka już ustępowała. Znalazł tylko jeden z termoforów i zastanawiał się, co stało się z drugim.

Siedział teraz, od czasu do czasu spoglądając na inspektora, a czasem czytając grubą książkę spoczywającą na jego kolanach.

Przeczytał Izajasza na wszelki wypadek, zanim przerzucił się na Księgę Psalmów. Przed powrotem do pensjonatu zadzwonił do swojego proboszcza; ojciec Néron wskazał mu właściwy pasaż.

– Miło było cię zobaczyć w Wigilię, Armandzie – powiedział ojciec Néron.

Gamache odczekał, żeby usłyszeć, co nieuchronnie miało nadejść. – I poznać twoją wnuczkę. Szczęściara z niej, wygląda jak Reine-Marie. – Nadinspektor wciąż czekał. – Miło jest zobaczyć całą rodzinę. Wielka szkoda, że ty pójdiesz do piekła i nie będziesz mógł z nimi spędzić całego życia wiecznego.

Wyszło szydło z worka.

– Na szczęście, *mon père*, oni też pójną do piekła.

Père Néron się roześmiał.

– A co, jeśli mam rację i narażasz na zagładę swą nieśmiertelną duszę, nie przychodząc co niedziela do kościoła? – zapytał.

– Cóż, w takim razie stracę okazję spędzenia wieczności w twoim wesołym towarzystwie, Marcel.

– W czym mogę pomóc?

Gamache mu powiedział.

– To nie z Izajasza, tylko z Psalmu 46. Nie jestem pewien, który wers. To jeden z moich ulubionych, chociaż szefostwo za nim nie przepada.

– Dlaczego?

– Zastanów się, Armandzie. Gdyby każdy mógł być blisko Boga, czy ja wciąż byłbym ludziom potrzebny?

– A co, jeśli to prawda, co mówi ten wers?

– Wtedy jednak spędzimy życie wieczne razem. Mam nadzieję, że tak będzie.

Gamache czytał teraz psalm, spoglądając od czasu do czasu na Beauvoira zza okularów w kształcie półksiężyców. Dlaczego Matka skłamała, mówiąc, że to cytat z Izajasza? Musiała wiedzieć, jak jest naprawdę. A co jeszcze ciekawsze – dlaczego przekreśliła cytat, pisząc na ścianie *Be calm, and know that I am God?*

– Aż tak jestem chory?

Podniósł wzrok i napotkał spojrzenie Beauvoira, wpatrującego się w niego z uśmiechem i stuprocentową przytomnością.

– Młody człowieku, o pana ciało się nie martwię, ale rozpaczam nad duszą.

– Coś w tym musi być, wielbny ojciec – opowiedział Beauvoir, z wysiłkiem unosząc się na łokciach. – Nie uwierzy pan, co mi się śniło. Nawet miałem zwidy, że jest przy mnie Yvette Nichol – wyznając to, zniżył głos do konspiracyjnego szeptu.

– Kto by pomyślał – powiedział nadinspektor. – Lepiej już panu – orzekł, cofając rękę od chłodnego czoła młodszego kolegi.

– O wiele. Która godzina?

– Północ.

– Niech pan się położy, sir. Jestem w superformie.

– „Samolubny, Ułomny, Popieprzony, Egotyczny, Rozchwiany”?

– Mam nadzieję, że to nie jest moja opinia służbowa?

– Nie, tylko cytat z wiersza.

Jeśli to jest poezja, może jeszcze ją polubię – pomyślał Beauvoir, zmęczony, osuwając się ponownie w przyjazne objęcia pościeli.

– Czemu czyta pan Biblię? – wymamrotał, prawie już zasypiając.

– Przez ten napis na ścianie w centrum medytacyjnym Matki. Psalm 46, wiersz 11. Powinno być: *Be still, and know that I am God.*

Beauvoir zasnął z powrotem, ukołysany głosem nadinspektora.

Świecące cyfry na zegarze przy łóżku pokazywały piątą pięćdziesiąt jeden. Wciąż było ciemno i tak miało pozostać przez jakiś czas. Gamache leżał w łóżku, czując na twarzy powiew lodowatego powietrza z uchylonego okna i ciepłą pościel wokół ciała.

Czas było wstawać.

Wziął prysznic i ubrał się szybko w chłodnym pokoju o białych ścianach, ciemnych, drewnianych meblach i z puchową pościelą. Pokój był elegancki i zbyt przytulny. Nadinspektor zszedł cichutko po ciemnych schodach pensjonatu. Miał na sobie najcieplejsze ubrania, a na nich ciężką, zimową kurtkę. Gdy wrócił poprzedniego wieczora, wcisnął czapkę i rękawiczki w rękaw kurtki, a teraz, próbując wsunąć ramię w rękaw, trafił na opór. Po wprawnym pchnięciu wysunął się pompon czapki, a za nim rękawiczki.

Gamache wyszedł na zewnątrz, śnieg skrzypiał pod butami. Był rześki, zimny, bezwietrzny poranek i nadinspektor uznał, że prognoza może faktycznie się sprawdzić. Dzień będzie zimny, nawet jak na standardy Quebecu. Pochylając się lekko w przód, z ramionami wzdłuż ciała i okrytymi rękawiczkami dłońmi splecionymi za plecami, Gamache spacerował, rozmyślając o tej zagadkowej sprawie, w której lista podejrzanych i poszlaki nie miały sensu.

Kałuże płynu do odmrażania szyb; niacyna; *Lew w zimie*; kable z krokodylkami; Psalm 46, 11; dawno utracona matka. Dopiero tyle zdołał się do tej pory dowiedzieć. CC nie żyła od dwóch dni; nadinspektor potrzebował nagłej inspiracji.

Rozmyślanie o sprawie poprowadziło go przez ciemność wzdłuż Commons – chociaż noc w zimnie nigdy nie była całkowicie czarna. Śnieg zalegający na ziemi świecił własnym blaskiem. Nadinspektor szedł wzdłuż domów, w których spali mieszkańcy miasteczka; dym z kominów wznosił się pionowo

nad dachami, sklepy wciąż były zamknięte – chociaż promień światła bijący z podziemi piekarni Sarah obiecywał już świeże croissanty.

Nadinspektor krążył w kółko, pogrążony w zadziwiającej ciszy i spokoju uśpionego miasteczka; śnieg skrzypiał pod butami, a oddech brzmiał głośno w uszach.

Czy w jednym z tych domostw spała matka CC? Czy spała spokojnie, czy może sumienie budziło ją w środku nocy, jak intruz, który wtargnął do domu z zamiarem wyrządzenia krzywdy?

Kto był matką CC? Czy kobieta zdołała ją odnaleźć?

Czy ta matka chciała, by ją odnaleziono?

Czy motywem poszukiwań CC była potrzeba posiadania rodziny, czy może powodowało nią coś innego, mroczniejszego?

I co z kulą li bien? Kto ją wyrzucił? I dlaczego nie cisnął jej po prostu w głąb śmietnika, gdzie rozbiłaby się w nierozpoznawalny pył?

Na szczęście Armand Gamache uwielbiał zagadki.

Nagle na skwerze miejskim pojawiła się ciemna sylwetka i zaczęła biec w jego stronę.

– Henri! *Viens ici!* – rozkazał głos. Henri, mimo że jak na psa miał duże uszy, najwyraźniej nie słyszał. Nadinspektor odskoczył na bok, a zachwycony Henri prześlizgnął się tuż obok niego.

– *Désolée* – powiedziała Émilie Longpré, zbliżając się z ciężkim sapaniem. – Henri, jesteś kompletnie niewychowany.

– To dla mnie zaszczyt, że Henri wybrał mnie na towarzysza zabawy.

Oboje wiedzieli, że Henri równie chętnie bawił się z własną zamarznąłą kupą, tak że poprzeczka nie była zawieszona zbyt wysoko. Mimo to Em leciutko skinęła głową, wdzięczna za uprzejmość nadinspektora. Émilie Longpré należała do wymierającego gatunku mieszkanek Quebecu: była jedną z *Les Grandes Dames*, nazywanych tak nie dlatego, że kimś komenderowały, czy kogoś dręczyły, ale dlatego, że były pełne niezmiernej dobroci i godności.

– Nie przywykliśmy spotykać nikogo na naszych porannych spacerach – wyjaśniła Émilie.

– Która godzina?

– Właśnie minęła siódma.

– Mogę się przyłączyć?

Przyłączył się do Em i cała trójka powoli poszła przez śnieg dookoła Commons; Gamache rzucał śnieżki zachwyconemu Henriemu, a w oknach miasteczka jedne po drugich rozbłyskiwały lampy. Olivier machał do nich z daleka, przechodząc z pensjonatu do bistro. Chwilę później okno restauracji zajaśniało miękkim światłem.

– Jak dobrze znała pani CC? – zapytał Gamache, przyglądając się, jak pies leniwie goni śnieżkę, ślizgając się po powierzchni zamrzniętego stawu.

– Niezbyt dobrze. Spotkałam ją tylko kilka razy.

W ciemności nie mógł odczytać wyrazu jej twarzy. Czuł, że to go stawia w niekorzystnej sytuacji, ale skupił się na tonie jej głosu.

– Przyszła mnie odwiedzić – powiedziała Em.

– Dlaczego?

– Zaprosiłam ją. A jakiś tydzień później spotkałam ją w ośrodku medytacyjnym Matki.

W głosie Émilie pobrzmiwała odrobina humoru. Ciągle widziała tę scenkę: twarz Matki w odcieniu identycznym jak kolor kaftana, który tego dnia był karmazynowy. CC, szczupła i zdecydowana, stała pośrodku pomieszczenia i głośno krytykowała całą życiową filozofię Matki.

– To oczywiście rozumiałe – ciągnęła CC protekcyjnym tonem. – Minęło wiele lat, odkąd odświeżała pani po raz ostatni swoją duchową filozofię; od tamtej pory sporo się zdezaktualizowało – mówiła, podnosząc jednocześnie jedną z karmazynowych poduszek dwoma palcami, jakby to był dowód na skostniałość Matczynego myślenia oraz jej przestarzałego gustu wnętrza. – Kiedy to po raz ostatni ktoś opisał purpurę jako kolor boskości?

Matka poderwała ręce ku czubkowi głowy, otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. CC niczego nie zauważyła. Przechyliła głowę, spojrzała w sufit, odwróciła dłonie spodem do góry i zamruczała jak wielki kamerton.

– Nie, tu nie ma ani krzty ducha. Pani ego i emocje go stąd wygoniły. Jak

boskość może mieszkać wśród takich jaskrawych kolorów? Za dużo tu pani i za mało Wyższej Istoty. Oczywiście stara się pani jak może, i jako osoba, która zainicjowała medytacje w Kantonach trzydzieści lat temu, jest pani pionierką...

– Czterdzieści – poprawiła ją Matka, odzyskując głos, choć wydała z siebie ledwie pisk.

– To bez znaczenia. Nie ma znaczenia, co pani oferowała, bo nikt się wtedy na tym nie znał i nie wiedział, czego oczekiwać.

– Że co proszę?

– Przybyłam tu z nadzieją, że spotkam kogoś, kto miałby dobrą karmę, którą może się podzielić. – CC westchnęła i rozejrzała się dookoła, potrząsając z rozczarowaniem swoją oświeconą, utlenioną na blond głową. – Moja ścieżka jest jasna. Obdarowano mnie rzadkim darem i chcę się nim podzielić. Zamierzam otworzyć ośrodek medytacyjny u mnie w domu i uczyć w nim tego, czego sama się nauczyłam od mojego guru w Indiach. Ponieważ moja firma i książka nazywają się *Be Calm*, tak samo nazwę moje centrum. Obawiam się, że będzie pani musiała znaleźć nową nazwę dla swojego małego ośrodka. Mam wrażenie, że najlepiej byłoby, gdyby go pani w ogóle zamknęła.

Em obawiała się o życie CC. Matka prawdopodobnie miała dość siły, by ją chwycić za gardło i udusić, no i wyglądała, jakby właśnie to zamierzała zrobić.

– Czuję pani gniew – powiedziała CC, wykazując się natychmiastowym postrzeganiem oczywistości. – To bardzo toksyczne.

– Oczywiście Matka nie potraktowała jej poważnie – zakończyła opowieść Em.

– Mimo to CC zamierzała zawłaszczyć nazwę jej ośrodka. Dla Matki to byłaby katastrofa.

– To prawda, ale wątpię, czy Matka dała temu wiarę.

– Centrum nosi nazwę *Be Calm*. Ten zwrot nieustannie się gdzieś pojawia. Czy i pani drużyna curlingowa nie nazywa się tak samo?

– Gdzie pan o tym usłyszał? – zaśmiała się. – To musiało być z pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat temu. Prehistoria.

– Ale bardzo interesująca, madame.

– Cieszę się, że pan tak uważa. To był żart. Nie traktowaliśmy samych siebie

zbyt poważnie i nie obchodziło nas, czy wygramy, czy nie.

Gamache słyszał tę samą historię wcześniej, ale i tak żałował, że nie widzi twarzy Em.

Pies przykuśtykał do nich, podnosząc jedną łapę, potem drugą.

– Och, biedny Henri! Za długo byliśmy na dworze.

– Może go ponieść? – zaofiarował się nadinspektor, czując nieco wyrzutów sumienia, bo zapomniał, że piekące zimno śniegu może poranić psie łapy. Teraz przypomniał sobie, jak ostatniej zimy z wysiłkiem taszczył Sonny’ego przez trzy przecznice do domu, bo pies nie był w stanie dłużej chodzić. Złamało to serce im obu. Wspominał też, jak kilka miesięcy później weterynarz przyjechał, by uśpić Sonny’ego. Przypomniał sobie również, jak przemawiał czule do starych, śmierzących uszu, jak patrzył w zażawione, brązowe oczy, kiedy się zamykały, a wygryziony, kochany ogon zwierzaka machał miękko po raz ostatni. I jak czuł ostatnie uderzenie psiego serca i myślał, że to nie stare serce Sonny’ego się zatrzymało, tylko on sam w końcu się poddał.

– Jesteśmy prawie na miejscu – powiedziała Em; jej głos był teraz schrypnięty, a usta i policzki zaczynały marznąć na mrozie.

– Czy mogę zaprosić panią na śniadanie? Chciałbym kontynuować tę rozmowę. Może w bistro?

Émilie Longpré zawahała się tylko przez moment. Odstawili Henriego do domu i poszli w świetle świtu do bistro Oliviera.

– *Joyeux Noël* – przywitał Gamache’a młody, przystojny kelner, prowadząc ich do stolika przy świeżo rozpalonym kominku. – Miło znów pana widzieć.

Nadinspektor odsunął krzesło, by Em mogła usiąść, i odprowadził wzrokiem młodego człowieka, który szedł w stronę ekspresu do kawy, by przygotować dla nich obojga *café au lait*.

– Philippe Croft – odpowiedziała Em, podążając wzrokiem za jego spojrzeniem. – Miły młody człowiek.

Gamache uśmiechnął się zachwycony. Młody Croft. Gdy spotkał Philippe’a po raz pierwszy, przy poprzednim śledztwie, chłopak nie wydawał się najsympatyczniejszy.

Była dopiero ósma rano i mieli całą knajpę dla siebie.

– Nieczęsto mam taką przyjemność, nadinspektorze – powiedziała Em,

przeglądając menu.

Naelektryzowane włosy stanęły im dęba, gdy zdjęli czapki. Oboje wyglądali, jakby ich coś przestraszyło. Sączyli teraz kawę, czując, jak ciepło napoju rozplywa się po ich ciałach. Twarze mieli zaróżowione, policzki zaczynały im tajać. Zapach świeżo zaparzonej kawy mieszał się z wonią płonącego drewna z paleniska, a świat wydawał się przyjazny i dobry.

– Ciągle chce pan dzisiaj wziąć lekcję curlingu? – zapytała Em. Gamache kompletnie zapomniał, że się umawiali; cieszył się na tę lekcję.

– Jeśli nie jest za zimno.

– Ten poranek powinien być idealny. Proszę spojrzeć w niebo. – Skinęła głową za okno. Na niebie pokazała się lekka poświata; słońce zbierało się ku wschodowi. – Słonecznie i zimno. Do popołudnia będzie zabójczy mróz.

– Pozwolę sobie zaproponować jajka z kiełbaskami – powiedział Philippe, stając przy stoliku z notesikiem, gotowy do zapisania zamówienia. – Kiełbaski są z farmy monsieur Pagé.

– Są znakomite – potwierdziła Em.

– Madame? – Nadinspektor czekał, aż Em zamówi pierwsza.

– Uwielbiam kiełbaski, *mon beau* Philippe, ale obawiam się, że w moim wieku są dla mnie nieco za ciężkie. Czy monsieur Pagé ciągle jest dostawcą waszego bekonu?

– *Mais oui*, domowy wyrób, wędzony na farmie, madame Longpré. Najlepszy w Quebecu.

– *Merveilleux*. Co za luksus. – Émilie pochyliła się nad stolikiem w stronę Gamache'a, najwyraźniej uradowana całą sytuacją. – Dla mnie jajko w koszulce, *s'il vous plaît*, na kawałku bagietki od Sarah i z odrobiną waszego fantastycznego bekonu.

– I może croissant? – Philippe popatrzył na nią filuternie. Przez uchylone drzwi sąsiedniego sklepu mogli czuć kuszący zapach croissantów, piekących się w piekarni.

– Może jednego.

– Monsieur?

Gamache złożył zamówienie i w parę minut przyniesiono mu talerz kiełbasek

i francuskiego tosta. Dzbanuszek miejscowego syropu klonowego stał tuż przy jego łokciu, a pomiędzy nadinspektorem a Em wylądował koszyczek z ciepłymi croissantami, którym towarzyszyły słoiczki domowych dżemów. Oboje jedli, rozmawiali, popijali kawę przy pięknym, żywo płonącym ogniu.

– Co pani myślała o CC? – zapytał.

– Miałam wrażenie, że to bardzo samotna kobieta. Było mi jej żal.

– Inni opisywali ją jako samolubną, małostkową, skłoną ranić innych i, szczerze powiedziawszy, dosyć głupią. Zdecydowanie nie była osobą, w której towarzystwie chciałoby się przebywać.

– Oczywiście mieli rację. CC była desperacko nieszczęśliwa i odbijała to sobie na innych. Ludzie często tak robią, nieprawdaż? Nie mogą znieść, gdy widzą szczęście innych.

– A mimo to zaprosiła ją pani do siebie.

O to zamierzał ją zapytać podczas spaceru, chciał jednak widzieć jej twarz, gdy odpowiadała.

– Ja całe życie byłam desperacko nieszczęśliwa. – Głos Em przycichł. – A pan, nadinspektorze?

Nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Skinął głową.

– Tak przypuszczałam. Myślę, że ludzie, którzy tego doświadczyli i przeżyli to jakoś, są obarczeni odpowiedzialnością, by pomóc innym. Nie możemy pozwolić, by ktoś utonął, skoro nam udało się uratować.

W pomieszczeniu zapadła cisza i Gamache uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech.

– Rozumiem, madame, i zgadzam się z panią – powiedział w końcu. Po czym zapytał delikatnie: – Czy zechce mi pani opowiedzieć o swoim smutku?

Spojrzała mu prosto w oczy. Potem sięgnęła do kieszeni swetra i wyciągnęła kulę białych, papierowych chusteczek i coś jeszcze. Położyła na stoliku między nimi małą, czarno-białą fotografię, popękaną i zakurzoną od chusteczek. Pogłaskała ją jednym palcem, gestem wskazującym na to, że robiła to wiele razy.

– To jest Gus, mój mąż, i David, mój syn.

Wysoki mężczyzna na zdjęciu obejmował ramieniem szczupłego chłopaka

z długimi, kudłatymi włosami, odzianego w płaszcz z szerokimi klapami. Jego krawat również był szeroki – podobnie jak stojący za nimi samochód.

– To było tuż przed świętami Bożego Narodzenia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku. David był skrzypkiem. Właściwie to potrafił zagrać tylko jeden utwór. – Roześmiała się. – Niezwykłe, naprawdę. Usłyszał go jako dziecko, niewiele większe od niemowlęcia. Mieliśmy z Gusem sprzęt hi-fi; kiedy David usłyszał tę melodię, nagle rzucił wszystko, czym był zajęty, i podszedł do samej konsoli. Kazał nam grać to samo w kółko. Ledwie zaczął mówić, poprosił, żeby kupić mu skrzypce. Myślałam, że żartuje, ale tak nie było. Pewnego dnia usłyszałam, jak ćwiczy w piwnicy. Szło mu kiepsko, fałszował, ale to był ten sam utwór.

Gamache poczuł, jak krew odpływa mu z dłoni i stóp w stronę serca, które zabiło mocniej.

– David sam się nauczył tego utworu. Miał sześć lat. Jego nauczyciel w końcu zrezygnował, bo chłopak odmówił uczenia się czy grania czegokolwiek innego. Tylko ten jeden utwór. Uparty dzieciak. Odziedziczył to po rodzinie Gusa. – Uśmiechnęła się.

– Co to był za utwór?

– Koncert skrzypcowy D-dur Czajkowskiego.

Gamache nie mógł sobie go przypomnieć.

– David był normalnym nastolatkiem. Był bramkarzem swojej drużyny hokejowej, przez większość liceum chodził z tą samą dziewczyną, jedną z córek Chartandów, chciał studiować leśnictwo na Université de Montréal. Cudowny był z niego chłopak, chociaż w niczym się nie wyróżniał, poza tym jednym.

Zamknęła oczy; po chwili jedna z jej dłoni zwróciła się ku górze, odsłaniając naznaczony błękitnymi żyłkami nadgarstek. Dłoń poruszała się płynnie tam i z powrotem. Widmowe nuty wypełniły przestrzeń między nimi – Gamache mógł sobie wyobrazić tę muzykę. Wiedział, że Em słyszała ją wyraźnie.

– Szczęściarz z niego, że znalazł taką pasję – powiedział cicho.

– Tak. Jeśli kiedykolwiek napotkałam coś boskiego, to wtedy, gdy patrzyłam na jego twarz, kiedy grał. To było błogosławieństwo, dla niego i dla nas. Myślę, że nie zamierzał poświęcić się temu na poważnie, ale nagle coś się stało. Tuż przed Gwiazdką przyszedł ze szkoły z zawiadomieniem. Co roku w liceum

odbywał się konkurs. Wszyscy biorący w nim udział muzycy mieli zagrać ten sam utwór, wskazany przez komitet. Tamtego roku – skinęła głową ku fotografii – wybrano koncert skrzypcowy D-dur Czajkowskiego. David był wniebowzięty. Konkurs miał się odbyć piętnastego grudnia w Gaspé. Gus postanowił, że go tam zawiezie. Mogli polecieć samolotem albo wsiąść w pociąg, ale Gus chciał być sam na sam z Davidem. Może pan wie, jak to jest z nastolatkami. David miał siedemnaście lat i był typowym chłopakiem. Nie był zbyt wylewny. Gus chciał mu dać do zrozumienia, na swój własny sposób, że go kocha i zrobiłby dla niego absolutnie wszystko. To zdjęcie zrobiono tuż przed tym, zanim wyruszyli.

Em spojrzała na fotografię, a jej palec posuwał się w jej stronę po drewnianym blacie, ale nagle zatrzymał się tuż przed nią.

– David zajął w konkursie drugie miejsce. Zadzwoił do mnie, ogromnie podekscytowany.

Ciągle słyszała jego głos, łamiący się, jak gdyby nie był w stanie oddychać z nadmiaru szczęścia.

– Rozważali możliwość, by zostać i posłuchać innych uczestników konkursu, ale ja oglądałam prognozę pogody i zapowiadano burzę, więc przekonałam ich, by od razu wyjechali. Reszty może się pan domyślić. Był piękny dzień, tak jak dzisiaj. Pogodny i zimny. Okazało się, że za bardzo pogodny i za zimny. Powiedzieli mi, że to przez pokryty śniegiem lód. I słońce, które oślepiło Gusa. Zbyt wiele światła.

– No więc, kto jest matką CC? – zapytał Beauvoir. Od pół godziny trwało poranne spotkanie zespołu w biurze operacyjnym i inspektor zaczynał się czuć jak zwykle.

Z jedną istotną różnicą. Zwykle nie znosił Yvette Nichol, ale dziś rano nagle poczuł, że nawet ją lubi, i nie do końca pamiętał, dlaczego przedtem było inaczej. Jedli razem śniadanie w pensjonacie i skończyło się na tym, że Beauvoir śmiał się histerycznie, słuchając jej opowieści o tym, jak próbowała zagrzać dla niego termofor. W mikrofalówce.

– Jasne, was to bawi – powiedział Gabri, stawiając przed nimi dwie porcje jajek po benedyktyńsku. – Nie musieliście po powrocie do domu oglądać czegoś, co wyglądało jak resztki kota, który eksplodował w mikrofalówce. Za kotem nigdy nie przepadałem. Ale lubiłem ten termofor.

Teraz zespół śledczy zasiadał wokół stołu konferencyjnego, wysłuchując raportów. Przyniesiono kulę li bien, z której zdjęto odciski palców. Znalaziono odciski czterech osób i wysłano do laboratorium w Montrealu.

Nichol relacjonowała, co udało jej się dowiedzieć. Pojechała do Montrealu wypytać personel szkoły o Crie.

– Chciałam dostać coś więcej niż tylko informację o jej stopniach. Wygląda, że uchodzi za inteligentną dziewczynkę, ale nieszczególnie mądrą, jeśli wiecie, o co mi chodzi. Bardzo pracowita, metodyczna. Mam wrażenie, że Crie psuła nieco obraz szkoły żeńskiej panny Edward. Zastępczyni dyrektorki raz powiedziała o niej „Brie” i zaraz się poprawiła. Crie ma najlepsze stopnie z fizyki, biologii i chemii, chociaż wykazywała także zainteresowanie teatrem. Przez kilka ostatnich lat chowała się za kulisami, zajęta technicznymi zadaniami, ale w tym roku brała udział w przedstawieniu. Najwyraźniej jej występ okazał się katastrofą. Miała tremę. Trzeba ją było sprowadzić ze sceny. Inne dziewczynki nie były dla niej miłe. Rodzice, zdaje się, również nie.

– A nauczyciele? – zapytał Gamache.

Nichol pokręciła przecząco głową.

– Ale znalazłam coś interesującego. Kilka razy zdarzyło się, że czek na chesne był bez pokrycia. Przyjrzałam się więc ich sytuacji finansowej. Wygląda na to, że CC i jej mąż żyli bardzo ponad stan. Właściwie to byli o kilka miesięcy od całkowitej finansowej katastrofy.

– Czy CC miała ubezpieczenie na życie? – dopytywał Beauvoir.

– Tak, na dwieście tysięcy dolarów. Richard Lyon pochodzi z niebogatej rodziny. Otrzymał dyplom inżyniera na Uniwersytecie Waterloo, ale nigdy nie osiągnął wysokiego statusu w swoim zawodzie. Zaczął pracować na swojej obecnej posadzie osiemnaście lat temu. Jest kierownikiem niskiego szczebla. Układa harmonogramy. O wiele poniżej swoich możliwości. Zarabia czterdzieści dwa tysiące, z tego na rękę dostaje trzydzieści. Ona prowadziła firmę od sześciu lat i ciągle nie zaczęła na niej zarabiać. Od czasu do czasu dostaje małe zlecenia wnętrzarskie, ale najwyraźniej spędziła większość zeszłego roku, pisząc książkę i opracowując własną linię wyposażenia domowego. Proszę, oto prototyp katalogu, który zamierzała wydać; to do tego, jak sędzę, wynajęła fotografa.

Beauvoir przejrzał katalog. Mydełka li bien, kubki z napisem *Be Calm*, szlafroki z logo.

– CC miała umówione na przyszły tydzień spotkanie z firmą Direct Mail Inc. – ciągnęła Nichol. – To największa firma marketingowa w Stanach Zjednoczonych zajmująca się sprzedażą wysyłkową. CC chciała im sprzedać swoją linię produktów. Jeśliby jej się to udało, to byłby ogromny sukces.

– A co oni mówią? – zapytała Isabelle Lacoste.

– Muszę dopiero do nich zadzwonić – odparła Nichol z uśmiechem, który miał znaczyć „dziękuję za to pytanie”.

– Są jakieś wiadomości z laboratorium na temat zdjęć, które fotograf zrobił na meczu curlingowym? – zwrócił się Beauvoir do Lacoste.

– Wysłałam kogoś, żeby dopilnował wywołania negatywów. Powinniśmy coś wiedzieć wkrótce.

– Znakomicie – powiedział Gamache, po czym opowiedział wszystkim o niacynie, *Lwie w zimie* i cytacie z Księgi Psalmów, 46,11.

– Więc kto jest matką CC? – Beauvoir zadał kluczowe pytanie.

– W Three Pines mieszka kilka kobiet, które są w odpowiednim wieku – oświadczyła Lacoste. – Émilie Longpré, Kaye Thompson i Ruth Zardo.

– Ale tylko jedna z nich ma inicjał L – zauważył Lemieux, odzywając się po raz pierwszy. Przyglądał się uważnie Yvette Nichol. Nie wiedział czemu, ale już jej nie lubił, nie podobało mu się jej nieoczekiwane pojawienie się, a już na pewno nie był zachwycony jej nagłą zażyłością z inspektorem Beauvoirem.

– Przyjrzę im się – powiedziała Lacoste.

Spotkanie dobiegło końca.

Gamache sięgnął po drewniane pudełko, stojące na biurku, i odwrócił je dnem do góry, by popatrzeć na litery przyklejone do denka.

– Co to? – zapytał Beauvoir i przysunął krzesło bliżej biurka.

– Jeden z dowodów w innej sprawie – powiedział nadinspektor, podając pudełko koledze. Nagle poczuł, że Beauvoir będzie w stanie zauważyć coś, co jemu samemu umknęło. Że spojrzy na litery wewnątrz i na zewnątrz, i złoży wszystko w całość.

Przyglądał się, jak Beauvoir ogląda pudełko.

– Jedna z pańskich gwiazdkowych zagadek?

Gamache skinął głową, starając się nie zakłócać koncentracji kolegi.

– Kolekcja liter? Co za obłęd. – Beauvoir wręczył pudełko z powrotem szefowi.

I na tyle się zdała jego intuicja.

Gdy inspektor wyszedł, Gamache pochylił się i zwrócił do Lacoste:

– Proszę dodać do swojej listy Beatrice Mayer.

Kamień curlingowy z łoskotem sunął po nierównym lodzie, aż w końcu uderzył z hukiem w głaz na końcu lodowiska, a moment później echo poniosło się po wzgórzach okalających jezioro Brume. Poranek był lodowato zimny – jak do tej pory najchłodniejszy dzień tej zimy, a słupek rtęci nadal spadał. Do południa zrobiło się tak zimno, że ciało lodowaciało w kilka sekund. Słońce, rzucające światło, lecz niedające ciepła, padało na śnieg i odbijało się

wzmocnione, oślepiając wszystkich, którzy nie założyli okularów przeciwsłonecznych.

Billy Williams oczyścił dla nich lodowisko curlingowe na jeziorze Brume; teraz wraz z Beauvoirem, Lemieux i Gamache'em przyglądali się, jak małeńka Émilie Longpré prostuje się, sapiąc w obłoczkach skraplającej się pary.

To nie potrwa długo. Musimy ją ograć, zanim zamrznie, zanim wszyscy zamrzniemy, pomyślał Gamache.

– Pańska kolej – powiedziała Em do Beauvoira, który dotąd przypatrywał się z uprzejmą uwagą. Curlingu nie należało traktować poważnie. Gdy Beauvoir przykucnął i spojrział na przeciwległy koniec lodowiska, widział już, co będzie dalej. Zaszokuje ich swymi wrodzonymi zdolnościami. Wkrótce będzie musiał się oganiać od rekruterów, próbujących zwerbować go do kanadyjskiej drużyny olimpijskiej. Odmówi im wszystkim, rzecz jasna, zażenowany, że mógłby być kojarzony z tak idiotycznym sposobem spędzania wolnego czasu. Choć oczywiście jeśli nie będzie już mógł uprawiać innych sportów, ewentualnie rozważy propozycję dołączenia do olimpijskiej reprezentacji narodowej w curlingu.

Clara wślizgnęła się do wanny na stylizowanych nóżkach. Wciąż była wściekła na Petera za grzebanie po śmietnikach, ale zaczynała już czuć się lepiej. Osunęła się w pachnącą wodę i palcami nóg bawiła się okruszkami ziołowej soli do kąpieli, która była gwiazdkowym prezentem od matki Petera. Wiedziała, że powinna zadzwonić do teściowej z podziękowaniem, ale to mogło poczekać. Matka Petera uporczywie nazywała ją Claire i aż do tego roku dawała jej wyłącznie prezenty związane z gotowaniem. Książki kucharskie, garnki, raz nawet fartuch. Clara nienawidziła gotować i podejrzewała, że teściowa wiedziała o tym.

Clara zamieszała wodę rękami i zagłębiła się w swojej ulubionej fantazji. W fantazji tej do jej drzwi pukał kurator z nowojorskiego Museum of Modern Art. Samochód odmówił mu posłuszeństwa na lodowatym zimnie, więc kurator potrzebował pomocy.

Clara wyobrażała to sobie dokładnie. Kurator wchodzi do jej domu, ona robi mu herbaty, ale kiedy odwraca się, by mu ją podać, nie ma po nim śladu. Clara znajduje go w pracowni, wpatrującego się w jej dzieła.

Nie. Kurator szłocha, patrząc na nie.

Płacze poruszony ich pięknem, bolesnością, geniuszem.

– Kto jest autorem? – pyta, nie zwracając sobie nawet głowy ocieraniem łez. Clara nie odpowiada, pozwalając mu się domyślić, że to ona jest wielką artystką, która stworzyła te prace, i że jest piękna i skromna. Kurator uznaje ją za najwybitniejszą twórczynię jej pokolenia, a nawet wielu innych pokoleń. Najbardziej utalentowaną, zdumiewającą, genialną artystką wszystkich czasów, całego świata.

Żeby być fair, pokazuje mu także pracownię Petera; główny kurator MoMA grzecznie komentuje jego prace. Ale nie ma wątpliwości, że to ona jest najbardziej utalentowaną osobą w rodzinie.

Clara zanuciła pod nosem.

– Teraz niech pan przykłąknie, inspektorze. Proszę złapać za rączkę na kamieniu, jakby zamierzał pan uścisnąć komuś rękę. – Em pochyliła się nad Beauvoirem. – Teraz niech pan przesunie kamień do tyłu prawą ręką; lewa noga także powinna przesunąć się w tył; potem wykonuje pan zamach jednocześnie ręką i nogą, i wypycha kamień do przodu i na lód. Ale proszę nim nie ciskać. Tylko wypuścić.

Beauvoir spojrział na lodowisko i leżący na jego drugim końcu kamień Em. Nagle dystans wydał mu się bardzo odległy.

Gamache obserwował, jak młodszy kolega bierze głęboki oddech i odchyła ramię w tył; wyglądało, że ciężar kamienia wytrąca go z równowagi. Inspektorowi przypomniała się durna szczotka, którą trzymał w drugiej ręce, i oparł się na niej, czując, jak buty powoli mu się ślizgają. Coś tu było nie tak.

Kamień z łoskotem wylądował na lodzie, a Beauvoir poczuł, że wytracił cały rozpęd, którego próbował nabrać. Prawe ramię wyleciało mu w przód, wciąż kurczowo trzymając kamień, a lewa noga nadaremnie próbowała znaleźć oparcie. Inspektor poczuł, jak się przewraca.

Wylądował plackiem na lodzie, z rozrzuconymi ramionami i nogami, i ręką wciąż zaciśniętą na rączce kamienia.

– Naftą mumie brzeg rozdane – zachichotał Billy Williams.

Clara rozmyślała o filmie, który widzieli poprzedniego wieczora. Od dawna

nie oglądała nic na wideo. Niemal wszystkie ich filmy były na DVD, głównie dlatego, że te ukochane przez Petera zostały zgrane na śmierć, bo zwykł zatrzymywać je na ulubionych scenach i przewijać bez końca, aż taśma się porozciągała i nie dawało się już ich oglądać.

Clara usiadła w kąpielni, a kawałeczki ziołowej soli przylepiły się jej do ciała. Czyżby tak faktycznie było?

– Kochanie, mama dzwoni z Montrealu, chciała ci podziękować za prezent. – Peter wszedł do łazienki z telefonem w ręku. Clara odegnała go gestem dłoni, ale było za późno. Wycierając ręce, rzuciła Peterowi wymowne spojrzenie. – Dzień dobry, pani Morrow. Och, nie ma za co, i ja także życzę wesołych świąt. Moja praca w aptece? Och, znakomicie, dziękuję. – Rzuciła mężowi mordercze spojrzenie. Od piętnastu lat nie pracowała w aptece. – I dziękuję za prezent. Bardzo praktyczny. Właśnie tego używam. Tak, smacznego. – Clara rozłączyła się i oddała telefon Peterowi. – Wygląda, że przysłała mi paczkę suszu na zupę. Warzywnego.

Przyglądając się palcom stóp, Clara zauważyła ziarenko groszku dryfujące po powierzchni wody, a obok niego – kawałeczek nasiąkniętej wodą pomarańczowej marchewki.

– Wygrałem? – zapytał Beauvoir, otrzepując się i gapiąc na kamień curlingowy u swoich stóp.

– To zależy, w co pan grał – odrzekła z uśmiechem Em. – Zdecydowanie jest pan mistrzem w nieporuszaniu kamieni. *Félicitations*.

– *Merci, madame*.

Straszliwy ziąb tego dnia sprzyjał inspektorowi. Skutecznie ukrywał rumieniec, jaki mógłby pojawić się na jego twarzy. Gdy Beauvoir spoglądał tęsknym wzrokiem na kamień leżący u jego stóp, w jego duszy zagościł niechętny i skrywany, acz niewątpliwy szacunek dla graczy w curling.

Gamache wyjął fotografie miejsca zbrodni, zrobione przez swój zespół. Pięć kamieni curlingowych tkwiło w śniegu, gdzie Matka oczyściła dom.

W głowie nadinspektora zakiełkowała myśl.

– Przykro mi, pani Morrow, nadinspektora Gamache’a nie ma w tej chwili – powiedziała Isabelle Lacoste, odrywając wzrok od ekranu komputera, by spojrzeć na stojącą naprzeciw kobietę.

– A kiedy będzie?

– Nie wiem. – Spojrzała na zegar. Prawie południe. – Przypuszczam, że wróci niedługo. Czy to coś ważnego?

Clara się zawahała. Szczerze mówiąc, nie była pewna, ale coś jej mówiło, że tak.

– Nie. Poczekam. – Odwróciła się, by wyjść, i zauważyła Yvette Nichol pracującą przy innym komputerze. Nie przepadały za sobą; Clara wciąż była zaszokowana wrogością, jaką okazała jej młoda policjantka, kiedy spotkały się po raz pierwszy rok temu. Teraz Nichol podniosła wzrok i uchwyciła spojrzenie Clary, po czym natychmiast z powrotem spuściła głowę.

Cóż, to lepsze niż bazyliżkowe spojrzenia, jakie mi dawnej posyłała – pomyślała Clara.

Funkcjonariusze Sûreté zostali teraz sami na lodowisku. Émilie Longpré pojechała na lunch z Kaye do Williamsburga, a Billy Williams poszedł sobie, wymamrotawszy coś albo o trenowaniu przed narciarskim Pucharem Świata, albo drenowaniu nago na półtora wariata. Gamache doszedł do wniosku, że wszyscy prócz niego rozumieją, co mówi Billy. On natomiast nie rozumiał ani słowa.

Nadinspektor podszedł do trybuny i przysiadł na niej na długą chwilę, na zimnie, przyglądając się lodowej tafli, a potem miejscu, gdzie umarła CC. Zrobił kółko wokół trybuny i skierował się tam, gdzie Billy Williams zaparkował swój samochód.

– Morderca stał tutaj – oświadczył Gamache, ustawiając się na śniegu. –

Obserwował mecz curlingowy i czekał. Kiedy tylko CC chwyciła za oparcie krzesła, podłączył kable.

– Laboratorium potwierdziło to, co już wiedzieliśmy – powiedział Lemieux. – Użyto w tym celu kabli pana Williamsa. Znalaziono je na pace jego samochodu, całe osmolone. On jednak mówi, że przypiął nimi grzejnik do generatora, więc jak ktoś mógł odłączyć je i przypiąć do krzesła w środku meczu, nie będąc widzianym?

– Nie musiał tego robić – odparł Gamache. – Morderca musiał odłączyć grzejnik, jeszcze zanim wszyscy przyszli, i przypiął kable do krzesła. – Nadinspektor przespacerował się od niewidzialnej ciężarówki Billy’ego do niewidzialnego grzejnika, a potem dalej, na lód, ku niewidzialnemu krzesłu. – Kiedy wszyscy byli na śniadaniu, morderca odpiął kable od grzejnika i przyczepił je do nogi ogrodowego krzesła, po czym odłączył drugi koniec od generatora.

– Ale czy nikt by nie zauważył, że grzejnik nie działa? – zapytał Lemieux.

– Zauważyli. Co najmniej dwie osoby wspomniały, że było zimno, w tym także Kaye Thompson. To dlatego, że grzejnik nie został podłączony.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego nikt niczego nie widział – powiedział Beauvoir.

– Cóż, po pierwsze wszelki dźwięk, jaki wydawał morderca, jak na przykład skrzypienie jego butów na śniegu, zostałyby zagłuszone przez generator. A ciężarówka pana Williamsa stała za trybuną. Nie była do końca zasłonięta, ale trzeba by się postarać, żeby zobaczyć ją z trybuny. Jedyne dwie osoby, które mogły coś widzieć, to CC i Kaye. Ale to nie koniec. Z początku myślałam, że morderca miał szczęście, jednak teraz wydaje mi się, że to nie był fart, ale metodyczne planowanie. Morderca starannie wybrał moment. Czekał aż do chwili, kiedy oczy wszystkich na pewno skupią się na grze.

Lemieux próbował sobie to wszystko wyobrazić. Graczy w curling, widzów, dwie kobiety na ogrodowych krzesłach. Podłączone do prądu krzesło tuż przed nimi.

– Coś szczególnego stało się w trakcie meczu – zasugerował Gamache, najpierw idąc w kierunku lodowiska, a zaraz potem zawracając, by spojrzeć w stronę dwóch zadziwionych policjantów. – Matka Bea oczyściła dom. To

była tradycja. Ileż to razy o tym słuchaliśmy przez ostatnie dwa dni? Niektórzy przychodzili wyłącznie po to, by zobaczyć zagrywkę Matki. Dlaczego? Dziś się przekonaliśmy. W sporcie, który jest pełen subtelności i wyrafinowania, to najbardziej emocjonujący moment. Niemal brutalny. Proszę sobie wyobrazić łośkot, z jakim kamień puszczony przez Matkę uderzył w kamień na drugim końcu lodowiska, z jakim hałasem zderzały się inne kamienie. To jak reakcja łańcuchowa. W kilka sekund wszystkie kamienie curlingowe uderzały o siebie, pomykając we wszystkie strony i robiąc nieprawdopodobny hałas. Bardzo ekscytujące.

– Zapierające dech w piersi – dorzucił Beauvoir sarkastycznie.

– I głośne – dodał Lemieux, który doświadczył teraz satysfakcji ujrzenia, jak nadinspektor Armand Gamache zwraca się ku niemu z wielkim, triumfalnym uśmiechem na twarzy i wyraźnym zachwytem w oczach.

– Jasne. Co za idealny moment, by zabić. Któż by oderwał wzrok od tej spektakularnej sceny? Któż by usłyszał krzyk kobiety porażonej prądem? Wyliczono to perfekcyjnie.

– Skąd jednak morderca wiedział, że CC w ogóle złapie za krzesło, a co dopiero kiedy? – zapytał Beauvoir.

– Dobre pytanie – przyznał Gamache, idąc zwawo w kierunku w miarę ciepłego samochodu. Dzień stawał się niebezpiecznie zimny, coraz ciężiej było rozmawiać. – I dlaczego Kaye Thompson nic nie widziała? Jak morderca zdołał odłączyć kable i wrzucić je z powrotem na ciężarówkę Billy’ego, nie zostając zauważony?

Mężczyźni wsiedli do samochodu. Marzyli o tym, żeby się rozgrzać. Lemieux nie czuł palców u nóg; ruszał nimi w butach, próbując pobudzić krążenie krwi. Beauvoir wyglądał przez pokryte mrozem okno.

– Cóż, graczy w curling możemy skreślić. Żaden z nich nie mógł tego zrobić. A jeśli Myrna Landers będzie się trzymać tego, co powiedziała o Richardzie Lyonie, który podobno siedział cały czas obok niej, on także ma alibi, chociaż ja ciągle myślę, że to on zabił.

– A co pan sądzi? – zapytał Gamache Lemieux.

– Uważam, że to się kupy nie trzyma. Morderca musiał podać CC niacynę podczas śniadania; rozlać płyn do rozmrażania szyb za krzesłem; upewnić się,

że ofiara miała na sobie buty z podkówkami na podeszwach; podpiąć kable i czekać na stosowną chwilę. A potem posprzątać po sobie. To stanowczo zbyt skomplikowane. Czemu jej po prostu nie zastrzelili?

– Też się zastanawiam – odparł Gamache.

Fotografie przyjechały z laboratorium po lunchu; Gamache wyjął je z kopert, a zespół pochylił się nad nimi niespokojnie. To było przedziwne uczucie, patrzeć na twarz kogoś, kto zaraz umrze. Gamache zawsze się spodziewał, że w oczach ofiary zobaczy jakieś przeczucie, ostrzeżenie – ale oglądał już tysiące zdjęć takich jak te i nigdy się tego nie doczekał.

Uczucie było jednak niesamowite. Bardziej już nie mogli zbliżyć się do ofiary; Gamache uświadomił sobie, że do tej pory widział jedynie zdjęcie CC na okładce jej książki – zresztą należało je uznać bardziej za karykaturę niż portret. Na fotografiach ze śniadania i meczu curlingowego nie wyglądała, jakby się dobrze bawiła. Na śniadaniu siedziała skrzywiona i wycofana. Wszyscy wokół niej byli ożywieni, rozmawiali z sąsiadami, odrzucali głowy w wybuchach śmiechu – ale CC de Poitiers siedziała sztywna. Obok niej Richard gapił się w swój talerz.

Czy planował zbrodnię? Czy kiełbaski odpowiadały graczom w curling, a racuchy krzesłom? Czy boczek reprezentował kabel podłączeniowy? A CC? Co mogło ją przedstawiać na jego talerzu? Nóż?

Kolejne zdjęcia. Matka Bea i Myrna za CC. CC pozująca z grupą nieoczekiwanie posmutniałych mieszkańców miasteczka, jak gdyby CC była chmurą zasłaniającą słońce.

Wreszcie wszyscy na meczu. CC na krześle, z nieczłowieckim wysiłkiem próbująca wyglądać jak Audrey Hepburn na alpejskich wakacjach. Ale tutaj widać było coś ciekawego. Twarz CC się zarumieniła. To prawda, ten nieoczekiwany rumieniec mógł być skutkiem zimna, ale siedząca obok Kaye była ledwie zaróżowiona, a nie czerwona jak CC.

– Popatrzcie. – Lacoste wskazała na zdjęcie. – Pod krzesłem widać błękitny płyn do odmrażania szyb.

– CC jest bez rękawiczek – powiedział Lemieux, wskazując inną fotkę. Byli coraz bliżej. Gamache otworzył kolejną kopertę. Wszyscy wpatrywali się w ten

sam punkt, nachylając się nad stołem, jak gdyby każdy chciał zobaczyć fotografie o ułamek sekundy wcześniej niż reszta. Nadinspektor rozłożył zdjęcia na blacie gestem, zdradzającym wiele wieczorów spędzonych na grze w pokera.

CC leżała na ziemi. Ruth gestykulowała. Olivier pochylał się nad ciałem, a Gabri ze skupieniem spoglądał gdzieś w tył.

Kolejna seria zdjęć przedstawiała nerwowe, heroiczne wysiłki na rzecz uratowania kobiety, której nikt nie lubił. Clara odprowadzała Crie na bok, starając się oszczędzić dziewczynce widoku tej ponurej sceny. Peter i Billy Williams biegli, niosąc CC w stronę ciężarówki. Na ostatnim zdjęciu samochód Billy'ego zniknął za zakrętem.

Historia, jaką opowiadały zdjęcia, była dramatyczna, choć krótka.

– Niektórych brakuje – zauważył Gamache z powagą. Gdy szedł w stronę drzwi w towarzystwie Beauvoira i Lemieux, Lacoste pobiegła za nim.

– Próbowaliśmy się z panem skontaktować pani Morrow. Och, i sprawdziłam życiorysy kobiet, które mogłyby być matkami CC. Kaye Thompson jest za stara. Émilie Longpré miała dziecko, ale zginęło w wypadku samochodowym. Mogła jednak urodzić kolejne i oddać do adopcji. Najbardziej interesujących rzeczy dowiedziałam się natomiast o Beatrice Mayer. Beatrice Louise Mayer.

Usłyszawszy te nowe wieści, Gamache ruszył zdecydowanym krokiem w stronę samochodu; Beauvoir z trudem go doganiał. Ta nagła zamiana ról wydała się inspektorowi niepokojąca.

Saul Petrov popijał kawę, siedząc na fotelu przy oknie w swoim salonie. Dwa dni temu nazwałby ten fotel, podobnie jak i cały domek, byle jakim. Obicie było matowe i wyleniałe, dywany wytarte, wystrój przestarzały. Na ścianie obok wyblakłej fotografii wodospadu Niagara wisiała kolekcja pamiątkowych łyżek z różnych miejscowości w Kanadzie.

Kiedy jednak dziś się obudził i zszedł zrelaksowany po wytartych schodach, pomyślał, że całkiem mu się tutaj podoba. Gdy wzeszło słońce, zapłonął ogień w kominku i zabulgotała zaparzana kawa, Saul zauważył, że naprawdę mu się tu podoba.

Siedział teraz w świetle słońca, sączącym się przez okno, i spoglądał na oszałamiający widok przepięknego, nieskalanego ludzką stopą pola przed

swoim wynajętym domkiem, na las i jeszcze wyżej – na góry, skaliste i szare.

Nigdy nie odczuwał takiego spokoju.

Na stole obok niego leżała podstawka pod kubek z widokiem Banff i rolka niewywołanego filmu.

– Halo, Clara? – Gamache mówił głośno do swojej komórki. Była taka maleńka, że zmieściłaby się w gwiazdkowej rurce z niespodzianką^[21]. – Mówi Gamache. Dzwonię z komórki, sygnał się rwie. Szukała mnie pani?

– Ja... wideo... Peter.

– Że co, proszę?

– Ten film na wideo wczoraj. – Nagle jej głos rozległ się z krystaliczną czystością i Gamache uświadomił sobie, że samochód wjechał na pagórek. Za moment jednak mieli znaleźć się w dolinie, a potem jechać przez las, więc z pewnością zaraz urwie mu się zasięg. Miał nadzieję, że Clara szybko przejdzie do rzeczy.

– Peter ma teraz filmy na DVD.

Szybciej, szybciej – pomyślał nadinspektor, ale miał dość rozumu, by nie powiedzieć tego głośno. Nieuniknione, że gdy się kogoś pogania, ten ktoś nieświadomie zwalnia. Samochód zaczął właśnie zjeżdżać w stronę doliny.

– Bo taśmy się porozciągały i nie da się ich już oglądać. Zatrzymuje taśmę w swoich ulubionych miejscach, to od tego się rozciągają.

Szybciej, szybciej – ponaglił ją w myślach, widząc, że zbliżają się do doliny.

– Sądzi pan, że i CC tak robiła? – zapytała Clara, której głos już zaczynał słabnąć.

– Jesteśmy niemal pewni, że nie dlatego wyrzuciła kasetę, iż nie dało się już jej odtwarzać. – Nie do końca rozumiał, do czego zmierza Clara, a teraz słyszał już szum i trzaski w słuchawce.

– ...wiadomo. Nie najgorzej... potrzebuje. – Tu połączenie się urwało.

Saul zobaczył wspinający się po podjeździe samochód. Ujął rolkę filmu i trzymał ją w dłoni, jakby pod wpływem dotyku miał dowiedzieć się, co dalej. CC zawsze tak robiła.

Nagle pojawiła się odpowiedź. Był w końcu wolny. Po raz pierwszy od miesiący poczuł się lekki, pełen optymizmu, inteligentny; mógłby nawet być zajmujący w rozmowie. Nie był już szary ani nudny.

Uśmiechnął się lekko i z wdzięcznością zamknął oczy, słońce grzało twarz i przeświecało czerwienią przez powieki. Mógł tu zacząć od nowa, w tym miejscu pełnym światła, kupić ten czarujący, przytulny domek i fotografować piękno, które go tu otaczało. Być może odnalazłby artystę, którego portfolio tak go powaliło. Powiedziałaby, że przykro mu z powodu tego, co zaszło wcześniej, i że może mogliby teraz zostać przyjaciółmi.

Z samochodu wysiedli mężczyźni. Saul wiedział, że to policjanci. Spojrzał na rolkę filmu w dłoni, podszedł do kominka i cisnął ją w ogień.

– Siadajcie, proszę. – Saul odebrał ich ciężkie płaszcze i wepchnął je do szafy, szybko zamykając drzwi, zanim okrycia z niej wypadły. Zdecydował, że to jego Dzień Pierwszy, początek nowego życia, a nowe życie powinno zaczynać się bez żalów. Saul Petrov podjął decyzję, że powie wszystko. No, może prawie wszystko.

Gamache rozejrzał się po pokoju i wciągnął zapach w nozdrza. Coś się paliło i nie było to tylko drewno. Z kominka rozchodziła się nienaturalna, gryząca woń. Pocztał, jak wyostrzają mu się zmysły, wszystko dokoła jakby zwolniło. Czy to pożar? Może instalacja elektryczna się zapaliła? Te stare domki w górach budowane były często przez leśnych pionierów, którzy wiedzieli wszystko o cyklach natury, ale zupełnie nic o podłączaniu kabli. Nadinspektor przesunął uważnym wzrokiem po ścianach, gniazdkach i lampach, szukając pasemek dymu; nasłuchiwał charakterystycznego trzasku przeskakującej elektrycznej iskry, a jego nos z wysiłkiem starał się zidentyfikować źródło dziwnego, cierpkiego zapachu. Stojący obok Lemieux zauważył, że szef nagle wzmógł czujność. Wpatrywał się w Gamache'a, starając się wykoncypować, w czym problem.

– Co to za zapach, monsieur Petrov? – zapytał nadinspektor.

– Nic nie czuję – odpowiedział fotograf.

– A ja owszem – rzekł Beauvoir. – Pachnie jak plastik albo coś podobnego.

Teraz i Lemieux poczuł tę woń.

– Och, to? – Petrov się roześmiał. – Wrzuciłem do ognia starą rolkę filmu. Bardzo stare rzeczy. Pewnie powinienem był po prostu wrzucić ją do śmieci. Nie pomyślałem. – Uśmiechnął się rozbrajająco. Gamache podszedł do kominka: faktycznie, widać w nim było skwierczący czarno-żółty skwarek. Stara rolka filmu. A może nie taka stara. Tak czy inaczej, przepadła.

– Faktycznie pan nie myślał. To nie było zbyt mądre posunięcie.

Petrov przywykł do tego, że ludzie, szczególnie CC, patrzyli na niego, jak gdyby był przezroczysty, ale pod wpływem spojrzenia nadinspektora poczuł się nieswojo, miał wrażenie, że Gamache zagląda mu do środka.

Nowe życie Petrova rozpoczęło się ledwie godzinę temu, a on już żałował. Ale ten cichy człowiek wyglądał na kogoś, kto mógł to zrozumieć. Saul wskazał gościom krzesła i sam usiadł. Ledwie mógł powstrzymać podniecenie, płynące z oczekiwania na to, co się zdarzy. Za chwilę wyzna wszystko i wróci do życia. Zacznie na nowo. Niemal chciało mu się płakać z wdzięczności, że inspektor z wydziału zabójstw był gotów wysłuchać jego spowiedzi. Saul Petrov otrzymał katolickie wychowanie; jak większość jego pokolenia, odwrócił się od Kościoła, kleru i wszystkiego, co wiązało się z religią. Teraz jednak, w tym skromnym, niemal śmiesznym wnętrzu, gdzie zamiast witrażowych okien były plastikowe maty, przybite do ściany, czuł się, jak gdyby miał paść na kolana.

Och, zacząć na nowo.

– Coś muszę panom powiedzieć.

Gamache milczał. Petrov spojrzał w jego dobre, rozumne oczy i nagle nikt więcej nie istniał.

– Miałem romans z CC. Trwało to około roku. Nie mam pewności, czy jej mąż wiedział, ale sądzę, że tak. Obawiam się, że nie byliśmy szczególnie dyskretni.

– Kiedy po raz ostatni się spotkaliście? – zapytał Beauvoir.

– Rankiem tego dnia, gdy CC umarła.

Wymagało od niego niehumanitarnego wysiłku oderwać wzrok od Gamache'a i przenieść spojrzenie na spiętego mężczyznę w fotelu obok.

– CC przyszła do mnie, uprawialiśmy seks. Ta relacja sprowadzała się tylko do cielesnego aspektu. Ona nic nie czuła do mnie ani ja do niej.

Powiedział to wreszcie. Paskudne. Odetchnął, już czując ulgę.

– Czy CC wyjaśniła panu, dlaczego kupiła dom w tej okolicy? – zapytał Beauvoir.

– W Three Pines? Nie. Sam się nad tym zastanawiałem. Ale ona nic nie robiła bez powodu, i w większości wypadków chodziło o pieniądze.

– Czy uważa pan, że tym razem też tak było?

– Zawsze tak było. Nawet jeśli chodzi o motywy naszego romansu. Nie jestem tak wielkim durniem, by myśleć, że sypiała ze mną, bo seks był taki dobry. Chciała zaoszczędzić na honorarium fotografa. Płatność w naturze.

Saul był zdziwiony, jak bardzo zawstydzony się poczuł. Nawet gdy o tym mówił, z trudem wierzył we własne słowa. Czy naprawdę dał CC zniżkę w zamian za seks?

– Mogę się mylić, ale miałem wrażenie, że CC kupiła ten dom, bo mogła coś na tym zyskać, i nie mam tu na myśli ciszy i spokoju. Według mnie CC de Poitiers kochała wyłącznie pieniądze i prestiż.

– Proszę opowiedzieć, co pan robił w dniu śmierci CC – powiedział Beauvoir.

– Wstałem koło siódmej, rozpałem kominek, nastawiłem kawę i czekałem. Wiedziałem, że CC przyjdzie, i faktycznie, zjawiała się koło ósmej. Nie rozmawialiśmy wiele. Zapytałem, jak spędza święta. Wzruszyła ramionami. Żał mi jej córki. Trudno mi sobie wyobrazić, jak to jest, mieć taką matkę. Tak czy inaczej, CC wyszła jakąś godzinę później. Umówiliśmy się, że spotkamy się na śniadaniu w Legionie.

– Kiedy zdecydowała, że tam pójdzie?

– Słucham?

– Czy zdecydowała w ostatniej chwili, że pójdzie na śniadanie i mecz curlingowy, czy zamierzała to zrobić już od jakiegoś czasu?

– Och, to było od dawna zaplanowane. Ja jej o tym wspomniałem, ale wiedziała wcześniej. Byli na takiej imprezie w zeszłym roku, tuż po tym, jak kupiła dom. Chciała, by zrobić jej zdjęcia w otoczeniu zwykłych ludzi. To ona to tak ujęła, nie ja. Pojechałem więc na śniadanie i zrobiłem parę rolek filmu, a potem poszliśmy na mecz. Było strasznie zimno. W końcu aparat mi zamarznął. Musiałem go schować pod płaszczem, włożyć pod pachę, żeby odtajał. Kręciłem się dookoła, próbując różnych ujęć. CC nie była szczególnie fotogeniczna, więc musiałem wybrać właściwy kąt i światło, a najlepiej uchwycić w kadrze jakieś inne, ciekawe obiekty. Ta starsza pani, która siedziała obok niej, była świetna. Twarz taka pełna charakteru, no i ten sposób, w jaki patrzyła na CC. Fantastyczne. – Petrov odchylił się na fotelu i roześmiał na wspomnienie Kaye, obrzucającej CC takim wzrokiem, jakby patrzyła na coś,

co jej pies zwymiotował. – No i bez przerwy upominała CC, żeby siedziała spokojnie. CC rzadko słuchała innych ludzi. W zasadzie, jak pamiętam, nie słuchała nikogo, ale ta starsza pani była wyjątkiem. Ja też bym jej posłuchał. Bałbym się sprzeciwić. No i CC faktycznie siedziała w miarę spokojnie. Ułatwiło mi to pracę.

– Dlaczego Kaye Thompson upominała CC, żeby siedziała spokojnie?

– CC była typem nerwusa. Bez przerwy się rzucała, żeby wyprostować krzywo wiszący obrazek albo nierówno ustawioną popielniczkę czy lampę. Nic nigdy nie było dobrze. Myślę, że w końcu zaczęła działać starszej pani na nerwy. Ta kobieta miała minę, jakby zamierzała ją zabić.

Gamache wiedział, że to tylko metafora, ale Petrov najwyraźniej nawet nie zauważył, co powiedział.

– Dostaliśmy wywołane filmy z laboratorium dziś rano. – Beauvoir podszedł do stołu i rozłożył zdjęcia. Na blacie leżała seria fotografii – ostatnie minuty życia CC i to, co zdarzyło się później.

– Zauważył pan coś szczególnego? – zapytał.

Po jakiejś minucie Petrov wyprostował się i potrząsnął głową.

– Wygląda tak, jak to pamiętam.

– Niczego nie brakuje? Na przykład całej serii, od tego momentu do tego tutaj? Od chwili, gdy CC jeszcze żyła, do tej, kiedy była już martwa. Brakuje całego morderstwa. – Beauvoir podniósł głos. W odróżnieniu od Gamache'a, który mógł siedzieć i gawędzić ze świadkiem cały dzień z nadzieją, że ten w końcu zacznie mówić, inspektor wiedział, że jedyna metoda, by przycisnąć podejrzanego, to uświadomić mu, kto tutaj rządzi.

– To pewnie wtedy aparat mi zamarzył – powiedział Petrov, przeglądając zdjęcia i starając się nie okazać lęku, nie zagłębić się z powrotem w ten stan nadąsania i rozczulania się nad sobą, który w tak znacznym stopniu charakteryzował jego życie z CC.

– Bardzo wygodnie się to składa. – Inspektor wziął głęboki oddech. – A może właśnie czułem zapach tego kadru, który pokazywał mordercę? Jak pan myśli? Czy spalił pan film, na którym widać było, jak CC została zamordowana?

– Dlaczego miałbym to robić? Czy film pokazujący zbrodnię nie udowadniałby, że jestem niewinny?

To przystopowało Beauvoira.

– Przysięgam, że dałem wam wszystkie filmy, jakie zrobiłem tego dnia.

Oczy inspektora zwężyły się, gdy obserwował kulącego się ze strachu Petrova. Coś narozrabiał, pomyślał Beauvoir, ale nie miał pojęcia, jak przycisnąć fotografa.

Policjanci wyszli; inspektor popędził do samochodu, a Lemieux szedł w pewnej odległości, nie chcąc paść ofiarą niewyładowanej frustracji starszego kolegi. Gamache zatrzymał się na ganku i mrużąc powieki, popatrzył w słońce, a nozdrza zacisnęły mu się na lodowatym zimnie.

– Ślicznie tu. Szczęściarz z pana – powiedział nadinspektor, zdejmując rękawiczkę i wyciągając prawicę. Saul Petrov uścisnął ją, czując ciepło ludzkiego kontaktu. Był z CC tak długo, że niemal zapomniał, że nie wszyscy ludzie są lodowaci.

– Niech pan nie będzie nierozsądny, panie Petrov.

– Powiedziałem panom prawdę, nadinspektorze.

– Mam nadzieję, sir – Gamache uśmiechnął się i dziarsko pomaszerował do samochodu, czując, jak twarz zaczyna mu już zamarzać. Petrov wszedł do salonu i przyglądał się, jak samochód znika za zakrętem, po czym spojrzał jeszcze raz na jasny, nowy świat i zastanowił się, jak bardzo był nierozsądny. Przegrzebał szuflady i znalazł czystą kartkę świąteczną i długopis. Napisał na niej krótką wiadomość, po czym ruszył do Saint-Rémy w poszukiwaniu skrzynki pocztowej.

– Niech pan zatrzyma samochód – polecił Gamache. Beauvoir przycisnął hamulce i spojrzał na szefa. Nadinspektor siedział na miejscu pasażera, jego wargi poruszały się nieznacznie, po chwili zamknął oczy i uśmiechnął się, potrząsając głową.

– Muszę porozmawiać z Kaye Thompson. Proszę mnie wysadzić w Williamsburgu, potem pojechać do Three Pines i zanieść Clarze Morrow kasetę z *Lwem w zimie*. Proszę jej powiedzieć, żeby panu pokazała, co miała na myśli. Będzie wiedziała, o co chodzi.

Beauvoir zawrócił samochód w stronę Williamsburga.

Gamache właśnie domyślił się, o co chodziło Clarze w ich urwanej

rozmowie; jeśli miał rację, to by wiele wyjaśniło.

– Pierdolić papieża?

Gamache nigdy nie wyobrażał sobie, że coś takiego powie. A już szczególnie nie w formie pytania.

– To właśnie mówili. – Kaye popatrzyła na niego przenikliwymi, błękitnymi oczami, które zasnuwała teraz dziwna mgiełka. Wyczerpanie. Obok na kanapie siedziała Émilie Longpré, pochylając się w przód i bacznie przysłuchując słowom przyjaciółki.

– Dlaczego? – zapytała Kaye Gamache’a.

Oczywiście to było pytanie, które sam bez przerwy zadawał, a teraz ktoś zadał je jemu. Nadinspektor odniósł wrażenie, że dzieje się coś, czego nie rozumie, że jest w tym wszystkim jakiś podtekst, który mu umyka.

Myślał przez chwilę, patrząc przez okno skromnego pokoju w domu spokojnej starości. Kaye miała wspaniały widok na jezioro Brume. Za jeziorem zachodziło słońce, długie cienie gór przecinały taflę w taki sposób, że część błyszczała w świetle, a część leżała w cieniu, jak jin i jang. Scena powoli zniknęła i nadinspektor wyobraził sobie chłopaków w okopach, ich młodzieńcze oczy pełne lęku. Kazano im zrobić coś niewyobrażalnego – i właśnie się do tego przymierzali.

– Zastanawiam się, czy wiedzieli, że słowo może zabić – powiedział Gamache powoli, widząc oczami wyobraźni bezbronnych, młodych ludzi, gotowych na śmierć.

Co było niezbędne, by tego dokonać? Czy on byłby w stanie to zrobić? Pognać bez zastanowienia ku niebezpieczeństwu to jedno, ale czekać, czekać i czekać, wiedząc, że ono nadchodzi, to zupełnie inna historia. A potem i tak to zrobić. Bez celu, bez końca.

– To idiotyczne. Okrzyk „Pierdolić papieża!” nie zabiłby ani jednego Niemca. Czego się powinno używać jako słownej amunicji? Co robić, kiedy do człowieka strzelają? Pobiec w jego stronę, krzycząc: „*Tabernacle!*”, „*Sacré!*” albo „*Chalice!*”? Mam nadzieję, że nigdy nie znajdę się w takiej podbramkowej sytuacji, gdzie stawką jest życie lub śmierć. *Merde.*

Gamache się roześmiał. Najwyraźniej jego głęboki komentarz nie zrobił

spodziewanego wrażenia. Prawdopodobnie Kaye miała rację. Nie mieściło mu się w głowie, dlaczego ci młodzi ludzie krzyczeli coś takiego nad Sommą.

– Chciałem wam obu pokazać zdjęcia, które przyniosłem. – Rozłożył na stole fotografie zrobione przez Saula.

– Kto to? – zapytała Kaye.

– To ty, *ma belle* – odpowiedziała Émilie.

– Żartujesz chyba? Wyglądam jak kartofel w worku na brudną bieliznę.

– Na kilku zdjęciach najwyraźniej coś pani mówi do CC – zauważył Gamache. – Co pani mówiła?

– Prawdopodobnie mówiłam jej, żeby siedziała spokojnie. Bez przerwy się wierciła, to było bardzo irytujące.

– I posłuchała pani? Dlaczego?

– Kaye wszyscy słuchają – wtrąciła Em z uśmiechem. – Podobnie jak jej ojciec, jest urodzonym dowódcą.

Gamache pomyślał, że to nie do końca prawda. Uważał, że z trójki przyjaciółek to Émilie Longpré była urodzoną przywódczynią, choć najmniej mówiła.

– Nasza Kaye przez dziesięciolecia prowadziła tartak Thompsonów na Mount Echo, zupełnie sama. Szkoliła i organizowała gromadę mężczyzn, którzy ją uwielbiali. To było najbardziej dochodowe przedsiębiorstwo tartaczne w całej okolicy.

– Jeśli byłam w stanie nakłonić wielkiego drwala, żeby raz w tygodniu skorzystał z łaźni, mogłam też sprawić, by CC przestała się wiercić. Nigdy nie znosiłam takich nerwowych typów.

– Myślmy teraz, że de Poitiers to nie jest prawdziwe nazwisko CC – mówiąc to, Gamache obserwował reakcję kobiet. Ale obie przyglądały się fotografiom. – Podejrzewamy, że jej matka pochodziła z Three Pines i że to dlatego CC tu przyjechała. By odnaleźć matkę.

– Biedne dziecko – powiedziała Em, wciąż nie podnosząc wzroku. Nadinspektor zastanawiał się, czy aby celowo nie unika kontaktu wzrokowego.

– Udało jej się?

– Znaleźć matkę? Nie wiem. Ale wiemy, że imię jej matki zaczynało się

na L. Ktoś pani przychodzi na myśl?

– Cóż, owszem – odparła Émilie. – Niejaka Longpré.

Kaye zachłysnęła się ze śmiechu.

– Och niechże pan da spokój, nadinspektorze. Nie podejrzewa pan chyba Em? Czy uważa pan, że byłaby zdolna porzucić własne dziecko? Już prędzej udałoby się jej wygrać w curling. Nie, absolutnie nie jest do tego zdolna.

– Dziękuję, kochana.

– Ktoś jeszcze? – zapytał. Zapadła cisza. W końcu obie kobiety potrząsnęły głowami. Wiedział, że coś przed nim ukrywają. Obie mieszkały w Three Pines, kiedy była tu matka CC; w tamtym czasie, w latach pięćdziesiątych, w małym miasteczku w Quebecu młoda dziewczyna w ciąży z pewnością zostałaby zauważona.

– Może podrzucić pana do domu? – zapytała Em po chwili długiego, niezręcznego milczenia.

Gamache schylił się, by pozbierać zdjęcia, i wtem coś zauważył. Kaye patrząca wyjątkowo krzywo na CC, CC gapiąca się przed siebie na puste krzesło, jakby desperacko próbując dopaść do niego. Nadinspektor wiedział już, jak morderca dokonał zbrodni.

Clara i Peter Morrow włączyli telewizor, a Beauvoir wsunął kasetę do kieszeni magnetowidu.

Nie był specjalnie podekscytowany perspektywą tego seansu. Dwie godziny jakiejś angielskiej filmowej staroci, gdzie prawdopodobnie nic się nie dzieje poza bezustannym gadaniem. Żadnych wybuchów. Żadnego seksu. Inspektor pomyślał, że wolałby mieć znowu grypę niż oglądać *Lwa w zimie*. Lemieux siedzący na kanapie obok nie posiadał się z ekscytacji.

Ech, te dzieciaki.

Na prośbę nadinspektora Émilie Longpré podwiozła Gamache'a do dawnego domu Hadleyów.

– Poczekać na pana?

– Nie, madame, *mais vous êtes très gentille*. Spacer dobrze mi robi.

– Noc jest zimna, nadinspektorze, i temperatura spada. – Wskazała na deskę rozdzielczą samochodu. Wyświetlały się tam godzina i temperatura. Minus piętnaście stopni, a słońce dopiero zaszło. Było wpół do piątej.

– Nigdy nie lubiłam tego domu – powiedziała Em, patrząc na wieżyczki i ciemne okna. Przed nimi migotały ciepło światła Three Pines, obiecując towarzystwo i aperitif przy przyjemnie trzaskającym ogniu. Gamache niechętnie otworzył drzwiczki, które zaskrzypiały w proteście zamarzniętymi zawiasami. Patrzył, jak samochód Émilie znika za niewielkim pagórkem w drodze do miasteczka, po czym zwrócił się w stronę domu. W oknie salonu paliło się światło, a kiedy zadzwonił do drzwi, rozbłysła też lampa w hallu.

– Proszę, proszę. – Richard Lyon praktycznie wciągnął nadinspektora do środka. – Koszmarna noc. Proszę wejść, nadinspektorze.

Na miłość boską, niechże ten człowiek przestanie być taki przymilny. Nie mógłby raz zachowywać się normalnie? Jak ktoś, kto wzbudza szacunek. Może

jak prezydent Roosevelt. Albo kapitan Jean-Luc Picard.

– W czym mogę pomóc, nadinspektorze? – Lyon był teraz zadowolony z brzmienia własnego głosu.

Spokojny, opanowany, kontrolujący sytuację. Teraz tylko tego nie spieprzyć.

– Muszę zadać panu kilka pytań. Najpierw jednak, jak się ma pańska córka?

– Crie?

Gamache zastanawiał się, dlaczego za każdym razem, gdy pytał o Crie, Lyon wydawał się taki zażenowany, jak gdyby zaskoczony odkryciem, że ma córkę, i że kogoś to obchodziło.

– Chyba czuje się dobrze, tak sędzę. Coś zjadła na lunch. Podkręciłem ogrzewanie, żeby nie było jej zimno.

– Odzywa się?

– Nie, ale nigdy wiele nie mówiła.

Gamache zapragnął potrząsnąć tym człowiekiem, który żył jakby w otulinie z waty, odizolowany i wytłumiony. Nieproszony, nadinspektor przeszedł przez salon i usiadł naprzeciw Crie. Dziewczynka była ubrana inaczej: w białe szorty, który wpijały się jej w uda, i różową koszulkę na ramiączkach. Włosy miała spięte w kucyki, a twarz bez wyrazu.

– Crie, jestem nadinspektor Gamache. Jak się czujesz?

Nie było odpowiedzi.

– Zimno tutaj. Nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli dam ci mój sweter?

Zdjął kardigan i opatulił nim nagie ramiona dziewczynki, po czym zwrócił się do Lyona.

– Gdy wyjdę, sugerowałbym, żeby owinął ją pan kocem i posadził przy kominku.

– Ale on daje niewiele ciepła – odparł Lyon, mówiąc sobie w duchu: „Staraj się nie zabrzmieć marudnie; mów z mocą, zdecydowanie, jak pan domu”. – Poza tym nie ma drewna.

– Drewno jest w piwnicy. Pomogę panu przynieść. Pewnie ma pan rację co do ciepła, ale ogień jest wesoły i jasny. To ważne. A teraz chciałbym zadać kilka pytań. – Gamache wyszedł z salonu do hallu. Nie chciał spędzać dużo czasu w tym domu. Zamierzał odwiedzić Myrnę w księgarni przed

zamknięciem sklepu.

– Jak brzmi prawdziwe nazwisko pańskiej żony?

– De Poitiers.

– Pytam o prawdziwe nazwisko.

Lyon wyglądał na kompletnie zaskoczonego.

– Nie de Poitiers? Cóż pan mówi?

– Tamto zmyśliła. Nie wiedział pan?

Lyon potrząsnął głową.

– Jaka jest pańska sytuacja finansowa?

Lyon otworzył usta, ale zaraz je zamknął, zanim zdążyło się z nich wydobyć kłamstwo. Nie miał już potrzeby kłamać, udawać, że jest kimś, kim nie był. To CC upierała się przy takim postępowaniu i nakłoniła go, by potwierdzał jej kłamstwa. Nie musiał dłużej udawać, że urodzili się, by mieszkać w domu takim jak ten, w pałacyku na wzgórzu, że byli wielcy i bogaci.

– Wycofałem oszczędności z mojej polisy emerytalnej, żeby kupić ten dom – przyznał Lyon. – Jesteśmy w długach po uszy.

Zaskoczyło go, jak łatwo przyszło to wyznanie. CC wmawiała mu, że nigdy nie mogą przyznać, jak jest naprawdę. Że jeśli ludzie się dowiedzą, jak naprawdę żyją, będą skończeni. Matactwa i tajemnice i tak doprowadziły ich do ruiny. Teraz zaś Richard Lyon powiedział prawdę i nic strasznego się nie stało.

– Już nie. Pańska żona miała ubezpieczenie na życie, na dwieście tysięcy dolarów.

Coś strasznego właśnie się stało i Lyon głęboko pożałował, że powiedział prawdę. Co by na jego miejscu zrobił prezydent Roosevelt? A kapitan Picard? Albo CC?

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi – skłamał.

– Na polisie jest pański podpis. Mamy dokumenty.

Działo się coś naprawdę strasznego.

– Z wykształcenia jest pan inżynierem i wynalazcą. Nie miałby pan trudności z podłączeniem kabli, które spowodowały, że pańska żona została śmiertelnie porażona prądem. Wiedział pan, że aby tak się stało, musiała stanąć w kałuży

i mieć gołe ręce. Mógł pan jej podrzucić niacynę przy śniadaniu. Znał pan ją dość dobrze, by przewidzieć, że zajmie najlepsze miejsce przy grzejniku.

Głos Gamache'a, który brzmiał dotąd tak rozsądnie, a przez to bardziej przerażająco, przycichł teraz. Nadinspektor sięgnął do swojej torby i wyjął z niej fotografię.

– Od początku zastanawiało mnie to, skąd morderca wiedział, że CC złapie za krzesło stojące przed nią. Nikt tak zwykle nie robi. Ale już wiem. Oto, jak to się stało.

Pokazał fotografię Lyonowi. Richard ujrzał twarz żony jakąś minutę przed jej śmiercią. Stojąca obok Kaye coś mówiła, ale uwagę CC przykuwało krzesło stojące przed nią.

Richard Lyon pobladł.

– Pan także by wiedział, sir. Jestem niewinny.

Słowa Lyona były teraz ledwie słyszalne, jak szelest. Nawet głosy w jego głowie uciekły, zostawiając go samego. Całkiem samego.

– On jest niewinny – powiedziała Myrna dwadzieścia minut później.

– Skąd pani wie? – zapytał Gamache, zasiadając w bujanym fotelu. Wyciągnął długie nogi w kierunku pieca, emanującego ciepłem. Myrna zrobiła mu gorący poncz na rumie i ustawiła naczynie z napojem na stercie magazynów „New York Review of Books”, leżącej na stojącej między nimi skrzyni na pościel. Gamache powoli tajał.

– Siedział przez cały czas obok mnie na trybunie.

– Pamiętam, że tak pani mówiła, ale czy to możliwe, że wymknął się na parę minut, a pani nie zauważyła?

– Tak samo pan by zauważył, gdyby po drodze tutaj z domu Hadleyów kurtka spadła panu z ramion na kilka minut. – Oczy jej zaśniły, gdy to mówiła.

– Może.

Wiedział, o co jej chodzi, i nie chciał przyjąć tego do wiadomości. Nie chciał usłyszeć, że ten idealny podejrzany nie mógł być sprawcą, bo gdyby wyszedł na chwilę, Myrna zauważyłaby nagły brak jego ciepła, jeśli nawet nie jego osoby.

– Widzi pan, nie przepadam za tym facetem – mówiła Myrna. – Ktoś przez te

wszystkie lata tak dał Crie do wiwatu, że jest praktycznie pozbawiona wszelkiego kontaktu z otoczeniem. Z początku myślałam, że jest autystyczna, ale spędziwszy z nią parę minut, zmieniłam zdanie. Uważam, że ukryła się wewnątrz własnej głowy. I to Richard Lyon jest temu winien.

– Proszę mi opowiedzieć. – Gamache podniósł ciepły kubek. Czuł zapach rumu i przypraw.

– Cóż, niech pan pozwoli, że będę ostrożna w osądach. Moim zdaniem przez całe swoje życie Crie była obiektem psychicznej i werbalnej przemocy. Myślę, że to CC była tu dręczycielką, ale w takich sytuacjach zwykle mamy do czynienia z trzema zaangażowanymi w sytuację osobami. Ofiara, dręczyciel i bierny obserwator. Jeden z rodziców znęca się nad dzieckiem, a drugi wie o tym i nie reaguje.

– Czy jeśli CC emocjonalnie znęcała się nad córką, czy nie dręczyłaby też swego męża? – Gamache przypomniał sobie, jaki wystraszony i zagubiony wydawał się Lyon.

– To prawie nie ulega wątpliwości. Jednak to jej ojciec i powinien był ją chronić.

– I nie zrobił tego.

Myrna pokiwała głową.

– Czy wyobraża sobie pan, jak to musiało być, mieszkać w tym domu? – Siedziała zwrócona plecami do okna i nie widziała dawnego domu Hadleyów, ale mogła czuć jego obecność.

– Czy nie powinniśmy zawiadomić pogotowia opiekuńczego? Czy Crie byłoby lepiej gdzie indziej?

– Nie, myślę, że najgorsze już minęło. Teraz potrzebny jej kochający rodzic i intensywne terapia. Czy ktoś kontaktował się z jej szkołą?

– Powiedzieli nam, że jest zdolna, ma doskonałe stopnie, ale ma trudności z dostosowaniem się do grona rówieśników.

– A teraz pewnie już nigdy nie zacznie się dostosowywać. Zbyt wiele krzywdy jej wyrządzono. Stajemy się uosobieniem tego, w co wierzymy, a Crie wierzy, że jest w niej coś okropnego. Całe życie tego wysłuchiwała, a teraz ją to prześladowuje, powtarzane głosem własnej matki. To ten właśnie głos słyszymy w momentach ciszy, szepce do nas pochwały albo oskarżenia. Nasza własna

matka.

– Albo ojciec – powiedział Gamache. – Chociaż w tym przypadku ojciec nic nie mówił. Matka mówiła za dużo, a on nie dosyć. Biedna Crie. Nic dziwnego, że to się skończyło morderstwem.

– „Żyjemy w epoce inteligentnych pocisków i bezmyślnych ludzi” – zacytowała Myrna. – Doktor Martin Luther King, Junior.

Gamache skinął głową i zaraz przypomniało mu się coś jeszcze.

– „Twoje myśli stają się słowami. Twoje słowa stają się czynami. Twoje czyny stają się twoim przeznaczeniem”. Mahatma Gandhi. Było tego więcej, ale nie pamiętam wszystkiego.

– Nie wiedziałam, że z Mahatmy był taki gaduła, ale zgadzam się z nim. Bardzo mocne. Wszystko zaczyna się od naszych przekonań, a te przejmujemy od naszych rodziców; jeśli rodzic jest chory, przekonania przejęte od niego są chore i infekują wszystko, co myślimy i co robimy.

Gamache zastanawiał się, kto był matką CC i jakie przekonania jej przekazał. Popijał swój poncz, a jego zmarznięte ciało nareszcie się rozgrzewało. Nadinspektor się rozejrzał.

Sklep miał klimat starej biblioteki w wiejskim domu. Przy ścianach stały drewniane regały wypełnione książkami. Na podłodze leżały ręcznie robione dywaniki, a pośrodku znajdował się wielki, opalany drewnem piec. Naprzeciw niego ustawiono kanapę, a po bokach dwa bujane fotele. Gamache, który uwielbiał księgarnie, pomyślał, że ta jest najbardziej urocza ze wszystkich, w jakich kiedykolwiek był.

Przyszedł kilka minut przed piątą, mijając się w drzwiach z Ruth. Znów zatrzymała się w połowie miejskiego skweru i przysiadła na lodowatej ławce. Nadinspektor wyglądał teraz przez okno księgarni i widział, że starsza pani siedzi tam ciągle, sztywna i zmarznięta, obrysowana wesołymi światełkami choinki.

– Cóż, „wszystkie dzieci są smutne, ale niektóre z tego wyrastają” – zacytował Gamache.

Myrna podążyła za jego spojrzeniem.

– Wyszła na piwo – powiedziała.

– Wyszła na piwo – powtórzył Robert Lemieux. Wciąż był u Morrowów, odszedł na chwilę od telewizora. Clara z Beauvoirem ciągle tam siedzieli, gapiąc się w ekran, z oczami jak spodki. Odkąd zaczął się *Lew w zimie*, jedynym objawem, że inspektor jeszcze żyje, było dochodzące z pokoju raz na jakiś czas westchnienie. Lemieux próbował się wciągnąć w akcję, ale zaraz zapadał w sen. Wyobraził sobie, że zasypia z głową na ramieniu Beauvoira i z otwartymi ustami, z których kapie ślina. Uznał, że lepiej będzie, jak wstanie i przejdzie się po domu.

Teraz spoglądał przez okno; Peter Morrow dołączył do niego.

– Co ona robi? – zapytał Lemieux, wskazując starą kobietę siedzącą na ławce, podczas gdy cała reszta miasteczka chowała się w domach albo przemykała pospiesznie przez noc, która była tak zimna, że wydawało się, iż powietrze zamarzło na kamień.

– Och, wyszła na piwo.

Lemieux potrząsnął głową. Żałosna stara pijaczka.

* * *

Gdy Myrna skończyła wyjaśniać, Gamache podszedł do wieszaka i obmacał wszystkie kieszenie płaszcza, aż trafił na to, czego szukał. Egzemplarz książki Ruth, znaleziony przy zwłokach Elle.

Wrócił na miejsce i otworzył tomik na chybił trafił, i zaczął czytać.

– Niesamowita z niej poetka – powiedziała Myrna – szkoda, że jako człowiek jest taka porąbana. Mogę? – Sięgnęła po książkę i otworzyła ją na pierwszej stronie. – Clara to panu pożyczyła?

– Nie, dlaczego?

– Dedykacja jest dla niej. – Myrna pokazała mu wpis: „Cuchniesz. Z miłością, Ruth”.

– „Cuchniesz” to do Clary?

– No bo tamtego dnia dziwnie pachniała. Czy to nie zabawne? Clara zgubiła ten egzemplarz. Najwyraźniej się odnalazł, chociaż słyszę, że nie dostał pan go od Clary.

– Nie, to dowód w śledztwie.

– Śledztwie w sprawie morderstwa?

– Powiedziała pani, że Clara zgubiła tę książkę po promocji? – Gamache pochylał się w przód, a jego bystre oczy wpatrywały się w Myrnę.

– Tak, w Ogilvy. Clara kupiła ten egzemplarz na promocji i poprosiła Ruth o dedykację, a potem musiałyśmy już iść. – Myrna czuła jego podniecenie, które jej także się udzieliło, choć nie wiedziała dlaczego.

– Czy wróciłyście prosto do domu?

– Ja poszłam po samochód i zabrałam ją spod księgarni. Nie zatrzymywałyśmy się nigdzie.

– Czy Clara poszła gdzieś, zanim spotkałyście się przy samochodzie?

Myrna zastanowiła się przez moment i potrząsnęła głową. Nadinspektor wstał. Nadszedł czas, by odwiedzić Morrowów.

– Zaraz, było coś jeszcze, o czym opowiedziała mi nazajutrz. Kupiła coś do jedzenia dla tej starej żebraczki na zewnątrz. Ona... – Myrna umilkła.

– Proszę mówić dalej. – Zawrócił spod drzwi.

– Nic takiego.

Patrzył na nią w milczeniu.

– Nie mogę panu powiedzieć. To Clara musi zrobić.

– Żebraczka nie żyje. Została zamordowana. – Podniósł w dłoni tomik Ruth i powiedział cicho: – Musi mi pani powiedzieć.

Peter wprowadził Gamache'a do domu i wziął od niego płaszcz. W środku unosił się niedający się z niczym pomylić zapach popcornu, a w tle rozlegał śpiew gotyckiego chóru.

– Właśnie kończą oglądać film – wyjaśnił Peter.

– Już skończyliśmy. – Clara zajrzała do kuchni, by powitać nadinspektora. – Myślę, że jest nawet lepszy za drugim razem. I znaleźliśmy coś.

Przeszli przez salon i zastali Beauvoira, wgapijącego się z szeroko otwartymi oczami w ekran, na którym wyświetlały się końcowe napisy.

– *Mon Dieu*, nic dziwnego, że wy, Anglicy, odnieśliście zwycięstwo na Równinie Abrahama^[22] – powiedział. – Wszyscy jesteście szaleńcami.

– Na wojnie to zaleta – zgodził się Peter. – Ale nie wszyscy jesteśmy jak król Henryk czy Eleonora Akwitańska. – Kusiło go, by wspomnieć, że oboje byli Francuzami, ale zdecydował, że to byłoby niegrzeczne.

– Tak pan sądzi? – zapytał Beauvoir. Wystarczająco się naoglądał Anglików w Quebecu, by mieć co do tego wątpliwości. To ich nieprzenikniona tajemniczość go przerażała. Nie mógł zgadnąć, co myślą ani co zrobią. W towarzystwie Anglików czuł się bezbronny i zagrożony. I nie podobało mu się to. Szczerze mówiąc, nie lubił Anglików, a ten film nie dał mu powodów, żeby zmienić zdanie.

Przerażające.

– Tutaj. – Clara nacisnęła klawisz przewijania. Po chwili taśma zaczęła się dziwnie zachowywać.

Gamache w końcu zrozumiał urywaną wiadomość, którą Clara próbowała mu przekazać przez telefon. Taśma wideo rozciąga się, jeśli się ją zbyt często zatrzymuje w jednym miejscu. A kiedy się rozciąga, obraz ulega zniekształceniu. Clara chciała powiedzieć, że skoro Peter zatrzymywał taśmy w tym samym miejscu, aż się rozciągnęły, być może CC robiła to samo.

– To miejsce, gdzie taśma zaczyna się dziwnie zachowywać – powiedział Lemieux. Ale oglądałem ten fragment w kółko i nic się tu nie dzieje.

– Myślę, że zorientuje się pan, że w tym filmie każdy kadr czemuś służy. I musi być powód, dla którego CC zatrzymywała go w tym miejscu.

Lemieux się zarumienił. Znowu ta sama lekcja. Nic się nie dzieje bez przyczyny. Gamache mówił rzeczowo, ale obaj wiedzieli, że już po raz drugi musiał to przypomnieć młodemu policjantowi.

– No dobra, lecimy. – Clara usiadła i przycisnęła „Start”.

Do ponurego brzegu zbliżała się barka. Grająca starzejącą się Eleonorę, owinięta chustami Katharine Hepburn, wyglądała wspaniale. Nie było żadnego dialogu, tylko długie, idylliczne ujęcie, pokazujące łódź, ludzi przy wiosłach i przybywającą królową.

Barka dobijała już niemal do brzegu, gdy taśma zaczęła się dziwnie zachowywać.

– Tutaj. – Clara zatrzymała na moment. – Proszę, zobaczcie jeszcze raz.

Przewinęła scenę jeszcze dwa razy i po dwakroć Eleonora przybyła na fatalne święta Bożego Narodzenia ze swą rodziną.

Clara zatrzymała obraz dokładnie w tym miejscu, gdzie taśma zaczynała przeskakiwać. Dziób łodzi niemal kompletnie wypełniał ekran. Nie było widać żadnych twarzy, w ogóle żadnych aktorów, tylko martwe, bezlistne drzewa w niemal wymarłym pejzażu, szarą wodę i zarys łodzi. Gamache pomyślał, że być może Lemieux miał rację.

Nadinspektor pochylił się w przód na kanapie i przyglądał się. W końcu automatycznie film zaczął odtwarzać się dalej i Clara musiała znowu przewinąć, włączyć i po raz kolejny przycisnąć pauzę.

Mijały minuty.

– Co widzicie? – zapytał Gamache zgromadzonych.

– Łódź – powiedziała Clara.

– Drzewa – dorzucił Peter.

– Wodę – dodał Beauvoir, spiesząc się, by coś powiedzieć, zanim wszystko zostanie wymienione.

Lemieux był wściekły na siebie. Nie zostało już nic więcej, o czym mógłby

wspomnieć. Uchwycił spojrzenie Gamache'a, który mu się przyglądał – z rozbawieniem, ale w jego wzroku było coś jeszcze. Aprobata. Lepiej nic nie powiedzieć niż odezwać się tylko dla zasady. Lemieux odpowiedział uśmiechem i odprężył się. Gamache spojrział na ekran. Łódź, drzewa, woda. Czy to był tylko zbieg okoliczności, że CC zatrzymała taśmę właśnie tutaj? Czy za bardzo próbował odczytać z tego coś więcej? Ale taśma nie rozciągnęłaby się od jednorazowego zatrzymania; by ją uszkodzić, operacja musiała być powtarzana wielokrotnie.

Nadinspektor wstał, by rozprostować nogi.

– Nie ma co się dłużej przyglądać. Nic tu nie ma. Miał pan rację, a ja się myliłem. Przepraszam – zwrócił się do Lemieux, który był tak oszołomiony, że nie wiedział, co robić.

– Przykro mi – powiedziała Clara, odprowadzając ich do przedpokoju. – Myślałam, że wpadłam na jakiś trop.

– I może tak było. Ma pani żyłkę detektywistyczną, madame.

– Bardzo mi pan pochlebia, monsieur.

Jeśli Peter byłby psem, sierść stanęłaby mu dęba na grzbiecie. Starał się jak mógł, ale nie był w stanie opanować zazdrości o Gamache'a i jego niewymuszoną relację z Clarą. W przedpokoju Gamache wyciągnął z kieszeni płaszcza książkę i delikatnie podał Clarze. Po rozmowie z Myrną miał przeczucie, co powinien zrobić, i wolałby nie musieć tak postępować.

– Bardzo miło z pana strony, ale ja już mam ostatnią książkę Ruth.

– Ale nie ten egzemplarz – powiedział nadinspektor, prawie szeptem. Peter z wysiłkiem nasłuchiwał, by usłyszeć jego słowa, podobnie jak reszta.

Clara otworzyła książkę i uśmiechnęła się szeroko. „Cuchniesz. Z miłością, Ruth”.

– To egzemplarz, który zgubiłam. Czy upuściłam go po drodze, czy zostawiłam w bistro?

– Nie, zgubiła go pani w Montrealu.

Clara spojrziała na Gamache'a zdziwiona.

– A pan ją znalazł? To niemożliwe.

– Leżała przy zwłokach kobiety – powiedział powoli i ostrożnie, dając jej

wszelkie szanse, by usłyszała i zrozumiała. – Niedaleko wejścia do Ogilvy, tuż przed świętami. – Wpatrywał się w Clare, badając wyraz jej twarzy, reakcję. Ale ona wciąż wyglądała na zdumioną i rozbawioną. Tylko tyle.

– Zmarła była bezdomną, żebraczką.

Teraz widział, jak w głowie Clary zapala się światełko. Oczy otworzyły się szerzej, cofnęła lekko głowę, jak gdyby próbując odsunąć się od jego słów.

– Nie. – Clara zbladła gwałtownie. W ciszy odetchnęła głęboko kilka razy. – Staruszka, uliczna włóczęga?

Cisza trwała nadal, wszystkie oczy zwrócone były na Clare, do której z trudem docierał sens usłyszanych właśnie słów. Miała wrażenie, że traci oparcie, spada w głęboką przepaść.

„Zawsze uwielbiałam twoją sztukę, Claro”.

Nie. To znaczy, że żebraczka jednak nie była Bogiem, tylko żalosną, starą kobietą. Tak samo pogrążoną w iluzjach jak Clara. Obie myślały, że jej sztuka jest coś warta. I obie się myliły. To CC i Fortin mieli rację.

„Twoja sztuka jest amatorska i banalna. Jesteś nieudacznicą. Nie masz głosu ani wizji, ani żadnej wartości. Zmarnowałaś życie”.

Te słowa wgryzały się w Clare, przyginając ją do ziemi, pociągając w pustkę.

– Mój Boże! – To wszystko, co mogła powiedzieć.

– Peter, czy mógłby pan zrobić herbaty? Gorącej i słodkiej? – poprosił Gamache. Peter był jednocześnie zirytowany, że Gamache o tym pomyślał, i wdzięczny, że ma się czym zająć.

– Proszę wrócić do biura operacyjnego i zobaczyć, czy Isabelle Lacoste zrobiła jakiś postęp – wyszeptał szybko Gamache do Beauvoira, po czym odwrócił się i poprowadził Clare do salonu. Ledwie tam doszedł, zdał sobie sprawę, że nie oddał Beauvoirovi kasety z filmem. Wolałby o tym nie zapomnieć.

– Proszę mi wszystko opowiedzieć – zwrócił się do Clary, gdy usiedli już przy ciepłym kominku.

– Przeszłam tuż nad tą kobietą w drodze do Ogilvy. To było w wieczór promocji książki Ruth. Było mi przykro, że tak postąpiłam, biorąc pod uwagę, jak życie się ze mną dobrze obeszło i tak dalej... – Clara nie dokończyła zdania,

wiedząc, że Gamache zrozumie. Znowu zobaczyła tamtą scenę. Jak wychodzi z promocji, kupuje coś do jedzenia, wjeżdża po tych pamiętnych ruchomych schodach. Jak mija CC.

„Jej sztuka jest amatorska i banalna”.

Clara wspominała, jak wyszła na wieczorny ziąb, jak chciała pobiec w dół ulicą, szlochając, wyjąc, rozpychając świąteczny tłum. Jak pochyliła się nad żebraczką, nad tą cuchnącą gównem kupką nieszczęścia, a jej oczy napotkały spojrzenie przekrwionych oczu tamtej.

„Zawsze uwielbiałam twoją sztukę, Claro”.

– Tak powiedziała? – zapytał Gamache.

Clara skinęła głową.

– Znała ją pani?

– Nigdy wcześniej jej nie widziałam.

– Ale musiała ją pani wcześniej spotkać – wtrącił Lemieux, odzywając się po raz pierwszy od początku tego przesłuchania i z uczuciem, jakby słowa nieproszone cisnęły mu się na usta. Natychmiast zamilkł i popatrzył na Gamache’a, oczekując reprimendy. Zamiast go jednak upomnieć, nadinspektor patrzył na niego z zainteresowaniem. Po chwili odwrócił się w przeciwną stronę.

Lemieux z ulgą słuchoł dalej, ale ledwie mógł usiedzieć w miejscu.

Wszystko, co tu usłyszał, wydało mu się głęboko niepokojące.

– Jak pani to tłumaczy? – spytał Gamache, bacznie obserwując Clarę.

– Nie mam żadnego wytłumaczenia.

– Na pewno pani ma – zachęcił ją, starając się jakoś do niej dotrzeć. – Proszę mi powiedzieć.

– Myślę, że ona była Bogiem. Myślałam, że Nim jest. – Clara z wysiłkiem starała się zapanować nad sobą, ale walczyła ze łzami dławiącymi gardło.

Gamache siedział w milczeniu, czekając. Odwrócił wzrok, starając się dać jej odrobinę prywatności. Wpatrując się w ekran telewizora, w wyobraźni zobaczył zamrożony w bezruchu obraz łodzi. Nie. Nie łodzi, tylko dziobu. Z jakimś znakiem namalowanym na nim. Potwór morski. Wąż. Nie. Ptak.

Orzeł.

Krzyczący orzeł.

Nagle Gamache zrozumiał, dlaczego CC zatrzymywała taśmę właśnie na tej klatce. Musiał wrócić do biura operacyjnego, zanim wyjdzie z niego Lacoste. Zegar na kominku wskazywał kilka minut po szóstej. Może już jest za późno. Przywołał gestem Lemieux i zaszeptał mu coś do ucha. Lemieux natychmiast cicho wyszedł. Chwilę później biegł ścieżką w stronę furtki i za bramę. Nadinspektor przeklinał siebie w myśli, że zapomniał dać mu kasetę wideo z poleceniem, by włożył ją z powrotem do pudła z materiałem dowodowym. Podejrzewał nawet, że sam wyjdzie, zapominając o niej.

Peter wrócił z herbatą, Clara się ocknęła.

– Muszę zapytać panią o to jeszcze raz, Claro, Jest pani pewna, że nigdy wcześniej nie widziała Elle?

– Elle? Czy tak miała na imię?

– Tak ją nazwano w raporcie policyjnym. Nie znamy jej prawdziwego nazwiska.

– Wiele o tym myślałam od tamtego wieczora. Myrna też mnie pytała. Nie znałam tej kobiety, naprawdę.

Gamache jej wierzył.

– Jak umarła? – zapytała Clara. – Z zimna?

– Została zamordowana krótko po rozmowie z panią.

Armand Gamache nie zapomniał zabrać *Lwa w zimie* do biura operacyjnego. Odłożył kasetę i podszedł do biurka Lacoste, nad którym pochylali się już jego współpracownicy. Zauważył, że Nichol siedzi sama, i wezwał ją gestem dłoni.

– Lemieux przekazał mi pańską prośbę – rzekła Lacoste, rzucając nadinspektorowi szybkie spojrzenie. – Proszę spojrzeć na to. – Ekran komputera podzielony był na połowy, na których wyświetlały się dwa niemal identyczne obrazki. Stylizowana głowa krzyżującego orła.

– Ten – Lacoste wskazała na obrazek po lewej – to godło Eleonory Akwitańskiej.

– A ten drugi?

– To logo firmy CC. Jest na okładce jej książki. Rozmyte, nie najlepsza reprodukcja, ale jednak.

– Miał pan rację – powiedział Beauvoir. – CC zatrzymywała film minutę i siedemnaście sekund od początku, żeby przyjrzeć się dokładnie dziobowi łodzi. Musiała wiedzieć, że to godło Eleonory, i chciała je skopiować.

– Wszystko ma sens – mruknął pod nosem Lemieux.

– Jak pan to połączył ze sobą? – zapytał Beauvoir.

– Miałem niezasłużoną przewagę – przyznał Gamache. – Gdy Lyon pokazywał mi książkę CC, zwrócił uwagę na logo. Trudno je zapomnieć.

Pomyślał, że to tłumaczy, dlaczego wybrała tego idiotycznego, wojowniczego orła na swoje logo. To było godło Eleonory.

– Muszę wam coś pokazać. – Podszedł do swojej torby i wyjął z niej fotografię, zrobioną przez Saula Petrova, po czym rozłożył je na stole konferencyjnym, a zespół przystawił krzesła, żeby się przyjrzeć, co szef im pokazuje.

– Wiem już, dlaczego CC złapała za stojące przed nią krzesło – powiedział,

kiwając głową nad serią zdjęć. – Wszystko jest tutaj.

Wpatrywali się w nie przez chwilę, aż Gamache'owi zrobiło się ich żal. Wszyscy byli zmęczeni i głodni, a Lacoste musiała jechać z powrotem do Montrealu.

– Widzicie? – Wskazał na jedną z pierwszych fotografii CC na meczu curlingowym. – To krzesło stoi prosto, prawda?

Przytaknęli.

– Teraz popatrzcie tutaj. – Wyciągnął dłoń w kierunku ostatniego zdjęcia z serii.

– Mój Boże, to takie oczywiste! Jak mogłem to przeoczyć?! – Beauvoir przeniósł wzrok na Gamache'a i wpatrywał się w niego w zadziwieniu. – Jest przekrzywione.

– No i? – zapytała Lacoste.

– Wszyscy, którzy znali CC, choćby nawet przelotnie, zawsze wspominali to samo: że obsesyjnie przestawiała wszystko dookoła. Krzesło w tej pozycji – nadinspektor wskazał na przekrzywiony mebel, z jedną nogą zagłębioną w śniegu – z całą pewnością sprowokowałoby jej reakcję. Dziwi mnie jedynie, że dopiero po takim czasie.

– Ale jak pan zauważył, przedtem stało prosto – powiedziała Nichol. – Ktoś musiał je przekrzywić.

Gamache przytaknął. Co było na rolce filmu, którą spalił Petrov? Może jeden z mieszkańców miasteczka, przechodzący niby mimochodem i opierający się o krzesło? Czy potem ta osoba poszła do generatora i czekała, aż CC wstanie z miejsca? Wtedy jedyne, co sprawca musiał zrobić, to przypiąć kable i – bum. Morderstwo.

To było genialne, niemal eleganckie.

Ale kto to zrobił? Richard Lyon byłby idealnym podejrzanym. Wiedział, że jeśli krzesło będzie stało krzywo, jego żona spróbuje je poprawić.

– Ten fotograf coś ukrywa – zawyrokował Beauvoir.

– Zgadza się – odrzekł Gamache. – Zanim przyszliśmy, spalił w kominku rolę filmu. Myślę, że to były zdjęcia morderstwa.

– Ale dlaczego chciałby je zniszczyć? – zapytał Lemieux. – Jak sam

powiedział, gdyby miał zdjęcia mordercy, dowodziłoby to jego niewinności.

– Może zamierzał użyć ich do szantażu? – zapytała Nichol.

– Ale dlaczego je zniszczył? Powinien był je schować w bezpiecznym miejscu, czyż nie? – odezwała się Lacoste.

Nichol obdarzyła ją niepokojąco przyjaznym uśmiechem.

Suka – pomyślała Nichol. Rozejrzała się i zauważyła, że Gamache na nią patrzy. Czy on wie? – zastanawiała się. Stoi tam, taki zadowolony i swobodny w otoczeniu swojego zespołu. A ona znów jest na zewnątrz, zawsze na zewnątrz. Cóż, niedługo to się zmieni.

– Dlaczego zniszczył zdjęcia, na których widać było, jak CC została zamordowana? – Gamache zastanawiał się głośno, siadając i przyglądając się fotografiom. – Może próbuje chronić mordercę.

– Dlaczego miałyby to robić? Nikogo tutaj nie zna, prawda? – zapytał Lemieux.

– Proszę przejrzeć życiorys Saula Petrova – polecił Gamache Nichol. – Proszę się o nim dowiedzieć, co tylko się da. – Potarł dłonią zmęczone oczy.

Nadinspektor podszedł do swego biurka, wziął kasetę wideo i zaniósł ją do magazynu dowodów. Na podłodze leżała mała kupka przedmiotów wyjętych ze śmietnika CC. Nadinspektor spojrział na listę znalezisk, po czym położył *Lwa w zimie* na miejscu; odłożył także na miejsce listę, spoglądając na znajomy inwentarz. Pudełka po płatkach, resztki jedzenia – wyrzucone już, ale skatalogowane, wideo, zerwana bransoletka, pudełko po butach i zużyty papier do pakowania prezentów. Bardzo zwyczajna lista, z wyjątkiem wideo i bransoletki.

Gamache założył rękawiczki i zaczął grzebać w pudle jak w minikontenerze na śmieci. Po kilku chwilach kartonowe pudło było prawie puste. W kącie został tylko brązowy, brudny i zepsuty drobiazg, wyglądający jak niechciany psiak w schronisku dla zwierząt. Nie była to jednak bransoletka. Gamache założył swoje okulary w kształcie półksiężyców i podniósł znalezisko w wyciągniętej ręce. Wciągnął powietrze, po czym przysunął je bliżej do twarzy, spoglądając na przedmiot zwisający ze znoszonego, skórzanego rzemyka. To nie była bransoletka, ale naszyjnik. A na nim wisiołek z małą,

wytartą, brudną główką krzyżującego orła.

Wybredna i pedantyczna CC nigdy nie założyłaby czegoś tak brudnego. Gamache domyślał się jednak, kto mógł nosić tę ozdobę.

Wstał powoli, a w jego głowie tłoczyły się myśli i obrazy. Zaniósł naszyjnik na swoje biurko, po czym wyjął z szuflady dwa dokumenty: rysunek policyjnego rysownika oraz fotografie z sekcji zwłok Elle.

Gdy oglądał te zdjęcia po raz pierwszy, zauważył na piersi Elle rozmazaną plamę. Jej kształt był krągły, regularny i różnił się kolorem od brudu pokrywającego resztę jej ciała. Ten rodzaj odbarwienia zwykle pojawiał się tam, gdzie marnej jakości metal wchodził w kontakt z potem na skórze. Ledwie zobaczył to zdjęcie, wiedział, że Elle nosiła naszyjnik. Nie był niczym szczególnym, ale dla niej posiadał specjalną wartość.

Istniały także inne dowody świadczące o tym, że miała na sobie wisiołek. Z tyłu szyi widniał mały, ciemny siniak, powstały prawdopodobnie wtedy, gdy zerwano skórzany rzemyk. Wskazówką były też rany na dłoni. Gamache posłał Lemieux do Old Brewery Mission. Miał wypytać, czy ktoś przypomina sobie, żeby Elle nosiła naszyjnik. Kilka osób to pamiętało, choć nikt z nich nie widział wisiora z bliska, by wiedzieć, jak wyglądał. Nadinspektor szukał go w pudle z dowodami, ale na próżno. Wiedział jednak, że gdy go odnajdzie, wpadnie na trop mordercy.

No i proszę, znalazł naszyjnik. W Three Pines, sto kilometrów od lodowatej ulicy w Montrealu, gdzie leżało ciało Elle. Jak do tego doszło?

Armand Gamache zamknął oczy i odtwarzał w wyobraźni kolejne wydarzenia, niczym film. Widział, jak morderca Elle się z nią szarpie. Potem chwyta za naszyjnik i zrywa rzemyk. Elle odbiera wisiołek i zaciska tak mocno, że aż wcina się w jej dłoń. Gamache poprosił rysownika z Sûreté, by połączył krwawe kropki i odtworzył kształt zawieszki.

Patrzył teraz na rysunek. Rysownik nakreślił stylizowane kółko, nieco wyszczerbione z jednej strony, a z drugiej jakby szyję. W pierwszym momencie to nie miało żadnego sensu, ale teraz – owszem. Szczerba pasowała do otwartego w krzyku orlego dziobu. Reszta tworzyła głowę i szyję ptaka.

Czyli Elle umarła, ściskając w ręku swój naszyjnik. Dlaczego był dla niej aż taki ważny, że chciała zatrzymać go nawet w ostatnich chwilach życia?

I dlaczego morderca zadał sobie trud wydarcia go jej z ręki?

Co stało się później? Gamache odchylił się na krześle i splótł dłonie na brzuchu. Wszelkie dźwięki – w pokoju, w miasteczku, w całym Quebecu – ucichły. Nadinspektor był sam we własnym świecie, tylko z mordercą. Co tamten zrobił, i dlaczego?

Morderca wyjął wisiorek z martwej dłoni Elle i zabrał ze sobą. Po czym wyrzucił do śmieci. Do śmietnika CC. Gamache poczuł, że jest blisko rozwiązania. Wszystko było wciąż mętne, nieprzejrzyste, ale ciemność rozświetlało teraz mocne światło, jak reflektor rozpraszający mrok nocy. Zanim dojdzie, kto to zrobił, Gamache musiał dowiedzieć się dlaczego. Dlaczego morderca po prostu nie uciekł? Dlaczego poświęcił czas na to, by wyrwać medalik z dłoni Elle?

Ponieważ na wisiorku widniał krzyczący orzeł. Naszyjnik był zniszczoną, brudną, taną wersją tego, co oglądał wcześniej. Godło Eleonory Akwitańskiej, logo CC de Poitiers i naszyjnik żebraczki wyglądały identycznie.

Morderca zabrał wisiorek, ponieważ dowodził on czegoś dużo straszniejszego niż to, kto zabił Elle. Świadczył o tym, że coś łączyło Elle z CC. Miały z sobą więcej wspólnego niż tylko ten symbol.

Elle była matką CC.

– Nie, niemożliwe. – Beauvoir wyciągnął okrytą rękawiczką rękę po naszyjnik. – Jakaś martwa żebraczka miałaby być matką CC de Poitiers?

Gamache trzymał przy uchu słuchawkę telefonu, wybierając numer.

– Zgadza się.

– Nie rozumiem – dodał Beauvoir, a Lemieux był mu wdzięczny, że powiedział to na głos. Nichol, siedząca przy swoim komputerze, przyglądała się ukradkiem rozmawiającej trójce. Widziała, jak Lacoste wstaje i podchodzi do mężczyzn.

– *Oui, allô*. Czy zastałem pana Terry'ego Moschera? Tak, poczekam. – Nadinspektor zakrył słuchawkę dłonią. – Jakie było prawdopodobieństwo, że CC i Elle będą używać tego samego symbolu? Motylek byłby prawdopodobny. Albo kwiatek; to przyznam od razu. Oba są dość popularne. Ale to? – Wskazał gestem wisiorek dyndający z zaciśniętej w pięść dłoni

Beauvoira. – Czy znacie kogokolwiek, kto by nosił taki symbol jako dekorację?

Beauvoir musiał przyznać, że gdyby kupił żonie wisiołek z takim obłąkanym orłem, nie byłaby wdzięczna. To więcej niż zbieg okoliczności, ale czy dowodzi, że Elle i CC to matka i córka?

– Tak, witam, panie Moscher. Mówi nadinspektor Gamache. Mam się dobrze, dziękuję, ale chcę pana o coś zapytać. Wspominał pan, że te parę razy, kiedy zatrzymywała się w Old Brewery Mission, Elle wpisała się do rejestru. Czy mógłby pan, proszę, odnaleźć te wpisy? Tak, poczekam. – Zwrócił się do swojego zespołu: – Wyślemy wisiołek do zbadania w laboratorium.

– Zabiorę go z sobą do Montrealu – zaoferowała się Lacoste.

– Dobrze. Powinniśmy mieć wyniki w ciągu jednego dnia. Dowiemy się, jeśli są na nim odciski palców albo ślady krwi. Tak, słucham? – powiedział Gamache do telefonu. – Rozumiem. Czy mógłby pan przefaksować mi tę stronę jak najszybciej? Poślę też dziś kogoś, żeby zabrał od pana księgę rejestrową. *Merci infiniment.*

Rozłączył się; wyglądał na pogrążonego w myślach.

– I co? – dopytywał się Beauvoir.

– Dureń ze mnie. Kiedy prosiłem Moschera poprzednim razem, żeby sprawdził rejestr, potwierdził, że Elle się wpisała. A przynajmniej tak zrozumiałem to, co mówił.

Maszyna faksu zabręczała i zaczęła drukować. Wszyscy przyglądali się, jak niezdolnie powoli, milimetr po milimetrze, wyłania się z niej wydruk. W końcu transmisja dobiegła końca, a Beauvoir schwycił kartkę i zaczął oglądać ją w poszukiwaniu podpisów.

TV Bob

Francuzik

Mała Cindy

L

– L – powiedział cicho, oddając kartkę Gamache'owi. – L, a nie Elle.

– Miała na imię L – powiedział Gamache, zabierając wydruk na swoje biurko i wyjmując kulę li bien. Odwrócił ją, by zobaczyć podpis. L. Identyczne jak

w rejestrze.

Ta sama osoba, która wiele lat temu namalowała to niezwykle dzieło sztuki, ostatnio wpisała się do rejestru Old Brewery Mission w Montrealu, by uciec przed morderczym zimmem. Stała się żebraczką, bezdomną włóczęgą. A potem tylko ciałem w nierozwiązanej sprawie o morderstwo. Ale Gamache czuł, że przynajmniej przywiózł ją do domu. Do Three Pines. L była matką CC. Miał pewność. Ale to oznaczało coś jeszcze. L nie żyła. CC nie żyła.

Ktoś zabijał kobiety z tej rodziny.

Gamache i Beauvoir pobiegli po okrycia i buty. Inspektor przycisnął jeszcze guzik zdalnego startu na kluczyku do samochodu, żeby wewnątrz zagrzało się choćby przez minutę czy dwie.

– Chwileczkę. – Gamache zdjął czapkę, wrócił do biurka, podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer. – Mówi nadinspektor Gamache z Sûreté du Québec. Czy rozmawiam z dyżurnym?

Beauvoir już prawie wyszedł, ale zawrócił i dał znak Nichol, żeby poszła z nimi. Policjantka zerwała się z za biurka.

– Nie. – Gamache przykrył słuchawkę dłonią i zwrócił się do Nichol: – Pani zostaje tutaj. Lemieux, pan pójdzie z nami.

Zaskoczona jakby ją kto uderzył, Nichol zamarła w miejscu i patrzyła, jak Lemieux przebiega obok z lekko przeproszającym uśmiechem na twarzy. Mogłaby go teraz zabić.

Beauvoir popatrzył na szefa zaskoczony, po czym ruszył na mróz. Myślał, że był gotów wyjść na zewnątrz, ale mylił się. Temperatura spadła jeszcze bardziej, zimno parzyło go w skórę, gdy szedł, a wreszcie biegł tych kilka metrów do samochodu. Niemal wszystkie płyny w aucie zgęstniały, prawie zamarły. Na szybach widać było kwiaty mrozu; Beauvoir otworzył drzwi, które rozwarły się z jękiem, i złapał skrobaczkę. Lemieux przyłączył się do niego i we dwóch z furią czyścili szyby. Łzy zamgliły wzrok inspektora, gdy lodowate zimno gryzło w każdy odsłonięty centymetr ciała.

– Dzwoniłem, żeby uprzedzić, że przyjedziemy. Oczekują nas – powiedział Gamache, odruchowo zapinając pasy, chociaż mieli do przejechania mniej niż kilometr. Każdego innego dnia po prostu by się przeszli. Ale nie dziś wieczór. Ich cel podróży był tuż przed nimi. Beauvoir tak nie mógł się doczekać, by wsiąść do samochodu, że nie zastanowił się nawet, dokąd jadą. Dopiero teraz, gdy już zatrzymał auto, dotarło to do niego. Dawny dom Hadleyów. Po ostatniej

wizycie w tym domostwie kaszłał krwią. Budynek sprawiał wrażenie głodnego krwi, wzbudzał lęk. Lemieux wyskoczył z auta i był już w połowie podjazdu, zanim Beauvoir zdążył się poruszyć. Spojrzał na siedzącego obok Gamache'a. – Wszystko będzie dobrze – zapewnił nadinspektor.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi – warknął Beauvoir.

– Och, jasne.

Drzwi w końcu się otworzyły i Lyon wpuścił ich do środka.

– Chciałbym porozmawiać z Crie, jeśli pan pozwoli. – Nadinspektor był uprzejmy, ale stanowczy.

– Crie jest w kuchni. Właśnie siadaliśmy do kolacji.

Spojrzenie Lyonsa było puste, zdezorientowane. Sprawiał wrażenie człowieka, z którego uszły wszystkie siły vitalne. Inspektor się rozejrzał. Kiedy był tutaj po raz ostatni, panowały ciemności i widział tylko to, co ukazywało się w świetle latarki, czyli niewiele. Z zaskoczeniem stwierdził, że ten dom wyglądał zupełnie zwyczajnie. Ale to jedynie pozory. Ten budynek, podobnie jak ludzie, którzy tu mieszkali, czatował na ofiary niczym potwór.

Beauvoir zganił sam siebie: przestań myśleć w ten sposób. To tylko zwykły dom. Najzwyklejszy.

– Proszę tędy.

Mężczyźni podążyli za Lyonem do kuchni. Inspektor był zaskoczony, że pachniało w niej smakowicie, jakby domowym posiłkiem.

– Pani Landers przyszła z jedzeniem – wyjaśnił Lyon. Crie siedziała przy stole przed stygnącą na talerzu porcją.

– Niewiele je ostatnio.

– Crie, to znowu ja, nadinspektor Gamache. – Usiadł na krześle koło dziewczynki. Łagodnym gestem położył swą dużą, ruchliwą dłoń obok jej białej, pulchnej rączki. – Chciałem się tylko upewnić, że wszystko z tobą w porządku. Czy mogę w czymś pomóc? – Przez dobrą chwilę czekał na odpowiedź, która nigdy nie nadeszła. – Chciałem cię o coś prosić. – Jego głos brzmiał przyjaźnie. – Czy możesz zjeść kolację? Wiem, że nie masz specjalnie apetytu, ale dobrze ci to zrobi; chcemy, żebyś była zdrowa i piękna.

W pokoju panowała cisza. Dziewczynka gapiała się w przestrzeń przed sobą, nie zmieniając wyrazu twarzy. W końcu nadinspektor wstał.

– Dobranoc, Crie. Do zobaczenia wkrótce. Jeśli czegoś potrzebujesz, zatrzymałem się w pensjonacie na wzgórzu.

Gamache odwrócił się, skinął do swoich podwładnych i skłonił się Lyonowi, po czym wyszedł z pokoju, a za nim pozostali, z Lyonem włącznie; ten ostatni czuł się dziwnie zrelaksowany w towarzystwie człowieka, który przejmował inicjatywę.

– Myślimy, że udało nam się odnaleźć matkę CC – powiedział nadinspektor do Lyona w hallu przy wejściu.

– Kto nią jest?

– Cóż, nie znamy jej nazwiska, ale sądzimy, że pochodziła z Three Pines. Została zamordowana tuż przed świętami. – Gamache przyglądał się dokładnie twarzy Lyona i wydawało mu się, że dostrzegł na niej jakiś przelotny wyraz, który jednak natychmiast zniknął.

– Zamordowane? Obie? I CC, i jej matka? Ale co to znaczy?

– To znaczy, że ktoś może chcieć zabić pańską córkę. – Gamache wpatrywał się w Lyona ostrzegawczym wzrokiem. – Policja przyśle samochód...

– Właśnie przybył, sir – wtrącił Lemieux, zauważając światła radiowozu.

– ...więc ktoś będzie strzegł jej przez okrągłą dobę. Tej dziewczynce nic złego się nie stanie. Czy wyrażam się jasno?

Lyon skinął głową. Wszystko działo się tak szybko. Zbyt szybko. Potrzebował chwili, by pomyśleć.

Gamache skłonił się pospiesznie i wyszedł.

Olivier dorzucił kolejne polano do paleniska w bistro. Jean Guy Beauvoir i nadinspektor Gamache rozmawiali półgłosem przy swoim stoliku koło kominka. Restauracja była w połowie zapełniona gośćmi, we wnętrzu słyszało się cichy pomruk rozmów. Olivier przyniósł butelkę czerwonego wina i dolał policjantom do kieliszków.

– Nadchodzi wasza kolacja. *Bon appétit*. – Uśmiechnął się i wyszedł.

Przed Beauvoirem stanął befsztyk z frytkami, skwierczący od smażenia na węglowym grillu, oraz małe naczynko z majonezem. Beauvoir popijał wino, mieszając leniwie ciemnym płynem w kieliszku i spoglądając w płomienie. Tu było jak w niebie. Długi i zimny dzień nareszcie dobiegł końca. Teraz mogli

usiąść z Gamache'em i porozmawiać, przeanalizować sprawę, nad którą pracowali. To była ulubiona przez Beauvoira część tej roboty. A jeśli do tego miał smażyć na grillu befsztyk, frytki, wino i wesoły ogień na kominku – tym lepiej.

Gamache zamówił żeberka jagnięce, rozsiewające aromat czosnku i rozmarynu, z małymi ziemniaczkami i zieloną fasolką. Na stole stał już koszyk z ciepłymi bułeczkami i mały spodeczek z masłem uformowanym w kulki.

Nadinspektor przesunął serwetkę, by kelner mógł ustawić przed nim talerz; Beauvoir zauważył teraz, że szef coś na niej narysował. Szkic leżał do góry nogami, ale mógł go odczytać.

B KLM. L było zakreślone kółkiem kilka razy.

– Pudełko L – powiedział Beauvoir, rozpoznając ciąg liter. – Musiała zbierać te litery latami. Obsesyjnie. Jak jej córka. Zastanawiam się, czy to było obciążenie dziedziczne w tej rodzinie?

– Też się zastanawiam – odparł Gamache. Ciepło, wino, ogień, jedzenie – wszystko to niemal go uwodziło. Czuł się zrelaksowany i zadowolony z postępów poczynionych tego dnia, chociaż martwił się o Crie. Mimo to wiedział, że dziewczynka jest bezpieczna. Ostrzegł Lyona. Obserwowali go.

Armand Gamache wciąż był przekonany, że ich głównym podejrzanym jest Richard Lyon. Któż inny to mógł być? Nadinspektor zjadł jagnięcinę, rozkoszując się subtelnym smakiem.

– Jean Guy, dlaczego morderca zatrzymał się, by zabrać L naszyjnik?

– Musiał być dla niego ważny. Może wskazuje na jego winę, demaskuje go.

– Możliwe. – Gamache ujął bułkę i rozerwał ją na połówki, pokrywając drewniany blat deszczem okruszków. – Dlaczego zabił L, a potem CC? Czemu właśnie teraz? Co się takiego stało, że zamordował je obie w odstępie kilku dni?

– CC miała podpisać kontrakt z tą amerykańską firmą, może chciał temu zapobiec.

– Ale dlaczego chciałby ją powstrzymać? Byłaby warta więcej po zawarciu tej umowy. Poza tym mam wrażenie, że kontrakt z Amerykanami był jedną z iluzji CC. Zobaczymy. Ale i tak: czemu zabił matkę?

– Czy myśli pan, że L była z Three Pines?

– Owszem, i jutro zamierzam się skupić na odszukaniu osób, które ją znały. Jeszcze jedna zagadka dla pana. – Ich talerze niemal całkiem opustoszały, Beauvoir wycierał resztki sosu kawałkiem bułki. – Dlaczego CC wyrzuciła w pełni działającą kasetę wideo? Sam pan widział, że działała.

Kelnerka zabrała puste talerze i przyniosła deskę serów.

– Wszystkie sery pochodzą z klasztoru Saint-Benoît-du-Lac – powiedział Olivier, machając nad deską nożem do serów. – Powołaniem tamtejszych mnichów są śpiewy gregoriańskie i produkcja nabiału. Wszystkie ich wyroby nazwane są na cześć świętych. Ten ser to Saint-André, a tamten Saint-Albray.

– A ten tutaj? – zapytał Beauvoir wskazując spory kawałek.

– To musi być Święty Niebieski. A to tam to Święty Cheddar. Cholera. Znowu mi rozwaliliście piękną teorię. – Ukroił im po kawałku każdego z serów i postawił na stole koszyk z bagietką i krakersami.

– Wiem, jak on się musi czuć. – Gamache uśmiechnął się, rozsmarowując Saint-André na cienkim krakersie.

Jedli w milczeniu, aż nadinspektor spojrział na młodszego mężczyznę siedzącego naprzeciwko.

– Co pana tak gnębi?

Beauvoir popatrzył na niego znad brzegu kieliszka, po czym dopił resztkę wina dokładnie w momencie, kiedy przyniesiono im dwie filiżanki cappuccino.

– Dlaczego kazał pan Nichol zostać w biurze?

– Jest pan zły, że zmieniłem pański rozkaz?

– Nie – odparł Beauvoir, chociaż tak naprawdę po części o to mu chodziło. – Nie lubię, kiedy ktoś zmienia moje polecenia, szczególnie w obecności reszty zespołu.

– Ma pan słuszność, Jean Guy. Normalnie bym tego nie zrobił.

Beauvoir wiedział, że to prawda. Przez wszystkie te lata, gdy razem pracowali, ledwie parę razy się to zdarzyło, i za każdym razem w bardzo dramatycznych okolicznościach.

Czy i tym razem znaleźli się w takiej sytuacji? Gamache siedział teraz pochylony, z wyrazem zmęczenia na twarzy. Beauvoir był wściekły na siebie.

Jak mógł wcześniej tego nie zauważyć?

– Nie ufa jej pan, prawda? Nie ufa pan Nichol.

– A pan?

Beauvoir zastanowił się przez moment, po czym pokiwał głową.

– Zaimponowała mi. Wie pan dobrze, że za nią nie przepadałem. Przy poprzednim śledztwie była kompletnie fatalna, ale teraz? Myślę, że to niewykluczone, że się zmieniła. Ale pan tak nie uważa?

Gamache machnął ręką, jak gdyby odganiając tę sugestię. Ale nie wypadło to zbyt przekonująco.

– O co chodzi? – Beauvoir pochylił się w stronę nadinspektora. – Proszę mi powiedzieć.

Jednak Gamache milczał. Z doświadczenia Beauvoira wynikało, że tylko jeden temat mógł sprowokować u szefa taki rodzaj milczenia.

– Mój Boże! Nie chodzi chyba o sprawę Arnot? Proszę, niech pan powie, że to nie dlatego. – Inspektor poczuł, jak wzbiera w nim gniew, a wraz z nim ledwo zjedzona kolacja unosi się w żołądku. Wściekłość ogarniała go za każdym razem, gdy przypominał sobie, co Pierre Arnot zrobił innym. Co zrobił Sûreté. I Gamache'owi. Oczywiście, to była przeszłość. I w żaden sposób nie mogła mieć nic wspólnego z Nichol. Ale czy na pewno?

– Proszę mi powiedzieć – domagał się Beauvoir. – Dość tego! – niemal krzyknął. Zmitygował się, rozejrzał, by sprawdzić, czy ktoś zauważył jego wybuch, po czym zniżył głos do pełnego niepokoju pomruku. – Nie może mnie pan od tego odsuwać. Nie może się pan z tym walczyć samotnie. Za pierwszym razem, gdy próbował pan zмагаć się z tym sam, Arnot prawie pana zabił. Co łączy Nichol z Arnot?

– Niech pan da spokój, Jean Guy – Gamache sięgnął w poprzek stołu i delikatnie poklepał dłoń kolegi. – Nie mają nic wspólnego. Jestem tylko ostrożny w jej kwestii, to wszystko. Nichol zachowuje się lepiej niż poprzednim razem. Być może jestem wobec niej zbyt surowy.

Beauvoir przyglądał się szefowi przez chwilę.

– Bzdura. Próbuje mnie pan teraz uspokoić. Co pan naprawdę myśli?

– Mam tylko przeczucie. – Uśmiechnął się krzywo, mając nadzieję, że inspektor przewróci w odpowiedzi oczami.

- Pańskie przeczucia nie zawsze są bezpodstawne.
- Tylko czasami, co? To bez znaczenia, Jean Guy.

Gamache sączył swoje cappuccino, zastanawiając się, czy stał się w końcu tak cyniczny, by sądzić, że ludzie nie potrafią się zmienić. Wszelkie dowody przemawiały za tym, że Yvette Nichol pozbyła się arogancji i pretensji do całego świata. Odkąd dołączyła do zespołu poprzedniego dnia, udowadniała, że potrafi wykonywać rozkazy, przyjmować wskazówki i krytykę. Bardzo się starała i dowiodła, że umie wykazać inicjatywę: dobrze się spisała, rozpytując o Crie. Nawet sama zarezerwowała sobie pokój w pensjonacie i zapłaciła za niego z własnej kieszeni.

Nichol naprawdę była odmieniona. Więc dlaczego jej nie ufał?

Gamache odchylił się i dał znak Olivierowi, by zamówić coś jeszcze, po czym zwrócił się do Beauvoira:

– Jestem panu winien przeprosiny. Nie powinienem był zmieniać pana rozkazu, a już na pewno nie przy całym zespole. Mogę postawić panu koniak?

Beauvoir zorientował się, że nadinspektor próbuje go przekupić, ale postanowił na to przystać. Olivier przyniósł dwie pękate lampki bursztynowego napoju, po czym mężczyźni wrócili do dyskusji, rozmawiając o wszystkim, z jednym wyjątkiem: Yvette Nichol.

Alarm zabrzmiał dwadzieścia minut po drugiej nad ranem. Dźwięk syreny przenikał przez lodowate powietrze do każdego domu w miasteczku, pokonując kamień, zaprawę murarską, grubą, różową warstwę izolacji, deski, spokojne i niespokojne sny – i anonsując przebycie koszmaru.

Pożar.

Gamache wyskoczył z łóżka. Przez zawrodoenie syreny słyszał kroki, okrzyki, dzwonek telefonu. Owijając się w szlafrok, wyrzwał na korytarz i zauważył w ciemności czyjąś niewyraźną sylwetkę.

Beauvoir.

Na dole usłyszał damski głos, wysoki i pełen napięcia:

– Co to, co się dzieje?

Szybko zbiegł po schodach; milczący inspektor postępował za nim.

– Nie czuję dymu – powiedział Gamache, podchodząc do stojącej w drzwiach swojego pokoju Nichol, ubranej w różową, flanelową piżamę. Oczy miała szeroko otwarte, widać było, że jest przejęta.

– Proszę ze mną.

Głos nadinspektora był równy i opanowany. Nichol poczuła, że znowu może oddychać.

Schodząc po schodach, słyszeli, jak Olivier i Gabri nawołują się wzajemnie.

– To jest przy Old Stage Road. Ruth ma adres. Lecę tam! – zawołał Olivier.

– Proszę poczekać! – krzyknął za nim Gamache. – Co się dzieje?!

Olivier zatrzymał się gwałtownie, jakby zobaczył zjawę.

– *Bon Dieu!* Zapomniałem, że tu jesteście. Pali się. Syrena z dawnego dworca zawiadamia członków ochotniczej straży pożarnej, żeby stawili się do pożaru. Ruth właśnie dzwoniła, żeby mi powiedzieć, gdzie się pali. Jestem kierowcą wozu strażackiego. Ona jedzie z Gabrim prosto na miejsce.

Gabri przebiegł przez korytarz do sieni w ocieplanym kombinezonie khaki i stroju pożarniczym z odblaskowymi paskami na ramionach, nogach i piersi oraz z czarnym hełmem pod pachą.

– Lecę. – Pocałował Oliviera w usta i ścisnął jego ramię, po czym wybiegł na lodowaty ziąb.

– Co my możemy zrobić? – zapytał Beauvoir.

– Załóżcie swoje najcieplejsze ubrania i spotkajmy się na starym dworcu – rzucił Olivier, wybiegając w ciemność; poły kurtki powiewały mu, gdy biegł. W oknach w całym miasteczku pozapalały się światła.

Cała trójka pognąła na górę, a po chwili ponownie zebrała się, gotowa do wyjścia przy głównych drzwiach. Zimno było tak przenikliwe, że biegnąc przez miejski skwer, Beauvoir ledwie mógł oddychać. Z każdym oddechem zamarały mu nozdrza, oczy łzawiły, a lodowate powietrze wdzierało się do zatok, ostre jak szpikulec do lodu, powodując dotkliwy ból pomiędzy skroniami. Zanim dotarli do połowy drogi, ledwo co widział. Jakby nie było lepszej nocy na pożar – pomyślał inspektor, z wysiłkiem starając się trzymać oczy otwarte i wyrównać oddech. Zimno już go przeniknęło, jak gdyby był nagi. Nichol i Gamache pokasływali, także próbując złapać oddech. Wszyscy troje mieli wrażenie, że wdychają kwas.

Syrena wreszcie ucichła. Beauvoir nie mógł zdecydować, co gorsze: wycie alarmu czy pisk śniegu, po którym stąpali, jak gdyby sama ziemia jęczała z bólu z każdym ich krokiem. W ciemności słyszał niewidzialnych mieszkańców miasteczka, kaszlących i potykających się, zmierzających jak piechota w Bóg wie jakie piekło.

W Three Pines trwała mobilizacja.

– Proszę to założyć. – Olivier wskazał na stroje pożarnicze, porządnie porozwieszane w otwartej szafie. Cała trójka zrobiła, co im polecono; wkrótce cała remiza pełna była ochotników. Morrowie, Myrna, monsieur Béliveau i dziesiątki innych; wszyscy szybko, ale bez paniki szykowali się do akcji.

– Em podzwoniła po wszystkich, autobusy już się rozgrzewają – zaraportowała Olivierowi Clara, a ten skinął głową z aprobatą.

Z ponurymi minami stali pod ścianą, gapiąc się na wielką mapę kantonu.

– Pożar jest tutaj. Przy Old Stage Road w kierunku Saint-Rémy. Mniej więcej

cztery kilometry stamtąd jest skręt w lewo. Dom numer siedemnaście przy ulicy Tryhorn. To jakiś kilometr w górę szosy po waszej prawej. Chodźmy. Wy pójdziecie ze mną. – Olivier przywołał gestem Gamache’a i resztę, i pomaszerował w kierunku wozu strażackiego.

– To dom Petrova, jestem pewien – powiedział Beauvoir, wskakując do wozu obok Gamache’a; Nichol już wcisnęła się na tylne siedzenie.

– Co? – zapytał Olivier, kierując olbrzymi pojazd w stronę Old Stage Road; pozostałe auta ruszyły ich śladem.

– Mój Boże, ma pan rację. – Gamache zwrócił się do Oliviera, przekrzykując hałas silnika. – W tym domu ktoś jest. Nazywa się Saul Petrov. Czy to możliwe, że alarm był fałszywy?

– Nie tym razem. Sąsiadka nas zawiadomiła. Widziała płomienie.

Gamache wyglądał przez okno, przyglądając się, jak reflektory ciężarówki rozcinają ciemność nad zaśnieżoną szosą; wóz jechał z ogromną prędkością.

– Minus trzydzieści – powiedział Olivier prawie do siebie. – Niech nas Bóg ma w opiece.

W szoferce zapadła cisza; samochód przedzierał się przez noc, podskakując na lodzie i zaspach. Widzieli już, jak inne auta skręcają.

To, co ukazało się ich oczom, było dużo okropniejsze niż to, co Gamache sobie wyobrażał. Czuł się jak pielgrzym w piekle. Samochód strażacki z Williamsburga właśnie przyjechał i polewał wodą płonący budynek. Woda zamarzała, jeszcze zanim wylądowała w płomieniach, pokrywając wszystko warstwą lodu.

Ochotnicy, kierujący strumienie wody w stronę pożaru, przypominali krzątające się anioły, cali pokryci lodowymi kryształkami. Mężczyźni i kobiety w różnym wieku pracowali razem w dobrze zorganizowanych zespołach. Z hełmów i ubrań zwisały sople; te części domu, które nie stały w płomieniach, wyglądały jak ze szkła. Ta sceneria przywodziła na myśl makabryczną bajkę – była jednocześnie nieprawdopodobnie piękna i przerażająca.

Gamache wyskoczył z ciężarówki i podążył w stronę Ruth Zardo, która stała nieopodal w mundurze komendanta, zawiadując akcją.

– Za chwilę będziemy mieć następne źródło wody – powiedziała. – Gdzieś tutaj jest staw.

Peter i Clara rozglądali się za jakimś śladem zamrożonego stawu, ale widzieli tylko ciemność i śnieg.

– Jak go znajdziemy? – zapytał Peter.

Ruth rozejrzała się i wskazała palcem:

– Sąsiadka wam powie.

Peter pobiegł do wozu strażackiego i zabrał z niego elektryczny świder, zaś Clara pognąła w stronę stojącej samotnie kobiety, która przestraszona, przyciskała do ust rękę w rękawiczce. W kilka sekund jedynym śladem po Morrowach i kobiecie było rozbłyskujące w oddali drżące światło latarki.

Reflektory samochodów specjalnie ustawiono tak, by oświetlały płonący dom. Gamache, który potrafił rozpoznawać urodzonych przywódców, zrozumiał teraz, dlaczego społeczność Three Pines awansowała Ruth Zardo na komendantkę straży pożarnej. Podejrzewał, że dla Ruth przebywanie w piekle nie stanowiło wyzwania, więc obecne warunki tym bardziej jej nie przerażały. Była spokojna i zdecydowana.

– Ktoś jest w tym domu! – zawołał, przekrzykując łoskot armatek wodnych, huk płomieni i hałas samochodów.

– Nie, właściciele są na Florydzie. Pytałam sąsiadkę.

– Ona się myli! – wołał Gamache. – Byliśmy w tym domu dzisiaj rano. Wynajął go człowiek o nazwisku Saul Petrov.

Teraz cała uwaga Ruth skupiła się na nadinspektorze.

– Musimy go stamtąd wydostać. – Odwróciła się i popatrzyła na płonący dom. – Gabri, wezwij pogotowie.

– Już to zrobiłem. Są w drodze. Ruth, dom prawie kompletnie spłonął. – Było jasne, co chciał przez to powiedzieć.

– Musimy spróbować. – Rozejrzała się dookoła. – Nie możemy go tak zostawić.

Wskazała w stronę domu. Gabri miał rację. Połowa budynku stała w ogniu, płomienie syczały i huczały, jak gdyby strażacy polewali jakiegoś piekielnego stwora wodą święconą. Gamache nie przypuszczał, że lód i ogień mogą współistnieć, ale teraz zobaczył to na własne oczy. Lodowy dom w płomieniach.

Strażacy przegrywali walkę.

– Gdzie Nichol?! – krzyknął Beauvoir Gamache’owi do ucha. Hałas był niemal ogłuszający. Nadinspektor się obrócił. Policjantka nie mogła być aż tak głupia, by po prostu sobie pójść.

– Tam ją widziałem! – zawołał monsieur Béliveau, właściciel sklepu spożywczego, z twarzą pokrytą lodem z pryskającej wody.

– Proszę ją znaleźć – powiedział Gamache do Beauvoira, który ruszył w kierunku wskazanym przez pana Béliveau, a serce waliło mu jak młotem. Niech nie będzie taka durna, błagam, Boże, niech nie będzie aż tak głupia!

Ale była.

Beauvoir biegł po śladach stóp na śniegu. Jego mózg wrzeszczał: pieprzyć ją! Ślady prowadziły prosto do tylnych drzwi domu. Kurwa, kurwa, kurwa! Inspektor obrócił się dwa razy, mając desperacką nadzieję, że zobaczy ją na zewnątrz. Zawołał ją po imieniu, ale nie było żadnej odpowiedzi.

Kurwa! – zapiszczał jego mózg.

– Gdzie ona jest? – Gamache stał tuż obok, krzycząc Beauvoirovi do ucha. Z tej strony domu było trochę ciszej, ale niewiele. Inspektor wskazał na drzwi i zobaczył, jak twarz Gamache’a tężeje. Beauvoirovi wydawało się, że słyszy, jak szef szepce: „Reine-Marie”, ale zdecydował, że to tylko złudzenie wywołane tą sceną, że zamęt pisze tu własne dialogi.

– Proszę tu zostać. – Nadinspektor odszedł i wrócił chwilę później z Ruth.

– Rozumiem, o co panu chodzi – powiedziała. Starsza pani mocno kuląła, mówiła z wysiłkiem, jej twarz była zmrożona. Beauvoir stracił czucie niemal w całym ciele. Popatrzył na strażaków – piekarza, sklepikarza, złotą rączkę – i zastanawiał się, jak oni to robią. Byli pokryci lodem, poczerniali od dymu, mrużyli oczy od ognia i pryskającej wody. Co kilka minut ogromnymi rękawicami zgarniali z hełmów zwisające z nich sople.

– Gabri, doprowadź tu z dziesięć węży. Skup się na tej części domu. – Ruth machnęła ręką w kierunku części budynku, która jeszcze nie stała w płomieniach.

Gabri zrozumiał natychmiast i ruszył naprzód, znikając w dymie lub wodnej mgle; Beauvoir nie potrafił już odróżnić jednego od drugiego.

– Proszę – Ruth zwróciła się do Gamache’a – proszę to wziąć.

Wręczyła mu toporek.

Gamache wziął go z wdzięcznością i próbował się uśmiechnąć, ale twarz mu zamarzła. Oczy łzawiły wściekle od dymu i straszliwego zimna; za każdym razem, gdy mrugał, z trudem otwierał powieki. Oddech miał rwany, nie czuł stóp. Ubranie, nawilgłe od potu wywołanego nagłym skokiem adrenaliny, było teraz zimne, lepkie i kleiło się do ciała.

– Niech ją diabli – mruknął pod nosem i postąpił w kierunku domu.

– Co pan robi? – Beauvoir złapał go za ramię.

– A jak pan myśli, Jean Guy?

– Ale nie może pan. – Inspektor czuł, że głowa mu zaraz wybuchnie. To, co się działo, było nie do pomyślenia i rozgrywało się z prędkością światła. Za szybko, by mógł za tym wszystkim nadążyć.

– Nie mogę nie móc – odparł Gamache, wpatrując się w kolegę; nieznośny hałas ucichł na chwilę. Beauvoir puścił ramię szefa.

– Proszę mi to dać. – Wyjął nadinspektorowi z dłoni ciężki toporek. – Wydłubie pan tym komuś oko. Chodźmy.

Beauvoir czuł się, jak gdyby stąpał w przepaść, ale podobnie jak Gamache, nie miał wyboru. Nie mógł patrzeć, jak szef wchodzi samotnie do płonącego domu. Nie zamierzał mu pozwolić pójść samemu.

W środku panował dziwny spokój. Nie było cicho, ale w porównaniu do tumultu na zewnątrz, miejsce ciągle przypominało odludny klasztor. Pożar strawił kable elektryczne, więc obaj mężczyźni włączyli latarki. Przynajmniej było ciepło, choć woleli nie myśleć, dlaczego. Stali w kuchni; Beauvoir potknął się o coś, z hałasem spychając drewniane pudło ze sztućcami na podłogę. Dobre maniery wpojono mu tak skutecznie, że przez moment zastanawiał się, czy nie powinien się zatrzymać i posprzątać to, co porozrzucił.

– Nichol! – zawołał Gamache. Cisza. – Petrov! – spróbował znowu. Znowu cisza, z wyjątkiem suchego huku, który zabrzmiał jak ryk jakiegoś głodnego stworza. Mężczyźni odwrócili się i spojrzeli za siebie. Drzwi do kolejnego pomieszczenia były zamknięte, ale pod nimi widzieli migoczące światełko.

Ogień był coraz bliżej.

– Schody na górę są tam. – Beauvoir wskazał na drzwi. Gamache nie odpowiedział. Nie musiał. Słyszeli, jak na zewnątrz Ruth wydaje rozkazy

niewyraźnym głosem.

– Tędy. – Gamache poprowadził inspektora z dala od płomieni.

– Znalazłem coś – powiedział Beauvoir, gwałtownym ruchem otwierając klapę w kuchennej podłodze i świecąc w dół. – Nichol?

Cisza.

Inspektor zauważył drabinę i sam nie wierząc w to, co zamierza zrobić, podał swoją latarkę Gamache'owi. Jednego był pewien: im prędzej się to skończy, tym lepiej. Zsunął nogi w otwór, wymacał stopami drabinę i zszedł. Gamache oddał latarkę i poświecił własną.

To była piwnica. Stały w niej skrzynki z piwem, winem, ziemniakami, rzepą i pasternakiem. Pachniało kurzem, pajęczynami i dymem. Beauvoir poświecił w najdalszy koniec pomieszczenia i zobaczył kłąb dymu, toczący się w jego stronę jak gdyby w zwolnionym tempie. To było niemal hipnotyzujące. Niemal.

– Nichol?! Petrov?! – zawołał pro forma, cofając się w kierunku drabiny. Domyślił się, że tu ich nie ma.

– Szybko, Jean Guy. – W głosie Gamache'a pobrzmiwało ponaglenie. Beauvoir wystawił głowę znad otworu w podłodze, zauważając, że drzwi do sąsiedniego pomieszczenia dymią. Obaj wiedzieli, że lada chwila staną w ogniu.

Gamache wyciągnął inspektora z dziury w podłodze.

Hałas narastał w miarę, jak zbliżał się ogień. Okrzyki na zewnątrz stawały się coraz bardziej niespokojne.

– Te stare domy prawie zawsze mają drugą klatkę schodową – powiedział nadinspektor, posyłając promień latarki na drugi koniec kuchni. – Będzie mniejsza, może nawet zabita deskami.

Beauvoir otwierał kolejne szafki, podczas gdy Gamache opukiwał boazerię. Inspektor starał się zapomnieć o domu swojej *grand-mère* w Charlevoix, który miał w kuchni maleńkie, ukryte schodki. Nie myślał o tym od lat. Nie chciał. Zakopał to wspomnienie głęboko, ukrył – ale teraz był w obcym domu stojącym w ogniu i wspomnienie zdecydowało się powrócić. Zbliżało się nieuchronnie w jego stronę, jak ten kłąb dymu w piwnicy, powoli go otaczając; nagle znów znalazł się w domu babci, na sekretnych schodkach. Ukrywał się przed bratem. W końcu znudziło mu się chowanie i próbował wyjść. Drzwi były zamknięte od

zewnątrz. Panowała ciemność i coś jakby wysssało całe powietrze. Ściany zamykały się wokół niego, miażdżąc go. Schody pojękiwały. Dom, do tej pory tak przyjazny i znajomy, zwrócił się przeciwko niemu. Kiedy odnaleziono go, rozhisteryzowanego, i zabrano stamtąd, brat twierdził, że to był wypadek, ale Jean Guy nigdy w to nie uwierzył i nigdy mu nie wybaczył.

W wieku sześciu lat Jean Guy Beauvoir nauczył się, że nigdzie nie jest bezpiecznie i nikomu nie można ufać.

– Tędy! – zawołał, spoglądając na wąskie przejście. Myślał z początku, że to schowek na szczotki, ale światło latarki oświetliło wąskie stopnie schodów. Świecąc w górę zauważył, że kłapa była zamknięta. Proszę, Boże, tylko nie na kłódkę!

– Chodźmy! – Gamache wstąpił na schody pierwszy, wyprzedzając Beauvoira. – Proszę za mną. – Obejrzał się zdziwiony, widząc, jak Beauvoir waha się, zanim wszedł na ciemne, wąskie stopnie.

Schody zostały zbudowane sto lat temu przez jakichś maleńkich, niedożywionych rolników z Quebecu; nie przewidywano, że będą musiały pomieścić dobrze odżywionych, współczesnych policjantów, ubranych w za duże zimowe stroje pożarnicze. Miejsca było ledwie dość, by się tamtędy precyzyjnie przesuwać. Gamache zdjął hełm; Beauvoir zrobił to samo, zadowolony, że może uwolnić się choć od jednej części niewygodnego uniformu. Nadinspektor wspinał się po schodach, a jego kurtka ocierała się o ściany. Wokół panowała ciemność, światła latarek igrały po powierzchni zamkniętej kłapy w podłodze. Serce Beauvoira waliło jak młotem, oddech był pospieszny i płytki. Czyżby dym gęstniał? Owszem. Inspektor miał wrażenie, że czuje na plecach płomienie, i odwrócił się, by spojrzeć za siebie, ale widział tylko ciemność. Nie dodawało mu to otuchy. Modlił się w duchu, żeby stąd wyszli. Nawet jeśli całe piętro było już w ogniu, to wydawało się lepsze niż tkwienie na klatce schodowej jak w zamurowanej studni.

Gamache oparł ramię o kłapę w podłodze i popchnął mocno. Nic się nie stało.

Popchnął raz jeszcze, mocniej. Drzwi ani drgnęły.

Beauvoir spojrział w dół, tam, skąd przyszli. Spod drzwi na dole sączył się dym. A drzwi na górze były zamknięte na głucho.

– Proszę mnie przepuścić. – Próbował przejść przed Gamache'a, choć

miejsca nie było dość nawet na ostrze noża. – Niech pan użyje toporka – powiedział, podnosząc głos. Czuł, jak skóra mu cierpnie, a oddech staje się urywany i krótki. W głowie kręciło mu się, jakby zaraz miał zemdleć. – Musimy się stąd wydostać – powiedział, tłukąc pięścią w ścianę. Klatka schodowa powodowała, że gardło mu się zaciskało, dusił się. Ledwie mógł teraz oddychać. Czuł się jak w pułapce.

– Jean Guy! – zawołał Gamache. Policzkiem opierał się o sufit, ciało miał ściśnięte. Nie mógł się ruszyć ani w przód, ani w tył; nie mógł też uspokoić kolegi, który wpadał w panikę.

– Mocniej, niech pan popchnie mocniej! – krzyknął Beauvoir histerycznie uniesionym głosem. – Boże, dym się zbliża.

Gamache poczuł, jak inspektor kuli się i przyciska do niego, próbując za wszelką cenę odsunąć się od dymu i płomieni.

Beauvoir wiedział, że zginą tutaj. Ściany się zamykały, ciemne i ciasne, więziły go i dusiły.

– Jean Guy! – zawołał Gamache. – Niech pan przestanie.

– Ona nie jest tego warta! Na miłość boską, chodźmy stąd! – wrzeszczał i szarpał Gamache'a za ramię, ściągając go w ciemność. – Nie jest tego warta! Wynośmy się stąd!

– Niech pan przestanie! – rozkazał nadinspektor. Z trudem obrócił się w wąskiej przestrzeni; latarka Beauvoira poraziła oczy, oślepiając go.

– Proszę mnie posłuchać. Słucha pan? – warknął. Nerwowe szarpanie za ramię osłabło. Schody wypełniały się teraz dymem. Nie mieli dużo czasu. Z wysiłkiem spojrział w dół, próbując dostrzec twarz za ostrym światłem.

– Kogo pan kocha, Jean Guy?

Beauvoir uznał, że musi majaczyć. Dobry Boże, czy nadinspektor zamierzał cytować poezję? Inspektor nie chciał umierać, słuchając ponurych słów Ruth Zardo.

– Co?

– Niech pan pomyśli o kimś panu drogim. – Głos szefa był stanowczy i opanowany.

Pana kocham. Ta myśl jako pierwsza nasunęła się Beauvoirowi, bez chwili wahania. Potem pomyślał o żonie, o matce. Ale pierwszy był Armand Gamache.

– Niech pan sobie wyobrazi, że jest tutaj, by uratować tę osobę. – To nie była sugestia, tylko rozkaz.

Beauvoir wyobraził sobie szefa uwięzionego w płonącym domu, rannego, wołającego go po imieniu. Nagle wąskie schody nie były aż takie wąskie, a ciemność nie taka straszna.

– Reine-Marie – powtarzał w myśli Gamache, tak jak robił to od momentu, gdy zdecydował, że wejdzie do płonącego budynku. Nie za Nichol. Nie za Saulem Petrovem. Ale za Reine-Marie. Myśl, że ma ją ratować, wymazała wszelką troskę o własne bezpieczeństwo. Nie czuł strachu, nie mógł go czuć. Jedyne, co się liczyło, to znaleźć ją. Nichol zmieniła się w Reine-Marie, a strach w odwagę.

Popychał klapę znów i znów. Teraz już kaszłał i słyszał, że Beauvoir także.

– Drgnęła! – zawołał do Beauvoira i zdwoił wysiłki. Uświadomił sobie, że ktoś musiał postawić z drugiej strony jakiś mebel. Sądząc z ciężaru, prawdopodobnie lodówkę.

Cofnął się i zebrał siły. W milczeniu wpatrywał się w klapę, po czym zamknął oczy. Otworzył je po chwili i popchnął z całej siły. Klapa uchyliła się na tyle, że mógł wsunąć w szparę toporek. Nacisnął, używając go jak dźwigni. Ustąpiła. Z góry wsączył się dym, oślepiając go. Gamache ukrył twarz w ramionach, starając się oddychać przez ubranie. Poczł i usłyszał, jak mebel przewraca się na ziemię i klapa się otworzyła.

– Nichol! – zawołał, wciągając w płuca dym i kaszłąc z całej siły, by się go pozbyć. Ledwo coś widział, ale światło latarki pozwalało dostrzec, że znaleźli się w małej sypialni. Obok klapy leżała przewrócona komoda. Beauvoir wygramolił się obok niego, zauważając, że dym w pomieszczeniu był gęstszy niż na schodach. Już prawie nie mieli czasu.

Beauvoir słyszał blisko ogień i czuł jego gorąco. W ułamku sekundy przeszedł ze stanu zamrznienia na kość do piekielnego upału; jego *grand-mère* zawsze mówiła, że to najgorsze, co może się zdarzyć.

– Nichol! Petrov! – zawołali obaj.

Nasłuchiwali, potem przeszli w głąb korytarza i tam natrafili na ścianę płomieni. Ogień lizał sufit, po czym kurczył się, jakby robiąc wdech. Gamache szybko odsunął się od niego, kuląc się, po czym wślizgnął się do kolejnego

pomieszczenia, potykając się o coś, gdy przestępował przez próg.

– Tu jestem. – Nichol podniosła się na kolana i rzuciła w stronę Gamache’a. – Dziękuję, dziękuję! – Jestem tego warta. Naprawdę. Przepraszam. – Przyłgnęła do niego, jakby tonęła.

– Proszę mnie posłuchać. Gdzie jest Petrov?

Nichol potrząsnęła głową.

– No tak. Proszę to wziąć. – Dał jej latarkę. – Beauvoir, proszę iść przodem.

Beauvoir odwrócił się i cała trójka kuląc się, pognęła korytarzem w stronę dymu i ognia. Wsadzając głowę do małej sypialni, Beauvoir prawie wpadł w dziurę w podłodze. Było gorąco. Zaświecił latarką i zobaczył w dole kłębowisko dymu i strzelające płomienie.

– Nie damy rady! – zawołał. Huk płomieni był już blisko. Niemal tuż przy nich. Gamache podszedł do okna i wybił szybę łokciem.

– Tam! – Usłyszał okrzyk Ruth. – Tam, na górze. Przynieście drabiny.

Kilka sekund później w oknie pojawiła się twarz Billy’ego Williamsa.

Wkrótce cała trójka, zataczając się, oddalała się od budynku. Gamache odwrócił się, by popatrzeć, jak bursztynowy płomień pochłania płonący dom, posyłając w niebo kłęby dymu, popiół i to, co zostało z Saula Petrova.

Następnego poranka obudzili się późno w przepiękny dzień. Lodowaty ziąb osłabł i śnieg padał intensywnie, kładąc się grubą warstwą na samochodach i domach, oprószając przechodniów. Z okna swojego pokoju Gamache widział Petera Morrowa, wsypującego ziarno do karmnika dla ptaków. Gdy tylko odszedł, pospieszyły tam sikorki i modrosójki, a zaraz po nich głodne wiewiórki i pręgowce. Billy Williams odśnieżał ślizgawkę, co było w najlepszym razie syzyfową pracą, bo śnieg gromadził się już za jego plecami. Émilie Longpré wyprowadzała Henriego. Powoli. Wszyscy tego dnia najwyraźniej działali na zwolnionych obrotach. Dziwne – pomyślał Gamache, wziął prysznic i ubrał się w sztruksowe spodnie, golf i ciepły kardigan. Miasteczko wydawało się bardziej dotknięte śmiercią fotografa, którego nikt nie znał, niż śmiercią CC.

Była dziesiąta rano. Wrócili do pensjonatu o wpół do siódmej. Gamache zrobił sobie gorącą kąpiel i siedział w niej długo, starając się nie myśleć. Ale w głowie tłukła mu się ciągle ta sama fraza.

– Jestem tego warta, naprawdę – mówiła Nichol, śliniąc się, łkając i chwytając go ze wszystkich sił. – Jestem tego warta.

Gamache nie wiedział, czemu powtarzała te słowa, ale zastanowiło go to.

Jean Guy Beauvoir wziął szybki prysznic i położył się do łóżka z uczuciem, jak gdyby właśnie ukończył zawody w trójboju i wygrał. Przez moment zastanawiał się, czy gracze w curling doświadczają takiej satysfakcji. Fizycznie osiągnął swój limit. Był zmarznięty i wyczerpany, ale emocjonalnie pełen energii.

Nie udało im się uratować Petrova, jednak weszli do płonącego budynku i wyprowadzili stamtąd Nichol.

Ruth Zardo wzięła kąpiel i siedziała przy plastikowym, kuchennym stole,

popijając szkocką i pisząc wiersz.

Oto niezła zagwozdzka:

leżysz na łożu śmierci. Została ci godzina życia.

Kim jest ta osoba, której przez wszystkie te lata próbujesz wybaczyć?

Yvette Nichol położyła się prosto do łóżka, brudna, śmierdząca, wyczerpana – ale czuła jeszcze coś. Leżała w ciepłym łóżku, bezpieczna.

Gamache uratował jej życie. Dosłownie. Wyprowadził ją z płonącego budynku. Była nie tylko pełna optymizmu; rozpierała ją radość. Wreszcie kogoś obchodził jej los. I to nie byle kogo, ale samego nadinspektora.

Czy to oznacza, że jest nadzieja?

Ta myśl rozgrzała ją i utuliła do snu, przyniosła obietnicę spokoju, jak gdyby wreszcie udało jej się zająć miejsce z innymi w salonie.

Opowiedziała Gamache'owi o wuju Saulu.

– Dlaczego pani tam poszła? – zapytał Gamache, kiedy siedzieli już w szkolnym autobusie, rozgrzewając się, podczas gdy starsi wolontariusze roznosili kanapki i gorące napoje.

– Żeby go uratować – odpowiedziała, pragnąc skulić się w jego ramionach. Nie jak kochanka, ale jak dziecko. Bezpieczna i kochana. Uratował ją. Dla niej przeszedł przez płonące piekło. A teraz ofiarował jej coś, za czym tęskniła całe życie. Miejsce, gdzie czuła się u siebie. Jeśliby go nie obchodził jej los, nie uratowałby jej. – Powiedział pan, że fotograf jest w środku, więc chciałam go uratować.

Gamache popijał kawę i nadal wpatrywał się w policjantkę. Odczekał, kiedy nikogo nie było w pobliżu, i ściszył głos, mówiąc:

– Proszę się nie bać, Yvette. Niech mi pani powie.

I powiedziała. Przysłuchiwał się uważnie, nie przerywając, nie śmiejąc się ani nawet nie uśmiechając. Od czasu do czasu w jego oczach widać było współczucie.

Nichol opowiedziała mu o rzeczach, o których nigdy się nie wspominało poza czterema ścianami jej niepokalanego, rodzinnego domu. Opowiedziała mu

o głupim wuju Saulu w Czechosłowacji, który został wyrzucony z policji i nie zdołał uratować własnej rodziny. Gdyby do tego nie doszło, mógł ostrzec ich o nadchodzącym puczu i ochronić. Ale nie dał rady tego zrobić, więc tamci zginęli. Wszyscy zginęli, bo nikt nie dbał o ich los.

– Poszła tam pani, bo ten człowiek miał na imię Saul? – zapytał Gamache, nie śmiejąc się bynajmniej, chcąc się tylko upewnić.

Skinęła potakująco głową, nie zamierzała tłumaczyć się, bronić ani winić. Nadinspektor zagłębił się w fotel, wyglądając przez okno na wciąż płonący dom; wysiłki strażaków skupiały się teraz nie na uratowaniu budynku, ale na tym, by dać mu się wypalić.

– Czy mogę pani coś doradzić?

Znów skinęła głową, ciekawa, co jej powie.

– Niech pani już o tym nie myśli. Ma pani własne życie. To nie jest życie wuja Saula ani pani rodziców. – Na jego twarzy odmalował się wyraz powagi, spoglądał na nią wyczekująco. – Nie może pani żyć przeszłością i z pewnością nie może jej pani zmienić. To, co stało się z wujem Saulem, nie ma z panią nic wspólnego. Wspomnienia potrafią zabić, Yvette. Przeszłość może sięgnąć po panią i pociągnąć gdzieś, gdzie nie powinna się pani znaleźć. Jak płonący dom.

Gamache spojrzął znowu na głodne, liżące ściany płomienie, a potem znów na Nichol. Pochylił się w jej stronę, aż ich głowy niemal się dotknęły. To był najbardziej intymny moment, jakiego kiedykolwiek zaznała.

– Czas pogrzebać umarłych – powiedział nadinspektor miękkim szeptem.

Teraz Nichol leżała bezpieczna w ciepłym łóżku.

Wszystko będzie dobrze – pomyślała sobie, zauważając, że śnieg osiada łagodnie na parapecie okna. Podciągnęła kołdrę pod brodę i wtuliła nos w pościel. Pachniała dymem.

A wraz z tym zapachem przyszło jej na myśl okrutne zdanie, usłyszane wśród gryzącego dymu. Przebiło się do niej, skulonej na podłodze, przerażonej i samotnej. Była pewna, że umrze. Samotnie. Znaleźli ją nie ratownicy, ale ich słowa.

„Nie jest tego warta!”

Spaliłaby się żywcem, całkiem sama. Bo nie warto było jej ratować. Głos

należał do Beauvoira. Ale Gamache nie powiedział wtedy: „Owszem, jest tego warta”.

Jedyne, co usłyszała, to łoskot płomieni i bicie własnego, przerażonego serca.

Pieprzony Gamache zostawiłby ją tam na zatracenie. Nie szukał jej, tylko Petrova. Gdy ją zobaczył, to właśnie były jego pierwsze słowa: „Gdzie Petrov?”. Nie: „Wszystko w porządku?” ani: „Bogu dzięki, żeśmy panią znaleźli”.

Podstępem skłonił ją, by mu opowiedziała o wuju Saulu. By zdradziła własnego ojca. Swoją rodzinę. Teraz wiedział wszystko. Teraz na pewno myślał, że nie była tego warta.

Niech diabli wezmą tego Gamache’a!

– To musiało być podpalenie – stwierdził Beauvoir, napychając sobie usta jajeczną. Umierał z głodu.

– Ruth jest innego zdania – powiedział Gamache, smarując croissantą dżemem truskawkowym i popijając mocną, gorącą kawę. Siedzieli w jadalni pensjonatu, przytulnym, ciepłym pomieszczeniu, w którym dominowały wielki kominek i okno z widokiem na las i góry nad nim, przesłonięte teraz przez gęsto padający śnieg. Obaj mężczyźni mówili szeptem: gardła bolały ich od dymu i krzyków poprzedniej nocy. Gabri wyglądał okropnie, a Olivier zdecydował się nie otwierać bistro aż do pory lunchu.

– Dziś na śniadanie jest to, co kuchnia poda, nie przyjmujemy specjalnych zamówień – warknął do nich Gabri, gdy pojawili się w jadalni. Po czym podał fantastyczne śniadanie złożone z jajek, wędzonego glazurowanego boczku, francuskich tostów i syropu klonowego. No i jeszcze gorących, maślanych croissantów. – Macie szczęście, że jak się denerwuję, to gotuję. Co za noc! Tragiczna.

Po tych słowach Gabri zniknął w kuchni, a Beauvoir zwrócił się do Gamache’a.

– Jak to: jest innego zdania? Co innego mogło się stać? Główny podejrzany, a co najmniej istotny świadek w sprawie o morderstwo ginie w płomieniach, a Ruth nie podejrzewa, że został zamordowany?

– Ruth mówi, że widziała płomienie strzelające z komina.

– No i co z tego? Płomienie strzelały zewsząd. Z mojego tyłka praktycznie też.

– Sąsiadka myśli, że to był wypadek, zapalenie sadzy w kominie. Zobaczymy. Inspektor pożarowy zaraz będzie na miejscu. Po południu dostaniemy raport. Czasami rzeczy są dokładnie tym, czym się wydają, Jean Guy.

– A jeśli stają w płomieniach, to czym są? Nie, sir. To było podpalenie. Saul Petrov został zamordowany.

* * *

Reszta dnia upłynęła na zwolnionych obrotach: wszyscy starali się dojść do siebie po pożarze i czekali na wyniki inspekcji. Lemieux dowiedział się, że Saul Petrov miał siostrę w Québec City. Wysłano jednego z policjantów, by zaniósł jej wiadomość o śmierci brata i zebrał więcej informacji na jego temat.

Po śniadaniu Beauvoir maszerował od domu do domu przez puszysty, sięgający kolan śnieg, rozkopując go przed sobą przy każdym kroku i rozmawiał z mieszkańcami w nadziei, że znajdzie kogoś, kto znał mieszkającą w miasteczku czterdzieści pięć lat wcześniej kobietę, której imię zaczynało się na L. Lemieux przeglądał księgi parafialne.

Dzień był spokojny, niemal senny; wycieńczenie i gruba warstwa wciąż zbierającego się śniegu jakby wyciszyły wszystkich. Gamache siedział przy biurku. Za nim ochotnicy czyścili wóz strażacki i porządkowali oprzyrządowanie. Od czasu do czasu nadinspektor zapadał w drzemkę, ze stopami na biurku, z zamkniętymi oczami i dłońmi splecionymi na brzuchu.

„Nie jest tego warta!”

Poderwał się, gwałtownie rozbudzony. Pełen paniki głos Beauvoira rozbrzmiewał mu w głowie wciąż na nowo – i znowu czuł zapach dymu. Opuścił stopy na podłogę, serce waliło mu jak młotem. Ochotnicy powoli uwijali się przy swoich zajęciach po stronie budynku zajmowanej przez straż pożarną – ale po stronie policyjnego biura nie było nikogo więcej. Nadinspektor zastanawiał się przez moment, jak by to było, przejść na emeryturę, przyłączyć się do ochotniczej straży pożarnej, kupić jeden ze starych domów w miasteczku. Otworzyć własny biznes. *A. Gamache, détective privé.*

Po chwili dostrzegł, że jednak nie jest sam. Nichol siedziała w milczeniu przed komputerem. Gamache zawahał się, czy aby to, co zamierzał zrobić, nie było nad wyraz nierozsądne. Wstał i podszedł do policjantki.

– W samym środku pożaru, gdy próbowaliśmy panią uratować... – zaczął, siadając naprzeciw niej i zmuszając, by na niego popatrzyła. Pobladła, pachniała dymem, jak gdyby woń pożaru wżarła jej się w skórę. Ubranie źle na niej leżało i było brudne: na klapie widniała tłusta plama, a na mankietach ciemne smugi. Włosy, źle obcięte, spadały na oczy. Miał ochotę wręczyć jej kartę kredytową i powiedzieć, żeby poszła sobie kupić coś ładnego. Chciał przesunąć wielką, zmęczoną dłońią po jej brwi i odgarnąć matowe włosy z oczu. Oczywiście nie zrobił ani jednego, ani drugiego. – Padło pewne zdanie. Podejrzewam, że je pani słyszała. Jeden z nas zawołał: „Nie jest tego warta!”.

Teraz to ona zmierzyła go spojrzeniem, a na jej twarzy malowała się głęboka gorycz.

Gamache wytrzymał jej wzrok.

– Przykro mi – powiedział. – Czas, byśmy oboje powiedzieli prawdę.

Opowiedział jej o planie, jaki narodził się w jego głowie. Ona słuchała. Kiedy skończył, poprosił, by nikomu o tym nie mówiła. Zgodziła się i zaraz przyszyły jej do głowy dwie myśli. Pierwsza: że Gamache jest sprytniejszy, niż jej się wydawało; druga – że koniec z nim. Kiedy nadinspektor odszedł, wyjęła komórkę i pospiesznie wybrała numer.

– Zdecydowałam się powiedzieć mu o wuju Saulu – szepnęła w słuchawkę. – Wiem, wiem. Nie taki był plan. Tak jest. Ale ja jestem na miejscu i musiałam podjąć tę decyzję natychmiast w obliczu sytuacji – skłamała. Nie mogła w żaden sposób się przyznać, że jej się to wymknęło w momencie słabości. Jej rozmówca pomyślałby, że jest słaba. – Tak, to było ryzykowne, zgadzam się. Obawiałam się, że opatrzenie to zrozumie, ale najwyraźniej zadziałało. Chyba przypadło mu do gustu. – Przynajmniej po części była to prawda. Następnie Nichol opowiedziała swemu rozmówcy wszystko, co powiedział jej Gamache.

Przez cały dzień spadło ponad dwadzieścia centymetrów puszystego śniegu. Nie takiego, z którego da się lepić bałwany, ale takiego, w którym można robić orły; Gamache przyglądał się, jak dzieciarnia kładzie się w śniegu i macha rękami i nogami.

Inspektorzy pożarowi właśnie odjechali.

Trochę potrwa, oczywiście, zanim zyskają pewność, ale ze wstępnych oględzin wynikało, że przyczyną pożaru był kreozot.

– Czyli ktoś musiał podpalić kreozot i zabić Petrova – powiedział Beauvoir.

– Właśnie – przytaknął inspektor pożarowy. – Petrov podpalił kreozot.

– Co takiego?

– Gdy Petrov zapalił w kominku tego dnia, zabijał się sam, ale nie wiedział o tym. Kreozot to naturalnie powstająca substancja. Wytwarza się przy spalaniu niedostatecznie wysuszonego drewna. Podejrzewam, że komin nie był od lat czyszczony, drewno nie sezonowane, no i... – Inspektor wniósł dłonie w geście oznaczającym nieunikniony i nierzadko spotykany rozwój wypadków.

Saul Petrov rozpałił ogień, który ostatecznie go zabił.

Jednak to był wypadek.

Gamache wyglądał przez okno, obserwując, jak inspektor pożarowy odgarnia śnieg ze swojego pikapa. Słońce zaszło i w świetle świątecznych lampek widział, jak mieszkańcy odśnieżają chodniki i podjazdy, a chmury śnieżnych płatków unoszą się jak małe burze śnieżne. Na skwerze Ruth Zardo waliła laską w ławkę, by osypać z niej śnieg i móc usiąść.

Musi być piąta po południu – pomyślał Gamache, spoglądając na zegarek, po czym podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił do Isabelle Lacoste, która siedziała w laboratorium Sûreté, czekając na wyniki badań naszyjnika i kuli li bien.

– *Oui, allô?*

– Mówi Gamache.

– Jestem w samochodzie, prawie dojeżdżam, szefie. Nie uwierzy pan, co znaleźli.

Pół godziny później zespół zebrał się w biurze operacyjnym.

– Proszę spojrzeć – powiedziała Lacoste, wręczając Gamache'owi raport. Nadinspektor założył okulary, których używał do czytania.

– Zdecydowałam, że lepiej będzie, jeśli to panu przywiozę, zamiast opowiadać. Pomyślałam, że powinien pan to zobaczyć na własne oczy.

Brwi nadinspektora ściągnęły się w skupieniu, jak gdyby czytał dokument w języku, którym nie do końca władał.

– Co takiego? – dopytywał się Beauvoir, wyciągając dłoń po papiery. Ale Gamache mu ich nie oddał. Wpatrywał się w nie nadal, przewracając strony do przodu, a potem znów do tyłu. W końcu podniósł wzrok znad okularów, a w jego głębokich, brązowych oczach widać było zdumienie i troskę. Jak we śnie podał papiery Beauvoirowi, który chwycił je niecierpliwie i zaczął czytać.

– Co za brednie – orzekł, poczytawszy przez jakąś minutę. – To bez sensu. Który technik to robił? – Sprawdził podpis i jęknął. – Musiał mieć zły dzień.

– Też tak myślałam – powiedziała Lacoste, najwyraźniej ubawiona ich minami. Miała ponad półtorej godziny jazdy, by zastanawiać się nad wynikami. – Dwa razy kazałam mu sprawdzić. Dlatego przyjechałam tak późno.

Papiery krążyły z rąk do rąk wokół stołu, aż w końcu wylądowały przed Yvette Nichol.

Gamache odebrał je jej i ułożył równiutko przed sobą. W pokoju panowała cisza, wszyscy myśleli. W piecu strzelał ogień, ekspres bulgotał, wysyłając w powietrze obłoczki wonnej pary. Lacoste wstała i naląła sobie kubek kawy.

– Jak pani sądzi, co to znaczy? – zapytał ją Gamache.

– To znaczy, że Crie nie grozi dłużej żadne niebezpieczeństwo.

– Proszę kontynuować. – Wychylił się w przód, z łokciami na stole.

– Znaczy to, że wiemy, kto zabił L, i że ta osoba nie zagraża Crie – rzekła Lacoste, obserwując reakcję kolegów. Zgadywała, że szef się z nią zgadza, choć jest o krok z tyłu. Beauvoir słuchał, z wysiłkiem nadążając; pozostała dwójka była zaszokowana.

– O czym mowa? – dopytywał się inspektor niecierpliwie. – Testy genetyczne potwierdzają ponad wszelką wątpliwość, że L była matką CC. Wiemy to z próbek krwi pobranych przy autopsji. – Popukał palcem w leżący przed Gamache'em raport.

– Ale nie to jest najbardziej interesujące – rzekł nadinspektor, oddzielając jedną kartkę z pliku i podając ją Beauvoirowi. – Najciekawsze jest to.

Beauvoir wziął kartkę i przeczytał raz jeszcze, co na niej napisano. Był to wynik testu naszyjnika. Krew na medaliku z krzyczącym orłem należała do L, ale to już wiedzieli. Inspektor spojrział na następny akapit, opisujący próbkę

krwi z rzemyka.

Oczywiście, ta sama próba krwi. I tak dalej, i tak dalej. Nagle zatrzymał się. Ta sama grupa krwi, ale nie krew tej samej osoby. Krew na rzemyku nie należała do L, tylko do CC de Poitiers. Ale skąd krew CC wzięła się na naszyjniku?

Beauvoir popatrzył na Gamache'a, siedzącego teraz przy własnym biurku. Otworzył teczkę z aktami, przejrzał parę stron, po czym zwolnił i czytał uważniej.

– Tutaj. O to pani chodzi? – Wręczył Lacoste raport z sekcji zwłok CC; ona przeczytała fragment, który wskazywał, i z uśmiechem skinęła głową.

– Rozumiem.

Gamache odchylił się na krześle i zrobił głęboki wydech.

– Osoba, która zabiła L, nie stanowi zagrożenia dla Crie, ponieważ już nie żyje.

– Fotograf – powiedział Lemieux.

– Nie – odparła Lacoste. – CC de Poitiers. Zabiła własną matkę. To jedyne logiczne wytłumaczenie. CC schwyciła naszyjnik na szyi matki i zerwała go. To spowodowało siniak z tyłu szyi L, ale także rozcięło dłoń CC. Widzicie to w raporcie z autopsji CC? Jej dłonie były podrapane, ale koroner wspomniała też o ranie, częściowo zagojonej, na spodzie dłoni. CC zabiła swoją matkę, wyrwała jej naszyjnik z martwej dłoni i cisnęła go do śmieci tutaj.

– Kto więc wyrzucił wideo i kulę li bien? – zapytał Beauvoir.

– Także CC. Na kuli były trzy rodzaje odcisków palców: Petera i Clary Morrowów oraz CC.

– Ale to nieuniknione – upierał się Beauvoir. – Kula należała do niej. Nikt poza nią nigdy jej nie widział, a co dopiero mowa o dotykaniu.

– Ale jeśli ktoś by ją jej ukradł, a potem wyrzucił, byłyby cztery rodzaje odcisków palców – przekonywał Gamache.

– Dlaczego CC miałyby wyrzucić kulę li bien? – zapytał Lemieux.

– Mogę tylko zgadywać – powiedziała Lacoste – ale sądzę, że z poczucia winy. Dwie rzeczy w domu przypominały jej o matce. Jedną była kasetka z *Lwem w zimie*, a drugą kula li bien. Myślę, że nie miały znaczenia jako

dowody. CC wyrzuciła je, bo nie mogła na nie patrzeć.

– Ale kto wrzucił wideo do śmieci, a kulę li bien wyniósł do kontenera?

– Nie wiem – przyznała Lacoste. – Możliwe, że wyrzucono je na dwa razy. Może najpierw CC wyrzuciła wideo razem z naszyjnikiem, ale zajęło jej chwilę, zanim to samo zrobiła z kulą li bien.

– Kula mogła być dla niej bardziej wartościowa – zgodził się Gamache. – Wahala się, czy może ją zniszczyć. Ten przedmiot stał się symbolem jej rodziny, jej filozofii, jej fantazji. Może dlatego nie mogła się zdobyć na to, by ją po prostu wyrzucić, więc położyła delikatnie na kontenerze.

– CC zabiła własną matkę – powtórzył Beauvoir. – Dlaczego?

– Dla pieniędzy – odparła Lacoste, która zdążyła się nad tym zastanowić. – Zamierzała się spotkać z amerykańskimi nabywcami w nadziei, że sprzeda im swoją filozofię. Jeśliby jej się udało, zarobiłaby fortunę.

– Ale prawdopodobnie była to tylko jej fantazja – rzekł Lemieux.

– Możliwe, jednak jak długo w nią wierzyła, to jedyne, co miało znaczenie. Wszystko zależało od tego, czy sprzeda li bien Amerykanom.

– Aż tu nagle pojawia się pijana żebraczka, która okazuje się matką – skinął głową Gamache – i cała starannie skonstruowana bajka o jej życiu się sypie. Tylko jedno z dwojga mogło przeżyć – albo jej marzenie, albo jej matka. Nie miała wielkiego wyboru. – Opuścił wzrok na pudełko, które trzymał w ręku. Jeszcze raz odwrócił je do góry dnem.

B KLM.

Dlaczego L zbierała te litery? Otworzył pudełko, zanurzając wskazujący palec w literach – zbieranie różnych K, M, C, L i B.

Nadinspektor powoli zamknął pudełko i położył je na biurku, wpatrując się w przestrzeń. Potem wstał i przespacerował się po pokoju. Chodził w kółko, w równym, niespiesznym tempie, z opuszczoną głową i dłońmi splecionymi za plecami.

Po kilku minutach zatrzymał się. Już znał odpowiedź.

– Madame Longpré. – Gamache wstał i skłonił się przed stojącą przed nim drobną kobietą.

– Monsieur Gamache. – Em skinęła głową na powitanie i usiadła na krześle, które jej podsunął.

– Na co ma pani ochotę?

– Espresso, *s'il vous plaît*.

Usiedli w bistro, przy stoliku niedaleko kominka. Była dziesiąta rano, padał lekki śnieg, a jednocześnie świeciło słońce – zimą w Quebecu to nierzadko spotykane, ale ciągle niezwykle zjawisko meteorologiczne. Gamache spojrzał przez okno zachwycony. Krysztály – pryzmaty, delikatne i kruche, szybowwały w powietrzu i opadały miękko na Three Pines. Na gałęziach drzew i na ubraniach spacerujących po miasteczku ludzi widać było różowe, błękitne i zielone migotanie.

Przyniesiono im kawę.

– Czy pozbiierał się pan już po pożarze? – zapytała Em. Była na miejscu, gdy to się stało, a wraz z nią Matka, a nawet Kaye. Całą noc robiły kanapki i podawały gorące napoje zmarzniętym ochotnikom. Wszyscy czuli się po tym wykończeniu, więc Gamache zdecydował poczekać z rozmową z Émilie aż do tego ranka.

– Okropna noc – powiedział. – Jedna z najgorszych, jakie pamiętam.

– Kim był ten człowiek?

– Nazywał się Saul Petrov. – Gamache odczekał, by zobaczyć, czy to nazwisko wywoła jakąś reakcję. Ale zarejestrował tylko uprzejme zainteresowanie. – Fotograf. Robił zdjęcia CC.

– Dlaczego?

– Do jej katalogu. Planowała spotkanie z amerykańską firmą i miała nadzieję,

że zainteresuje ich swoim projektem. Aspirowała do bycia trendsetterką w zakresie designu, chociaż jej ambicje sięgały o wiele dalej.

– Coś w rodzaju „wszystkiego w jednym” – zasugerowała Em. – Chciała przeprojektowywać ludzi na zewnątrz i wewnątrz.

– CC de Poitiers miała wielkie ambicje, to pewne – zgodził się Gamache. – Powiedziała pani, że spotkała CC kilka razy, ale nigdy nie poznała pani jej rodziny? Jej męża i córki?

– Widziałam ich z daleka, ale nigdy nie rozmawialiśmy. Oczywiście byli na meczu curlingowym drugiego dnia świąt.

– Rozumiem, że przyszli także na pasterkę w tutejszym kościele.

– *C'est vrai*. – Em uśmiechnęła się na to wspomnienie. – Ta mała, jej córka, potrafi stwarzać pozory.

– Jak to? – Gamache'a zaskoczyło to stwierdzenie.

– Och, nie w pejoratywnym sensie. Nie jak jej matka; CC nie stwarzała pozorów aż tak wiarygodnych, jak jej się wydawało. Zbyt łatwo było ją przejrzeć. Nie, Crie jest nieśmiała, wycofana. Nigdy nie patrzy ludziom w oczy. Ale ma zdumiewający głos. Jej śpiew naprawdę nas oczarował.

Émilie wróciła myślami do nabożeństwa wigilijnego w zatłoczonej kaplicy. Spojrzała wtedy na Crie i zobaczyła, jak dziewczynka odmienia się nie do poznania. Radość czyniła ją piękną.

– Wyglądała zupełnie tak jak David, gdy grał Czajkowskiego. – Po czym Em wspomniała scenę przed kościołem.

– O czym pani myśli? – zapytał cicho Gamache, zauważając wyraz troski malujący się na jej twarzy.

– Po nabożeństwie staliśmy przed budynkiem kaplicy. CC była z drugiej strony kościoła. Stamtąd można przejść na skróty do ich domu. Nie widzieliśmy jej. Ale słychać było przedziwny odgłos. – Émilie zacisnęła wargi, próbując sobie przypomnieć więcej. – To brzmiało jak Henri stąpający po drewnianej podłodze, jeśli mu się nie przytnie pazurów. Takie klikanie, ale głośniejsze.

– Chyba mogę rozwiązać tę tajemnicę – powiedział Gamache. – Myślę, że to były kozaczki CC. Kupiła sobie w prezencie gwiazdkowym parę kozaczków mukluków ze skóry młodej foki. Miały na podeszwach metalowe podkówki.

Em popatrzyła na niego zaskoczona i zdeglustowana.

– *Mon Dieu*, cóż On musi o nas myśleć.

– Wspomniała pani, że słychać było jeszcze coś prócz stukania podkówek tych butów?

– Wrzeszczała na córkę. Wydzierała się na nią. To było okropne.

– O co jej poszło? – zapytał Gamache.

– O to, w co Crie się ubrała. To prawda, strój był dość niekonwencjonalny. Włożyła różową sukienkę plażową... Choć CC miała największe pretensje do Crie o śpiew. Ten jej głos był boski. Nie w takim znaczeniu, w jakim używa tego słowa Gabri; było w nim coś naprawdę niebiańskiego. A CC przedrzeźniała ją i upokarzała. Gorzej. Rozdzierała ją na strzępy. To było koszarne. Słyszałam to wszystko i nic nie zrobiłam, nic nie powiedziałam.

Gamache milczał.

– Powinniśmy byli jej pomóc – powiedziała Émilie cicho. – Wszyscy staliśmy tam, w Wigilię, i przyglądaliśmy się morderstwu... Bo tak właśnie trzeba opisać to, co zaszło, nadinspektorze. Nie mam co do tego wątpliwości. Tamtego wieczora CC zamordowała własną córkę, a ja jej w tym dopomogłam.

– Za daleko się pani posuwa, madame. Dramatyzm to nie to samo co sumienie. Rozumiem, dlaczego jest pani przykro z powodu tego, co się stało, i zgadzam się, że coś należało zrobić. Wiem jednak także, że to zajście pod kościołem nie było wyjątkowym wydarzeniem. Tragedia Crie polega na tym, że nie zaznała nigdy innego traktowania. Dla niej stało się to normalne jak śnieg za oknem. – Oboje wyjrzeni na zewnątrz. – Te ataki powtarzały się tak często, aż całkiem przytłoczyły Crie.

– Powinnam była coś zrobić.

Przez chwilę oboje zamilkli; Émilie spoglądała na zewnątrz, a Gamache na nią.

– Podobno jutro ma być zamieć – powiedziała Em. – Ostrzegali, że idzie burza.

– Ile śniegu ma spaść? – Gamache nic nie słyszał o tej prognozie.

– W radiu mówili, że może nawet trzydzieści centymetrów. Zdarzyło się panu utknąć w zamieci? – zapytała.

– Raz. Jechałem samochodem w okolicy Abitibi. Było ciemno, droga pusta. Zdezorientowało mnie to. – Gamache zobaczył w pamięci śnieg kotłujący się

w smugach światła reflektorów, cały świat zredukowany do tego lśniącego tunelu. – Skręciłem nie tam, gdzie trzeba, i wjechałem w ślepią uliczkę. Droga się zwężała. Oczywiście sam byłem sobie winien. – Nadinspektor pochylił się ku Émilie. – To dlatego, że się uparłem. Ćśśś. – Rozejrzał się.

Émilie się uśmiechnęła.

– Proszę się nie obawiać, nie wygadam się. Poza tym nie sądzę, żeby ktoś w to uwierzył. Co się stało później?

– Przejazd robił się coraz węższy. – Zbliżył ręce, aż wyglądało, jak gdyby składał dłonie do modlitwy. – Praktycznie nie dało się już zobaczyć szosy. W tym momencie była to w zasadzie ścieżka. I nagle – zwrócił ręce w górę, dłońmi do przodu – nic. Tylko las i śnieg. Zaspy sięgały do połowy drzwi. Nie mogłem wyjechać ani w przód, ani w tył.

– I co pan zrobił?

Gamache się zawahał. Wszystkie odpowiedzi, jakie przychodziły mu do głowy, były zgodne z prawdą, ale na różnym poziomie. Nadinspektor wiedział, o co zamierza zapytać Em, i zdecydował, że jest jej winien taki sam rodzaj szacunku.

– Modliłem się.

Popatrzyła na tego wielkiego mężczyznę, pewnego siebie, przywykłego do wydawania rozkazów – i skinęła głową.

– Jak się pan modlił? – Nie zamierzała mu odpuścić.

– Tuż przed tym, jak to się stało, inspektor Beauvoir i ja prowadziliśmy śledztwo w małej rybackiej wiosce, Baie des Moutons, na północnych brzegach Zatoki Świętego Wawrzyńca.

– Ziemia, którą Bóg dał Kainowi^[23] – powiedziała Em niespodziewanie.

Gamache znał ten cytat, ale niewiele spotkał osób, które również o nim słyszały. Gdy w szesnastym wieku odkrywca Jacques Cartier po raz pierwszy postawił stopę na tych niegościnnych, skalistych brzegach u ujścia Rzeki Świętego Wawrzyńca, napisał w swym dzienniku: „To musi być ziemia, którą Bóg dał Kainowi”.

– Być może mam słabość do potępieńców – rzekł z uśmiechem. – Może dlatego ścigam morderców, naśladowców Kaina. To okolica jałowa i ponura; praktycznie nic tam nie rośnie, ale w mojej opinii jest tam nieprawdopodobnie

pięknie, jeśli się wie, na co patrzeć. Tutaj nie ma z tym problemu. Wszędzie jest pięknie. Rzeki, góry, miasteczka, szczególnie Three Pines. Ale w Mutton Bay to nie takie oczywiste. Trzeba się naszukać tego piękna. Ono istnieje w porostach na skałach, w maleńkich fioletowych kwiatkach, które ledwo widać – trzeba uklęknąć, żeby je zobaczyć. I w wiosennych kwiatkach moroszki.

– Złapał pan tego mordercę?

– Owszem.

Ale z jego tonu wynikało, że to nie koniec tej historii. Em czekała na ciąg dalszy, ale kiedy nie nastąpił, postanowiła zapytać:

– Co jeszcze pan tam znalazł?

– Boga – odpowiedział po prostu. – W przydrożnej knajpie.

– Co On jadł?

Pytanie było tak nieoczekiwane, że Gamache roześmiał się po chwili wahania.

– Ciasto cytrynowe z bezą.

– A skąd pan wie, że to był Bóg?

Ta rozmowa przebiegała całkiem inaczej, niż sobie ją wyobrażał.

– Nie wiem – przyznał. – To mógł być zwykły rybak. Z pewnością był ubrany jak jeden z nich. Ale spojrzał na mnie z drugiego końca sali z taką czułością, taką miłością, że aż mi mowę odebrało. – Kusilo go, by odwrócić wzrok, wgapić się w drewniany blat, na którym spoczywały teraz jego dłonie. Ale Armand Gamache nie spuścił oczu. Patrzył wprost na Em.

– Gdzie poszedł Bóg? – dopytywała się Émilie ściszym głosem.

– Skończył swoje ciasto, potem zwrócił się do ściany. Wydawało się, że pociera ją przez chwilę, po czym odwrócił się ku mnie z najbardziej promiennym uśmiechem, jaki kiedykolwiek oglądałem. Wypełniła mnie radość.

– Wyobrażam sobie, że często się to panu zdarza.

– Jestem szczęśliwym człowiekiem, madame. Mam szczęście i zdaję sobie z tego sprawę.

– *C'est ça* – przytaknęła. – Właśnie o to chodzi, by to wiedzieć. Ja osiągnęłam prawdziwe szczęście dopiero po tym, jak straciłam rodzinę. To okropne tak mówić...

– Wierzę. Rozumiem panią – odparł Gamache.

– Ich śmierć mnie odmieniła. W którymś momencie stałam w moim salonie, niezdolna postąpić ani kroku w przód czy w tył. Jak skamieniała. To dlatego pytałam pana o burzę śnieżną. To było dokładnie takie uczucie, i trwało miesiącami. Jakbym zgubiła się w zamieci. Wszędzie chaos i wycie. Nie mogłam się pozbierać. Myślałam, że umrę, czułam, że nie zniosę tej straty. Dowleklam się tam, dokąd się dało, i tak zostałam. Jak pan w tej burzy. Zagubiona, zdezorientowana, w ślepych zaułku. Oczywiście w moim wypadku dosłownie tak było. Mój salon stał się tym ślepych zaułkiem. Zagubiłam się na dobrze znanym terenie. W najbardziej mojej, najbezpieczniejszej przestrzeni.

– I co się stało?

– Zadzwoił dzwonek do drzwi. Pamiętam, że zastanawiałam się, czy powinnam otworzyć, czy się zabić. Ale dzwonek zadzwonił znowu. Nie wiem, może to była kwestia wyuczonych zachowań, ale znalazłam dość siły, żeby pójść otworzyć. I stał tam Bóg. Miał okruszki cytrynowego ciasta w kącikach ust.

Brązowe oczy Gamache’a się rozszerzyły.

– Żartuję. – Em sięgnęła dłonią ku jego nadgarstkowi i z uśmiechem go uścisnęła. Gamache zaśmiał się sam z siebie. – To był robotnik drogowy – ciągnęła. – Chciał skorzystać z telefonu. Niósł tablicę z napisem.

Przerwała, niezdolna mówić dalej. Gamache czekał. Miał nadzieję, że na tablicy nie było napisane „Nadchodzi koniec świata”. Odniosł wrażenie, że on i maleńka, krucha Émilie Longpré byli teraz jedynymi ludźmi na świecie.

– Na tablicy był napis: „Uwaga, ślisko”.

Oboje zamilkli na chwilę.

– Skąd pani wiedziała, że to Bóg? – zapytał.

– A kiedy płonący krzew staje się Krzewem Gorejącym? – odpowiedziała pytaniem, a Gamache przytaknął gestem głowy. – Moja rozpacz się rozpląnęła. Oczywiście, zostało uczucie straty, ale w tym momencie zrozumiałam, że świat nie jest tylko padołem łez. Poczułam wielką ulgę. Odzyskałam nadzieję. Dał mi ją obcy człowiek ze znakiem drogowym. Wiem, to brzmi idiotycznie, ale nagle bezbrzeżny smutek się rozwiął.

Przerwała i uśmiechnęła się do swoich wspomnień.

– Mówię panu, Matkę szlag trafił, jak o tym usłyszała. Zjechała szmat świata do Indii, żeby spotkać Boga, a On przez cały czas był tuż obok. Ona powędrowała aż do Kaszmiru, a ja tylko do drzwi.

– Jedno i drugie to podróż – powiedział Gamache. – A Kaye?

– Kaye? Nie sądzę, by odbyła jakąś podróż, i myślę, że napawa ją to lękiem. Kaye jest przerażona wieloma rzeczami.

– Clara Morrow namalowała was jako Trzy Gracje.

– Naprawdę? Kiedyś talent tej kobiety zostanie odkryty i cały świat zobaczy, jaka z niej niesamowita artystka. Ona dostrzega rzeczy, których inni nie widzą. Zauważa w ludziach to, co w nich najlepsze.

– Z pewnością dostrzega, jak bardzo wy trzy się nawzajem kochacie.

Em przytaknęła.

– Tak, kocham je obie. I kocham to wszystko. – Rozejrzała się po pogodnym wnętrzu, z ogniem trzaskającym za kratą kominka, z Olivierem i Gabrim rozmawiającymi z klientami, z metkami dyndającymi z krzeseł, stołów i żyrandoli.

Kiedy raz Gabri zezłościł się na Oliviera, obsługiwał gości z metką zwisającą mu z szyi.

– Od momentu, gdy otworzyłam te drzwi, moje życie zmieniło się na zawsze. Teraz jestem szczęśliwa. Zadowolona. Zabawne, nieprawdaż? Musiałam zstąpić do piekieł, żeby znaleźć szczęście.

– Z racji mego zawodu ludzie oczekują, że będę cyniczny – powiedział Gamache, z lekka zdziwiony, że to mówi – ale nie rozumieją czegoś. To dokładnie tak, jak pani mówi. Spędzam całe życie, zaglądając do tego ostatniego pokoju, ślepego zaułka, który skrywamy nawet sami przed sobą. Miejsca, gdzie gnieźdzą się potwory, cuchnące i zgniłe. I czekają. Moja praca polega na łapaniu ludzi, którzy odbierają życie. Żeby tego dokonać, trzeba zrozumieć, dlaczego to zrobili. By to zrobić, muszę zajrzeć do ich głów i otworzyć te ostatnie drzwi. Ale kiedy stamtąd wychodzę – rozłożył ramiona w nagłym emocjonalnym geście – świat jest nagle wspanialszy, bardziej żywy, piękniejszy niż kiedykolwiek. Gdy ogląda się to, co najgorsze, człowiek docenia to, co najlepsze.

– Właśnie tak – zgodziła się. – Pan lubi ludzi.

– Uwielbiam – przyznał.

– Co robił Bóg ze ścianą tamtej knajpy?

– Pisał na niej.

– Bóg pisał na ścianie przydrożnej restauracji? – Em nie dowierzała, choć nie była pewna, czemu. Jej Bóg spacerował po świecie z seryjnie produkowanym znakiem drogowym.

Gamache skinął głową i przypomniał sobie, jak obserwował ogorzałego, wspaniałego rybaka przy drzwiach wiodących do pełnej much restauracji, pachnącej morzem. Tamten spojrzał na Gamache'a i obdarzył go ciepłym, niosącym ukojenie uśmiechem, jakby próbował powiedzieć, że rozumie i że wszystko będzie dobrze.

Gamache wstał, podszedł do oddzielonego przepierzeniem stolika i przeczytał napis na ścianie. Wyciągnął notatnik, pełen faktów o śmierci, zbrodni, smutku i zapisał tych kilka prostych linijek.

Wiedział już, co musi zrobić. Nie dlatego, że był odważny czy dobry, ale dlatego, że nie miał wyboru. Musiał wrócić do Montrealu, do kwatery głównej Sûreté i rozwiązać sprawę Arnot. Przez kilka miesięcy uciekał od tego, chował się za innymi zajęciami: za martwymi ciałami, za solennym, szlachetnym pragnieniem, by złapać morderców, jak gdyby był jedyną osobą na świecie, która mogła tego dokonać.

To napis na ścianie kazał mu to zrobić, dał odwagę, by tego dokonać.

– Skąd pan wiedział, że właśnie to należy zrobić? – zapytała Em, a Gamache uświadomił sobie, że mówił o tym wszystkim na głos.

Błękitne oczy wpatrywały się w niego nieruchomo i spokojnie. Ale coś się zmieniło. Ta rozmowa toczyła się teraz z całkiem innego powodu. W Em pojawiła się jakaś energia, której w niej wcześniej nie było.

– Nie wiem. Nawet teraz nie jestem całkiem pewny. Wiele osób uważa, że się myliłem. Przypuszczam, że czytała pani o tym w gazetach.

Émilie przytaknęła.

– Zapobiegł pan kolejnym zabójstwom, których mógł dokonać naczelnik Arnot i jego dwaj wspólnicy.

– Nie pozwoliłem im się zabić – powiedział Gamache. Pamiętał doskonale to spotkanie. Wtedy należał do wewnętrznego kręgu Sûreté. Pierre Arnot był wysokiej rangi, szanowanym funkcjonariuszem policji, choć sam Gamache go nie szanował. Arnot znał Gamache’a od jego pierwszych dni pracy w Sûreté i nigdy nie byli z sobą w dobrych stosunkach. Nadinspektor podejrzewał, że naczelnik uważał go za słabego; Gamache uważał, że Arnot to despota.

Kiedy stało się jasne, co naczelnik i jego dwaj główni pomocnicy zrobili, kiedy nawet jego przyjaciele nie mogli dłużej zaprzeczać faktom, Arnot poprosił jedynie o to, żeby go nie aresztowano. Jeszcze nie teraz. Miał domek myśliwski w rejonie Abitibi, na północ od Montrealu. Chciał tam pojechać i nie wrócić. Zdecydowano, że takie rozwiązanie będzie najlepsze – dla Arnota, dla współoskarżonych, dla ich rodzin.

Wszyscy się zgodzili.

Z wyjątkiem Gamache’a.

– Dlaczego pan ich powstrzymał? – zapytała Émilie.

– Dość już było śmierci. Przyszedł czas na sprawiedliwość. To bardzo staroświeckie podejście. – Podniósł wzrok i uśmiechnął się do niej. Zamilkł na chwilę. – Wierzę, że to było słuszne, choć czasem mam wątpliwości. Jestem jak wiktoriański kaznodzieja. Czasami wątpię.

– Naprawdę?

Znów spojrzał w ogień i zastanawiał się głęboko i długo.

– Gdybym miał wybór, zrobiłbym to samo. To było słuszne, przynajmniej z mojej perspektywy.

Znów spojrzał na Émilie i zamilkł.

– Madame, kto to była L?

– Elle?

Gamache sięgnął do swej torby i wyjął drewniane pudełko, odwrócił je dnem do góry i pokazał jej litery na spodzie. Wskazał na L.

– L, Madame Longpré.

Chociaż wciąż patrzyła na niego, jej spojrzenie odpływało gdzieś w przestrzeń.

„Uwaga, ślisko”.

Byli prawie u celu podróży.

– Była naszą przyjaciółką – powiedziała Émilie, wytrzymując spojrzenie Gamache’a. – Nazywałyśmy ją El, ale podpisywała się tylko jedną literą, L. – Po raz pierwszy od wielu dni Em czuła spokój. – Mieszkała koło mnie. – Wskazała na mały, charakterystyczny dla Quebecu domek ze stromym blaszanym dachem i maleńkimi okiennicami. – Jej rodzina sprzedała go wiele lat temu i wyprowadzili się. Potem El zniknęła.

– Co się stało?

– Była młodsza niż reszta z nas. Bardzo miła, bardzo dobra. Takim dzieciakom często inne dokuczają. Wiedzą, że taka osoba im się nie przeciwstawi. Ale nie El. Była jednym z tych dzieci, które wydobywają z innych to, co najlepsze. Była zdolna i mądra, na wszelkie możliwe sposoby. Dziecko perła. W pomieszczeniu robiło się jaśniej, gdy do niego wchodziła, słońce świeciło promiennie w jej obecności.

Em wciąż pamiętała, jaka była El: dziecko tak śliczne i urocze, że nawet nikt jej nie zazdrościł. Poza tym być może wszyscy zdawali sobie sprawę, że coś tak cudownego nie może trwać wiecznie. W El było coś kruchego.

– Miała na imię Eleanor, prawda? – zapytał, chociaż niemal na pewno znał odpowiedź.

– Eleanor Allaire.

Gamache westchnął i zamknął oczy. Tak. Udało mu się.

– El, zdrobnienie od Eleanor – szepnął.

Skinęła głową.

– Mogę?

Jej maleńkie dłonie sięgnęły przez stół i ujęły pudełko; Em trzymała je w otwartych dłoniach, jak gdyby chciała je nakłonić, by uleciało w powietrze.

– Od lat go nie widziałam. Matka dała jej to, kiedy El opuszczała aśram

w Indiach. Wie pan, pojechały tam razem.

– El była L w B KLM^[24], prawda?

Em przytaknęła.

– Matka Bea to B, Kaye to K, a M to pani. Bea, Kaye, El i Em.

– Bardzo pan bystry, nadinspektorze. I tak byśmy się przyjaźniły, ale fakt, że nasze imiona brzmiały jak litery alfabetu, bardzo się nam podobał. Zwłaszcza, że wszystkie uwielbiałyśmy czytać. Poza tym to było takie romantyczne, trochę jak tajemny szyfr.

– Czy to stąd wzięła się nazwa *Be Calm*?

– O, to pan też rozszyfrował? Jak?

– Fraza „Be Calm” zbyt często pojawiała się w tym śledztwie. A potem odwiedziłem centrum medytacyjne Matki.

– *Be Calm*.

– Tak, ale dopiero napis na ścianie mi to uświadomił.

– Zdaje się, że często się to panu zdarza. To musi być pomocne w pańskim fachu, mieć wszystko wypisane na ścianie.

– Chodzi o to, żeby rozpoznać, co na niej napisano. Na murze centrum cytaty był przekreślony, a niefrasobliwość w takich rzeczach nie pasowała do Matki. Ona może sprawiać wrażenie osoby bujającej w obłokach, ale przypuszczam, że mocno stoi na ziemi. Nigdy nie napisałaby na ścianie „*Be calm, and know that I am God*”, jeśli nie byłoby to celowe.

– „*Be still, and know that I am God*” – zacytowała Em, tym razem prawidłowo. – W tym leżał problem El. Nie mogła ustać spokojnie. Kaye pierwsza zauważyła zbieżność liter w naszych inicjałach i przekształciła to w słowo. B KLM. *Be calm*. To było wystarczająco bliskie oryginalnej kombinacji, żeby miało głębszy sens dla nas, ale na tyle niejasne, że mogliśmy utrzymać to w sekrecie. To był nasz sekret. Ale pan go przejrzał, nadinspektorze.

– Trwało to o wiele za długo.

– Czy jest limit czasu na takie łamigłówki?

– Nie, chyba nie, ale czasami własna ślepotą mnie przeraża. Wpatrywałem się w te litery całymi dniami, wiedząc, że dla El miały specjalne znaczenie.

Podobnie było z tomikiem poezji Ruth *Jestem SUPER*. Wielkie litery odnoszą się do innych słów.

– *Mais non*. Jakich?

– Samolubna, Ułomna, Popieprzona, Egotyczna, Rozchwiana – wyjaśnił, lekko zażenowany użyciem wulgaryzmu w obecności tak pełnej godności kobiety, ale jej to nie przeszkadzało. Nawet się roześmiała.

– *J'adore* Ruth. Kiedy mi się wydaje, że jest nie do wytrzymania, robi coś takiego. *Parfait*.

– Wpatrywałem się w litery na pudełku i myślałem, że spacja między B a KLM nie ma znaczenia. Ale miała. Rozwiązanie kryło się w tym, co nieobecne. W tej małej przerwie pomiędzy literami.

– Jak te dzikie kwiaty na ziemi, którą Bóg dał Kainowi – powiedziała Em. – Żeby je zobaczyć, trzeba patrzeć uważnie.

– Nie przypuszczałem, że ta spacja była specjalnie. Myślałem, że to tam powinno być C.

– Jakie C?

– Proszę otworzyć pudełko.

Em zrobiła to i wpatrywała się w jego zawartość przez dłuższy czas. Sięgnęła do pudełka i wyjęła jedną z maleńkich literek. Pokazała ją Gamache'owi, przylepioną do czubka swego palca. C.

– Córkę też schowała do pudełka – rzekła. – Tak wygląda miłość.

– Co się stało?

Em znów sięgnęła pamięcią głęboko w przeszłość, do czasu, gdy świat był młody.

– El miała duszę wędrowniczki. Gdy reszta z nas się gdzieś osiedliła, ją nosiło jeszcze bardziej. Wydawała się taka krucha, delikatna. Wrażliwa. Bez końca ją prosiłyśmy, żeby się uspokoiła.

– Nawet swoją drużynę curlingową nazwała pani *Be Calm* – powiedział Gamache. – To była kolejna poszlaka. Mówiła pani o trójce oryginalnych graczy, ale w drużynie curlingowej musi być czworo. Kogoś brakowało. Kiedy zobaczyłem portret waszej trójki jako Trzy Gracje, wykonany przez Clare Morrow, pomyślałem, że kogoś na nim brakuje. W kompozycji jest dziura.

– Ale Clara nigdy nie poznała El – zdziwiła się Émilie. – Chyba nawet o niej nie słyszała.

– To prawda, ale jak sama pani powiedziała, Clara dostrzega rzeczy, których inni nie widzą. Ustawiła was w tej pracy w swego rodzaju wazę – naczynie, jak sama je nazywa. Ale brak w nim kawałka, jest w nim szczelina. Tam, gdzie powinna być El.

Więc uderz w dzwon, co wciąż ma ton,

O ideałach nie wspominaj.

We wszystkim zawsze jest szczelina

I światło wpada właśnie stąd.

– Co za niezwykły wiersz. Czy to Ruth Zardo?

– Leonard Cohen. Clara wykorzystała go w swojej pracy. Zapisała ten cytat na ścianie za wami, jak graffiti.

– „We wszystkim zawsze jest szczelina i światło wpada właśnie stąd” – powtórzyła Émilie.

– Co się stało z El?

Nadinspektor przypomniał sobie zdjęcia z sekcji zwłok. Brudna, wychudzona, żalosna, stara pijaczka, leżąca na stole sekcyjnym. Nic bardziej odległego niż ta promienna młoda osoba, którą opisywała mu Em.

– Chciała jechać do Indii. Uznała, że może tam wreszcie jej umysł się uspokoi, a ona sama znajdzie ukojenie. My trzy ciągnęłyśmy losy i wypadło, że to Matka z nią pojedzie. Co za ironia losu, że El w Indiach niespecjalnie się podobało, a za to Matka znalazła odpowiedź na pytanie, o którym nawet dotąd nie myślała.

– Matka – powiedział Gamache. – Beatrice Mayer. To też bardzo sprytne. Pytałem Clarę, dlaczego wszyscy nazywają Beę Matką, ale powiedziała mi, że lepiej, jeśli sam to wykombinuję.

– I udało się panu.

– Po długim namyśle. Dopiero kiedy obejrzałem *Lwa w zimie*.

– Jak to?

– Producentem tego filmu było MGM. Metro, Goldwyn, Mayer. „Mayer” wymawia się tak samo jak francuskie *mère*, czyli matka. Tak z Beatrice Mayer zrobiła się Matka Bea. Zrozumiałem to, kiedy przebywałem w towarzystwie ludzi, którzy uwielbiają nie tylko książki, ale i słowa, zarówno pisane, jak i mówione; którzy wierzą w potęgę słów.

– Gdy Kaye zapytała, dlaczego jej ojciec i inni chłopcy krzyčili: „Pierdolić papieża!”, gdy biegli na śmierć, odpowiedział pan, że może wiedzieli, iż słowa potrafią zabić. Kaye uznała, że to niemożliwe, ale ja myślę, że miał pan rację. Wiem, że słowa mogą zabić. Widziałam to w wigilijny wieczór. Może się to panu wydawać melodramatyczne, inspektorze, ale ja widziałam, jak CC zamordowała słowami własną córkę.

– Co się stało z El? – spytał znowu Gamache.

Beauvoir zatrzymał samochód i siedział w nim przez chwilę. Ogrzewanie było włączone, siedzenia podgrzane. Z głośnika Beau Dommage śpiewał *La complainte du phoque en Alaska*. Inspektor tańczył przytulanki przy tej piosence na szkolnych potańcówkach. To zawsze był ostatni taniec i dziewczyny przy tym płakały.

Nie chciało mu się wychodzić. Nie tylko dlatego, że w samochodzie było tak wygodnie i ciepło, a na dodatek przypomniało mu się coś miłego – ale dlatego, by opóźnić to, co czeka go po wyjściu. Centrum medytacji stało skąpane w porannym blasku.

– *Bonjour, inspecteur* – przywitała go z uśmiechem Matka, otwierając drzwi, jeszcze zanim Beauvoir zapukał. Ale uśmiechały się tylko jej usta, nie oczy, a kąciaki warg, zaciśniętych i bladych, ledwo się unosiły. Inspektor poczuł jej napięcie i sam się zrelaksował. Miał przewagę i wiedział o tym.

– Mogę wejść?

Za żadne skarby świata by nie zapytał: „Matko, czy mogę...” i za żadne skarby świata nie zapyta, dlaczego wszyscy nazywają ją Matką, mimo że umierał z ciekawości.

– Miałam wrażenie, że nie bardzo się tu panu podoba – powiedziała Bea, odzyskując równowagę. Beauvoir zastanawiał się, co specjalnego jest w tej kobiecie. Była przysadzista i nieatrakcyjna. Toczyła się, zamiast chodzić, włosy

sterczały jej we wszystkie strony. No i ubierała się w prześcieradła czy firanki albo inne narzuty na łóżko. Jakkolwiek by spojrzeć, wydawała się żałosna i śmieszna. A mimo to coś w sobie miała.

– Dostałem ataku grypy, kiedy tu byłem ostatnio. Przykro mi, jeśli zachowywałem się niestosownie. – Chociaż te słowa z trudem przechodziły inspektorowi przez gardło, Gamache zawsze zwracał mu uwagę, że przeprosiny stawiają go w bardziej korzystnej pozycji. W miarę upływu lat Beauvoir przekonał się, że to prawda. Ludzie mieli pewne poczucie wyższości, kiedy im się wydawało, że zyskują nad nim jakąś przewagę. Ale ledwo się ich przeprosiło, wytrącało im to oręż z ręki. A to ich wkurzało.

Teraz Beauvoir poczuł, że jest na równej stopie z madame Mayer.

– *Namaste* – odparła Bea, składając ręce w modlitewnym geście i kłaniając się.

Niech ją diabli! Znow nierówna sytuacja. Miał zapytać, ale nie zrobił tego. Zdjął buty i wszedł do wielkiej sali do medytacji, o ścianach pomalowanych na kolor akwamaryny i podłodze pokrytej zielonym dywanem.

– Mam do pani kilka pytań. – Beauvoir odwrócił się, by popatrzeć, jak madame Mayer kuśtyka w jego stronę. – Co pani myślała o CC de Poitiers?

– Odpowiedziałam już nadinspektorowi na to samo pytanie. Co więcej, pan był przy tym, choć podejrzewam, że czuł się pan zbyt kiepsko, by śledzić rozmowę.

Matka była wyczerpana. Współczucie jej się skończyło. Już nie dbała o to. Wiedziała, że nie da rady tak dalej i nie mogła się już doczekać, kiedy to się skończy. Teraz nie budziła się zatroskana w środku nocy. Teraz po prostu w ogóle nie zasypiała.

Była śmiertelnie wyczerpana.

– CC miała nie po kolei w głowie. Cała jej filozofia to stek bzdur. Zebrała do kupy trochę różnych nauk, posklejała je na chybił trafił i wymyśliła tę absolutnie toksyczną teorię, jak to ludzie nie powinni okazywać uczuć. To idiotyczne. Jesteśmy naszymi emocjami. To one czynią nas tym, kim jesteśmy. Jej pomysł, jakoby to prawdziwie oświeceni ludzie nie mieli emocji, nie trzyma się kupy. To prawda, chcemy osiągnąć równowagę, ale to nie znaczy, że mamy nic nie czuć albo nie okazywać żadnych uczuć. Wręcz przeciwnie. To znaczy,

że powinniśmy odczuwać emocje w pełni, z pasją. Że powinniśmy akceptować życie we wszystkich jego przejawach. A potem przejść nad nimi do porządku dziennego. – Matka umilkła, najwyraźniej zbyt zmęczona potrzebą nieustannego powstrzymywania się od wyrzucenia z siebie tych słów. Po chwili wróciła do tematu: – CC myślała, że jest od nas lepsza, że może tu przyjechać i rozstawiać wszystkich po kątach. Li bien siamto, *Be Calm* owamto. I te jej wszystkie gustowne białe ubrania, meble, pościel, jej durne poduszki do kontroli aury, uspokajające kocyki dziecięce i Bóg wie co jeszcze. CC była nienormalna. Jej emocje zostały wyparte, stłamszone, pokręcone, zmienione w kompletną groteskę. Twierdziła, że jest taka wyważona, że taką ma dobrą energię. Okazuje się, że ta jej energia była na tyle mocna, że aż ją zabiła. Karma.

Beauvoir zastanawiał się, czy „karma” to sanskryckie słowo oznaczające ironię.

Matka emanowała gniewem. Inspektor lubił, kiedy jego podejrzani się tak zachowywali. Kiedy tracili panowanie nad sobą i gotowi byli zrobić i powiedzieć najbardziej nieostrożne rzeczy.

– A mimo to obie nazwałyście swoje firmy *Be Calm*. Czy *calm*, czyli spokojny, nie sugeruje opanowania? Nieokazywania emocji?

– Jest różnica pomiędzy spokojem a martwością.

– Pani się bawi w słowne gry. Tak samo jak z tym tutaj. – Inspektor podszedł do ściany z wypisanym na niej cytatem.

– „*Be calm, and know that I am God*”. Powiedziała pani nadinspektorowi Gamache’owi, że to z Izajasza, ale to jest z Księgi Psalmów, czyż nie?

Przepadał za tym aspektem swojej pracy. Widział, jak z Matki uchodzi powietrze, zaskoczyło go tylko to, że nawet nie pisnęła. Powoli wyjął z kieszeni swój notes.

– Psalm 46, wers 11. „*Be still, and know that I am God*”. Skłamała pani i celowo umieściła na ścianie przekręcony cytat. Dlaczego? Co naprawdę znaczy *Be Calm*?

Oboje milczeli. Beauvoir słyszał bicie własnego serca.

Aż nagle coś się stało. Inspektor zrozumiał, co zrobił. Złamał starszą kobietę. Coś się w niej zmieniło i nagle dostrzegł przed sobą zmęczoną, pomarszczoną

staruszkę z rozczochranymi włosami i pulchnym, obwisłym ciałem. Jej twarz bardzo pobladła, kościste, drżące ręce poznaczone były żyłkami.

Pochyliła głowę.

To on to zrobił. Celowo i z radością.

– Eleonor i Matka zostały w aśramie przez pół roku – opowiadała Gamache’owi Em, a jej ręce nagle stały się tak niespokojne, że co chwila bawiła się uszkiem filizanki. – Matka angażowała się w to wszystko coraz głębiej, ale El znów nosiło. W końcu wyjechała, wróciła do Kanady, jednak nie do domu. Na jakiś czas straciłyśmy ją z oczu.

– Kiedy uświadomiłyście sobie, że była niezrównoważona psychicznie? – zapytał.

– Zawsze to wiedziałyśmy. Jej umysł nigdy nie odpoczywał. Na niczym nie potrafiła się skupić, przerzucała się z jednej rzeczy na drugą i we wszystkim była znakomita. Ale trzeba jej przyznać, że jeśli coś naprawdę ją zainteresowało, zapadała w to bez reszty. Angażowała cały swój talent i energię. Kiedy to się zdarzało, była fantastyczna.

– Jak z li bien? – Gamache wyjął z torby kartonowe pudełko.

– Cóż jeszcze pan tam ma? Całą drużynę Montreal Canadians? – zapytała, pochylając się, by zajrzeć mu do torby.

– Mam nadzieję, że nie: grają mecz dziś wieczorem.

Em wpatrywała się w jego wielkie ręce, ostrożnie odpakowujące zawiniątko i odsłaniające kryjący się w nim przedmiot. Leżał teraz na stole obok drewnianego pudełka i przez magiczną chwilę Émilie Longpré czuła się, jakby znów miała młode ciało i patrzyła na kulę li bien po raz pierwszy. Glob był świetlisty i jakby nierealny – piękno uwięzione pod warstwą niewidzialnego szkła, jednocześnie cudowne i straszne.

Jak Eleanor Allaire.

Młoda Émilie wiedziała w tamtym czasie, że ją utracą, że ich wrażliwa przyjaciółka nie da rady przetrwać w zewnętrznym świecie. Teraz kula li bien powróciła do Three Pines, ale bez swojej stwórczyni.

– Mogę potrzymać?

Gamache złożył kulę w dłoniach Em, podobnie jak przedtem pudełko; także

i tym razem trzymała przedmiot w zwiniętych wokół niego ciasno dłoniach, jak gdyby tuląc go, ochraniając coś niezwykle cennego.

Nadinspektor sięgnął do swej torby po raz ostatni i wyciągnął długi skórzany rzemyk, poplamiony brudem, tłuszczem i krwią. Zwisiała z niego orla główka.

– Muszę poznać całą prawdę, madame.

Beauvoir siedział teraz obok Matki i słuchał tak uważnie jak wtedy, gdy był dzieckiem, a jego własna matka czytała mu straszne, przygodowe historie.

– Gdy CC przyjechała tu po raz pierwszy – wyjaśniała Matka – przejawiała niemal nienaturalne zainteresowanie nami.

Beauvoir wiedział instynktownie, że mówiąc „nami”, miała na myśli Émilie, Kaye i siebie.

– Zjawiała się i przesłuchiwała nas. To było coś o wiele więcej niż towarzyska wizyta, nawet wedle standardów kogoś tak nietaktownego jak CC.

– Kiedy uświadomiła pani sobie, że CC jest córką El?

Matka zawahała się. Beauvoir miał wrażenie, że to nie dlatego, że Bea próbuje kłamać, ale dlatego, że sięga pamięcią wstecz.

– To się stało stopniowo. Ale co przekonało mnie ponad wszelką wątpliwość, to wzmianka o Ramenie Dasie w jej książce. – Matka skinęła głową w stronę ołtarzyka na ścianie, ozdobionego cuchnącymi kadzidełkami na podstawce i dekorowanym kawałkami lusterka skrawkiem barwnej tkaniny. Powyżej przyklejony był plakat, a pod nim fotografia w ramce. Beauvoir podszedł, by im się przyjrzeć. Plakat przedstawiał wychudzonego Hindusa w pieluszcze, stojącego przy kamiennym murze z długą laską i promiennym uśmiechem. Wyglądał jak Ben Kingsley w *Gandhim*, ale dla Beauvoira wszyscy starzy Hindusi tak wyglądali. To w ten plakat wpatrywał się tak intensywnie podczas pierwszej wizyty. Na fotografii widać było tego samego mężczyznę, siedzącego w towarzystwie dwóch młodych kobiet z Zachodu; obie były szczupłe, uśmiechnięte i odziane w falujące koszule nocne. A może w firanki. Albo narzuty na łóżko. Zdumiony Beauvoir odwrócił się do Matki. Do rozczochranej, korpulentnej, umęczonej Matki.

– To pani?

Matka podeszła obok i uśmiechnęła się, reagując na jego niedające się ukryć

zdumienie. Nie czuła się dotknięta. Ją również często to zdumiewało.

– A to El. – Bea wskazała drugą z kobiet. Matka i guru na zdjęciu się uśmiechali, ale ta druga kobieta niemal promieniała. Beauvoir ledwie mógł oderwać od niej oczy. A potem przypomniał sobie zdjęcia z sekcji zwłok, które pokazał mu Gamache. To prawda, Matka się zmieniła – ale te zmiany były naturalne i wciąż pozwalały rozpoznać dawną osobę, nawet jeśli przestała już być atrakcyjna. Ale ta druga kobieta! Jej blask zniknął, jej promienność wyblakła i wyszarzała, aż w końcu całkiem zgasła pod warstwami brudu i rozpaczy.

– Niewiele osób słyszało o Ramenie Dasie. Choć oczywiście to nie był jedyny powód. – Matka usiadła z powrotem. – CC nazwała swoją filozofię li bien. Przeżyłam ponad siedemdziesiąt lat i tylko raz w życiu wcześniej słyszałam tę frazę z czyichś ust. Z ust El. CC zatytułowała swoją książkę *Be Calm* i tak samo nazwała swoją firmę. No i użyła logo, o którym tylko my wiedziałyśmy.

– Tego orła?

– To symbol Eleonory Akwitańskiej.

– Proszę mi to wyjaśnić, Matko. – Beauvoir sam nie mógł uwierzyć, że zwrócił się do niej per „Matko”, ale zrobił to i zabrzmiało naturalnie. Miał tylko nadzieję, że nie dojdzie do tego, by karmiła go piersią.

– W szkole uczyliśmy się historii Wielkiej Brytanii i Francji – powiedziała Matka. – Najwyraźniej Kanadzie brakowało własnej. W każdym razie gdy doszliśmy do dziejów Eleonory Akwitańskiej, ten epizod stał się obsesją El. Uznała, że jest Eleonorą Akwitańską. Niech pan nie patrzy na mnie z takim sceptycyzmem, inspektorze. Nie powie mi pan, że nigdy nie bawił się pan w Dziki Zachód albo nie udawał, że jest Batmanem czy Supermanem.

Beauvoir prychnął. Oczywiście, że niczego takiego nie robił. To wariactwo. On był Jean-Claude'em Killym, najwspanialszym narciarzem olimpijskim wszech czasów. Nawet powiedział matce, żeby nazywała go Jean-Claude, ale odmówiła. No ale i tak w swoim pokoju wykonywał wspaniałe zjazdy, zdobywając olimpijskie złoto, a często przeganiając straszliwe lawiny oraz ratując po drodze zakonnice i pełnych wdzięczności milionerów.

– Już wtedy El poszukiwała, czuła, że coś jest nie tak, jak gdyby żyła w nie

swojej skórze. Myślenie, że jest Eleonorą Akwitańską przynosiło jej ukojenie; Em zrobiła jej nawet naszyjnik z godłem królowej. Z orłem. Bardzo agresywnym orłem.

– No więc kiedy CC sprowadziła się tutaj, złożyła to pani w całość i odkryła, że CC była córką El.

– Zgadza się. Wiedziałyśmy, że El miała dziecko. Zniknęła na parę lat, a potem nagle przyszła od niej pocztówka z Toronto. Zaangażowała się w związek z jakimś mężczyzną, który szybko ulotnił się z jej życia, ale najpierw zrobił jej dziecko. El nie wzięła z nim ślubu; w tamtych czasach, w latach pięćdziesiątych, oznaczało to skandal. Gdy El opuszczała Indie, zdawałam sobie sprawę z tego, że emocjonalnie nie jest z nią najlepiej. Jej umysł był genialny, delikatny i niezrównoważony. Biedna CC, że wyrastała w takim domu. Nic dziwnego, że równowaga stała się dla niej taka istotna. – Matka popatrzyła na Beauvoira zadziwiona. Dopiero teraz dotarło do niej, co powiedziała. – Nie mam żadnego współczucia dla CC, nie żal mi jej. Z początku, gdy zorientowałyśmy się, że jest córką naszej ukochanej El, starałyśmy się ją zaprosić w nasze życie. Nie mogę jednak powiedzieć, żebyśmy ją polubiły. Okazała się wyjątkowo niesympatyczna. El była jak słoneczny blask: jasna, pełna miłości, dobra. Ale jej córka to dziecko ciemności. CC nie żyła w cieniu matki; była jej cieniem.

– Znaleźliśmy to w dłoni El. – Gamache starał się powiedzieć to tak, by zabrzmiało łagodnie, ale nie dawało się ukryć grozy tego, co to oznaczało. – El mogła być niezrównowazona, ale z jej sercem wszystko było w porządku. Wiedziała, co jest ważne. Przez wszystkie te lata na ulicy nie rozstawała się z tymi dwoma rzeczami. – Dotknął pudełka i wskazał gestem naszyjnik. – Wasza trójka. Otoczyła się przyjaciółmi.

– Staraliśmy się nie stracić jej z oczu, ale wędrowała ze szpitala do szpitala, aż w końcu wylądowała na ulicy. Nie mogło nam się zmieścić w głowach, że nasza El jest bezdomna. Próbowaliśmy zakwaterować ją w schronisku, ale zawsze z niego odchodziła. Nauczyliśmy się respektować jej wolę.

– Kiedy odebrano jej CC? – zapytał Gamache.

– Nie wiem dokładnie. Myślę, że dziewczynka mogła mieć z dziesięć lat, gdy El wylądowała w szpitalu.

Oboje milczeli przez chwilę, wyobrażając sobie, jak mała dziewczynka zostaje zabrana z jedyne go domu, jaki miała. Może brudny i niezdrowy, ale to jednak był dom.

– Kiedy ponownie zobaczyła pani El?

– Matka, Kaye i ja często jeździliśmy autobusem do Montrealu; kilka lat temu zobaczyliśmy El na dworcu. To było szokujące, oglądać ją w takim stanie, ale ostatecznie przywykliśmy do tego.

– Pokazałyście jej coś z prac Clary?

– Clary? W jakim celu? – Em najwyraźniej była zdezorientowana. – Nigdy nie miałyśmy wiele czasu, żeby porozmawiać z El, zwykle parę minut, więc zostawiałyśmy jej koce, ubrania, jedzenie, jakieś pieniądze. Ale nigdy nie pokazywałyśmy jej prac Clary. Dlaczego pan o to pyta?

– Czy pokazałyście jej kiedyś zdjęcie Clary?

– Nie. – Em znowu była zaskoczona pytaniem.

Trudno się nie dziwić, pomyślał Gamache.

– Gdy Clara była załamana i zdenerwowana, El powiedziała do niej: „Zawsze uwielbiałam twoją sztukę, Claro”.

Gamache czuł na twarzy ciepło bijące z kominka. Zastanawiał się, czy El nie zajmowała się czasem kiedyś połowem dorszy, a może pracowała przy budowie dróg.

– Jak się pani dowiedziała, że El została zabita? – Nie dało się złagodzić tego pytania.

Em najwyraźniej przygotowywała się na nie i prawie nie zareagowała.

– Dwudziestego trzeciego grudnia pojechaliśmy znowu do Montrealu, żeby dać El gwiazdkowy prezent.

– Dlaczego? Czemu nie dałyście jej prezentu, gdy byliście na promocji książki Ruth?

– El była przywiązana do swoich nawyków. Wszelkie odstępstwa od rutyny wprawiały ją w popłoch. Parę lat temu próbowałyśmy dać jej prezent wcześniej i w ogóle nie zareagowała; to nas nauczyło. To musiało być dwudziestego trzeciego. Wygląda pan, jakby go to dziwiło.

Tak było. Gamache nie mógł uwierzyć, że bezdomna kobieta żyła wedle

terminarza. Skąd mogła w ogóle wiedzieć, jaki jest dzień?

– Henri wie, kiedy jest pora kolacji, a kiedy pora spaceru – powiedziała Em, gdy Gamache zwierzył się ze swych wątpliwości. – Nie zamierzam porównywać El do mojego psiaka, ale w ostatecznym rachunku to tak właśnie u niej działało. Pozostał jej tylko instynkt. Żyła na ulicy, była niespełna rozumu, pokryta własnymi odchodami, pogrążona w obsesjach, pijana. Ale mimo to pozostała najczystsza duszą, jaką kiedykolwiek spotkałam. Szukałyśmy jej pod budynkiem Ogilvy, potem na dworcu. W końcu zadzwoniłyśmy na policję. Stąd się dowiedziałyśmy, że nie żyje.

Em uciekła spojrzeniem w przeciwnym kierunku, jej pewność siebie zbladła. Musiała jednak wytrzymać jeszcze jedno pytanie.

– Kiedy się pani dowiedziała, że zamordowała ją własna córka?

Oczy Émilie się rozszerzyły.

– *Sacré* – wyszeptała.

– Nieee! – wrzeszczał Beauvoir do telewizora. – Zatrzymać go! Obrona, obrona!

– Uważajcie, barany! – siedzący obok na kanapie Robert Lemieux wił się, próbując przystopować gracza New York Rangers pomykającego po lodowisku New Forum.

– Strzał! – wykrzyknął komentator. Beauvoir i Lemieux pochylili się, niemal obgryzając paznokcie z emocji, i patrzyli, jak maleńka czarna kropka na ekranie wystrzela z kija Rangera. Gabri wpijał palce w oparcie fotela, a dłoń Oliviera zamarła w połowie drogi do talerza z serem.

– Gol! – wrzasnął komentator.

– Thomas. Pieprzony Thomas. – Lemieux zwrócił się do Beauvoira. – Ile mu płacą, siedemnaście trylionów, a on nawet nie potrafi zatrzymać ataku? – Pokazał na ekran.

– Płacą mu tylko jakieś pięć milionów – odezwał się Gabri, który delikatnie posmarował kawałek bagietki serem Saint-Albray i nałożył na wierzch odrobinę dżemu. – Jeszcze wina?

– Poproszę – powiedział Beauvoir, wyciągając rękę z kieliszkiem. To był pierwszy mecz hokejowy, jaki oglądał bez piwa i chipsów. Całkiem mu pasowała przesiadka na wino i sery. I właśnie uświadamiał sobie, że w sumie lubi Roberta Lemieux. Do tej pory traktował go jak przenośny mebel, jak fotel na kółkach. Jak kogoś, kto się czasem przydaje, ale z kim nie należy się spoufalać. Ale teraz, gdy wspólnie przeżywali upokarzającą porażkę w meczu z tymi nieudacznikami z New York Rangers, Lemieux okazał się oddanym i mądrym sprzymierzeńcem. Zresztą Gabri i Olivier też.

Rozległ się sygnał programu *Hockey Night in Canada*, więc Beauvoir wstał, by rozprostować nogi i przeszedł się po salonie pensjonatu. Siedzący w fotelu nieopodal Gamache rozmawiał przez telefon.

– Thomas znowu przegapił strzał – poinformował Beauvoir.

– Widziałem. Za daleko się wysuwa z bramki – odparł nadinspektor.

– To jego styl. Inne zespoły dają się tym zastraszyć, szybciej przechodzą do strzału.

– I to działa?

– Dzisiaj nie – zgodził się Beauvoir. Zabrał pusty kieliszek Gamache’a i odszedł. Pieprzony Thomas. Sam bym to lepiej zrobił – pomyślał inspektor, a gdy rozpoczęły się reklamy, wyobraził sobie siebie w bramce Canadians. Ale nie był bramkarzem, tylko napastnikiem. Lubił być w centrum uwagi, cieszyły go zabawa krążkiem, wysiłek, jazda na łyżwach, oddawanie strzałów, wsłuchiwanie się w jęk przeciwnika, gdy przyciska się go do bandy. A co tam, może nawet dałby mu łokciem kuksańca ekstra.

Ale nie, znając siebie, zdecydowanie wiedział, że nie nadawałby się na bramkarza.

Gamache by się nadawał. To on był osobą, na którą mogli liczyć, gdy sytuacja robiła się podbramkowa.

Beauvoir zabrał napełniony kieliszek z powrotem i postawił go przy nadinspektorze, tuż przy telefonie; Gamache podziękował uśmiechem.

– *Bonjour?* – Gamache usłyszał znajomy głos i serce mu się ścisnęło.

– *Oui, bonjour*, czy to madame Gamache, bibliotekarka? Słyszałem, że czytelnicy za długo przetrzymują książki.

– To raczej praca za długo przetrzymuje mężów; mój dość lubi książki – odpowiedziała Reine-Marie ze śmiechem. – Witaj, Armand. Jak się sprawy mają?

– Eleanor Allaire.

Zapadła cisza.

– Dzięki, Armand. Eleanor Allaire. – Reine-Marie powtórzyła nazwisko, jakby to była część litanii. – Piękne nazwisko.

– Podobno należało do pięknej kobiety.

I opowiedział wszystko: o Eleanor, jej przyjaciółkach, wyprawie do Indii i o jej córce. O szczelinie w pękniętym naczyniu, o tym, jak El wylądowała na ulicy. O CC, zabranej z domu, wychowanej przez Bóg wie kogo,

poszukującej matki, i o kupnie domu w Three Pines.

– Dlaczego myślała, że jej matka może tam być? – zapytała Reine-Marie.

– Z powodu obrazka, który matka namalowała na bombce choinkowej. Na kuli li bien. To był jedyny przedmiot, który CC po niej miała. Musiała albo usłyszeć, albo sama się domyśliła, że trzy sosny na bombce odnoszą się do miasteczka, w którym urodziła się i wychowała jej matka. Dziś po południu rozmawialiśmy ze starszymi mieszkańcami; pamiętali rodzinę Allaire. Mieli tylko jedną córkę, Eleanor. Wyjechali prawie pół wieku temu.

– Więc CC kupiła dom w Three Pines w ramach poszukiwania matki? Zastanawiam się, dlaczego teraz? Czemu nie wiele lat temu?

– Nie sądzę, byśmy to kiedykolwiek wiedzieli na pewno – odparł Gamache, popijając wino. W tle słyszał sygnał *Hockey Night in Canada*. Reine-Marie także oglądała mecz w sobotni wieczór. – Thomas jak dotąd ma kiepski wieczór.

– Powinien się trzymać bliżej siatki – odpowiedziała Reine-Marie. – Rangers go przejrżeli.

– Czy masz teorię, dlaczego CC nagle zaczęła szukać matki?

– Mówiłeś, że jakaś amerykańska firma zainteresowała się jej katalogiem?

– Co myślisz?

– Może czekała na moment, gdy uzna, że odniosła sukces.

Gamache zastanawiał się nad tym, obserwując, jak na ekranie hokeiści podają sobie krążek, po czym tracą go i szusują z furią z powrotem, podczas gdy przeciwna drużyna atakuje.

Beauvoir i Lemieux z jękiem opadli na kanapę.

– Kontrakt z Amerykanami. – Gamache pokiwał głową. – I książka. Myślimy, że właśnie dlatego El przeniosła się z dworca pod Ogilvy. CC kazała rozwiesić plakaty reklamujące jej książkę. Jeden z nich wisiał na dworcu. El musiała go zobaczyć i zrozumiała, że CC de Poitiers jest jej córką, więc poszła do Ogilvy, by ją odnaleźć.

– A CC pojechała do Three Pines w poszukiwaniu matki – odpowiedziała Reine-Marie. Było coś przygnębiającego w tym, że te dwie zranione kobiety szukały się nawzajem.

Gamache'owi przyszedł do głowy obraz kruchej, drobnej El, starej i zmarzniętej, wędrującej przez szerokie przecznice, opuszczającej swoje dobre miejsce na kracie metra w nadziei, że odnajdzie córkę.

– Strzelaj, strzelaj! – krzyczeli mężczyźni w salonie.

– Strzał i gol! – zawołał komentator z towarzyszeniem dzikiego ryku na trybunach New Forum i histerycznej radości Beauvoira, Lemieux, Gabriego i Oliviera, którzy obściskiwali się i tańczyli po pokoju.

– Kowalski! – zawołał Beauvoir do Gamache'a. – Wreszcie! Trzy do jednego!

– Co robiła CC w miasteczku? – zapytała Reine-Marie. Wyłączyła swój telewizor w salonie, żeby skoncentrować się na rozmowie.

– Najwyraźniej podejrzewała, że jej matką jest jedna ze starszych pań, więc przesłuchiwała je wszystkie.

– I wtedy odnalazła matkę pod Ogilvy. El musiała ją rozpoznać. Prawdopodobnie do niej zagadała, a CC nie zwróciła na nią uwagi, uznając, że to jeszcze jedna uliczna żebraczka. Ale El nie dałaby za wygraną. Może za nią poszła albo zawołała po imieniu. Pewnie nawet wtedy CC zbagatelizowała to, sądząc, że bezdomna zna jej nazwisko z powodu książki. Myślę, że El w końcu była tak zdesperowana, że pokazała wisiołek. To by sprawiło, że CC skamieniała. Pamiętała ten naszyjnik z dzieciństwa. Zrobiła go Émilie Longpré. Był jedyny w swoim rodzaju. To uświadomiłoby CC, że ta kobieta to jej matka – ciągnęła Reine-Marie cicho, wyobrażając sobie tę scenę i próbując zrozumieć, jak by się czuła na miejscu CC. Tak pragnęła odnaleźć matkę. Tak tęskniła nie tylko za nią, ale i za jej aprobatą. Tak chciała wpaść w jej ramiona.

I wtedy stanęła oko w oko z El, cuchnącą, pijaną, żalosną żebraczką. Swoją matką.

Co zrobiła CC?

Straciła głowę. Reine-Marie zgadywała, co się stało. CC chwyciła za naszyjnik i zerwała go matce z szyi. Potem chwyciła długi szalik i ciągnęła, ciągnęła, zaciskając coraz ciaśniej.

Zamordowała własną matkę. By ukryć prawdę – tak jak robiła przez całe życie. Musiało to właśnie tak wyglądać. Co innego mogło się zdarzyć? Zapewne CC postąpiła w ten sposób, by uratować kontrakt z Amerykanami,

bo bała się, że go straci, jeśli się wyda, że twórczynią li bien i *Be Calm* jest bezdomna alkoholiczka, jej matka. A może zrobiła to, bo myślała, że klientela ją wyśmiej.

Bardziej prawdopodobne jednak, że nie pomyślała ani o jednym, ani o drugim. Działała instynktownie, jak jej matka. A instynkt CC mówił jej zawsze, by pozbyć się wszystkiego, co nieprzyjemne. Wymazać to, sprawić, by zniknęło. Tak jak postąpiła ze swym słabym, niedołącznym mężem i wielką, milczącą córką.

El była dla niej ogromną, cuchnącą nieprzyjemnością. Eleanor Allaire zginęła z ręki swego jedyne dziecko.

A potem to dziecko także umarło. Reine-Marie westchnęła, posmutniała od tych wizji.

– Jeśli CC zabiła swoją matkę, to kto zabił CC? – zapytała.

Gamache milczał przez chwilę. A potem jej powiedział.

Na piętrze pensjonatu Yvette Nichol leżała na łóżku, przysłuchując się sygnałowi *Hockey Night in Canada* i okazjonalnym wybuchom emocji w salonie. Bardzo chciała się przyłączyć. Pogadać o kontrakcie Thomasa i o tym, czy to wina trenera, że Canadians mają taki fatalny sezon, albo o tym, czy drużyna Toronto wiedziała, że Pagé jest kontuzjowany, gdy sprzedali go ekipie Montrealu.

Coś poczuła do Beauvoira tamtej nocy, kiedy się nim opiekowała, i następnego dnia, gdy jedli razem śniadanie. Nie podkochiwała się w nim, czuła tylko bliskość, ulgę, jakby ktoś zdjął jej z ramion ciężar, a ona nawet nie uświadamiała sobie, że go dźwiga.

Potem ten pożar i jej idiotyczny pomysł, żeby wejść do budynku. Jeszcze jeden powód, by nienawidzić durnego wuja Saula. Oczywiście to jego wina. Wszystko złe, co spotkało jej rodzinę, w ostatecznym rachunku wiązało się z wujem Saulem. Był zgniłym konarem w genealogicznym drzewie jej rodziny.

„Nie jest tego warta!” Te słowa parzyły, raniły. Z początku nawet nie pojmowała, jak bardzo. Takich rzeczy nigdy się nie wie. Człowiek nic nie czuje. Ale z upływem czasu uświadomiła sobie, że jest głęboko zraniona.

Gamache z nią rozmawiał, to było interesujące. Szczerze mówiąc, pomogło.

Choćby w tym, że uświadomiła sobie, co musi zrobić. Podniosła komórkę, wybrała numer. Odezwał się męski głos, w tle słychać było dźwięki meczu hokejowego.

– Mam do ciebie pytanie – powiedział Gamache dziwnym tonem, co zaniepokoiło Reine-Marie. – Czy dobrze postąpiłem w sprawie Arnot?

Reine-Marie ścisnęło się serce, gdy usłyszała, że Armand o to pyta. Na zewnątrz zachowywał się zdecydowanie, był dzielny. Nikt – nawet Jean Guy i Michel Brébeuf, jego najlepsi przyjaciele – nie wiedział, jakie przechodził męki. Ale ona wiedziała.

– Dlaczego teraz o to pytasz?

– W tamtej sprawie chodziło o coś więcej niż tylko morderstwo, o zasady.

– W każdym śledztwie, nad jakim pracowałeś, chodzi o zasady. O to, w co wierzy morderca, w co ty wierzysz.

To prawda. Jesteśmy tym, w co wierzymy. Ale jedyne śledztwo, w którym naprawdę groziło mu, że zdradzi własne zasady, było sprawą Arnot.

– Może powinienem im pozwolić umrzeć.

O to chodziło! Czy w sprawie Arnot pokierowało nim jego ego? Jego duma? Pewność, że to on ma rację, a wszyscy inni się mylą?

Gamache pamiętał potajemne, pospieszne spotkanie w kwaterze głównej Sûreté. I decyzję, że powinni pozwolić tym ludziom popełnić samobójstwo, dla dobra instytucji. Pamiętał, jak podał to w wątpliwość. I został przegłosowany. Potem wyszedł. Do dziś czuł falę wstydu na wspomnienie tego, co stało się później. Wziął sprawę w Mutton Bay, tak daleko od kwatery głównej, jak tylko się dało. Gdzieś, gdzie mógłby przewietrzyć głowę. Ale przez cały czas wiedział, co musi zrobić.

Rybak ostatecznie rozwiązał jego wątpliwości.

Gamache wsiadł do samolotu i wrócił do Montrealu. To był ten weekend, kiedy Arnot wybierał się do Abitibi. Nadinspektor pojechał tam samochodem, kawał drogi. W miarę, jak dojeżdżał, pogoda się pogarszała. Zaczęła się pierwsza tamtej zimy burza, gwałtowna i brutalna. Zgubił się po drodze i utknął w śniegu.

Ale modlił się i pchał auto, aż wreszcie opony trafiły na twardey grunt, i mógł dotrzeć z powrotem do głównej drogi. Odnalazł domek myśliwski; przyjechał w samą porę.

Wszedł, a Arnot po chwili wahania sięgnął po broń. W tym momencie Gamache zrozumiał, jaka była prawda. Arnot zamierzał dopilnować, by pozostali umarli, po czym samemu zniknąć.

Nadinspektor był szybszy, przebiegł przez pokój i chwycił broń. I nagle było po wszystkim. Zabrał tamtych trzech z powrotem do Montrealu, gdzie wkrótce mieli stanąć przed sądem, na procesie, którego nikt poza Armandem Gamache'em się nie spodziewał i nie chciał oglądać.

Proces był bardzo głośny, wstrząsnął Sûreté i całą społecznością. Wiele osób winiło za to Gamache'a. Zrobił coś nie do pomyślenia: pozwolił, by o sprawie dowiedziała się opinia publiczna.

Przypuszczał, że tak będzie, i dlatego się wahał. To okropne utracić szacunek kolegów. Straszne jest być pariasem.

Wspominając tamte chwile, Gamache wyszeptał:

I kiedy biedak, w spokojnym marzeniu

Myśli, że owoc wielkości dojrzeewa,

Kąsa mu korzeń i – jak ja – upada (...)

A gdy upada, upada w rozpacz.

– „Jako Lucyfer”^[25] – dokończyła cytata Reine-Marie. – Czyż to nie wspaniałe, Armand, że twój upadek stał się legendą?

Roześmiał się krótko.

– Rozczulam się tylko nad sobą. Tęsknię za tobą.

– Ja za tobą też, kochanie. I owszem, postąpiłeś słusznie. Ale rozumiem twoje wątpliwości. To one sprawiają, że jesteś cudowną osobą. Wątpliwości, a nie te rzeczy, których jesteś pewien.

– Pieprzony Thomas! Widzieliście to?! – Beauvoir stał przed telewizorem, trzymając się rękami za głowę i rozglądając po pokoju. – Sprzedać go! – wykrzyknął do ekranu.

– A kim wolałbyś być dzisiaj? – zapytała Reine-Marie. – Armandem Gamache’em czy Carlem Thomasem?

Roześmiał się. Rzadko się zdarzało, by ogarniały go wątpliwości, ale dziś wieczorem tak się złożyło.

– Sprawa Arnot nie jest jeszcze zamknięta, prawda? – zapytała Reine-Marie.

Nichol zeszła ze schodów i uśmiechem odpowiedziała na spojrzenie Gamache’a. Skłoniła głowę, po czym przysiadła się do reszty; mężczyźni przed telewizorem byli zbyt zaaferowani, by ją zauważyć.

– *Non, ce n’est pas fini.*

Światła w domach Three Pines gasły jedne po drugich; wreszcie zgasły nawet lampki na wielkiej choince i wszędzie zaległa ciemność. Gamache wstał z fotela. Wszyscy wyszli już z salonu i poszli spać, więc wyłączył światło i usiadł na chwilę, rozkoszując się spokojem i widokiem układającego się do snu miasteczka. Cichutko włożył płaszcz oraz śniegowce i wyszedł na zewnątrz; śnieg skrzypiał pod podszewkami. Émilie Longpré wspomniała, że kanadyjskie Centrum Meteorologii ogłosiło ostrzeżenie o burzy, mającej nadejść nazajutrz, ale teraz trudno było uwierzyć, że ona nastąpi. Gamache poszedł do połowy drogi.

Cicha noc, jak w kolędzie. Przechylił głowę, by popatrzeć na gwiazdy. Całe niebo aż od nich lśniło. Nadinspektor pomyślał, że to chyba jego ulubiona pora. Stał pod zimowym niebem, rozgwieżdżonym tak, jak gdyby Bóg zatrzymał burzę śnieżną i rozwiesił miliony śnieżynek w powietrzu. Było jasno, pogodnie. Gamache nie miał ochoty na spacer. Znalazł odpowiedzi. Wyszedł tylko po to, by pobyć sam ze sobą pośrodku Three Pines w ciszy nocy. Co za spokój.

Następnego ranka obudzili się i zobaczyli burzę. Gamache widział ją ze swego łóżka. Czy, dokładniej rzecz ujmując, nic nie widział. Śnieg zalepił okna, a nawet utworzył małą zaspę na drewnianym parapecie przy szczelinie, gdzie niedomknięte okno pozwalało płatkom wpadać do wewnątrz. W pokoju było lodowato, ciemno i cicho. Kompletna cisza. Gamache zauważył, że budzik nie działa. Próbował włączyć światło.

Nic.

Wysiadł prąd. Gamache wygrzebał się z łóżka, zamknął okno, włożył szlafrok i kapcie, po czym otworzył drzwi. Na dole słyszał jakieś przyciszone głosy. Na parterze powitał go magiczny widok. Gabri i Olivier zapalili lampy naftowe i wielkie świece w szklanych kloszach. Wnętrze błyszczało od plam

bursztynowego światła. To było przepiękne, jak gdyby jedynie ogień oświetlał świat. Kominek się palił, emanując ciepłem. Gamache przysunął się bliżej. Piec musiał zagasnąć wiele godzin temu, dom się wyziębił.

– *Bonjour, monsieur l'inspecteur.* – Usłyszał pogodny głos Oliviera. – Mamy z powrotem ogrzewanie za sprawą naszego zapasowego generatora, ale dopiero za jakąś godzinę będzie ciepło.

W tym momencie dom zadrżał.

– *Mon Dieu* – powiedział Olivier – naprawdę daje na zewnątrz. Wczoraj wieczorem w wiadomościach mówili, że może spaść nawet pół metra śniegu.

– Która godzina? – zapytał Gamache, próbując podsunąć swój zegarek pod lampę naftową.

– Za dziesięć szósta.

Gamache pobudził resztę i zjedli śniadanie tak, jak pewnie jadali je lokatorzy tawerny na dyliżansowym szlaku. Przy ogniu. Złożone było z opiekanych angielskich bułeczek, dżemu i *café au lait*.

– Gabri podłączył ekspres i piekarnik do generatora – wyjaśnił Olivier. – Brakuje światła, ale mamy, co niezbędne.

Do czasu, gdy policjanci zaczęli przebijać się przez zamieć do biura operacyjnego, prąd włączono z powrotem, choć światła w pensjonacie ciągle mrugały. Śnieg walił z nieba, uderzając w idących z ukosa. Kulili się i schylali głowy, starając się nie pogubić w trakcie krótkiej wędrówki przez znajomą okolicę. Śnieg lepił się do nich, wnikając pod rękawy i za kołnierze, do uszu i w każdy zakamarek ubrania, jak gdyby poszukiwał drogi ku skórze. I znajdował ją.

W biurze poodwijali szaliki, otrzepali zbrylony śnieg z namokniętych czapek i śniegowców.

Burza zastała Lacoste w Montrealu, gdzie utknęła i spędzała dzień w kwaterze głównej. Beauvoir telefonował przez cały rano, aż w końcu znalazł w Cowansville aptekarza, który przypomniał sobie, że przez kilka ostatnich tygodni sprzedał trochę niacyny. Chociaż padający śnieg czynił drogi praktycznie nieprzejezdnymi, inspektor postanowił odwiedzić aptekarza.

– Żadne halo – powiedział, podniecony tym, że sprawa jest bliska

rozwikłania, a on rusza w środek burzy. Jak bohater, myśliwy, rzucający wyzwanie losowi, przeciwstawiający się okolicznościom, walczący z najgorszą burzą wszech czasów. Był niesamowity.

Beauvoir wybiegł na zewnątrz i zaraz odkrył, że śnieg sięga mu do kolan. Przebrnął przez zaspy do samochodu i przez następne pół godziny wykopywał auto. Dobrze, że śnieg był puszysty, lekki, przywodził na myśl wyczekiwane z utęsknieniem wolne od nauki dni, gdy szkoły zamykano z powodu śnieżycy.

Pomimo burzy mieszkańcy miasteczka załatwiali sprawunki, poruszając się na raketach śnieżnych i biegówkach, ledwie widoczni w porywach śnieżycy. Samochód Beauvoira był jedynym na drodze.

– Sir. – Lemieux podszedł do Gamache’a godzinę później. – Znalazłem to pod drzwiami.

Miał w ręku kopertę, długą, wypchaną i nawilgłą od topniejącego śniegu.

– Czy widział pan, kto to przyniósł? – Gamache przeniósł spojrzenie z Lemieux na Nichol. Ta wzruszyła ramionami i wróciła do swojego komputera.

– Nie, sir. W taką burzę nawet gdyby ktoś był tuż przy budynku i tak byśmy nie widzieli.

– Ktoś musiał podejść tak blisko – powiedział Gamache. Na kopercie napisano precyzyjnym, eleganckim pismem: „Nadinspektor Armand Gamache, Sûreté du Québec”. Rozdarł kopertę z uczuciem narastającej grozy. Szybko przebiegł wzrokiem po dwóch kartkach, zerwał się na równe nogi i przeszedł przez pomieszczenie, narzucając płaszcz i nawet nie zadając sobie trudu zapięcia go, zanim wyjdzie w tak koszmarną pogodę.

– Mogę pomóc?! – zawołał za nim Lemieux.

– Nichol, proszę z nami. Niech się pani ubiera i pomoże mi odśnieżyć samochód.

Yvette rzuciła mu ostre spojrzenie, nawet nie starając się ukryć swoich uczuć, ale zrobiła to, co jej kazał. Po kilku minutach intensywnej pracy ich trójka wykopała volvo spod śniegu, chociaż ciągle mocno sypało.

– Wystarczy. – Gamache otworzył drzwi i wrzucił skrobaczkę do szyb i łopatkę do środka. Lemieux i Nichol pospieszyli z drugiej strony, każde jako pierwsze chciało zająć siedzenie pasażera.

Opony buksowały. Nagle auto skoczyło w przód. Spoglądając we wsteczne lusterko, Gamache widział, jak Lemieux ciągle pochyła się w tym samym miejscu, gdzie stał, kiedy popchnął tył samochodu. Nichol leżała na tylnym siedzeniu, z rękami złożonymi na biodrach. Serce Gamache'owi waliło, ale pilnował się, żeby nie przyciskać zbyt mocno pedału gazu. Napadało tyle śniegu, że trudno było odróżnić drogę od pobocza. U szczytu ulicy du Moulin zawahał się. Wycieraczki wściekle młóciły o szybę, ledwie nadążając. Śnieg zbierał się szybko; nadinspektor wiedział, że jeśli zatrzyma się zbyt długo, utknie w zaspach. Ale dokąd teraz?

Wyskoczył z samochodu i stał na drodze, patrząc raz w jedną, raz w drugą stronę. Dokąd jechać? Do Saint-Rémy? Do Williamsburga? Dokąd?

Zmusił się, by się uspokoić. By się zatrzymać. Słyszał wycie wiatru i czuł na sobie lodowato oklejający go śnieg. Nic mu nie przychodziło do głowy. Nie było ściany z proroczym napisem ani szeptu przemawiającego w zamieci. Ale usłyszał w głowie szorstki, wyraźny głos Ruth Zardo.

Gdy śmierć nas rozdzieli,

Spotkają się ponownie ci, co wybaczą, i ci, którym wybaczone.

Czy może, jak zawsze, będzie już za późno?

Wskoczył z powrotem do auta i pojechał w stronę Williamsburga tak szybko, jak tylko miał odwagę – tam, gdzie ci, którzy wybaczą i którym wybaczone, spotkają się znowu. Ale czy nie będzie za późno?

Jak długo leżał ten list?

Trwało całą wieczność, zanim ukazał się przed nimi budynek Legionu. Gamache przejechał obok i skręcił w prawo. Stał tam samochód. Nadinspektor nie wiedział, czy powinien czuć ulgę, czy wściekłość. Zaparkował za autem i wyskoczył na zewnątrz.

Stał na czubku niewielkiego wzgórza, patrząc na jezioro Brume; śnieg uderzył go w twarz i oślepił. W oddali, pomiędzy podmuchami wiatru, dostrzegł trzy postacie, z trudem utrzymujące się na lodzie.

– *Namaste, namaste* – powtarzała w kółko Matka; jej spękane usta krwawiły, w końcu nie mogła już mówić dalej. Słowo utkwilo w jej wnętrzu; Matka

zamilkła, pozwalając, by jedynym towarzystwem były strach i niedowierzenie. Kaye z trudem dreptała obok, jej nogi prawie odmawiały posłuszeństwa; szła pomiędzy podtrzymującymi je przyjaciółkami, uświadamiając sobie, że tak pokonała całe życie. Dlaczego dopiero teraz to do niej dotarło? A u kresu drogi – bo to był jej kres – całkowicie od nich zależała. Podtrzymywały ją, podnosiły, prowadziły ku przyszłemu życiu.

Znalazła odpowiedź na swoją zagadkę. Dlaczego ojciec i jego towarzysze krzyczeli: „Pierdolić papieża!”, biegnąc na pewną śmierć.

Odpowiedź nie istniała. To były jego słowa, jego życie, jego droga, jego śmierć.

A one miały własne. Przez całe życie próbowała rozwikłać zagadkę, która w ogóle jej nie dotyczyła. Wcale nie musiała tego zrozumieć. Jedyne, co musiała rozumieć, to własne życie, własną śmierć.

– Kocham was – powiedziała chropawym głosem, ale wiatr porwał jej słowa i zaniósł z daleka od uszu starych kobiet.

Gdy we trójkę z wysiłkiem szły po jeziorze, Em podtrzymywała Kaye. Matka przestała się trząść, dygotać, a nawet płakać, aż jedyne, co dało się słyszeć, to wycie burzy.

Koniec był teraz blisko. Em nie czuła już stóp ani dłoni. Pocieszała się, że nie będzie musiała cierpieć udręki potwornego klucia, gdy zaczną odmarzać. Wiatr szalał, a w jego podmuchach słyszała coś jeszcze. Z drugiej strony jeziora napływały dźwięki skrzypiec solo.

Em otworzyła oczy, ale widziała tylko biel. Uwaga, ślisko, już tutaj.

Armand Gamache stał na brzegu. Barbarzyński wiatr pędził od strony gór, przez jezioro, obok trzech kobiet, za zasypane śniegiem lodowisko curlingowe, za miejsce, gdzie umarła CC; rósł w siłę, zbierał ból i grozę, aż w końcu uderzył go w twarz. Nadinspektor z trudem chwycił oddech i zacisnął w dłoni list od Em – papier stał się niewidoczny w otaczającym go ze wszystkich stron śniegu. Gamache był otulony bielą, jak trzy staruszki.

Postąpił krok naprzód, chcąc rzucić się biegiem za nimi przez taflę jeziora. Ze wszystkich sił pragnął je uratować, ale zatrzymał się, szlochając z wysiłku. W liście Émilie błagała, by pozwolił im umrzeć jak starym Eskimoskom z ludowej legendy, które weszły na lodową krę i pozęglowały ku śmierci.

Oczywiście, to one zamordowały CC. Wiedział to od wczoraj, a może nawet dłużej. Przecież to niemożliwe, żeby nikt nie zauważył mordercy. Kaye nie mogła siedzieć obok CC i nie widzieć, kto ją zabił. No i samo morderstwo – to było zbyt skomplikowane. Niacyna, roztopiony śnieg, przekrzywione krzesło, kable podłączeniowe. Wreszcie porażenie prądem tak idealnie zgrane w czasie z oczyszczaniem domu, kiedy uwaga wszystkich skupiła się na Matce.

A potem jeszcze uprzątnięcie kabli.

Pojedyncza osoba nie zdołałaby zrobić tego wszystkiego, nie będąc widzianą.

Gorzka niacyna była w herbacie, którą Matka podawała na śniadaniu drugiego dnia świąt. Em rozlała płyn do odmrażania szyb, gdy przyniosła krzesła. Sama usiadła na jednym z nich, by nie mogła go zająć CC.

Rola Kaye była kluczowa. Gamache zakładał, że ktokolwiek poraził CC prądem, najpierw podpiął kable do krzesła, potem zaś krążył w pobliżu ciężarówki Billy’ego, czekając na właściwy moment, by podłączyć przewód do generatora. Ale z listu Em wynikało, że było odwrotnie. Najpierw przypięły kable do generatora Billy’ego, a potem Kaye czekała na sygnał od Em, że Matka zaraz oczyści dom. Gdy sygnał nadszedł, podeszła do wolnego krzesła, przekrzywiła je i przypięła kable. Wtedy już przez krzesło płynął prąd.

Do tego czasu niacyna zaczęła działać i CC zdjęła rękawiczki. Matka zabierała się do oczyszczania domu. Wszystkie oczy zwrócone były na nią. Wypchnęła kamień, który z łoskotem poszybował po lodzie; tłum zerwał się z trybun, wszyscy krzyczeli, CC także wstała. Dała krok naprzód, wdeptując w kałużę, położyła nagie dłonie na oparciu krzesła i było po wszystkim.

Oczywiście, ryzykowały. Kaye musiała odpiąć kabel – a to był jaskrawo pomarańczowy przewód, leżący tam, gdzie nie powinien. Ale założyły, że wszyscy będą tak zaabsorbowani CC, że będą mogły to zrobić. Em tak uczyniła, wrzucając kabel z powrotem na ciężarówkę Billy’ego. Mało brakowało, by została przyłapana, gdy Billy biegł w jej stronę, by uruchomić auto i oczyścić pakę dla CC. Zatuszowała sprawę, twierdząc, że wpadła na ten sam pomysł i chciała posprzątać na pace, żeby można tam było ułożyć CC i zmieścić zespół reanimacyjny.

Jedynym, czego Gamache nie mógł się domyślić, był motyw. Ale Em i Matka dostarczyły tu odpowiedzi.

Crie.

Musiały uratować wnuczkę El od potwora, jakim była jej matka. Słyszały śpiew Crie, a potem to, jak CC ją zgnoiła i upokorzyła. No i widziały dziewczynkę.

Jasne było, że Crie umiera, dusząc się pod warstwami tłuszczu, lęku i milczenia. Wycofała się do własnego świata i ledwie się jej udawało z niego wydobyć. CC zabijała własną córkę.

Teraz Gamache przyglądał się, jak małeńka, środkowa sylwetka, najmniejsza ze wszystkich, zapada się w śnieg. Dwie pozostałe zachwiały się, próbując ją wyciągnąć. Pomóc jej iść jeszcze kawałek. Nadinspektor poczuł, jak kolana mu drżą i zapragnął zapaść się w zaspę, zagrzebać zgrozę, na którą patrzył; odwrócić wzrok, gdy Trzy Gracje umierały.

Ale stał wyprostowany, a śnieg zbierał mu się na kołnierzu i na rękawach, oklejał twarz i nieustannie otwarte oczy. Gamache zmusił się, by patrzeć, jak jedna po drugiej padały na kolana. Został przy nich, z powtarzaną bez końca modlitwą na popękanych wargach.

Aż nagle nowa myśl przyszła mu do głowy.

Gamache spojrział na zmięty w dłoni list, potem znów na ciemne kropki na śniegu. Przez moment skamieniał, zamarł w osłupieniu.

– Nie! – wrzasnął, skacząc w przód. – Nie! – krzyknął i odwrócił się, patrząc na samochód, już w połowie zakopany pod śniegiem. Podobnie jak te kobiety. Z furią pobiegł w stronę auta, próbując się do niego dostać.

Było za późno, wiedział to – ale i tak musiał spróbować.

Gamache zawrócił samochód i pognął w stronę Williamsburga, prosto do *cantine* przy ulicy Principale.

– Potrzebna mi pomoc – powiedział, stając w drzwiach restauracji. Wszystkie oczy zwróciły się na niego, wielkiego, obcego człowieka pokrytego śniegiem i domagającego się działania. – Jestem nadinspektor Gamache z Sûreté. Trzy kobiety utknęły na jeziorze Brume. Potrzebujemy skuterów śnieżnych, by je stamtąd zabrać.

Po chwili ciszy jeden z mężczyzn wstał i powiedział:

– Wiedzmy tralalala.

To był Billy Williams.

– Ja też pójdę z wami. – Kolejny mężczyzna podniósł się z krzesła. Knajpa opustoszała, a Gamache siedział na skuterze śnieżnym, trzymając się Billy’ego, podczas gdy cała flotylla podążała za nimi ulicą Principale i dalej na jezioro.

Burza wyła nad nimi, nadinspektor ledwie coś widział, ale walczył, by doprowadzić Billy’ego do wycieńczonych kobiet. Modlił się, żeby śnieg całkiem ich nie zasypał.

– Są gdzieś tutaj! – wykrzyczał do czapki Billy’ego, ozdobionej emblematem Canadians.

Billy zwolnił. Pozostałe skutery podążały za nimi, ostrożnie, by nie przejechać kobiet. Billy wstał z siedzenia i z wdziękiem prowadził maszynę przez głęboki śnieg, szukając wzgórek, wybrzuszenia, ciała.

– Tuja krowy wyżeł! – zawołał, wskazując na coś, czego Gamache nie widział. Byli teraz w środku kurzawy. Nie widać było Williamsburga, brzeg jeziora zniknął w zamieci, podobnie jak pozostałe skutery. Billy zawrócił maszynę i jechał prosto w miejsce, które dla Gamache’a niczym się nie różniło od innych na tafli jeziora. Ale gdy podjechali bliżej, nadinspektor zauważył kontury postaci.

Upadły, obejmując się nawzajem, śnieg faktycznie je przysypał. Ale Billy Williams je odnalazł. Zerwał rękawice i gwizdnął głośno na palcach, podczas gdy Gamache brnął przez głęboki śnieg do przysypanych kobiet. Przerażliwy gwizd przeniknął przez wycie burzy. Nadinspektor padł na kolana i zaczął odkopywać Em, Matkę i Kaye, a Billy zwołał resztę; gdy zostały odkopane, ratownicy natychmiast zabrali je na skutery. Po chwili mężczyźni pędzili już z uratowanymi z powrotem w stronę brzegu.

Gamache trzymał się Billy'ego. Wszystko było białe. Śnieg uderzał w nich, niemal całkiem uniemożliwiając oddychanie, a tym bardziej widzenie czegoś. Skąd Billy wiedział, gdzie jest brzeg, pozostanie jego słodką tajemnicą. Gamache'owi wydawało się, że zmierzają w przeciwną stronę i otworzył usta, by coś krzyknąć, ale zaraz je zamknął.

Był dezorientowany, ale musiał zaufać Billy'emu. Objął mężczyznę mocniej i czekał, aż płozy maszyny podskoczą na brzegu i wespną się na opadającą lekko ulicę Principale. Ale tak się nie stało. Mięło pięć minut, potem dziesięć; Gamache domyślił się, że są pośrodku jeziora Brume.

Zgubieni. W śnieżnej burzy.

– Gdzie jesteśmy?! – zakrzyknął do czapki Billy'ego.

– Poję wanna na krupy! – odkrzyknął Billy i jechał w tę samą stronę. Trzy minuty później – to trwało nieskończenie długo – skuter wjechał na małe wzniesienie, a Billy skręcił w lewo. Nagle otoczyły ich sosny. Brzeg, dotarliśmy na brzeg – pomyślał Gamache zaskoczony. Odwrócił się i zobaczył, że reszta skuterów podąża ich śladem.

Billy pognał ścieżką ku ulicy, nieodsnieżonej jeszcze i całkiem opustoszałej. Gamache rozglądał się za swoim autem, wiedząc, że czeka go długa jazda do szpitala w Cowansville. Ale Billy wiozł ich gdzie indziej.

Niech go diabli! Najpierw nas zgubił na jeziorze, a teraz jedzie Bóg wie dokąd – pomyślał Gamache.

– Cienki pokój popukaj! – krzyknął Billy, wskazując naprzód. Widać tam było olbrzymi, podświetlany znak z napisem „Szpital”.

Billy Williams przeprowadził ich przez burzę, przez jezioro i dowiózł prosto do szpitala.

– Skąd pan wiedział? – zapytał Gamache’a Beauvoir; stali przy łóżku Kaye Thompson. Starsza pani, podpięta do kroplówki i maszyn medycznych, była owinięta w srebrny koc rozgrzewający. Wyglądała jak pieczony w folii ziemniak. Podobnie jak kiedyś jej ojciec, stanęła w obliczu pewnej śmierci i udało jej się przeżyć.

Gamache wyjął z kieszeni zwinięty w kulę kawałek namokniętego papieru. Podając go Beauvoirovi, odwrócił się, by popatrzeć na Kaye. Zastanawiał się, jak się czuła przez ostatnich parę dni ze świadomością, co będą musiały zrobić.

Beauvoir usiadł i delikatnie rozprostował kartki, aż znowu wyglądały jak list. Napisała go Émilie pięknym, czytelnym pismem i elegancką francuszczyzną. Wszystko w nim wyjaśniła. Że Crie przypominała jej syna, Davida. Taka utalentowana, tak pełna radości, gdy mogła zagłębić się w muzyce. Kiedy w wigilijny wieczór usłyszały, jak CC atakuje Crie, uznały, że nie mają wyboru. Musiały zabić CC, żeby uratować Crie.

– To wiele tłumaczy – powiedział inspektor, skończywszy czytać. – Skomplikowany przebieg zbrodni, to, dlaczego Kaye twierdziła, że nic nie widziała. To wszystko ma sens. Musiały to zrobić we trójkę. Niacyna była w herbatce Matki; Émilie czuwała, kiedy Matka zacznie hałasować przy curlingu i odwróci uwagę wszystkich od CC. Kaye oparła się o krzesło, przekrzywiając je. Wiedziały, że CC nie powstrzyma się przed przestawieniem go. – Wskazał na list. – Madame Longpré błaga, żeby pan pozwolił im się zabić; zamierzał pan spełnić tę prośbę.

Beauvoir nie był mistrzem delikatności, ale starał się, żeby to nie zabrzmiało zbyt agresywnie.

Gamache wyszedł z oddziału na ruchliwy korytarz. Lekarze i pielęgniarki chodzili we wszystkie strony; pogotowie zapełniało się ofiarami wypadków drogowych, połamanymi narciarzami, osobami przywiezionymi ze śnieżycy z objawami hipotermii i odmrożeń. Dwaj mężczyźni znaleźli wolne krzesła i usiedli.

– Ma pan rację, zamierzałem dać im umrzeć. – Nadinspektor nie mógł uwierzyć, że to mówi. – Już wczoraj wiedziałem, że tylko one mogły zabić CC. List od Em jedynie potwierdzał moje podejrzenia. Ale gdy przyglądałem się, jak brną przez jezioro, przyszli mi do głowy starzy Eskimosi, którzy w czasie głodu wędrują na lodową krę, by na niej odpłynąć i umrzeć, a w ten sposób uratować

swoją społeczność. Oddają życie, by inni mogli żyć. No i jeszcze kozaki CC.

– Mukluki. Eskimoskie buty. Nie zamierza pan chyba powiedzieć, że w zbrodni uwikłani byli Eskimosi? – Beauvoir zastanawiał się, kto to mógłby być.

– Nie. – Gamache uśmiechnął się nieznacznie.

– To dobrze. Więc tylko ich trójka. Obawiałem się, że całe miasteczko maczało w tym palce.

Młody lekarz szedł szybko w ich stronę, wycierając ręce.

– Nadinspektor Gamache? Właśnie wyszedłem od madame Mayer. Wygląda na to, że przeżyje. Sprawia wrażenie miękkiej, ale jest twarda jak stal. Oczywiście ma odmrożenia i jest wychłodzona. Co ciekawe, chyba to śnieg je uratował. Utworzył jakby koc i pomógł je osłonić przed mrozem. Ale ta druga kobieta, Émilie Longpré...

Gamache zamknął oczy na króciutki moment.

– Obawiam się, że nie udało się jej uratować.

Gamache przypuszczał, że tak się stanie. Gdy ją podnosił, była nieprawdopodobnie lekka. Czuł, że musi ją mocno trzymać, bo inaczej odpłynie. Obejmował ją i modlił się ze wszystkich sił, by przeżyła. Ale to naczynie było już zbyt głęboko pęknięte.

Émilie Longpré leżała teraz zwinięta w kłębek w ramionach Gusa, w ciepłe, bezpieczna, szczęśliwa i słuchała koncertu skrzypcowego D-dur Czajkowskiego. Em wróciła do domu.

– Madame Mayer jest przytomna, jeśli chce pan z nią porozmawiać.

– Tak, bardzo chcę.

Gamache ruszył korytarzem za doktorem.

– Jeszcze jedno – powiedział lekarz, gdy podchodzili do drzwi. – Madame Mayer w kółko powtarza to samo. Miałem nadzieję, że może pan nam pomóc zrozumieć, o co jej chodzi.

– *Namaste* – wtrącił Beauvoir. – To znaczy „Bóg we mnie pozdrawia Boga w tobie”.

Gamache odwrócił się, zaskoczony.

– Sprawdziłem – wyjaśnił inspektor.

– Nie, to nie *namaste*, znam to słowo. – Lekarz otworzył drzwi.

Gamache zwrócił się do Beauvoira:

– Eskimoskie buty. Émilie Longpré nie wspomina o nich w liście. Nie wiedziała o nich, dopóki jej nie powiedziałem, a nawet wtedy nie zauważała ich znaczenia. – Po tych słowach zniknął w pokoju Beatrice Mayer.

Beauvoir został sam. Co szef chciał przez to powiedzieć?

Aż nagle go olśniło. Podobnie jak eskimoscy staruszkowie, Trzy Gracje chciały się zabić, żeby uratować kogoś innego. Prawdziwego mordercę.

Nie zabiły CC. Ktoś inny to zrobił.

Z wnętrza pokoju usłyszał głos Beatrice Mayer:

– Pierdolić papieża!

Gdy po raz kolejny Beauvoir parkował samochód pod tym budynkiem, auto zarzuciło po wciśnięciu hamulca, jak gdyby nie chciało się tam zatrzymywać.

Dawny dom Hadleyów leżał w niemal zupełnej ciemności; ścieżka do drzwi nie była odśnieżona, bez śladów stóp. Przez cały dzień nikt tam nie wchodził ani stamtąd nie wychodził.

– Zadzwoń po wsparcie?

– Nie. Nie sądzę, żeby nasz widok ich zaskoczył. Może nawet poczują ulgę.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego CC za niego wyszła – mruknął Beauvoir, patrząc na zamknięte drzwi.

– Z powodu nazwiska – wyjaśnił Gamache. – Nichol podsunęła mi tę odpowiedź.

– Jak na to wpadła?

– Cóż, nie wykombinowała tego do końca, ale powiedziała mi, że weszła do płonącego domu ratować Saula Petrova z powodu jego imienia. Saul. Nichol miała wuja Saula, a jej rodzina ma zbiorowe poczucie winy z powodu tych jej członków, którzy zginęli w Czechosłowacji. W tym wuja Saula. To zadziało na poziomie instynktownym, nie na racjonalnym.

– Nic z tego, co ona robi, nie ma sensu.

Nadinspektor zatrzymał się w pół drogi i popatrzył na młodszego kolegę.

– To wszystko ma sens. Niech pan jej nie lekceważy, Jean Guy. – Spoglądał

mu w oczy trochę dłuższej, niż wydawało się to konieczne, po czym kontynuował opowieść. – Cała ta sprawa opiera się na wierze w potęgę słów. CC de Poitiers poślubiła jedynego mężczyznę, za którego mogła wyjść, czyli innego potomka królewskiego rodu. Ulubionym synem Eleonory Akwitańskiej był Richard Coeur de Lion. Ryszard Lwie Serce. Richard Lyon.

– Więc pociągało ją nazwisko, a nie człowiek?

– To się często zdarza. Jeśli się lubi jednego Rogera, nagle człowiek jest pozytywnie nastawiony do wszystkich noszących to imię.

Beauvoir prychnął. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek był pozytywnie nastawiony do kogokolwiek.

– Działa to też w przeciwną stronę – ciągnął Gamache. – Jeśli się nie znosi jakiegoś George’a, są spore szanse, że z początku będzie się czuło antypatię do wszystkich George’ów. Sam tak mam. Nie jestem z tego dumny, ale zdarza mi się. Naczelnik Brébeuf jest jednym z moich najbliższych przyjaciół. Za każdym razem, kiedy poznaję jakiegoś Michela, myślę o Brébeufie i od razu lubię tę nowo poznaną osobę.

– Pan od razu lubi każdego. To się nie liczy. To nie jest dobry przykład.

– No dobrze, to inny. Pewna Suzanne była dla mnie bardzo niemiła w szkole średniej.

– Naprawdę, była niemiła?

– Okropnie niemiła.

– Co panu robiła, dźgała nożem?

– Wyzywała mnie. Przez cztery lata. Łaziła za mną po korytarzach. „Kryłem się przed nią długie dni i noce, pędziłem uciekając pod lat arkadami, pędziłem uciekając gdzie myśli tajń migocze”.

– To ostatnie to cytat, nieprawdaż? – zapytał Beauvoir oskarżycielskim tonem.

– Obawiam się, że tak. Z *Charta gończego niebios*^[26]. Może nim była. Nauczyła mnie, że słowa mogą ranić, a czasem zabijać. Ale także uzdrawiać, czasami.

Stali przy drzwiach i przyciskali dzwonek; drzwi się otworzyły.

– Monsieur Lyon – powiedział inspektor, przestępując próg – chcemy

zamienić z panem dwa słowa.

Gamache przyklęknął przy Crie. Fioletowy kostium kąpielowy wpijał jej się w ramiona i nogi.

– Kto się nią zajmie? – zapytał Lyon. – Czy poradzi sobie beze mnie?

Wściekły Beauvoir zamierzał go zaatakować, pytając, czemu nagle go to w ogóle obchodzi. Wystarczy spojrzeć, dokąd doprowadziło ją życie pod jego opieką. Życie bez niego mogło być jedynie zmianą na lepsze. Jednak spojrzawszy na twarz Lyona – zrezygnowaną, wystraszoną, pokonaną – ugryzł się w język.

– Proszę się nie martwić – rzekł Gamache, powoli wstając. – Będzie miała opiekę.

– Powiniennem był już dawno powstrzymać CC. Nie pozwolić, by do tego doszło. Od chwili urodzenia Crie CC wyżywała się na niej. Parę razy próbowałem o tym porozmawiać z CC. – Lyon popatrzył błagalnie na Gamache'a, licząc, że nadinspektor zrozumie. – Ale nie mogłem.

Wszyscy popatrzyli na Crie, siedzącą na łóżku w otoczeniu cukierków i papierków, jak gdyby przeszedł nad nią czekoladowy sztorm.

Nic już jej nie zostało. Jest zbiorem obaw i lęków swej babki i matki. Oto, co stworzyły – istotę podobną do potwora Frankensteina, pozszywanego z kawałków ich własnych koszmarów, pomyślał Gamache.

Ujął Crie za rękę i przytrzymał, wpatrując się w jej martwe oczy.

– Crie, dlaczego zabiłaś swoją mamę?

Crie czuła, jak piekące słońce opala jej twarz i długie, wiotkie ciało. Leżała na plaży obok swego chłopaka, który wyciągnął do niej rękę, ujął jej dłonie i przytrzymał tak, patrząc na nią oczami pełnymi dobroci. Jego młodzieńcze ciało połyskiwało, gdy przygarnął ją do siebie, pocałował lekko i przytulił.

– Kocham cię, Crie – szepnął do niej. – Jesteś wszystkim, czego można chcieć. Nawet nie wiesz, jaka jesteś piękna, utalentowana i wyjątkowa. Jesteś najwspanialszą dziewczyną na świecie. Zaśpiewasz mi?

Crie zaśpiewała. Jej głos uniósł się, a młody człowiek w jej objęciach westchnął i uśmiechnął się zachwycony.

– Nigdy cię nie opuszczę, Crie. I nie pozwolę, by ktokolwiek cię krzywdził.

Wierzyła mu.

Drzwi otworzyły się, jeszcze zanim Gamache i Reine-Marie zapukali.

– Czekaliśmy na was – powiedział Peter.

– Nieprawda! – krzyknęła Ruth z wnętrza przytulnego domku. – Zaczęliśmy pić i jeść bez was.

– Dla ścisłości, Ruth nigdy nie przestała – szepnął Peter.

– Słyszałam cię! – zawołała Ruth. – To prawda, co nie zmienia faktu, że obraźliwa.

– *Bonne année* – przywitała Gamache'ów Clara, całując ich w oba policzki i odbierając okrycia. Clara widziała Reine-Marie po raz pierwszy; była dokładnie taka, jak ją sobie wyobrażała. Uśmiechnięta, ciepła, uprzejma i elegancka w swojej zgrabnie uszytej, wygodnej spódnicy i bluzce, swetrze z wielbłądziej wełny i jedwabnej chustce. Gamache miał na sobie tweedową marynarkę, krawat i flanelowe spodnie. Wszystko świetnie skrojone, doskonale na nim leżało.

– Szczęśliwego Nowego Roku! – rzekła z uśmiechem Reine-Marie. Została przedstawiona Olivierowi i Gabriemu, Myrnie i Ruth.

– Jak się mają Matka i Kaye? – zapytał Peter, wprowadzając ich do salonu.

– Dochodzą do siebie – odparł Gamache. – Obie są wciąż bardzo osłabione i zagubione po stracie Em.

– To niewiarygodne – powiedział Olivier, przysiadając na oparciu fotela Gabriego. Ogień trzaskał na kominku, na pianinie stała taca z drinkami. Chocinka sprawiała, że zawsze gościnny salon zdawał się jeszcze radośniejszy.

– Ostrygi stoją na pianinie, z daleka od Lucy – wyjaśniła Clara. – Tylko pies Morrowów może lubić ostrygi.

– Widzieliśmy beczułkę po drodze – przyznała Reine-Marie, przypominając sobie drewnianą beczułkę pełną ostryg, stojącą w śniegu nieopodal wejścia

do domu Morrowów. Od lat takiej nie widziała, od czasów dzieciństwa spędzonego na wsi.

Beczułki ostryg na Nowy Rok. W Quebecu to tradycja.

Nałożywszy sobie na talerze pootwieranych ostryg, cienko pokrojonego i lekko posmarowanego masłem pumpernika oraz ćwiartek cytryn, Gamache'owie dołączyli do reszty gości przy kominku.

– Jak się ma Crie? – zapytała Clara, siadając obok Petera.

– Jest na oddziale psychiatrycznym. Przez jakiś czas nie stanie przed sądem, jeśli w ogóle to nastąpi – odparł Gamache.

– Skąd pan wiedział, że to ona zabiła swoją matkę? – zapytała Myrna.

– Myślałem, że to trzy starsze panie – przyznał Gamache, popijając wino. – Kompletnie mnie zmyliły. Ale przypomniałem sobie o butach z małej foczki.

– Okropność – powiedziała Ruth, pociągając głośno łyk drinka.

– Émilie w swoim liście opisała niacynę, płyn do odmrażania szyb, kable podłączeniowe. Ale pominęła kluczowy szczegół. Jeśli zrobiłyby dokładnie to, co opisano w liście, CC ciągle by żyła. Émilie nie wspomniała o butach. Ale CC musiała mieć na nogach eskimoskie mukłuki z metalowymi podkówkami. Buty były niezwykle istotne dla całej zbrodni. Wspomniałem Émilie o tych kozakach wczoraj, była wzburzona. Co więcej, zaskoczyłem ją. Ale słyszała kroki CC na chodniku po wyjściu z nabożeństwa wigilijnego, mimo że jej nie widziała. Nie miała pojęcia, skąd pochodził ten dźwięk.

– Nikt z nas tego nie wiedział – dodała Clara. – To brzmiało jak pazury jakiegoś potwora.

Przysłuchując się Gamache'owi, przypomniała sobie tekst z kolędy. „Rozpacz, błaganie, powolne umieranie w zimnego grobu ciemnym śnie”. Co za ironia, że to z *My, Trzej Królowie*^[27].

– Uświadomiłem sobie – ciągnął nadinspektor – że starsze panie nie mogły zabić CC. Ale wiedziały, kto to zrobił.

Wszyscy słuchacze, a nawet Lucy, przypatrywali mu się skupieni i w milczeniu.

– Matka powiedziała nam wszystko. Kaye podała tylko nazwisko, swój stopień wojskowy i numer, który okazał się jej numerem telefonu. Nic z niej nie mogliśmy wydobyć.

– Według Matki Kaye wszystko zaobserwowała, a to, czego nie zobaczyła, dośpiewała sobie potem. Na przykład nie widziała Crie wrzucającej niacynę do matczynej herbaty; widziała ją za to, jak rozlewała płyn do odmrażania szyb za krzesłem. Émilie zauważyła ją też kręcącą się przy ciężarówce Billy’ego Williamsa. Z początku żadna z tych rzeczy nie zwróciła ich uwagi, ale kiedy Kaye zauważyła, jak Crie celowo przekrzywia krzesło i podłącza do niego kable, zaciekawilo ją to, choć nie przypuszczała, że skończy się morderstwem. Oczywiście CC skupiała uwagę na tym, co działo się na lodowisku, ale gdy chwyciła za krzesło i poraził ją prąd, Kaye od razu wiedziała, co się stało. Przecież przepracowała całe życie w tartaku. Znała się na generatorach i kablach. Zanim udzieliła pomocy CC, odpięła kable i rzuciła je gdzie popadło. W całym tym zamieszaniu zostały wdeptane w śnieg i ukryte pod nim. Kiedy wy wszyscy reanimowaliście CC, Kaye zaczęła zbierać przewody. Em to zobaczyła i zapytała ją, co robi. Kaye nie miała dość czasu, by wszystko tłumaczyć; poprosiła jedynie, żeby zabrała kable z powrotem na ciężarówkę Billy’ego. Émilie nie trzeba było więcej wyjaśniać.

– Więc domyśliły się, że Crie zabiła matkę – podsumowała Myrna. – Ale czy wiedziały, że CC zamordowała swoją?

– Nie. Dowiedziały się dopiero, gdy powiedziałem Em. Nie, śmierć CC nie miała nic wspólnego z tym, że zabiła własną matkę. Przynajmniej nie bezpośrednio. Matka pewnie by powiedziała, że to karma.

– Ja też – dodała Clara.

– Crie zabiła matkę w obronie własnej. W końcu zraniono ją tak bardzo, że nie mogła już dłużej tego wytrzymać. Czasami z dziećmi tak bywa. Albo zabijają się same, albo mordują swego dręczyciela. Émilie powiedziała o Crie, że stwarzała pozory, ale nie w pejoratywnym sensie. Miała na myśli, że Crie wydawała się płaska, pozbawiona iskry talentu. Ale tak nie jest.

– Słyszeliśmy jej śpiew w Wigilię – przypomniał Olivier. – To było przepiękne.

Wszyscy pokiwali głowami.

– Poza tym jest wzorową uczennicą, same szóstki. Niesamowicie uzdolniona do nauk ścisłych. Odpowiadała za oświetlenie szkolnych przedstawień.

– Luzerzy zawsze mają ten talent – rzekła Ruth. – Ja też taka byłam.

– W tym roku jej klasa uczyła się między innymi o witaminach i minerałach. O witaminach z grupy B. O niacynie. Crie dostała dziewięćdziesiąt cztery na sto punktów w teście przed świętami. Miała dość wiedzy, by wykombinować, jak zabić matkę.

– Zastanawiam się, czy idea krzesła elektrycznego działała jej na wyobraźnię – powiedziała Myrna.

– Niewykluczone. Nigdy się nie dowiemy. Crie jest praktycznie w stanie katatonii.

– Więc wydedukował pan, że to nie Trzy Gracje zabiły, ale jak pan doszedł do tego, że zrobiła to Crie? – zapytał Peter.

– Z powodu butów CC. Tylko dwie osoby o nich wiedziały. Richard i Crie. Chciałem wierzyć, że to Richard zamordował. W gruncie rzeczy był idealnym podejrzanym.

– Dlaczego pan tak mówi? – W głosie Myrny brzmiała lekka uraza, a reszta popatrzyła na nią zaciekawiona. – Wpadł dziś do księgarni i przyniósł mi to. – Sięgnęła do torebki i wyjęła coś, co wyglądało jak zwykła lekka rękawiczka. – Fantastyczne. Podaj mi, proszę. – Zrobiła gest w stronę leżącej na pufie otwartej książki w twardej oprawie. Założyła rękawiczkę i wzięła tom. – Zobaczcie, Richard przerobił i wzmocnił rękawiczkę w jakiś sposób. Gdy się ją ma na rękę, nawet książki w twardej oprawie trzyma się z mniejszym wysiłkiem niż te w miękkiej.

– Pokaż, spróbuję – poprosiła Clara. Faktycznie, książka leżała wygodnie w jej okrytej rękawiczką dłoni, nie powodując napięcia. – Świetne.

– Richard słyszał, że nie lubimy książek w twardej oprawie, więc wymyślił to – Myrna podała rękawiczkę Reine-Marie, która pomyślała, że może Richard Lyon wynalazł wreszcie coś pożytecznego, a może nawet dochodowego.

– On się kocha w tobie – podśpiewywał Gabri. Myrna go nie poprawiła.

– Upierała się pani, że przez cały czas Lyon siedział obok. – Gamache zwrócił się do Myrny.

– Zgadza się.

– Uwierzyłem pani. Jeśli więc nie Richard Lyon, to jego córka musiała zabić.

– Crie dużo ryzykowała – powiedział Peter.

– Zgadza się – odparł nadinspektor. – Ale miała przewagę. Nie obchodziło

jej to. Nie miała dokąd pójść, nie miała nic do stracenia. Jedynym jej planem było zabicie matki.

– Już piąta, pora iść. – Ruth wstała i zwróciła się do Reine-Marie. – Jest pani pierwszym powodem, dla którego mogę przestać uważać pani męża za kompletnego idiotę.

– *Merci, madame* – Reine-Marie skinęła głową w geście, który przywodził na myśl Émilie. – *Et bonne année.*

– Wątpię, żeby był szczęśliwy – mruknęła Ruth i pokuśtykała do wyjścia.

Richard Lyon siedział w swoim warsztacie w piwnicy, pracując nad, jak ją nazwał, Twardookładkową Rączką. Obok na ławce stała kartka świąteczna, którą dostał dziś rano. Od Saula Petrova, który przeproszał go za romans z CC. Wspominał też, że miał rolkę filmu z kompromitującymi CC zdjęciami, ale że spalił ją tego ranka. Trzymał film z myślą, że może jeśli CC zrobi majątek, mógłby szantażować ją, a może nawet Richarda. Ale ostatnio odkrył w sobie sumienie – a sądził, że dawno go opuściło – i chciał przeprosić Lyona. Petrov zamknął list zdaniem, iż ma nadzieję, że kiedyś nawiążą dobre stosunki, bo to niemal pewne, że będą sąsiadami.

Lyon był zaskoczony, jak wiele znaczył dla niego ten list, i pomyślał, że być może mógłby się zaprzyjaźnić z Saulem Petrovem, gdyby nie było za późno.

Gamache i Reine-Marie wpadli na Roberta Lemieux, idąc z bistro do samochodu.

– Zamierzam spotkać się z naczelnikiem Brébeufem – powiedział Gamache, ściskając prawicę młodego człowieka i przedstawiając go żonie. – Poproszę, żeby przeniósł pana do wydziału zabójstw.

Na twarzy Lemieux odmalowało się zaskoczenie.

– Mój Boże, sir. Dziękuję, dziękuję. Nie zawiodę pana.

– Wiem.

Reine-Marie poszła skorzystać z łazienki w bistro, a młody policjant pomagał nadinspektorowi odśnieżyć samochód.

– Biedna madame Zardo. – Lemieux wskazał skrobaczką w stronę Ruth, siedzącej na ławce na miejskim skwerze.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Cóż, to pijaczka. Jeden z mieszkańców powiedział mi, że to jej spacer na piwo.

– A wie pan, co oznacza „spacer na piwo”?

Lemieux już chciał powiedzieć „tak”, ale się zastanowił. Może źle to rozumiał. Za szybko wyciągnął wnioski. Zamiast przytaknąć, potrząsnął głową.

– Ja też nie wiedziałem. – Gamache się uśmiechnął. – Myrna mi wytłumaczyła. Ruth Zardo miała psa o imieniu Daisy. Poznałem Daisy. Były nierozłączne. Dwie śmierdzące staruszki, z warczeniem kuśtykające przez świat. Ostatniej jesieni Daisy osłabła i popadła w dezorientację, aż w końcu wiadomo było, że zaraz będzie po niej. Ruth zabrała starą przyjaciółkę na ostatni popołudniowy spacer. Była piąta po południu, szły przez ten sam las, przez który chodziły codziennie. Ruth zabrała z sobą pistolet i kiedy Daisy na nią nie patrzyła, zastrzeliła psa.

– To okropne.

– Mówią o tym „spacer na piwo”, bo wielu rolników zabiera z sobą dwa sześciopak piwa, kiedy muszą iść zastrzelić psa należącego do rodziny, bo tylko jeśli się dość upiją, są w stanie to zrobić. Ruth pozostała trzeźwa. To był akt miłości, miłosierdzia i niezwykłej odwagi. Później Olivier i Gabri pomogli jej pochować Daisy pod tą ławką. Codziennie o piątej Ruth odwiedza Daisy. Jak Bobby z Greyfriars^[28].

Lemieux nie rozumiał, do czego odwołuje się nadinspektor, ale pojął, że się mylił.

– Musi pan być czujny – powiedział Gamache. – Liczę na pana.

– Przepraszam, sir. Będę się bardziej starał.

W kwaterze głównej Sûreté zadzwonił telefon; naczelnik szybko podniósł słuchawkę. To był telefon, na który czekał. Słuchał przez moment, a potem przemówił.

– Dobra robota.

– Nie czuję się z tym komfortowo, sir.

– A ja się czuję? Niedobrze mi od tego. Ale trzeba to zrobić.

To była prawda. Serce bolało naczelnika na myśl o tym, w jakiej jest sytuacji.

Niemniej on jeden mógł pograżyć Gamache'a.

– Tak jest. Rozumiem.

– Dobrze – odparł Michel Brébeuf. – Wszystko jasne. Mam następny telefon. Proszę mnie informować. – Rozłączył rozmowę z Robertem Lemieux i odebrał kolejne połączenie.

– *Bonjour*, naczelniku. – W słuchawce zabrzmiał głęboki, ciepły głos Gamache'a.

– *Bonne année*, Armand – odpowiedział Brébeuf. – Czym mogę służyć, *mon ami*?

– Mamy problem. Musimy porozmawiać o funkcjonariuszce Nichol.

* * *

Yvette Nichol rozpakowywała walizkę u siebie w domu, wrzucając brudne ubrania do szuflad komody. W drzwiach stał jej ojciec, zbierając się na odwagę, by do niej przemówić. Chciał zacząć Nowy Rok od prawdy na temat zmyślonego wuja Saula.

– Yvette.

– Słucham? – odwróciła się, trzymając w dłoniach zwinięty w kłęb bury sweter. Odpowiedziała nadąsanym tonem; jej ojciec odnotowywał z satysfakcją, kiedy mówiła tak do innych, ale nigdy do niego. Teraz wyczuł zapach dymu. Im bardziej się do niej zbliżał, tym woń była mocniejsza, jak gdyby jego córkę ktoś osmalił nad ogniem.

– Dumny jestem z ciebie – powiedział. Oczywiście opowiadała mu o pożarze. Ale kiedy opisywała to przez telefon, dzwoniąc z Three Pines, historia brzmiała nierealnie. Teraz, gdy faktycznie poczuł zapach dymu, wyobraził ją sobie wśród płomieni i poczuł wielkie przerażenie. To aż tak mało brakowało, by ją stracił? Przez kłamstwo? Przez zmyślonego wuja Saula?

– Nie chcę już o tym mówić. Wszystko ci już opowiedziałam. – Odwróciła się do niego plecami. Po raz pierwszy w życiu. Tym jednym płynnym, okrutnym, wykalkulowanym gestem na zawsze odmieniła jego życie. Odwróciła się od niego.

Zdruzgotany i ledwie zdolny mówić, Ari Nikolev próbował zebrać w sobie

odwagę, by powiedzieć jej, że niemal ją utracił z powodu kłamstwa. Które opowiadał miliony razy. Przez jej całe życie.

Oczywiście go za to znienawidzi. Patrząc na plecy córki, Nikolev wyobraził sobie nadchodzące lata: puste, ponure i długie. Ciepło, radość i miłość, jakie wносиła do jego życia córka, zamienią się w lód i zostaną pogrzebane pod ciężarem kłamstw i żalu. Czy prawda była tego warta?

– Chcę...

– Czego chcesz? – Zwróciła się z powrotem w jego stronę, z nadzieją, że zapyta ponownie. By zmusił ją, żeby się otworzyła. By opowiadała mu w kółko o tragicznym pożarze, aż stanie się częścią rodzinnej legendy, której ostre krawędzie wygładziły się od nieustannego powtarzania.

Proszę, proszę, proszę – błagała go bezgłośnie. – Poproś mnie jeszcze raz.

– Chcę ci coś dać – powiedział Ari, wsuwając jej w wolną dłoń mlecznego karmelka, którego celofanowe opakowanie zaszeleściło, lądując w jej rękę niczym rozpalający się płomień. W miarę jak Ari zagłębiał się w mroczny korytarz, zapach dymu lgnął do niego, jak niegdyś jego córka.

– Z kim rozmawiałeś? – zapytała Reine-Marie, wsiadając do samochodu.

– Z Michelelem Brébeufem. – Nadinspektor wrzucił pierwszy bieg. Gdy wyjeżdżali z Three Pines, minęli kierowcę, który do nich zamachał.

– Czy to był Denis Fortin? – spytał Gamache, który znał trochę tego właściciela galerii.

– Nie widziałam. Ale coś mi się przypomniało – odparła Reine-Marie. – W bistro spotkałam twój znajomego, powiedział, że miło było cię znowu zobaczyć.

– Naprawdę? Kto to był?

– Billy Williams.

– I rozumiałaś, co mówi? – zapytał Gamache osłupiały.

– Co do słowa. Poprosił, żeby ci to dać. – Podała mu papierową torebkę, którą trzymała na kolanach, starając się ją chronić przed najnowszym członkiem rodziny. Henri siedział na tylnym siedzeniu, z uwagą przysłuchując się ich rozmowie i machając ogonem. Reine-Marie otworzyła torebkę, pokazując mężowi kawałek cytrynowego ciasta z bezą. Gamache poczuł na ramionach

gęsią skórkę.

– Popatrz, tu jest serwetka i coś jest na niej napisane. – Reine-Marie sięgnęła do wnętrza torebki. – Czy to nie zabawne?

Zatrzymał samochód na poboczu niedaleko szczytu ulicy du Moulin.

– Niech no zgadnę – powiedział, czując, jak serce mu wali.

Gdzie jest miłość, jest odwaga. Gdzie jest odwaga, jest pokój. Gdzie jest pokój, jest Bóg. Gdy masz Boga, masz wszystko.

– Skąd wiedziałeś? – dopytywała się Reine-Marie z oczami rozszerzonymi ze zdumienia, delikatnie trzymając w ręku serwetkę.

Armand Gamache widział Three Pines we wstecznym lusterku. Wysiadł z auta i popatrzył z góry na miasteczko, w którym każdy dom lśnił od ciepła i światła, obiecując schronienie przed światem, który potrafił czasem być za bardzo mroźny. Zamknął oczy i czuł, jak łomoczące w piersi serce się uspokaja.

– Wszystko w porządku? – Reine-Marie położyła dłoń na ramieniu męża.

– W najlepszym z możliwych porządków. – Uśmiechnął się. – Mam wszystko.

Podziękowania

Jak zawsze i przy każdej okazji, pierwszą osobą, której chcę podziękować, jest Michael, mój niesamowity, cudowny, genialny i cierpliwy mąż.

Dziękuję Gary'emu Matthewsowi i Jamesowi Clarkowi za odpowiedzi na pilne pytania odnośnie do elektryczności. Lili de Grandpré za sprawdzenie, czy moja francuszczyzna jest poprawna, szczególnie przekleństwa – których ja, naturalnie, nigdy nie używam, ale ona najwyraźniej tak. Marcowi Brault za zgodę na użycie jego ślicznego nazwiska. Doktorowi Robertowi Seymourowi oraz doktor Janet Wilson za zastanowienie się nad problemami medycznymi i dostarczenie odpowiedzi, których potrzebowałam.

W książce jest dość dużo mowy o curlingu, sporcie, za którym, jak się składa, przepadam. Grałam w niego trochę w Thunder Bay i w Montrealu i mam wielki szacunek do ogromnej koncentracji i równowagi graczy, nie wspominając o ich fantastycznej umiejętności oddawania znakomitych strzałów pod presją. To niesamowity sport, bez względu na to, co myśli o nim inspektor Beauvoir. Złożyłam wizytę w Sutton Curling Club, gdzie rozmawiałam z Wayne'em Clarksonem, Ralphem Davidsonem i Bobem Douglasem, którzy wytłumaczyli mi strategię. Bardzo im dziękuję za poświęcony mi czas i cierpliwość.

Poznałam Anne Perry w Kanadzie na konferencji poświęconej kryminałom, jeszcze zanim ukazała się moja pierwsza powieść, *Martwa natura*. Zgodziła się przeczytać moją książkę i stała się pierwszą znaną pisarką, która wygłosiła o niej pozytywną opinię, co jest nieprawdopodobnie ważne dla każdego debiutanta. Anne Perry jest piękną osobą, z zewnątrz i w środku, i jestem jej ogromnie wdzięczna za to, że dała mi szansę i udzieliła wsparcia. Jestem też pełna wdzięczności dla innych pisarzy, którzy pozytywnie wypowiedzieli się o mojej książce. To niemałe zadanie, przeczytać całą powieść kiedy się ma milion innych rzeczy na głowie. Ale Margaret Yorke, Reginald Hill, Ann Granger, Peter Lovesey, Deborah Crombie i Julia Spencer-Fleming znaleźli

na to czas. I ja chętnie zrobię to dla innych, jeśli mnie o to poproszą.

Ogromnie dziękuję fantastycznej Kim McArthur i jej zespołowi.

Dziękuję wreszcie Teresie Chris, mojej agentce, za jej mądrość i zdrowy humor, oraz Sherise Hobbs z wydawnictwa Headline i Benowi Sevierowi z St. Martin's Press – dzięki nim książka stała się lepsza, a swoje uwagi podali z niezwykłym taktem i uprzejmością.

Wielka ze mnie szczęściara, i wiem o tym.

Przypisy

[1] Nieprzetłumaczalna gra słów w języku angielskim: *light* – „światło; jasny” – oznacza również „lekki” (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] Legendarne szkockie miasteczko, które ukazuje się jedynie raz na sto lat, znane z popularnego broadwayowskiego musicalu o tym samym tytule.

[3] Myrna rozmyślnie nie poprawia błędu Clary, który jest oczywisty dla anglosaskiego czytelnika: Siegfried Sasoon (1886-1967) to brytyjski pisarz, poeta i bohaterski weteran I wojny światowej; cytat o młodości i śmiechu odchodzących do piekła pochodzi z jego znanego wiersza *Suicide in the Trenches* (Samobójstwo w okopach). Fryzjer to niespokrewniony z nim niegdysiejszy hollywoodzki stylistą Vidal Sasoon.

[4] Bitwa pod Vimy (9-12 kwietnia 1917) z udziałem wojsk kanadyjskich to jedno z najważniejszych wydarzeń I wojny światowej z kanadyjskiej perspektywy.

[5] Abou Ben Adhem to tytułowy bohater wiersza angielskiego poety romantycznego Leigh Hunta, w którym budzi się „z wielkiego snu o spokoju”.

[6] Autorka nawiązuje tu do wiersza Williama B. Yeatsa, *Cradle Song*: „The angels are stooping / Above your bed; / They weary of trooping / With the whimpering dead”.

[7] Kolęda Huronów, czyli hymn *Twas in the Moon of Wintertime*, to najstarsza kanadyjska pieśń bożonarodzeniowa, napisana około 1642 roku przez jezuitę Jeana de Brébeufa, oryginalnie w języku Huronów (Wendatów).

[8] Trifle – deser jadany w krajach anglosaskich, przyrządzony z ułożonych warstwami ciasta biszkoptowego, nasączonego winem, galaretki owocowej, owoców, polany sosem custard i udekorowany bitą śmietaną.

[9] Chodzi oczywiście o Häagen Dazs, znaną firmę produkującą lody.

[10] Molson Canadian – marka piwa produkowanego w Kanadzie.

[11] Royal Canadian Legion to stowarzyszenie weteranów wojskowych. W siedzibach biur tej organizacji często odbywają się lokalne wydarzenia w małych miejscowościach.

[12] Tim Hortons Brier to coroczne mistrzostwa Kanady mężczyzn w curlingu, organizowane przez Kanadyjski Związek Curlingu. Obecnym sponsorem zawodów jest sieć restauracji Tim Hortons.

[13] *Funspiel* – od kombinacji słów *bonspiel* (mecz curlingu) i *fun* (zabawa) – rozgrywka curlingowa, w której chodzi bardziej o to, by się dobrze bawić, niż o to, kto wygra.

[14] Georges Simenon, którego matka musiała uwielbiać kryminały, odziedziczył nazwisko po belgijskim pisarzu, autorze serii o przygodach komisarza Maigreta.

[15] To fragment wiersza Jonathana Swifta *A Satirical Elegy on the Death of a Late Famous General* – satyrycznej elegii na śmierć wojskowego, który umarł ze starości we własnym łóżku (przekład tłumaczki).

[16] Old Brewery Mission – największe w Kanadzie schronisko i centrum pomocy bezdomnym, z siedzibą w Montrealu.

[17] Gamache cytuje za *Dziennikami* amerykańskiego filozofa transcendentalisty i poety Ralpa Waldo Emersona. Beauvoir nuci piosenkę *Lucky Man*, przebój grupy Emerson, Lake & Palmer.

[18] William Szekspir, *Król Henryk VIII*, akt 3, scena 2, przeł. Leon Ulrich, Kraków 1895.

[19] „Ring the bells that still can ring, Forget your perfect offering, There’s a crack in everything, That’s how the light gets in” – cytat z ballady Leonarda Cohena *Anthem* z wydanego w 1992 roku albumu *The Future*.

[20] Aluzje Ruth i Gabriego odnoszą się do filmu *Czarnoksiężnik z krainy Oz*, gdzie czerwone pantofelki głównej bohaterki Dorotki mają magiczną moc przenoszenia jej z powrotem do rodzinnego Kansas, jeśli stuknie obcasami trzy razy.

[21] Rurka z niespodzianką, czyli Christmas cracker, to tradycyjny upominek w krajach Wspólnoty Brytyjskiej. To małe kartonowe pudełko wielkości batonika, zapakowane jak cukierek, które otwiera się, ciągnąc za przeciwległe końce, i wyjmuje z niego bilecik z wierszem albo drobny upominek.

[22] Bitwa na Równinie Abrahama – do tej decydującej batalii w serii konfliktów pomiędzy Wielką Brytanią a Francją o dominację w Ameryce Północnej doszło 13 września 1759 roku. Brytyjski generał James Wolfe pokonał w niej oddziały francuskie pod dowództwem generała Louisa-Josepha de Montcalm.

[23] „The land God gave to Cain” – cytat z XVI-wiecznego podróżnika Jacques’a Cartiera, który tak opisywał północne brzegi Zatoki Świętego Wawrzyńca. Aluzja do rozdziału 4. Księgi Rodzaju, w którym Bóg każe mordercy Abela osiedlić się na jałowej ziemi „na wschód od Edenu”.

[24] Anglosas przeczyta ten ciąg pojedynczych liter jako bi-kej-el-em. Wystarczy wstawić jedną samogłoskę, by fonetycznie czytana jako słowo, zbitka ta brzmiała jak *be calm* – bi kalm.

[25] William Szekspir, *Król Henryk VIII*, akt 3, scena 2, przeł. Leon Ulrich, Kraków 1895.

[26] *The Hound of Heaven* (przeł. Stanisław Helsztyński) to najsłynniejszy wiersz angielskiego poety Francisa Thompsona.

[27] *We Three Kings* to popularna w kościele episkopalnym kolęda autorstwa wielbnego Johna Henry’ego Hopkinsa, Jr. z 1857 roku.

[28] Grayfriars Bobby – terier, który czuwał przez niemal 14 lat przy grobie swego właściciela Johna Graya na cmentarzu Grayfriars Kirkyard w Edynburgu. Postać psa została upamiętniona w formie pomnika i płyty, pojawia się także w książkach i filmach.